



**Cynthia Harrod - Eagles**

**Symfonia śmierci**

*Tytuł oryginału Orchestrated Death*

## Rozdział I

### BRAK BRĄZOWYCH BUTÓW

Slider obudził się z charakterystycznym przecuciem zbliżającego się nieszczęścia, wywołanym przez zbyt późne zjedzenie curry rogan josh i warzywnych racuszków baji.

Irene spała już, kiedy po cichu wszedł do sypialni, ale gdy wślizgnął się do łóżka, obudziła się i naskoczyła na niego z całą zajadłością. Tylko Irene potrafiła w jednej chwili spać, a w następnej klócić się na całego - była to zdolność, którą Slider mógł jedynie podziwiać.

Pracował do późna z sierżantem Athertonem, swoim partnerem. Oddelegowano ich do pomocy brygadzie narkotykowej w Notting Hill. Mieli obserwować dom, w którym podobno handlowano narkotykami na dużą skalę. Slider zadzwonił do Irene i uprzedził, że nie zdąży wrócić do domu i zabrać ją na proszony obiad, na który tak się szykowała. Resztę wieczoru spędził w jasnoniebieskim fordzie sierra Athertona zaparkowanym na Pembridge Road, obserwując ciemny, cichy dom. Przez całą noc nic się nie zdarzyło i zanim detektyw z wydziału kryminalnego

Notting Hill wreszcie zajął do nich przez szybę i powiedział, że mogą się zmywać, zdążyli porządnie zgłodnieć.

Atherton był wysokim, kościstym, trzymającym się prosto młodzieńcem o jasnej karnacji i włosach w kolorze toffi, uczesanych na sposób, który rozsławił David McCallum w *The Man from UNCLE*" w czasach gdy sierżant był jeszcze za mały, aby oglądać nocne programy telewizyjne. Teraz spojrzał radośnie na zegarek i stwierdził, że zdążą jeszcze na kufel piwa w Psie i Mosznie, zanim Hilda zadzwoni na ostatnią kolejkę. Oczywiście pub na Wood Lane, o którym mówił Atherton, nie nazywał się Pies i Moszna, tylko Pies i Myśliwy. Był jednym z tych gigantycznych przydrożnych barów wybudowanych w latach pięćdziesiątych, z obskurnymi wykafelkowanymi korytarzami i drzwiami polakierowanymi na brudnorudy kolor. Nie było w nim zbyt wielu wygod, za to akustykę miał doskonałą. Śmierdziało tam płynem dezynfekcyjnym, petami, moczem i skwaśniałym piwem. Szyld zawieszony nad wejściem przedstawiał trzymającego na ramieniu strzelbę mężczyznę w tweedowym ubraniu i filcowym kapeluszu oraz czarnego labradora, który skacze na swego pana - przypuszczalnie z radości. Atherton uważał jednak, iż obraz ów uwieczniał moment, w którym zwierzę zaciska zębiska na genitaliach właściciela.

To było naprawdę odrażające miejsce. Slider dochodził do tego wniosku za każdym razem, kiedy tu przychodzili. Nie lubił pić w swoim rewirze, ale ponieważ mieszkał w Ruislip, Atherton zaś na peryferiach Hampstead od strony Kil-

\* *Serial z lat 60., w pewnym sensie parodia Bonda (wszystkie przypisy tłumacza).*

burn, był to jedyny pub, który był im w miarę po drodze. Wieczny optymista Atherton twierdził, iż podstarzała barmanka Hilda miała ukryte zalety, a poza tym piwo było w porządku. Slider pocieszał się tym, że można tu było zachować anonimowość. Człowiek, który z własnej woli stał się bywalcem tego miejsca, musiał być introwertykiem lub cierpieć na autyzm.

Wypili po dwa kufle piwa i w tym czasie Atherton podrywał Hildę. Od kiedy kupił sierę, udawał, że jest przedstawicielem firmy software'owej. Slider był jednak przekonany, że Hilda, która wyglądała na kobietę obeznaną z wnętrzem sądu pokoju, doskonale wiedziała, iż obaj są gliniarzami. Może nawet smutnymi - nie, to zbyt dickensowskie określenie. Hilda miała najwyżej sześćdziesiąt osiem, siedemdziesiąt lat i czarne, zimne oczy przypominające ślepią starego węża. Jej ręce trzęsły się nieustannie - o dziwo z wyjątkiem chwili, gdy nalewała piwo. Trudno było powiedzieć, czy zdawała sobie sprawę z tego, co się tu dzieje. Jedno było pewne - Hilda nie wyglądała na kogoś, kto wierzył w Świętego Mikołaja czy George'a Dixona.

Po wypiciu piwa postanowili wyskoczyć na curry, a raczej, ponieważ jedyną otwartą jeszcze o tej porze restauracją mogła być wyłącznie indyjska, zdecydowali, który lokal zaszczyca swoją obecnością. Mieli do wyboru knajpę o nazwie Anglabangla lub New Delhi, w którym śmierdziało jak w wilgotnej piwnicy. Stamtąd Slider pojechał prosto do domu, gdzie czekała go kłótnia z Irene i atak niestrawności. Obie te rzeczy stały się tak nieodłączną częścią późnych wieczorów, które częściowo spędzał w pracy, że gdy jadał w restauracji indyjskiej, towarzyszyło mu nieodmiennie uczucie niepokoju.

Po krótkiej rozgrzewce Irene rozpoczęła zwykłą tyradę, zbyt znajomą Sliderowi, aby jej słuchał lub silił się na odpowiedzi. Kiedy doszła do argumentu w stylu: „Myślisz, że jak ja się czuję, stercząc godzinami przy telefonie i zastanawiając się, czy jeszcze żyjesz?”, dość nierozsądnie wymamrotała, że sam często się nad tym zastanawia. Oczywiście jego komentarz nie pomógł. Irene miała słabiutkie poczucie humoru i zdecydowanie nie wykazywała go w rozmowach na temat trudów życia żony policjanta.

Slider postanowił nie przytaczać swoich argumentów nawet w myślach, ale przecież kiedy za niego wychodziła, doskonale wiedziała, w co się pakuje. Z czasem zrozumiał, że ludzie pobierają się z przeróżnych powodów - od niedostatecznych do idiotycznych. Nikt też nie zwracał uwagi na ostrzeżenia. On poślubił Irene, znając jej charakter i ignorując bardzo poważne przestrogi swego przyjaciela i mentora, O'Flaherty'ego, sierżanta-recepcjonisty w Shepherd's Bush.

- Na litość boską, mój drogi Billy. - Wyraźnie zaniepokojony wielki Irlandczyk pochylił się do przodu, przysuwając do Slidera swoją pożyłkowaną twarz. - Nie możesz ożenić się z kobietą pozbawioną poczucia humoru.

Slider zrobił to mimo wszystko, chociaż z perspektywy czasu widział wyraźnie, że już wtedy dostrzegał w Irene rzeczy, które go drażniły. Teraz leżał w łóżku, słuchając jej oddechu, a kiedy przekreślił głowę, aby spojrzeć na żonę, poczuł rosnący żal, który zastąpił w jego sercu miłość i pożądanie. *Tout comprendre c'est tout embiter*, powiedział kiedyś Atherton. Przetłumaczył to z grubsza jako: „Pełna wiedza oznacza pełną nudę”. Slider litował się nad Irene, bo ją rozumiał, to właśnie ta jego fatalna zdolność do dostrzegania

obu stron medalu najbardziej ją irytowała i sprawiała, że ich kłótnie nie mogły mieć pozytywnego finału.

Oprócz gniewu Slider wyczuwał również jej konsternację. Irene chciała być dobrą i kochającą żoną, ale jak mogła szanować kogoś tak nieudolnego? Inni mężowie coś osiągnęli w życiu, dostawali awans albo podwyżkę. Slider uważał, że jego praca jest ważna i wykonuje ją dobrze, ale Irene nie potrafiła docenić tak niewymiernych osiągnięć. Z kolei on nie mógł sobie pozwolić na przyjęcie jej sposobu myślenia. Gdyby zaczął oceniać się według kryteriów Irene, byłby skończony.

W brzuchu kotłowało mu się i burczało, jakby poluzowała mu się jakaś stara uszczelka. Curry i piwo nieubłaganie zmieniały się w kwas i wiatry. Marzył, żeby zmienić pozycję, ale wiedział, że nawet najmniejsze poruszenie obudzi Irene. Ich łóżko z serii Dreamland Deluxe było naprężone niczym trampolina i gwałtownie reagowało, zupełnie jak zawieszenie cadillaca.

Slider pomyślał o ostatnim wieczorze, który najwyraźniej nie przyniósł żadnych rezultatów, jak zresztą większość jego policyjnej pracy. Potem wyobraził sobie, co mogło go czekać: znakomite jedzenie, szum rozmów u Harperów, u których świeczki pasowały do serwetek i nakryć, ale którzy do każdego dania podawali nieodmiennie Le Piat d'Or.

Zdaniem Irene Harperowie mieli dobry gust. Zapewne tak, ponieważ wszystko w ich domu przypominało reklamówki z kolorowej wkładki do „Sundry Trends”. Slider przypuszczał, że świadomość własnej racji jest niezwykle pocieszająca. O ile lepiej czułby się człowiek, gdyby wiedział, iż jego przyjaciele aprobują twój wybór czystej sośniyny, miękkie meble od Sandersona, jasnobezowy berberyjski

dywan, luksusową łazienkę w kolorze zieleni pampasów, grafikę (z limitowanego wydania) przedstawiającą nagie drzewa na tle horyzontu miasta Norfolk, polakierowane korkowe płytki na podłodze kuchennej i zachwycająco masywne naczynia ceramiczne od Petera Jonesa. Poza tym, jeśli mieszkało się w Ruislip, gdzie ludzie nadal uważali plastikowe cebulki zwisające z szafek kuchennych za cudowny pomysł, takie urządzenie wewnątrz musiało się wydawać podwójnie wyrafinowane.

Slider poczuł nagle znajomy przypływ nienawiści do tego wszystkiego, zwłaszcza do obrzydliwego Dyrektorskiego Rancza Harperów z panoramicznymi oknami i bez kominków, z otwartym ogrodem, w którym wszystkie psy z sąsiedztwa mogły srać do woli, ze starannie zaprojektowanym ogródkiem alpejskim zawierającym dwie pedziowate karłowate choinki i trzy kępki wrzosu. Owa kompletnie odpychająca rezydencja tkwiła w środku nowego i bardzo popularnego osiedla mieszkaniowego, w spokojnym centrum grubego, bepcłciowego wszechświata niezamożnej klasy średniej. Tutaj wszelkie zmagania z życiem i pasje zostały zakazane przez Terence'a Conrana, a stare, mroczne i niehigieniczne religie zastąpiono jednym oczyszczającym rytuałem pucowania samochodów. Hołd złożony Katatonii. To jest to, człowieku. Autentyczny, gwarantowany styl szczęściarzy, którzy się dorobili. Istny raj.

Skurcz przeszedł.

To naprawdę głupie - wszak Bill był jednym z mianowanych strażników Katatonii, a poza tym, kiedy przyszło co do czego, sam wolał pustkę i beczynność od ścigania przestępców. Widział już zbyt wiele odrażającego marnotrawstwa i zbrodni, aby wiedzieć, że jego najbardziej bezmyślni

i zadowoleni z siebie sąsiedzi byli tylko nieco bardziej warci ochrony niż polujące na niego chciwe, uzalające się nad sobą oprychy. Jesteś niczym bastion, chłopie, powiedział sobie w myślach, naśladowając O'Flaherty'ego. Prawdziwy bastion.

Zadzwoił telefon.

Slider rzucił się w jego kierunku i podniósł słuchawkę, zanim zadźwięczał drugi dzwonek. Irene zamamrotała coś i poruszyła się niespokojnie, ale na szczęście się nie obudziła. Marzyła o telefonie Trimphone. Twierdziła, że mniej by jej przeszkadzał, gdy ludzie dzwonili o nieprzyzwoitych porach. Na ich ulicy było tyle telefonów Trimphone, że szpaki zaczęły naśladować wydawane przez nie dźwięki. Slider stanowczo sprzeciwił się owemu pomysłowi. Nie miał nic przeciwko odbieraniu telefonów w środku nocy, ale nie było mowy, żeby w jego własnym domu budziły go ze snu jakieś cholerne ćwierkania.

- Cześć, Bill. Przepraszam, że cię budzę, stary - rzekł Nicholls, sierżant z nocnej zmiany.

- Właściwie to już nie spałem. Co się dzieje?

- Mam dla ciebie działo. - Nicholls, z pochodzenia Szkot, wymawiał głoski w taki sposób, że „ciało” brzmiało prawie jak „działo”. - Barry House, New Zealand Road, White City Estate.

Slider spojrzął na zegarek. Był kwadrans po piątej.

- Dopiero je znaleźli?

- Ktoś zadzwonił pod dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Anonimowe zgłoszenie. Chwilę zajęło, zanim patrol dotarł na miejsce. Podobno dzwonił jakiś dzieciak i oczywiście pomyśleli, że to podpucha. Teraz są tam mundurowi. Atherton jest już w drodze. Niezły początek dnia, co?



- Mogło być gorzej - odparł automatycznie Slider. Zobaczył, że Irene zaczyna się budzić. Zrozumiał, że jeśli się szybko nie wyszykuje, będzie dużo, dużo gorzej.

Osiedle White City Estate zostało wybudowane na terenie, gdzie odbyły się pierwsze Igrzyska Wspólnoty Narodów. Na tę okazję wzniesiono nie tylko gigantyczny stadion sportowy, ale również uruchomiono nową stację metra. Olbrzymie osiedle kilkupiętrowych bloków mieszkalnych ograniczone było z jednej strony Western Avenue, odnogą głównej arterii A40. Z drugiej strony ogradał je stadion i Stacja Telewizyjna BBC, zwrócona tyłem do osiedla i spoglądająca na Wood Lane. Z pozostałych dwóch stron White City było otoczone wiecznie zaludnionymi ulicami Shepherd's Bush i Acton. W latach trzydziestych osiedle to można było stawiać za wzór, ale teraz zrobiło się brudne i sprawiało nader przygnębiające wrażenie. Władze miasta zdecydowały się nawet rozebrać stadion, na którym niemal od początków dziejów w każdy czwartek i sobotę odbywały się wyścigi psów.

Slider wielokrotnie zaglądał do White City w sprawach służbowych. Zazwyczaj chodziło o kradzieże samochodów i włamania do mieszkań. Czasem było ciekawiej, gdy jakiś recydywista, który zbiegł z pobliskiego więzienia Wormwood Scrubs, zaszywał się w jednym z mieszkań jak w króliczej norze. Było to znakomite miejsce do zabawy w chowanego. Slider zawsze się gubił w labiryncie bloków. Kiedyś lokalne władze administracyjne wystawiły tablice informacyjne z mapami i alfabetycznym spisem bloków, jednak miejscowe dzieciaki błyskawicznie je zniszczyły. Zdaniem

Lidera, jeżeli człowiek nie urodził się w tym miejscu, nigdy nie mógł poruszać się sprawnie po White City.

Dla upamiętnienia pierwszej wystawy tutejsze ulice nazwano na cześć dumnych bastionów imperium: Australia Road, India Way itp., a bloki mieszkalne upamiętniały wielkich bohaterów Wspólnoty Narodów: Lawrence'a, Rhodessa, Nightingale. Kiedy Slider jechał otumaniony widokiem identycznych ulic, doszedł do wniosku, że niezależnie od nazw, wszystkie budynki wyglądają tak samo. Barry House, New Zealand Road. Kim właściwie był ten Barry?

Wreszcie dostrzegł znajome kształty pandy i kanapki z dżemem. Zaparkował na podwórku pomiędzy dwoma pięciopiętrowymi blokami. Na każdym piętrze znajdowały się trzy mieszkania stanowiące swoje lustrzane odbicie. Wiele z nich było zamkniętych na głucho, a podwórko do połowy zagracone urządzeniami budowlanymi. Na balkony wyległo wielu wyraźnie podekscytowanych gapiów, którzy wymieniali uwagi, a na placu zabaw mimo wczesnej godziny roilo się od czarnoskórych dzieciaków.

Przed wejściem do klatki schodowej stał wysoki, potężny, brodaty posterunkowy. Gawędził przyjaźnie z gapiami, trzymając ich jednocześnie na dystans. Był to Andy Cosgrove, który, zgodnie z nowym systemem współpracy społeczeństwa z policją, sprawował pieczę nad tym rewirem i najwyraźniej nie tylko znał, ale i lubił owo miejsce.

- Obawiam się, sir, że musi się pan udać na ostatnie piętro - zwrócił się do Slidera, rozgarniając jednocześnie tłum, aby zrobić przejście dla komisarza. - Piechotą. To jeden ze starszych bloków. Jak pan widzi, dopiero zaczynają go modernizować.

Slider spojrział w górę.

- Wiesz, kto to był?

- Nie, sir. Nie sądzę, żeby był to ktoś z miejscowych. Sierżant Atherton już tam jest, podobnie jak koroner.

- Zawsze ostatni. - Slider się skrzywił.

- Minusy życia poza miastem, sir - odparł Cosgrove.

Slider nie był pewien, czy posterunkowy żartował, czy nie. Ruszył na górę. Schody były wykonane z litych płyt granitowych, z poręczami z kutego żelaza, a ściany wyłożono ciemną glazurą. Iście niezniszczalne. Ludzie nie mieli szans zostawić na nich nawet najmniejszego śladu. Dzisiaj już takich nie robili.

Na górze zasapany Slider napotkał wyjątkowo radosnego Athertona.

-Jeszcze jedno piętro - rzucił sierżant zachęcająco. Slider obrzucił go złowrogim spojrzeniem i począpał za nim ciężko. Szare kawałki gruzu zachrzęściły mu pod nogami. Po jednej stronie schodów były usytuowane dwa mieszkania, po drugiej tylko jedno.

- Środkowe drzwi - poinformował Atherton. Przed drzwiami prowadzącymi na miejsce przestępstwa stał umundurowany posterunkowy Willans. - Na tym piętrze wszystkie mieszkania są puste. Podobno nikt tutaj nie mieszka od sześciu tygodni. Cosgrove mówił, że mieli trochę kłopotu z włóczęgami i dzieciakami chowającymi się, żeby wypalić papierosa. Oto jak się tutaj dostali.

Szklana tafla w drzwiach wejściowych została zabita deską. Atherton poluzował gwoździe z jednej strony i wsunął palce pod dyktę, demonstrując, w jaki sposób można dosięgnąć gałki w zamku yale.

- Nie znaleźliście kawałków zbitej szyby? - Slider zmarszczył brwi.

- Ktoś tu posprzątał - rzekł ponuro Atherton. - Wyczyścił wszystko na glanc.

- Kto znalazł ciało?

- Około trzeciej nad ranem jakiś dzieciak zadzwonił pod dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Nicholls myślał, że to podpucha, bo chłopak wydawał się bardzo młody, a poza tym nie chciał podać nazwiska. Mimo to przekazał informację patrolowi. Nie spieszyli się jednak z przyjazdem. Znaleźli ją dopiero za kwadrans szósta.

-Ją? - Dziwne, ale zazwyczaj człowiek spodziewa się trupa mężczyzny.

- Kobieta, dwudziestoparoletnia. Naga - podsumował zwięźle Atherton. Slider poczuł znajomy skurcz serca.

- Tylko nie to.

- Nie sądzę - rzucił szybko Atherton, uprzedzając pytanie. - Nie wygląda na to, żeby ktokolwiek ją tknął. Koroner właśnie nad nią pracuje.

- No dobrze, rzućmy na to okiem - powiedział zniechęcony Slider.

Poza nieprzyjemnym smakiem w ustach i wzdętymi jelitami czuł ostry ból w prawym oczodole. Poza tym strasznie potrzebował nieprzerwanego spokojnego snu. Atherton, który balował z nim do późna w nocy, a dzisiaj pojawił się tu dużo wcześniej, wyglądał nie tylko na wyspanego i zdrowego, ale również szczęśliwego. Wyraz jego twarzy kojarzył się Sliderowi

z gorliwym i chętnym do pracy owczarkiem, wędrującym właś-

nie na górską łąkę, aby pilnować owiec. Slider chciał wierzyć, że kiedyś wiek i małżeństwo dopadną również i Athertona.

Mieszkanie oświetlone jedynie reflektorem zamontowanym na przeciwległym dachu (zapewne po to, żeby odstraszać wandalów) wydawało się ponure i przygnębiające.

- Oczywiście nie ma tu prądu - rzekł Atherton, wyciągając latarkę. Harcerzyk, pomyślał z nieuzasadnioną złością Slider. W środku komisarz Hunt oświetlał latarką miejsce zbrodni koronerowi, Freddiemu Cameronowi, który skinął głową na przywitanie i bez słowa odsunął się, robiąc miejsce dla Slidera.

Ofiara leżała na lewym boku, plecami do ściany, z podkulonymi nogami, zgiętym lewym ramieniem i dłonią wsuniętą pod głowę. Jej ciemne przycięte na pazia włosy opadały na twarz i szyję. Slider zrozumiał, dlaczego Cosgrove sądził, iż ofiara nie mieszkała w tej okolicy. Była, jak to określali patologowie, „dobrze odżywiona”. Miała kształtne ciało, nieskazitelnie gładką skórę, która, podobnie jak jej włosy, lśniła owym nieuchwytnym blaskiem dostatku, będącym rezultatem zrównoważonej diety białkowej. Na opaleniznie odcinał się biały ślad po bikini na biodrach.

Slider chwycił prawą rękę kobiety. Była chłodna, lecz nadal jeszcze giętka; silna, choć zadziwiająco brzydka, o długich palcach i paznokciach przyciętych tak krótko, że widać było różowe obrąbki. Skórki wokół paznokci starannie przycięto. Slider nie dostrzegł żadnych zadrapań ani śladów walki. Położył dłoń zmarłej na podłodze i odgarnął włosy z jej twarzy. Wyglądała na dwadzieścia pięć lat, może mniej. Jej policzki zachowały jeszcze soczystą, promienną krzywiznę młodości. Miała mały prosty nos, pełne usta, białe zęby, wyraźnie zarysowane ciemne brwi i czarne rzęsy, ocieniające policzki. Oczy były zamknięte, a na twarzy malował się spokój. Śmierć, choć przedwczesna, przysłała do niej cicho niczym sen.

Ostrożnie chwycił ją za ramię, podniósł nieco i oparł o ścianę. Jej małe, jeszcze nie do końca rozwinięte piersi były tego samego koloru co reszta skóry. Gdziekolwiek się

opalała zeszłego roku, musiała to robić topless. Jej ciało było smukłe i sprężyste. Biały trójkącik skóry poniżej płaskiego, złotawego brzucha wyglądał niczym aksamit. Slider wyobraził sobie ją nagle, spacerującą po jakiejś tropikalnej plaży w promieniach egzotycznego słońca - beztroskie urodziwe źrebiątko, mające całe życie przed sobą, traktujące radości tego świata jak coś całkiem naturalnego. Ogarnął go ogromny żal. Brodawki koloru dojrzałej maliny zdawały się spoglądać na niego z wyrzutem niczym para oczu. Położył ją znowu na podłodze, wstał szybko i odszedł, pozwalając Cameronowi wrócić do przerwanej pracy.

Sam obszedł tymczasem mieszkanie. Były tu trzy sypialnie, salon, kuchnia, łazienka i osobna toaleta. Wszystkie pomieszczenia ogołocoło z mebli i dekoracji i dokładnie wysprzątało. Nie zauważył ani jednego śmiecia porzuconego przez bezdomnych lub dzieci. Nic, nawet drobiny kurzu. Przypomnił sobie pokryte gruzem schody i westchnął. Nie było tu dla nich niczego, żadnego odcisku buta, dłoni, żadnych dowodów materialnych. Gdzie się podziały jej ubrania i torebka? Slider poczuł niepokój. Wszystko wydawało się zbyt dobrze zorganizowane, zbyt profesjonalnie wykonane.

Tapety w kolejnych pomieszczeniach prezentowały się fatalnie.

- Doktor Cameron chce z tobą porozmawiać, szefie. -  
W drzwiach pojawił się Atherton. Slider drgnął zaskoczony na dźwięk jego głosu, a potem poszedł za partnerem do pokoju.

Freddie Cameron podniósł wzrok na Slidera.

- Żadnych śladów walki, żadnych widocznych ran, zadrapań czy siniaków.

- Ciało nienaruszone - rzekł Bill. - Co nam pozostaje?  
Serce? Narkotyki?

- Daj mi szansę - wyjęczał Cameron. - Nic nie widzę w tym cholernym świetle. Nie mogę znaleźć nakłucia, ale stawiam na narkotyki. Popatrz na źrenice. - Pozwolił opaść powiekom, po czym uniósł ręce ofiary, przyglądając się skórze w zgięciu łokci. - Nie ma śladów po igle. Zresztą jej stan ogólny wskazuje, że nie była narkomanką. Może zażyła coś doustnie, ale w takim razie gdzie jest pojemnik po tym świństwie?

- Skoro już o tym mowa, wypadaloby spytać, gdzie się podziało ubranie - powiedział Slider. - Myślę, że możemy wyeliminować samobójstwo, chyba że przywędrowała tutaj na golasa. Ktoś musiał tutaj z nią przyjść.

- Zapewne - rzucił sucho Cameron. - Nie mogę ci więcej pomóc, Bill, dopóki nie przyjrę się jej w dobrym świetle. Zgaduję, że przyczyną śmierci było przedawkowanie, prawdopodobnie po zażyciu czegoś doustnie, ale mogę się jeszcze dopatrzeć śladów po igle. Nie znalazłem żadnych śladów na jej ciele oprócz nacięć, ale te zostały zrobione już po śmierci.

- Nacięć?

- Na stopie. - Cameron wskazał ręką. Slider przykucnął. Nie zauważył tego wcześniej, ale na delikatnie podwinętej stopie ofiary widniały dwa głębokie nacięcia układające się z grubsza w literę T. Nie krwawiły, wyciekło z nich tylko trochę osocza. Kropelki krwi w rozcięciach zastygły w czarnych grudkach. Ucierpiała tylko lewa stopa, prawa pozostała nietknięta. Poduszki małych palców wyglądały jak tłusciutkie różowe perełki. Slider poczuł się naprawdę okropnie.

- Czas zgonu? - wykrztusił z trudem.

- Mniej więcej osiem godzin temu. Dopiero zaczyna się stężenie pośmiertne. Będę mógł powiedzieć z większą dokładnością, kiedy zaczniesz ustępować.

- W takim razie zginęła około dziesiątej wieczorem, tak?

- Slider wpatrywał się w ciało z konsternacją. Kobieta zupełnie nie pasowała do tego miejsca. - Nie podoba mi się to.

Cameron położył dłoń na ramieniu komisarza.

- Nie ma żadnych śladów wymuszonego stosunku płciowego - rzekł pocieszająco.

-Wszyscy inni powiedzieliby po prostu gwałt. - Slider zdołał się uśmiechnąć.

-Język, mój drogi, jest wyrafinowanym instrumentem, a nie topornym narzędziem. Wracając do sprawy, dokładny czas zgonu określe po autopsji. Po południu będzie sztywna jak deska. Niech pomyślę... mogę to zrobić w piątek, powiedzmy o czwartej, jeżeli minie stężenie. Dam ci znać, gdybyś chciał się przyjrzeć. Ładny dzieciak. Zastanawiam się, kim ona była. Ktoś na pewno za nią tęskni. Ach, a oto fotograf. To ty, Sid? Nie ma światła. Mam nadzieję, drogi chłopcze, że przywiozłeś ze sobą reflektory, bo ciemno tu jak w kreciej dziurze.

Sid zabrał się do pracy, narzekając na warunki. Cameron odwrócił ciało, żeby fotografowi łatwiej było zrobić kilka zdjęć twarzy. Kiedy brązowe włosy zsunęły się z twarzy kobie-

ty, Slider pochylił się nad nią z nagłym zainteresowaniem.

- Hej, a co to za ślad na szyi?

Po lewej stronie szyi widniał, duży, okrągławy placek mniej więcej w połowie odległości między uchem a obojczykiem. Wydawał się szczególnie brzydki na tle nieskazitelnej błości.



-Wygląda mi to na wyjątkowo soczystą malinkę - obwieścił gromko Sid. - Sam bym jej z chęcią jedną sprawił.

Sid sfotografował w swoim czasie dla policji kilka naprawdę makabrycznych obiektów, między innymi wisielca, którego odkryto tak późno, że trup się nie rozsypał wyłącznie dzięki ubraniu. Rozkładające się ciała nie wzruszały go zupełnie, ale Slider z zainteresowaniem zauważył, że coś w widoku tej nagiej kobiety wytrąciło fotografa z równowagi, zmuszając go do przesadnej reakcji.

- Czy to siniak? A może oparzenie, na przykład chemiczne?

- O, nie, to stary ślad - ocenił Cameron. - Wygląda bardziej jak odcisk. Widzisz to przebarwienie? Musiała w to coś wsmarowywać. Poza tym widzę też anormalne owłosienie, o, tutaj. Cokolwiek to jest, na pewno było przewlekłe.

- Przewlekłe? Ja bym to nazwał paskudnym - rzekł Sid.

- Miałem na myśli, że ofiara miała to przez bardzo długi czas - odparł Cameron ze zwykłą sobie uprzejmością.

- Możesz to sfotografować? Doskonale. No dobrze, Bill, zobaczyłeś już wszystko, co chciałeś? W takim razie zabieramy ją stąd. Zmarzłem na kość.

Chwilę później ciało kobiety zostało ułożone na noszach, okryte płachtą i wyniesione. Zanim Cameron opuścił mieszkanie, zapytał jeszcze Slidera:

- Przypuszczam, że życzysz sobie otrzymać wszystkie odciski i dane stomatologiczne *tout suit*! Nie żeby jej zęby powiedziały ci zbyt wiele, to niemal idealny zestaw. Głównie dzięki fluorowi.

- Dzięki, Freddie - odparł zamyślony Slider. Ktoś na pewno za nią tęskni. Rodzice, współlokatorzy, narzeczony - na pewno. Przecież musi mieć chłopaka, prawda? Wpatrzył się

w ogołocony z mebli brudny pokój. Dlaczego tutaj, na litość boską?

- Przyjechali chłopcy z daktyloskopii, szefie - rzucił Atherton, wyrywając go z ponurego zamyślenia.

- Świetnie. Niech Hunt i Hope złączą spisywać zeznania - polecił Slider. - Chociaż na pewno nikt nic nie widział. Nie w tej okolicy.

Zapowiadała się istna harówka. Pytania, zeznania, setki zeznań, większość sprowadzi się i tak do Trzech Mądrych Małp i tym podobnego steku bzdur.

Jakie to smutne. W powieściach detektywistycznych zawsze był ktoś, kto po zsynchronizowaniu zegarka z czasem Greenwich wyjrzał przez okno w odpowiednim momencie i zobaczył samochód z charakterystyczną rejestracją, prowadzony przez wysokiego jednonogiego rudego mężczyznę z czarną przepaską na oku i zygzakowatą blizną szpecącą jego lewy policzek. *Daje słowo, inspektorze kochany, wiedziałem, że żaden tam z niego dżentelmen, bo i nie miał brązowych butów.*

- Może warto by zaangażować w spisywanie zeznań Cosgrove'a - powiedział Atherton. - Ten przynajmniej mówi ich językiem.

## Rozdział 2

### NA ZACHODNIEJ ULICY BEZ ZMIAN

Szarzyzna, którą Slider uznał za oznakę burego świtania, rozpanoszyła się na niebie na dobre, przynosząc nieustający, zimny, obrzydliwy deszcz.

- Cały świat przechodzi w styczniu kryzys - powiedział Atherton. - Oczywiście z wyjątkiem mieszkańców Terra del Fuego, gdzie ludzie są nieszczęśliwi przez okrągły rok. Ser z sałata czy szynka z sałata? - Potrząsnął lekko bułkami, które trzymał w rękach niczym iluzjonista tuż po wykonaniu swojego popisowego numeru. Slider przyjrzał się uważnie kanapkom.

- Czy to, co wystaje z boku jednej z nich, to szynka? Atherton przekreślił kanapkę, aby przyjrzeć się bliżej bułce.

Różowa wypustka załopotana żałością, niczym stara biała ko-

szula przypadkowo wyprana z czerwonym podkoszulkiem.

- Tak - odparł. - No dobrze, ser z sałata czy guma z sałata?

-Ser.

-Tego się właśnie obawiałem. Nigdy nie sądziłem, że jesteś typem, który nadużywa swojego stanowiska, szefie

- wymamrotał Atherton, podając Billowi kanapkę. - To zabawne, że proces przygotowywania kanapek budzi w nas kalwinistów. Jeśli sprawia ci to przyjemność, musi być grzechem. - Przyglądał się przez chwilę skrzywionej, smutnej twarzy swojego przełożonego. - Mogę sprawić, żebyś poczuł radość z jedzenia tej kanapki. Opowiem ci o wieprzowinie zapiekanej w cieście.

Kąciki ust Slidera drgnęły niby w uśmiechu, lecz tylko na krótką chwilę. Atherton zostawił go w spokoju i zajął się swoim lunchem oraz lekturą gazety. W „Standardzie” napisano krótką notkę o ich najnowszej sprawie:

*Dziś rano w pustym mieszkaniu na osiedlu White City w zachodnim Londynie odkryto zwłoki nagiej kobiety. Policja prowadzi w tej sprawie dochodzenie.*

Krótką i przemyślną. Chciał pokazać ją Sliderowi, ale potem postanowił nie przeszkadzać zamkniętemu w swoim gabinecie przełożonemu. Dobrze go znał, zresztą Irene też - w każdym razie na tyle, na ile ktokolwiek chciałby ją poznać. Domyślił się, że ostatniej nocy żona znów dała Billowi popalić. Kiedy Atherton myślał o Irene, od razu przechodziła mu ochota na małżeństwo.

Sierżant prowadził radosne życie kawalera w małym, ładnym szeregowcu wybudowanym niegdyś dla rzemieślników, w dzielnicy, którą dzisiejsi yuppies nazywali zachodnim Hampstead. Kierowała nimi ta sama logika, która kazała nazywać Battersea południowym Chelsea. Miał do swojej dyspozycji po dwa pokoje na górze i na dole oraz kuchnię wychodzącą na malutki, otoczony wysokim murem ogródek. Cały dom został tak zmodernizowany i odrestaurowany,

że gdyby za sprawą pętli czasowej pojawili się w nim jego pierwsi właściciele, czym prędzej by przeprosili i wycofaliby się pospiesznie, wrywając sobie włosy z głowy.

Współlokatorem Athertona był czarny kot eksdachowiec, przystojniak i zabijaka, którego sierżant nazwał (wykazując całkowity brak wyobraźni) Edypem. Małe gabaryty mieszkania stanowiły dla Athertona doskonały pretekst do niewiązania się na poważnie z żadnymi kobietami. Atherton zakochiwał się bowiem dość często, lecz nigdy na długo, co, jak rozumiał, było niezwykle naganną cechą charakteru. Mimo to liczył się dla niego wyłącznie podbój. Kiedy już zdobył kobietę, tracił zainteresowanie.

Poza Edypem najbardziej w życiu kochał pewnie Slidera, który był dla Athertona najważniejszym partnerem w jego dorosłym życiu. W pewnym sensie przypominali stare dobre małżeństwo. Spędzali ze sobą wiele czasu, musieli jakoś ułożyć wzajemne stosunki i współpracować, aby osiągnąć wspólny cel. Atherton wiedział, że na posterunku uważają go za odmieńca - cudowne dziecko bez talentu. Sam uważał się za człowieka ambitnego, który chce zająć na szczycie, awansować. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego wrodzona żądza wiedzy obraca się przeciwko niemu. Był zbyt czytany i zbyt zainteresowany prawdą dla samej prawdy, natomiast miał trudności z dostosowywaniem swoich działań do osiągnięcia wytyczonych celów. Nigdy nie było mu dane zostać bohaterem. Nie całował tyłków tym, którym powinien, w ogóle nie brał tego pod uwagę.

Zupełnie jak Slider, chociaż ten był wyrzutkiem z zupełnie innych powodów. Zawzięty, dokładny i skrupulatny z natury, nie był orłem intelektu. Atherton jednak nie tylko podziwiał Slidera jako znakomitego policjanta i dobrego

człowieka, ale przede wszystkim lubił go, można nawet powiedzieć, że uwielbiał. Wiedział również, że zawsze trzymający się na dystans Slider nie miał zbyt wielu przyjaciół i polegał na nim, potrzebował jego uczuć na równi z jego opiniami. To była dobra przyjaźń, układało im się idealnie i gdyby nie Irene, zapewne zbliżyliby się jeszcze bardziej.

Irene nie lubiła Athertona za to, że ten zabierał jej mężowi czas, który oczywiście należał się żonie. Atherton uważał, że ona podejrzewa go o sprowadzanie Billa na złą drogę i celowe ciągnięcie nocami po knajpach. Bóg mu świadkiem, że gdyby miał tylko szansę, na pewno by to zrobił! To, że Slider poślubił kogoś w rodzaju Irene, było jego największym grzechem i Atherton czasem miał problemy z odsunięciem swojej niechęci na bok. Oznaczało to również, że ich przyjaźń ograniczała się wyłącznie do spraw zawodowych, co mogło być dobre, ale niekoniecznie.

Czując na sobie wzrok kolegi, Slider odwzajemnił spojrzenie. Był to drobny mężczyzna o łagodnej, jasnej twarzy, błękitnych oczach i gęstych, miękkich brązowych włosach, które nigdy nie chciały się układać. Jane Austen - którą Atherton, jak wielu ludzi, uwielbiał bez reszty - mogłaby powiedzieć, iż w wyglądzie komisarza była swego rodzaju łagodna słodycz. Pewnie dlatego, że twarz Slidera stanowiła odbicie jego charakteru i za tę cechę Atherton tak lubił swojego przełożonego. To pocieszające, że w tym mrocznym i zagmatwanym świecie przynajmniej jeden człowiek był dokładnie taki, na jakiego wyglądał: przyzwoity, uprzejmy, uczciwy, pracowity, choć może nieco zbyt skrupulatny. Wieczne zatroskanie na twarzy Slidera było przejawem jego dogłębnego pragnienia zrekompensowania ludzkości niedoskonałości tego świata. Czasami Atherton czuł potrzebę

chronienia tego człowieka, czasami zaś złość: mężczyzna, który tak bardzo był świadomy nikczemności innych, nie powinien być tak bardzo zaskoczony różnymi przejawami zła.

- Co jest, szefie? - spytał. - Wyglądasz, jakby dręczyły cię koszmary.

- Nie mogę przestać myśleć o tej dziewczynie. Ciągle mam ją przed oczami.

- Widziałeś już gorzej wyglądające trupy. Ta przynajmniej nie była naruszona.

- Dręczy mnie niestosowność całej sytuacji - rzekł niechętnie Slider, który w zasadzie sam nie wiedział, co dokładnie mu nie pasuje. - Taka dziewczyna w takim miejscu? Dlaczego ktoś chciał ją zamordować właśnie tam?

- Nie wiemy, czy to było morderstwo - zastrzegł Atherton.

- Chyba nie sądzisz, że sama wdrapała się zupełnie naga na ostatnie piętro i niezauważona włamała się do tamtego pustostanu? - spytał Slider. Atherton wskazał głową na stertę zeznań, przez które właśnie przedzierał się jego przyjaciel.

- Musiała się tam jakoś niepostrzeżenie znaleźć - powiedział. - Chyba że wszyscy mieszkańcy bloku kłamią, co oczywiście nie jest wykluczone. Większość ludzi automatycznie mija się z prawdą w zeznaniach. Podobnie jak wszyscy narzekają na obcokrajowców.

Slider westchnął i odsunął od siebie papiery.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek z nich miał z tym coś wspólnego. Chyba że była to grabież, ale powiedz mi, kto zabiera drugiemu człowiekowi wszystkie ciuchy, łącznie z bielizną?

- Handlarz używanych ubrań?

Slider zignorował dowcipny komentarz.

- Wszystko zostało starannie zaplanowane. Usunięto najmniejsze ślady, które mogłyby nam pomóc zidentyfikować ofiarę. Całe pomieszczenie dokładnie wysprzątało. Ktoś wytarł nawet klamki. Jedyne odciski palców, jakie udało się znaleźć w całym pomieszczeniu, należały do jakiegoś dzieciaka. Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby zatrzeć wszelkie ślady.

Atherton chrząknął.

- Nie ma śladów walki, a sąsiedzi nic nie słyszeli. Może to był wypadek? Może weszła na górę ze swoim chłopakiem, licząc na małe co nieco. Zażyła narkotyki dla wzmocnienia wrażeń, nagle coś poszło nie tak i trach - walnęła w kalendarz! Koleś nagle ocknął się z trupem, z którego trudno by mu się było wytłumaczyć. Rozebrał ją więc do naga, usunął z mieszkania wszystkie ślady swojej obecności, zabrał ubrania i torebkę, po czym przyczaił się do ucichnięcia sprawy.

- I skaleczył ją w stopę?

- Mogła to zrobić sama, w każdej chwili. Na przykład wejść na potłuczone szkło przy drzwiach wejściowych.

- I tak się akurat złożyło, że rana była w kształcie litery T? Poza tym nacięcia były zrobione *post mortem*.

- A no tak, zapomniałem. Cóż, w takim razie może zabito ją gdzie indziej i przyniesiono tutaj w czarnym plastikowym worku.

- No tak - przyznał Slider tylko dlatego, że był myślami gdzieś daleko.

- Dzięki. - Atherton wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Jest dość drobna. Solidnie zbudowana mężczyzna mógł ją tutaj przynieść bez wielkiego wysiłku. Wszyscy mieszkańcy



bloku siedzieli w tym czasie przed telewizorami. Po prostu wybrał właściwy moment i niepostrzeżenie dostał się na górę. Tam porzucił dziewczynę i wyszedł.

- Musiał czymś przyjechać na miejsce, prawda?

- A kto dzisiaj zwraca uwagę na samochody? - Atherton wzruszył ramionami. - W takim miejscu? To idealny teren dla zabójców. Na zwykłej ulicy ludzie znają samochody sąsiadów, wyglądają przez okna i wiedzą przynajmniej z grubsza, jak wy-

glądają ludzie z domu obok. Na terenie blokowiska ze wspólnym dziedzińcem pojawiają się różni ludzie. To jakby miejsce publiczne. Poza tym pamiętaj, że okna wszystkich salonów wychodzą na drugą stronę. Łatwo nie zauważyć obcego.

Slider potrzęsnał głową.

- Tak, wiem, tylko dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu? Nie, nie. Ta sprawa zdecydowanie śmierdzi. To była pułapka. Morderca zwabił ją na miejsce, zabił, a potem usunął wszelkie ślady, żeby nikt nie mógł jej zidentyfikować.

- Dlaczego jednak pociął stopę?

- To właśnie rzecz, która najbardziej mi się w tym nie podoba. - Slider się skrzywił.

- „A niczego się tak nie boję, jak tego, że mógłbym rozharatać sobie palec u nogi”\* - zacytował zamyślony Atherton.

- Co takiego?

- To ze Steinbecka. *Grona gniewu*.

Do gabinetu zajrzał oficer dyżurny. Zauważył Slidera i rzucił:

- Właśnie dzwonili z archiwum, sir. Próbowałem się z panem skontaktować. Nie wiedziałem, że pan tu jest. Odciski palców nie należą do nikogo notowanego.

\* Cytat z *Gron gniewu J. Steinbecka, przeł. Alfred Liebfeld.*

- Tak przypuszczałem - odparł Slider, jeszcze bardziej się zasepiając.

Rysy twarzy policjanta złagodniały. Wszyscy lubili komisarza.

- Pójdę zrobić herbaty, sir. Napije się pan?

Po południu w gabinecie Slidera pojawił się Nicholls z dużą brązową kopertą. Komisarz przywitał go zdziwionym spojrzeniem.

- Albo stanął mi zegarek, albo jesteś dość wcześnie.

- Wyreżam biednego Fergususa. Boli go ząb - wyjaśnił Nicholls. Przyjaźnił się z O'Flahertym od czasów szkoły policyjnej. Nazywał go „Nadętym Fergususem”, otrzymując w zamian przydomek „Wariata Nichollsa”. Czasami zaczynali swoją ograną gadkę o wspólnej walce w okopach. Nicholls był niezwykle przystojnym Szkotem wyjątkowo uzdolnionym muzycznie. Rzucił kiedyś ludzi na kolana na charytatywnym koncercie policyjnym, śpiewając arię Królowej Nocy z *Czarodziejskiego fletu* czystym sopranem, uderzając w wysokie F z lekkością i precyzją, która musiała zaimponować. Jak twierdził, nie była to tyle szkoła Bel Canto, ile raczej Can Belto.

- Męczy się straszliwie, nieborak - ciągnął Nicholls, z imponująco wyraźnym „r”. - Przez to wszystko zapomniał ci to przekazać. Znalazłem je na jego biurku.

Slider otworzył kopertę, którą wręczył mu Szkot.

-Właśnie się zastanawiałem, gdzie się podziały - rzekł, wyciągając plik fotografii i rozkładając je na biurku. Nicholls nachylił się nad nimi i gwizdnął cicho.

- Czy to ta ofiara? Niezła ślicznotka, nie sądzisz? Lepiej nie pokazuj tych fotek żonie, inaczej przez następne

dziesięć lat możesz zapomnieć o nadgodzinach. - Popchnął jedno ze zdjęć palcem wskazującym. - Biedna dziewczyna.

- Nie udało się jej jeszcze zidentyfikować?

- Nie mamy punktu zaczepienia. Żadnego pierścionka czy śladu po usunięciu wyrostka, tylko ta skaza na szyi, a nie wiem, czy to akurat gdziekolwiek nas zaprowadzi.

Nicholls chwycił fotografię, na której był jedno ze zbliżeń szyi kobiety, i uśmiechnął się szeroko.

- Och, pani Stein... czy mogę zwracać się do pani Phyllis?

- Wiesz coś?

Nicholls postukał w fotografię palcem.

- Rozumiem ciebie i Freddiego Camerona, ale jestem nieco zaskoczony, że Atherton tego nie zauważył.

- Może nie widział tego na miejscu, a do tej pory czekaliśmy na fotografię - rzucił niecierpliwie Slider.

- Powiedz mi, Bill, nie zauważyłeś nic dziwnego w jej palcach?

- Niczego szczególnego, poza tym, że miała bardzo krótko przycięte paznokcie. Pewnie je obgryzała.

-Aha... nic z tych rzeczy, człowieku. Była skrzypaczką. Skrzy-pacz-ką. To zgrubienie na szyi powstaje od przytrzymywania skrzypiec.

-Jesteś pewien?

- Cóż, nie mogę przysiąc, że to na pewno skrzypce - rzekł poważnie Nicholls. - Paznokcie muszą być przycięte bardzo krótko, żeby dobrze dociskały struny.

- Były tak samo krótkie na palcach obu dłoni - zauważył nieprzekonany Slider.

- Pewnie chciała, żeby wyglądały jednakowo - odparł Nicholls. - To powinno dać ci jakąś wskazówkę, zawęzić nieco

obszar poszukiwań. Świat muzyków jest dość zamknięty. Wszyscy się tam znajdują.

- W takim razie powinienem zacząć od związku muzyków - zaryzykował Slider. Jak większość ludzi nie miał pojęcia, jak wygląda tamten świat. Nigdy nie był na koncercie orkiestry symfonicznej, chociaż miał w domu kilka płyt z muzyką klasyczną i potrafił rozróżnić Beethovena od Bacha - ledwie, ledwie.

- Nie sądzę, żeby ci pomogli - odparł Nicholls. - Nie, jeżeli nie znasz nazwiska. Nie mają żadnych fotografii w aktach. Na twoim miejscu popytałbym w orkiestrach.

- Nie wiemy, czy ofiara była członkiem orkiestry.

- Nie, ale jeżeli była skrzypaczką, to bardzo prawdopodobne, że grała muzykę klasyczną, a nie pop. Jeśli z kolei nie należała do żadnej orkiestry, to i tak na pewno ktoś ją znał. Jak już mówiłem, to mały, zamknięty światek.

- Cóż, w każdym razie zawsze to coś - powiedział Slider, podnosząc się energicznie z krzesła. Zgarnął fotografie na stertę. - Dzięki, Nicholls.

- Nie ma problemu. - Nicholls uśmiechnął się. - Wyślij na poszukiwania Athertona. Ja bym tak zrobił. Słyszałem, że w zeszłym roku podczas koncertu promenadowego zaprzyjaźnił się z jakąś flecistką, dlatego zdziwiłem się, że nie skojarzył od razu, co to za ślad.

- Gdyby miała go na pępku, zauważyłby je od razu - podsumował Slider.

Każdy, kto zwyczajowo wraca z pracy około wpół do szóstej, wiedziałby, że o tej porze próba dotarcia do domu

jest solidnym wyzwaniem. Slider jednak nie należał do tej grupy ludzi. Na wysokości Western Avenue droga A40 była kompletnie zatkana roverami i bmw nadjeżdżającymi od strony Gerrard's Crawse. Slider został uwięziony w swoim samochodzie na ponad godzinę, sam na sam z didżejem Chase'em, Mikiem lub Dave'em (zawsze wyszczykiwali swoje imiona), który gadał coś bez przerwy o ogromnym korku na A40 spowodowanym robotami drogowymi w Perivale. Długotrwałe stanie na drodze, która przebiegała obok White City, nie pomogło Sliderowi wytrwać w postanowieniu, że chwilowo odłoży na bok sprawy zawodowe.

Dzisiaj po południu Freddie Cameron robi autopsję. Slider towarzyszył mu przy paru głównie z ciekawości. Nie miał ochoty pojawiać się na kolejnej. Owo drobiazgowo i wykalkulowane naruszanie ludzkiego ciała wydawało mu się czymś odrażającym. Żadne inne stworzenia nie praktykowały takich rzeczy na martwych osobnikach swojego gatunku. Zdenerwował się na samą myśl o tym. Z jakiegoś powodu martwa dziewczyna nie chciała przyjąć w jego umyśle statusu zwykłych zwłok. Wizerunek jej białego ciała wciąż powracał, jak obraz kogoś znajomego. Utkwiła mu w głowie, niczym horrory, które podglądał w dzieciństwie przez szparę w drzwiach. Martwa nieznajoma stała się Człowiekiem Bez Twarzy, który pojawiał się za drzwiami sypialni, kiedy mama gasiła światło. Wiedział, że nie może na niego spojrzeć, inaczej dostanie się w jego łapy, ale mglisty kształt nieodparcie przyciągał jego wzrok.

Spróbował skoncentrować się na audycji radiowej. Właśnie zadzwonił jakiś słuchacz, sądząc po hałasach w tle z bardzo odległego miejsca, gdzie akurat w tej chwili doszło do gradobicia lub nawet trzęsienia ziemi.

- Cześć, Dave - usłyszał zniekształcony głos. - Mówi Erie z Hendon. Dzwonię do radia pierwszy raz. Chciałem tylko powiedzieć, że słucham waszego programu codziennie, naprawdę jest super.

Slider przypomniał sobie, jak uczono go, że fala dźwiękowa nigdy nie zanika, lecz wędruje w nieskończoność w eterze. Ciekawe, co by z tej gadaniny zrozumieli na Alpha Centauri?

Zamierzał pojawić się w domu wcześniej i zarobić kilka punktów u żony, zwłaszcza po ostatnich awanturach. Nagle zdał sobie sprawę, jak ponury jest powód, dla którego wyjechał z pracy o tej porze. Z zazdrością pomyślał

O Athertonie, zmierzającym właśnie do swojego uroczego małego domku, gdzie czekała na niego smaczna kolacyjka i stymulujący wieczór z kolejną młodą kobietą, którą zamierzał uwieść. Nie żeby Slider potrzebował bodźca w postaci młodej kobiety - ostatnio był zbyt zmęczony, by nawet myśleć o romansie inaczej niż z niechęcią. Mimo to spokój i wygoda zdecydowanie by mu się przydały.

Dom, którego tak nienawidził, był w zasadzie terenem Irene, urządzonego i udekorowanego zgodnie z jej potrzebami

I wymaganiami. On nie miał nic do gadania. Czy nie było tak u wszystkich żonatych mężczyzn? Prawdopodobnie. Całkiem możliwe. Mimo wszystko komplet wypoczynkowy w salonie wyraźnie został zaprojektowany do podziwiania, a nie do siedzenia. Wszystkie meble w ich domu były takie same: odrzucały ludzkie zabiegi niczym oziebła kobieta. Slider miał wrażenie, że mieszka w jednym z pokazowych domów na wystawie Czterech Kątów Twoich Marzeń.

Na domiar złego Irene traktowała jedzenie jako formę kary. Nie, to nie było uczciwe postawienie sprawy.

Przygotowywane przez nią prawdopodobnie stanowiły idealnie zdrowy i zrównoważony posiłek, ale nigdy nie miały smaku. Było nijakie, smutne, pełne słonych łez. Poza tym świadomość, że Irene nie cierpiała gotować, wywoływała w nim poczucie winy, nawet gdy odczuwał zadowolenie po posiłku.

Na początku małżeństwa Slider dużo gotował w ich małej kawalerce w Holland Park. Lubił eksperymentować i często razem śmieli się z wyników jego doświadczeń kulinarnych. Wspominał te czasy z nostalgią. Irene, do której wracał dziś, nie mogła być tą samą Irene, która siedziała po turecku na podłodze i jadła łyżką *chilli eon carne* prosto z garnka. Teraz Irene nie lubiła, kiedy gotował - uważała, że to niemieckie. W ogóle nie lubiła, kiedy pojawiał się w kuchni. Nawet gdy miał ochotę zrobić sobie filiżankę herbaty, chodziła za nim ze ściereczką i zaciśniętymi ustami, wycierając niewidoczne zacieki.

Kiedy wreszcie dotarł do domu, okazało się, że jego wysiłki poszły na marne, ponieważ nie zastał Irene. Wyszła na partyjkę brydża z Harperami i Erniem Newmanem. Gdyby wyteżył umysł, przypomnieliby sobie - przecież wspominała o tym w zeszłym tygodniu. Slider powiedział wtedy, że dobrze, iż wybierze się sama, na co Irene z groźbą w głosie spytała dlaczego. Slider skomentował, że Newman jest nieznośnym, protekcyjnym, nadętym nudziarzem i głupim sztywniakiem. Urażona Irene zacisnęła usta i odparła, że powinien się zacząć przyzwyczajanie wyrażać, bo nie rozmawia w tej chwili z jednym ze swoich prymitywnych koleżków z policji. Jeżeli przebywałby krócej w ich towarzystwie, dłużej zaś z przyzwoitymi ludźmi, potrafiłby od czasu do czasu przeprowadzić kulturalną rozmowę.

Potem nastąpiła kłótnia, która zakończyła się narzekaniem Irene, że nigdy nie wychodzą nigdzie razem - co było właściwie prawdą. Nie robili tego nie tylko ze względu na pracę Slidera, ale też dlatego, że przestali mieć wspólne zainteresowania. Bill lubił chodzić do restauracji, co Irene uważała za wyrzucanie pieniędzy w błoto. Ona z kolei uwielbiała grać w brydża.

Slider był przekonany, że Irene wcale nie lubiła brydża i nauczyła się grać tylko po to, aby dostać się do towarzystwa, do którego jej zdaniem oboje powinni należeć. Komendant policji i jego żona grali w brydża. Oczywiście Slider nie powiedział jej tego, kiedy marudziła, żeby się nauczyła. Odparł, że nie lubi kart, na co ona stwierdziła, że Slider niczego nie lubi. Bill miał niestety problem z udowodnieniem jej, iż się myli. Ostatnimi czasy zajmowała go wyłącznie praca i gapienie się w telewizję przez dziesięć minut przed snem. Zmieniał się w starego nudziarza.

Oczywiście nie było tak zawsze. Kiedyś miał wiele zainteresowań: dobrą kuchnię, wino, markowe samochody, ogrodnictwo, spacer po wiejskich okolicach, zwiedzanie starych budowli (zawsze pasjonował się architekturą i nawet całkiem nieźle wychodziło mu szkicowanie). Po prostu przestał mieć na to miejsce. Nie czas, ale miejsce, jakby jego żona, dzieci i pożyczka w banku z roku na rok puchły - mdłe, nijakie, przytłaczające i wypchnęły z niego wszystkie inne potrzeby.

Wygląda na to, że nie zaliczy dzisiaj żadnych dodatkowych punktów. Nie będzie również spokoju. Salon został zaanektowany przez niańkę, która oglądała jakiś teleturniej. Z tego, co zrozumiał po dziesięciu sekundach, zawodnicy musieli zgadnąć, które chrześcijańskie imiona wyświetlone



na tablicy zostały im przypisane. Nagrodą była kuchenka mikrofalowa oraz komplet z rżniętego szkła składający się z kieliszków i karafki. Aplauz towarzyszący każdej trafnej odpowiedzi był tak sztywny i bezpłciowy, jak owacja dla zdobywcy Nagrody Nobla.

Piętnastoletnia opiekunka do dzieci miała na imię Chantal - z powodu, którego Slider nigdy nie odkrył. Uważał, że w sytuacjach kryzysowych była tylko nieco mniej kompetentna niż złota rybka i to nie tylko dlatego, że robiła wszystko, co w jej mocy (nie uciekając się może jedynie do samookaleczenia), żeby możliwie jak najbardziej się oszpecić. Ubrania wisiały na niej smutno w nierównych warstwach kłócących się ze sobą kolorów, jej buty wyglądały jak obuwie ortopedyczne, a włosy pofarbowała na czarno, tyle że widać było odrosty w zdecydowanym kolorze blond. Stanowiła oszałamiające odwrócenie do góry nogami wszelkiej normalności. Slider miał wrażenie, jakby patrzył na negatyw.

Na dodatek malowała oczy na czerwono, paznokcie na czarno, nieustannie coś marniała w buzi niczym przeżuwacz i nosiła dwa takie same kolczyki w jednym uchu, co akurat Slider uznał za przejaw mody, nie zaś bezmyślność. W gruncie rzeczy poza odstrasającym wyglądem Chantal była zupełnie nieszkodliwą nastolatką, a jej rodzice nieźle zarabiającymi bardzo przyzwoitymi, miłymi ludźmi.

Spojrzała na niego teraz z niepokojąco nieodgadniętym wyrazem twarzy owczarka staroangielskiego.

- O, dzień dobry, panie Slider. Nie spodziewałam się pana. - Zaczerwieniła się od szyi po czubek głowy i nerwowo przeczesła palcami czarne jak węgiel włosy. Była zakochana po uszy w Sliderze, chociaż on oczywiście tego

nie zauważał. Zastąpił w jej sercu Dennisa Watermana, gdy odkryła, iż ten ma żonę, Rulę Lenską. - Mam wyłączyć telewizor?

- Nie, w porządku, nie będę ci przeszkadzał. Gdzie dzieciaki?

- Matthew poszedł do Simona, a Kate czyta w swoim pokoju. - Spoglądali na siebie przez chwilę. - Może przygotować panu drinka? - spytała nagle Chantal. Zupełnie jak scena z *Dynastii*. Slider rozejrzał się nerwowo w poszukiwaniu kamer telewizyjnych.

- O... hmm... nie, dziękuję. Oglądaj dalej, nie przejmuj się mną. Mam robotę.

Wycofał się na korytarz i zamknął drzwi.

Przygotować drinka, jeszcze czego! Rozejrzał się, zastanawiając się, co ma teraz zrobić. Znikąd pomocy, pomyślał. Nie miał nic do roboty, a był tak nieprzyzwyczajony do wolnego czasu, że teraz czuł się nim niemal spętany. Zdecydował, że pójdzie na górę i porozmawia z Kate. Kiedy wychodził, jeszcze spała, a poza tym rzadko ją widywał, bo zazwyczaj kładła się do łóżka przed jego powrotem. Drzwi do jej pokoju były zamknięte i Sliderowi wydawało się, że dobiegają go zza nich stłumione dźwięki audycji radiowej, tej samej, której słuchał w samochodzie.

-Witaj, Mike, mówi Sharon z Tooting. Chciałam tylko powiezieć, że sucham waszego programu codziennie, naprawdę jest suuuper.

A może po prostu wszystkie rozgłośnie nadawały tylko jeden program, bez przerwy odtwarzany z taśmy przez komputer stojący w podziemiach gdzieś za Ludgate Circus.

Zatrzymał się na podeście schodów i nagle przed oczami stanęła mu martwa dziewczyna. Zaatakowała jego

świadomość zniecka, wypływając z uśpionej części umysłu: niemal dziecięca fryzura, łuk policzków, niewinność jej nagości. Przyłożył palce do skroni, przycisnął i ze świstem wciągnął powietrze w płuca. Czuł, że zbliża się niesprecyzowany kryzys, że traci kontrolę nad własnym życiem.

Kate chyba go usłyszała.

- To ty, tato? - spytała głośno zza drzwi. Slider wypuścił powietrze i zadrżał. Odetchnął już normalniej i sięgnął do klamki.

- Witaj, kochanie - rzucił radośnie, wchodząc do sypialni córki.

RS

## Rozdział 3

### ŚRODEK USYPIAJĄCY

Kostnica mieściła się w starym budynku. Była zimna, z wyso-  
kim sufitem i marmurowymi podłogami, które odbijały kroki  
głuchym echem. W rogu sali zamontowano zlew z kranem,  
z którego ciągle kapła woda. W pomieszczeniu pachniało  
ostrym środkiem dezynfekcyjnym i formaliną, choć chemi-  
kalia nie zdołały do końca zamaskować innego zapachu, cie-  
plejszego, słodkawego i w pewnym sensie nieczystego.

Cameron, przybyły niedawno z oddziału patologii jed-  
nego z nowoczesnych londyńskich szpitali, porównał ten  
stary chłodny grobowiec z oświetlonym jarzeniówkami,  
klimatyzowanym miejscem o plastikowych podłogach i ni-  
skim stropie, które właśnie opuścił. Czuł dziwną sympatię  
do starych kostnic, których liczba zmniejszała się z roku na  
rok. Nie tylko szkolił się w jednym z takich miejsc, ale też  
staroświeckie wnętrza przypominały mu jego szkołę podsta-  
wową w Edynburgu.

Było zimno, więc zdecydował się zostać w kamizelce.

Okrył eleganckie ubranie fartuchem, nałożył rękawiczki  
i pochylił się nad bladymi zwłokami leżącymi na metalowym

stole z szeregiem ułożonych w jodełkę rynienek. Przy każdym oddechu z jego ust wydobywała się ledwie widoczna mgiełka. Gwiżdżąc, zrobił pierwsze nacięcie, od czubka brody do szczytu kości łonowej.

- No dobrze, zaczynamy - rzucił, sięgając stopą pod stół i naciskając pedał, który uruchamiał dyktafon. Z przyzwyczajenia wyciągnął rękę i postukał palcem w mikrofon, żeby sprawdzić, czy działa. Usłyszał głucho bębnienie. Asystent obserwował go flegmatycznie. Oczywiście sprawdził wcześniej całą aparaturę i Cameron dobrze o tym wiedział, ale nie miał zaufania do maszyn. Uczył się w czasach, kiedy sporządzano odręczne notatki, ale nawet wtedy nie dowierzał piórom wiecznym.

Niczym rozochocony ogrodnik przycinający róże Cameron odciął mostek od żeber i obojczyków, a potem wprawnym, wypracowanym ruchem otworzył klatkę piersiową niczym drzwi szafki. W środku, w idealnym, wręcz podręcznikowym porządku, znajdowały się narządy wewnętrzne. Zupełnie jakby widział jedną z rycin, z których uczył się anatomii.

Slider nie przyjechał. Cameron zadzwonił do niego wcześniej z informacją, że przeprowadzi autopsję dopiero po wpół do siódmej. Myślał, że komisarz zechce mu towarzyszyć, ale ten się wykręcił. Cameronowi wydawało się, że jego stary druh miał dziwnie zmieniony głos. Miał nadzieję, że Bill nie stoi na skraju załamania nerwowego. Wielu dobrych ludzi skończyło w ten sposób. Cameron widział to nieraz, najpierw w wojsku, a potem w policji. Zawsze trzeba było uważać na tych najbardziej spokojnych, sumiennych i dobrodusznym. Kiedy człowiek miał kłopoty w pracy i w domu, wtedy cóż, zaczynało się robić nieciekawie. Jeżeli

zaś chodzi o żonę biednego starego Billa, to nie była ona Przyjacielem Roku.

Przez jego umysł przemknęło określenie „andropauza”. Odpędził je, zirytowany. Nie lubił żargonu, zwłaszcza nieprecyzyjnego. Kiedy czterdziestoparoletni mężczyzna zaczynał oglądać się za młodymi dziewczynami, to dlatego że albo w domu nie układa mu się najlepiej, albo próbuje coś sobie udowodnić. Nie miało to nic wspólnego z hormonami. Bill nie oglądał się za spódniczkami. Nie był tego rodzaju człowiekiem. Jakikolwiek był powód, wpędzał Billa w stan dziwnej nerwowości.

- Chciałbym przyjechać, Freddie, ale mam masę raportów do napisania. Za długo odkładałem tę robotę - powiedział mu przez telefon. - Nic się teraz nie dzieje i nie śmiem odwlekać sprawy dłużej. - Była to oczywista wymówka. Cameron wiedział, ile roboty miał wydział z morderstwami. Trzeba było zorganizować centrum operacyjne, przejrzeć tysiące zeznań itp. Ostatnią rzeczą, o której Slider by pomyślał, było pisanie raportów.

Jakby na potwierdzenie jego domysłów, Bill roześmiał się nerwowo i dodał:

- Wiesz, jak to jest z robotą papierkową.

Kiedy przyjaciel zaczyna traktować cię jak idiotę, wiadomo, że coś go trapi.

Pogwizdując pod nosem i wymachując zamasyście wielkim nożem niczym lokalny wesoły rzeźnik, Cameron wyciągnął po kolei wszystkie narządy wewnętrzne, zważył, pociął, obejrzał i pobrał skrawki do analizy. Te ostatnie jego asystent powkładał do sterylnych słoików, które podpisał pod czujną kontrolą Camerona. Szef nie cierpiał nieoznakowanych próbek.

Kiedy wyjął wszystkie narządy, rozciął skórę czaszki od ucha do ucha, oddzielił tkanki od kości i ściągnął w dół twarz kobiety, niczym pończochę, pozostałą zaś część skóry odwinął na szyję. Potem, za pomocą elektrycznej piły chirurgicznej, przeciął czaszkę i otworzył jej szczyt, tak lekko i bez wysiłku, jakby odcinał czubek jajka na miękko, które zjadł dzisiaj rano na śniadanie. Po kilku chwilach piłowania i przycinania mógł wsunąć obie dłonie pod mózg i wyciągnąć go z wnętrza czaszki w nienaruszonym stanie. Położył go na płycie i pociął niczym niedopieczony bochenek chleba.

-Wszystko w normie - oznajmił. Podczas pracy mówił w kierunku mikrofonu lub pogwizdywał. Czasem zapomniał nacisnąć pedał pod stołem i wtedy jego gwizdanie również się nagrywało. Było to wyjątkowo męczące dla maszynistki, która przenosiła potem jego raporty na papier. Na taśmie bowiem jego świstanie utrzymywało się jako przeraźliwie wysoki pisk, od którego bolały uszy. Rozmawiała z nim na ten temat wielokrotnie i za każdym razem Cameron przeproszał z całego serca. Niczego to jednak nie zmieniło. Cameron zawsze gwizdał. Zaczął jeszcze jako student, trzydzieści lat temu, kiedy usiłował sprawić wrażenie niefrasobliwego, bardziej przed sobą niż przed innymi, i przestać myśleć o zwłokach jako o istotach ludzkich. Dzisiaj jego nawyk był tak głęboko zakorzeniony, że Freddie nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że gwizdże.

- No dobrze, to chyba wszystko - powiedział w końcu, wyłączając magnetofon i kiwając głową asystentowi. - Pójdę już. Mam jeszcze dwie autopsje na Charing Cross, a obiecałem Marcie, że wrócę wcześniej do domu. Zaprosiła jakichś okropnych ludzi na drinka. - Spojrzał na zegarek.

- Dzięki Bogu, chyba jednak nie uda mi się wrócić przed końcem imprezy. Cóż, przynajmniej ominie mnie stanie w korkach.

- W takim razie dobranoc panu - odparł asystent. Po wyjściu Camerona miał jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Musiał wypchać i zszyć ciało, wypełnić czaszkę, naciągnąć skórę z powrotem na kości i zszyć, a wnętrzności wrzucić do spalarki. Po wszystkim przełożył ciało na wózek i ponieważ był swego rodzaju perfekcjonistą, obmył je wilgotną szmatką. Włoki nie krwawią, ale puszczają soki.

Delikatnie otarł różowawy pył kostny z twarzy. Biedny dzieciak, pomyślał. To takie smutne, kiedy człowiek umiera tak młodo. W dodatku tak ładny. Z danych na przywieszce wiedział, że kobieta nie została zidentyfikowana, co bardzo go zdziwiło. Nie wyglądała na kogoś, za kim nikt by nie tęsknił. Tak czy owak prędzej czy później ktoś się po nią zgłosi, więc powinna wyglądać przyzwoicie. Delikatnie wygładził jej włosy, przykrywając szwy, a potem odwiózł ją do przypisanej jej szuflady w kostnicy.

Jakoś tak to się składa, pomyślał, tak jak setki razy wcześniej, że kiedy człowiek się rodzi i kiedy umiera, obmywa go ktoś obcy. Życie jest zabawne.

Pogoda była bardzo dziwna jak na styczeń - ciepło i słonecznie, tak jak powinno być (a nigdy nie bywało) w kwietniu. Skrzynki okienne w domach wzdłuż całej Kingsway żółciły się od żonkili. Przechodnie w wiosennych ciuchach wyglądali na nieco zmieszanych pośród przekonanych o swojej racji, choć przegrzanych nieznajomych w zimowych płaszczach i wysokich butach. Ludzie stojący w kolejkach do autobusu nagle zrobili się rozmowniejsi.



Tylko sprzedawca gazet sprzed wejścia do stacji metra Holborn nie zmienił się ani trochę. Był zresztą chyba niereformowalny, ze swoimi warstwami swetrów, brudną bejsbolówką i płaszczem przewiązanym w pasie sznurkiem pakowym. Od dotykania świeżego druku jego palce były czarne i lśniące niczym antracyt. Podobnie wyglądał czubek nosa, który co chwi-

ła wycierał ręką. Kędy Slider zapytał go, gdzie znajduje się biuro orkiestry symfonicznej, jęknął przesadnie zagniewany.

- Dlaczego nie kupił pan sobie przewodnika po Londynie? - spytał niezyczliwie. - Czy ja wyglądam na jakiegoś cholernego Leslie Welcha, pieprzoną chodzącą encyklopedię? Ja tu sprzedaję gazety, rozumie pan? Ga-ze-ty - powtórzył, jakby Slider nie pojmował. Detektyw grzecznie kupił południowe wydanie „Standardu” i zapytał ponownie o drogę. Tym razem otrzymał precyzyjne wskazówki.

- Następnym razem niech pan zapyta jakiegoś cholernego policjanta - zasugerował ironicznie gazeciarz. Czyżby było aż tak oczywiste, kim jestem, zaniepokoił się Slider.

Biura filharmonii znajdowały się na trzecim piętrze budynku, który zdecydowanie pamiętał lepsze czasy. Był to jeden z owych późnowiktoriańskich monstrów z czerwonej cegły, z białymi zwieńczeniami; skrzyżowanie statku z ogromnym tortem urodzinowym. Wewnątrz Slider ujrzał mozaiki marmurowych podłóg, wyłożone ciemnym drewnem ściany i skrzypiącą, ledwo działającą windę w samym środku holu, uwięzioną niczym posepna bestia w klatce spiralnych schodów.

Przy drzwiach wejściowych na ścianie wisiał szkic budynku. Slider odnalazł na nim pomieszczenia wynajmowane przez orkiestrę, pomyślał przez chwilę o windzie i ostatecznie zdecydował się wejść po schodach. Wzdrygnął się,

kiedy chwile później przywołana przez kogoś winda ruszyła na górę, mijając go ze zgrzytem i łomotem. Nie podobała mu się wizja owego urządzenia wiszącego mu nad głową, przyspieszył więc, odprowadzając wzrokiem plataninę kabli, które zwisały w szybie z podłogi windy niczym trzewia jakiegoś dziwaczego stworzenia.

Na trzecim piętrze odnalazł drzwi wykonane w połowie z matowego szkła. Zapukał i wszedł do pomieszczenia, w którym nie dostrzegł wprawdzie żywej duszy, lecz które było niewyobrażalnie zagracone biurkami, szafami na dokumenty, stojakami na płaszcze, więdnącymi roślinami doniczkowymi i rozsypującymi się niezgrabnymi stertami papierów. Na jednym z parapetów, pośród doniczek z kwiatami, stała metalowa tacka z czajniczką, puszką z herbatą, słoikiem mieszanki Nescafe Gold, otwartym kartonem mleka i lepiącą się od brudu łyżeczką. Puste, choć brudne kubki stały porzucone na biurkach, podpowiadając wprawdemu umysłowi, iż przerwa na kawę dobiegła końca. Stojący na jednym z blatów telefon dzwonił monotonie, wyraźnie lekceważony. Z oparcia krzesła odsuniętego niedbale od biurka zwisał granatowy sweter.

Wkrótce Slider usłyszał odgłos szybkich kroków na korytarzu. Drzwi otwały się energicznie i właścicielka blezera wpadła do środka, rozsiewając wokół siebie sugestywny zapach mydła Palmolive. Sięgnęła po słuchawkę dokładnie w momencie, gdy telefon przestał dzwonić.

- Czy to nie denerwujące, kiedy klienci tak robią? - Roześmiała się. - Przez cały dzień czekałam na telefon z Nowego Jorku i oczywiście, kiedy na chwilę wyszłam do toalety... Teraz zapewne sama będę musiała do nich zadzwonić. Mogę w czymś pomóc?

Była drobną, niską, ładną, starannie umalowaną czterdziestolatką z krótko przyciętymi lśniąco czarnymi włosami i dużym nosem. Na szyi nosiła piękny sznur pereł. Nawet bez spoglądania na nią Slider domyśliłby się, iż miała na sobie białą koszulę, prostą granatową spódnicę ze starannie zaprasowanymi plisami, granatowe rajstopy i czarne skórzane buty z wąskim złotym paskiem wokół obcasa. Miał wrażenie, że dobrze ją znał. Spotykał ją już setki razy w wynajmowanych mieszkaniach na zapleczu Harrodsa lub Albert Hall, na High Street w Kensington, w Chalfont, Datchet i Taplow. Jej mąż był publicystą, agentem lub kimś pełniącym funkcję administracyjną w placówce związanej ze sztukami pięknymi, a jej syn uczył się w Cambridge.

Uśmiechnął się i przedstawił, wyciągając w jej kierunku legitymację służbową. Zbyła ją machnięciem ręki jak ktoś, kto odmawia oferowanego papierosa.

-Jak mogę panu pomóc, inspektorze?

Slider był pod wrażeniem. W dzisiejszych czasach niewiele ludzi zwracało się do policjanta „inspektorze” lub „panie oficerze” bez ironii lub obraźliwego podtekstu. Wyciągnął z kieszeni zdjęcie.

- Miałem nadzieję, że pomoże mi pani zidentyfikować tę młodą kobietę. Mamy powody przypuszczać, że jest skrzypaczką.

Kobieta spojrzała na zdjęcie.

- Oczywiście, że ją znam - odparła natychmiast. - Mój Boże, to okropne! Ona nie żyje, prawda? Co za tragedia. Biedne dziecko.

To było szybkie, pomyślał.

-Jak się nazywa ta dziewczyna?

- Anne-Marie Austen. Drugie skrzypce. Nie była z nami zbyt długo. Co się stało, inspektorze? Wypadek drogowy?

- Nie wiemy jeszcze dokładnie, co było przyczyną zgonu, pani...

- Bernstein, jak ten kompozytor - odparła zamyślona, spoglądając ponownie na fotografię. - To okropne, kiedy pomyślę, że to zdjęcie zostało zrobione po jej... przepraszam, zachowuję się nieodpowiednio. Pan zapewne jest przyzwyczajony do tego typu reakcji? - Spojrzała na Slidera, jakby oczekując odpowiedzi na to retoryczne pytanie.

- Tak i nie - rzucił, pesząc ją trochę. Odebrał jej fotografię. - Jak już mówiłem, pani Bernstein, nie znamy jeszcze przyczyny zgonu. Czy wiadomo pani o jakichkolwiek przewlekłych chorobach, na które mogła cierpieć Anne-Marie? Serce? Cokolwiek, co mogło spowodować jej śmierć?

- O niczym takim nie wiadomo. Wyglądała na zdrową, chociaż nie widywałam jej zbyt często. Poza tym pracowała z nami bardzo krótko. Przyjechała z Birmingham pół roku temu.

- Zastanawiałem się - Slider przesunął w zadumie palcami wzdłuż krawędzi biurka - dlaczego nikt jej nie szuka? Jeżeli jeden z członków orkiestry nagle znika, nie zastanawiacie się, co się mogło stać?

- Cóż, zazwyczaj tak, ale mamy teraz przerwę w graniu. Po Bożym Narodzeniu zazwyczaj jest dużo wolnego czasu. W tej chwili orkiestra nie pracuje aż do przyszłego tygodnia.

- Rozumiem. I nie kontaktuje się pani w tym czasie z jej członkami?

- Nie, chyba że pojawi się zlecenie. Inaczej nie ma takiej potrzeby.

- Kiedy orkiestra koncertowała ostatni raz?

- W poniedziałek nagrywaliśmy w studio BBC, w centrum telewizyjnym na Wood Lane. Właściwie były to dwie sesje, pierwsza od drugiej trzydzieści do piątej trzydzieści i druga od szóstej trzydzieści do dziewiątej trzydzieści.

- Czy Anne-Marie uczestniczyła w nagraniach?

- Była na liście i z tego, co wiem, pojawiła się w studiu. Nie uczestniczę wprawdzie w nagraniach, ale nikt nie zgłosił jej nieobecności.

- Rozumiem.

Kolejny fragment łamigłówki, i to całkiem spory, wskoczył na miejsce. Teraz wiedział, skąd dziewczyna wzięła się w tamtej okolicy. Skończyła pracę w BBC o dziewiątej trzydzieści, a pół godziny później została zamordowana, mniej niż kilometr stamtąd. Prawdopodobnie spotkała swojego zabójcę zaraz po wyjściu z centrum. Ktoś mógł widzieć, jak z nim odchodzi albo wsiada do jego samochodu.

- Czy Anne-Marie miała w orkiestrze jakichś bliskich przyjaciół?

- Naprawdę nie jestem odpowiednią osobą do udzielania odpowiedzi na takie pytania. - Pani Bernstein z wdziękiem wzruszyła ramionami. - Pracuję głównie tutaj, w biurze, i bardzo rzadko widuję orkiestrę. Kierownik działu kadr, John Brown, powinien powiedzieć panu więcej na jej temat. Cały czas przebywa z muzykami. Poza tym Anne-Marie dzieliła pulpit z Joanną Marshall, więc może ona będzie mogła panu pomóc.

- Dzieliła pulpit?

- Muzycy smyczkowi siedzą parami, rozumie pan. Dziela podstawkę pod nuty i same zapisy. Mówimy o tym, że

dziela pulpit, to chyba w miarę logiczne określenie, czyż nie? - Slider zareagował posłusznie na jej uśmiech. - Partnerzy od pulpitu, zwłaszcza z tyłu orkiestry, często zostają bliskimi przyjaciółmi.

- Rozumiem. Czy mogłaby mnie pani w takim razie skontaktować z panną Marshall i panem Brownem? Czy może mi również pani podać adres panny Austen?

- Oczywiście, zaraz go panu zapiszę. - Podeszła do szafy z dokumentami i wyciągnęła gruby folder z wydrukami komputerowymi pełnymi nazwisk i adresów. Przerzuciła kilka stron, aż znalazła to, czego szukała, po czym przepisała informację na kartkę papieru firmowego. Miała schludny, ładny charakter pisma.

- Na górze ma pan numer telefonu do biura, gdyby chciał mnie pan zapytać o coś jeszcze. Podam panu również mój telefon domowy. Proszę się nie wahać, jeżeli uzna pan, że mogę jakoś pomóc.

- Dziękuję, to bardzo miłe z pani strony - odparł Slider, wkładając kartkę do kieszeni. - Tak przy okazji, czy wie pani, kto jest jej najbliższym krewnym?

- Niestety nie. Członkowie orkiestry są zatrudniani na zlecenie i sami muszą zajmować się załatwianiem tego typu spraw. - Jej ciemne oczy obserwowały go badawczo.

- Domyślam się, że została zamordowana, czy tak?

- Dlaczego pani tak uważa? - spytał Slider beznamiętnie.

- Cóż, gdyby to była zwykła sprawa, jakiś wypadek, gdyby spadła ze schodów albo potrącił ją samochód, coś w tym stylu, powiedziałby mi pan, prawda?

- Nie wiemy jeszcze, w jaki sposób zginęła - powtórzył Slider. Pani Bernstein uśmiechnęła się do niego nieszczercze.

- Przypuszczam, że powinnam zachować w tej sprawie dyskrecję. Naprawdę nie wiem, kto mógłby chcieć zabić to dziecko, chyba że... - Nagie jakby się skurczyła. - Ona nie... nikt jej nie...?

- Nie - odparł zdecydowanie Slider.

- Dzięki Bogu! - Chyba rzeczywiście jej ulżyło. - No dobrze. Naprawdę sędzę, że Joanna Marshall pomoże panu najbardziej. To bardzo miła, przyjazna dziewczyna. Jeżeli ktokolwiek wie cokolwiek o prywatnym życiu Anne-Marie, to właśnie ona.

Już na ulicy Slider spróbował wymówić nazwisko ofiary. Anne-Marie Austen. Anne-Marie. Tak, pasowało do niej. Teraz, kiedy już znał jej imię, czuł, jakby było w jego pamięci od zawsze.

Zadzwoił najpierw do Johna Browna, ale odezwała się automatyczna sekretarka, zachęcając go sucho do zostawienia wiadomości. Nie zrobił tego. Poczta głosowa Joanny Marshall podyktowała numer kierujący go do jej agentki. Slider nie zorientował się za pierwszym razem, więc musiał zadzwonić jeszcze raz i zapisać telefon do Hertfordshire. Czekał na odebranie w nieskończoność. W końcu jednak po drugiej stronie odezwała się straszliwie zadyszana kobieta. W tle słyszał monotonne szczekanie psa.

- Bardzo mi przykro, ale byłam w ogrodzie, a ta moja dziewczyna gdzieś nagle zniknęła. Zamknij pysk, Kaiser! Przepraszam, kto? Ach, tak, Joanna Marshall, tak, chwileczkę, zaraz, oczywiście. Dzisiaj? O której godzinie? Och, rozumiem, chce pan wiedzieć, gdzie teraz jest? Zamknij pysk, Kaiser! Niestety nie mogę panu powiedzieć, ponieważ nie pracuje po południu. Próbował pan dzwonić do domu? Ach, rozumiem. Chyba nie wpadła w kłopoty? Cóż, mogę

tylko panu powiedzieć, że dziś wieczorem gra w Barbakanie. Tak, tak właśnie. Siódma trzydzieści. Kaiser, leżeć, ty wstrętny kundlu! Słucham? Tak. Nie. Oczywiście. Nie ma za co. Do widzenia.

Slider wyszedł z budki telefonicznej i powędrował z powrotem na Kingsway. Słońce i wysoka temperatura skłoniły właściciela włoskiej knajpki do wystawienia stolików na zewnątrz. Para klientów, którzy najwyraźniej wybrali się na wczesny lunch, siedziała, mrużąc oczy w słońcu niczym koty i zajadała się pizzą, którą popijali piwem z butelek. Slider poczuł nagły szalony impuls. Czemu nie? Płatki, które zjadł na śniadanie, były teraz zaledwie nikłym wspomnieniem, a mężczyzna musi jeść, żeby pracować. Nie był we włoskiej restauracji od lat. Zwolnił, spoglądając tęsknie na stojące na zewnątrz stoliki, ale koniec końców z żalem wszedł do środka. Czułby się jak głupiec. Nie miał już w sobie tej młodocianej pewności siebie, urody i przede wszystkim drugiej osoby do towarzystwa.

Zanurzył się w mroczne wnętrze, wypełnione zapachem gorącego oleju i czosnku. Nagle poczuł niehumaniczny wręcz głód i radość. Zamówił spaghetti z pesto, *escalope alla rustica* i pół karafki czerwonego wina. Jedzenie, które wkrótce pojawiło się na stole, było wyśmienite. Proste, intensywne smaki mieszały się dziwnie na jego podniebieniu przyzwyczajonym do kanapek w porze lunchu i do grillowanych kotletów z gotowanymi warzywami na obiad. Niemal upił się tym nowym bukietem smakowym i naprawdę nie miało to nic wspólnego z winem. Anne-Marie, pomyślał. Anne-Marie. Bawił się w myślach jej imieniem. Czy była z pochodzenia Francuzką? Czy lubiła włoską kuchnię? Wyobraził ją sobie siedzącą naprzeciwko niego: jedliby chleb czosnkowy, pili mocne wino, rozmawiali, śmiali się. Wszystko byłoby takie nowe i proste.



Ona opowiedziałaby mu o muzyce, on zaś uraczyłby ją opowieściami z jego branży. Wszystko to byłoby dla niej nowe, interesujące. Zachwyciłaby się, śmiała, podziwiała. Wszystko wydawałoby się jej ciekawe i cudowne. Wszystko jest ciekawe i cudowne, kiedy się ma dwadzieścia pięć lat - oczywiście dopóki ktoś cię nie zamorduje.

- Udało ci się mnie złapać w ostatniej chwili - oznajmił Atherton. - Właśnie wychodziłem na lunch.

- Ja już jadłem. Dowiedziałem się, kim była ta dziewczyna.

- Domyśliłem się jednego i drugiego. Czuć od ciebie czosnkiem i wyglądasz na bardzo zadowolonego.

- Wiem również, dlaczego znalazła się w tej okolicy. Pracowała tego wieczora w centrum telewizyjnym.

- Lunch może poczekać - rzekł Atherton. - Opowiadaj.

Przysiadł na krawędzi biurka, wzniesając przy tym chmurę kurzu. Drobne pyłki wirowały w smudze światła słonecznego, przedzierającego się przez warstwę brudu zalegającego na oknach wydziału kryminalnego. Slider nie pamiętał, żeby ktokolwiek kiedykolwiek je czyścił. Wszyscy inni gdzieś zniknęli, telefony milczały i w pokoju panowała nietypowa południowa cisza.

Slider opowiedział Athertonowi o wszystkim, czego dowiedział się dziś rano.

- Możliwe, że ten, kto ją zabił, wiedział, że orkiestra nie ma żadnych zleceń przez kolejne dziesięć dni i dlatego nikt nie będzie jej szukał. To, że zabrali jej wszystkie rzeczy, miało dodatkowo opóźnić dochodzenie o całe tygodnie. Gdyby Nicholls nie zidentyfikował tego śladu na szyi...

- W przeciwieństwie do niego ja go nie widziałem.  
I w przeciwieństwie do ciebie.

- Dobra, dobra, synu. Chciałbyś wrócić do odzyskiwania skradzionych odtwarzaczy wideo?

Bardzo często tak się przekomarzali. Teraz jednak pojawiła się w głosie Slidera twardsza nuta, która zaskoczyła ich obu. Spoglądali na siebie przez chwilę, zażenowani. Atherton otworzył usta, aby powiedzieć coś pojednawczego, ale Slider go uprzedził:

- Lepiej idź już na lunch. Kto pilnuje interesu?

- Fletcher. Jest w kibelku.

Slider wzruszył ramionami i poszedł do swojego gabinetu, zły na siebie i jednocześnie nieco zaintrygowany. W tej robocie wszyscy potrzebowali pomocy. Dlaczego nagle zaczął się bronić i to tak agresywnie?

Zadzwoił Freddie Cameron.

- Bill, mam raport kryminalny od Lambetha. Właśnie wysłałem do ciebie kopię pełnego protokołu z autopsji, ale pomyślałem, że chciałbyś się od razu dowiedzieć, bo to twoje dochodzenie.

- Jasne, dzięki, Freddie. Co to było?

- Tak jak myślałem, przedawkowanie barbituranów.

- Sama je zażyła?

- Dość nieprawdopodobne. Znalazłem nakłucie na wierzchu prawej dłoni. Dziwne miejsce, jeżeli chcesz sobie coś wstrzyknąć. Żyły ślizgają się po ścięgnach, jeżeli odpowiednio nie napniesz skóry. W każdym razie znalazłem nakłucie, gdy tylko obejrzałem ją w dobrym świetle. Tylko jedno, więc nie ma żadnych wątpliwości. Miała też lekko posiniaczone lewe ramię i okolice prawego nadgarstka, podskórne wysięki, nic wielkiego. Moim zdaniem zajął się

nią prawdziwy ekspert, ktoś, kto wiedział, jak podporządkować sobie ofiarę przy minimalnym użyciu siły, by niczego nie uszkodzić. Profesjonalista.

- Lewe ramię i prawy nadgarstek?

- Tak. Wydaje mi się, że mogła siedzieć, a ktoś podszedł do niej z tyłu, otoczył mocno jednym ramieniem i przytrzymał mocno nadgarstek, żeby zaaplikować jej zastrzyk drugą ręką.

- Albo było ich dwóch. Pewnie usiłowała się oswobodzić. Brak innych śladów? Nie była związana?

- Nie musieli jej jednak trzymać zbyt długo. Straciła przytomność w ciągu kilku sekund i zmarła w ciągu kolejnych kilku minut.

- Co jej podali?

- Pentotal.

- Pentotal?

- Krótko działający środek usypiający. Stosuje się go do wywołania znieczulenia ogólnego, przed podaniem gazu.

- Tak wiem. Dość dziwaczny wybór.

- Pentotal bardzo szybko wpędza w głęboki sen narkotyczny. Oczywiście równie szybko ludzie się z niego wybudzają, tylko że ta biedna dziewczyna dostała końską dawkę. Hojni ci mordercy.

- Jesteś pewny, że to właśnie pentotal? Nie było innych leków?

- Oczywiście, że jestem pewny. Jak już mówiłem, narkoza pentotalowa szybko mija, ale przy przedawkowaniu dochodzi do paraliżu dróg oddechowych. Ofiara przestaje oddychać i umiera bez walki.

- Przypuszczam, że tylko lekarze mają dostęp do takich środków?

-Tak. I to nie wszyscy. Musiałby to być anestezjolog pracujący w szpitalu lub ktoś, kto ma dostęp do szafki z lekami używanymi na sali operacyjnej. Gdyby zwykły internista wypisał receptę na pentotal, żaden aptekarz by nie wydał tego leku. Rzeczywiście nie jest to środek stosowany powszechnie jako narzędzie zbrodni. Łatwo go wykryć i tak trudno zdobyć, że źródło powinno być łatwe do wyśledzenia. Na twoim miejscu...

- Myślę, że chcieli, byśmy to odkryli - przerwał mu gwałtownie Slider.

- Co takiego?

- Posłuchaj, nie zrobili nic, żeby ukryć ciało albo upozorować samobójstwo. Musieli wiedzieć, że zostanie znalezione dość szybko. Poza tym te nacięcia na stopie...

- Ach tak, nacięcia. Zrobione po śmierci.

-Tak.

- Bardzo ostrym narzędziem. Głębokie, ale czyste, niepostrzeżone. Pewna ręka i coś w rodzaju brzytwy, ale z krótszym ostrzem.

- Może skalpel? - spytał Slider cicho.

- Obawiam się, że tak. Wygląda to dokładnie jak cięcie skalpelem. - W słuchawce zapadła cisza, wypełniona jedynie pustym buczeniem na linii. - Nie podoba mi się to, Bill. Czy myślisz to, co ja?

- Wygląda mi to na egzekucję - rzekł powoli Slider.

- *Pour encourager les autres\** - rzucił Cameron z odrażającym szkockim akcentem. - Litera T. Zdrajca? Kapuś? Pomyśl tylko, pentotal, skalpel i wprawna ręka. Na

\* *Aby dodać ducha pozostałym.*

\*\* *Ang. traitor i talker.*

scenie pojawia się Chirurg. To właśnie bardzo mi się nie podoba.

- Mnie w ogóle nic się w tej sprawie nie podoba - odparł Slider. Egzekucja? W co się wpakowała ta młoda, piękna dziewczyna?

- Cóż, w każdym razie raport powinien dotrzeć do ciebie po południu. Kiedy zaczniecie dochodzenie?

- Jak najszybciej. Przynajmniej nie będą nam przeszkadzać zrozwaczeni rodzice, żądając wydania ciała.

- Przypuszczam, że nie udało się wam jej zidentyfikować?

- Owszem, udało, ale nie dotarliśmy jeszcze do najbliższego krewnego i nikt o nią nie pytał. Zupełnie nikt.

Jego słowa musiały w pełni oddać to, co teraz czuł, Cameron bowiem odparł łagodnie:

- Uwierz mi, że nic nie poczuła. Musiała umrzeć szybko i bezboleśnie. To była litościwa śmierć. Po prostu uśpili ją jak starego psa.

## Rozdział 4

### SZUKAJĄC MAŚLANYCH BUŁECZEK

Anne-Marie Austen mieszkała w zaniedbanej trzypiętrowej edwardiańskiej kamienicy przy Chiswick High Road. Przy drzwiach wejściowych znajdował się domofon z trzema przyciskami. Obok każdego z nich przyklejono kawałek papieru z nazwiskami: Gostyń, Barclay i Austen. Natarczywe dzwonienie do pierwszego mieszkania wreszcie spowodowało, że pojawiła się dawna właścicielka kamienicy, obecnie chroniona prawem mieszkanka z apartamentem na parterze i dostępem do ogrodu.

Pani Gostyń była bardzo stara i prawdopodobnie w młodości otyła, ponieważ jej biała, usiana rudymi piegami skóra była na nią stanowczo za duża i zwisała z niej smutno niczym pożyczone ubranie. Chwyła ramię Athertona z zadziwiającą siłą i zaczęła opowiadać o swej sławie i chwale oraz niechlubnym upadku. Kiedy okazał pierwsze objawy niepokoju, płynnym ruchem przeszła do opisywania niegodziwości Barclayów, sąsiadów z pierwszego piętra. Podobno zostawiali dziecko z nianią, żeby mogli pójść do pracy, odkurzali o różnych porach dnia

i nocy, co zakłócało odbiór programów telewizyjnych w mieszkaniu pani Gostyń, a ich pralka tak skakała, że trząsł się cały sufit. To prawdziwy cud, że dom się jeszcze jej nie zwałił na głowę.

Panna Austen? Tak, panna Austen mieszkała na samej górze. Grała na skrzypcach w orkiestrze. To miłe w pewnym sensie, ale z drugiej strony przychodziła i wychodziła o różnych porach dnia i nocy, a poza tym bez przerwy ćwiczyła gamy, aż człowiekowi wydawało się, że zaraz ogłuchnie. Żeby jeszcze grała jakieś skoczne melodie, coś, przy czym człowiek mógłby potać się. Może teraz nie widać, ale swego czasu, jeszcze za życia pana Gostyna, pani Gostyń była doskonałą tancerką.

Widząc filuterne spojrzenie staruszki, Atherton cofnął się z przerażeniem i spróbował wyswobodzić ramię, ale chociaż jej palce były nieco śliskie, dłoń nadal zaciskała się w żelaznym uścisku. Wymruczał coś pod nosem, na tyle niezachęcająco, na ile mu się udało.

- Tak, tak, byłam świetną tancerką. Max Jaffa, Victor Sylvester, wie pan. Kiedykolwiek słyszeliśmy ich muzykę w radiu, zwijaliśmy dywan i ruszaliśmy w tan. Oczywiście mieliśmy wtedy dla siebie cały dom. - Westchnęła ciężko.

- Wynajmowanie pokoiów lokatorom było nie do pomyslenia. Teraz jednak nie można znaleźć dobrej służby, kochaniutki, nawet gdyby człowieka było na to stać, a ja nie daję rady wspinać się po tych schodach.

- Czy panna Austen przyjmowała wielu gości? - spytał szybko Slider, zanim pani Gostyń mogła kontynuować swoją tyradę.

- Nie, niezbyt wielu. Dużo przebywała poza domem, oczywiście ze względu na pracę. Czasem nie było jej

przez kilka dni z rzędu, ale nawet gdy siedziała w domu, nie wydawała się osobą lubiącą rozrywki. Jej przyjaciółka, młoda dama, z którą panna Austen pracowała, przychodziła tutaj czasami...

- Mężczyźni? - spytał Atherton.

Pani Gostyń pociągnęła nosem.

- Raz czy drugi odwiedzili ją jacyś panowie. To nie mój interes, więc nie zadawałam żadnych pytań, ale jeżeli młoda kobieta mieszka sama w kawalerce, prędzej czy później ściąga na siebie kłopoty. Nie chcę się wyrażać źle o zmarłych, ale...

Atherton wyczuł u Slidera zaskoczenie. Rzeczywiście, przecież nie zidentyfikowano jeszcze oficjalnie panny Austen ani nie pokazano jej zdjęcia w gazecie.

- Skąd pani wie, że panna Austen nie żyje?

Staruszka nie wydawała się zaskoczona.

- Powiedział mi o tym policjant. Ten, który przyszedł tutaj wcześniej.

- Wcześniej?

- We wtorek popołudniu. A może to była środa? Inspektor Petrie, tak się przedstawił. Bardzo przyjemny mężczyzna. Zaproponowałam mu filiżankę herbaty, ale nie mógł zostać dłużej.

- Przyjechał tu wozem patrolowym?

- Och nie, zwykłym samochodem. Nie żadnym patrolowym.

- Pokazał pani legitymację służbową? - spytał Slider.

- Oczywiście, że tak - odparła z godnością. - Inaczej nie dałabym mu klucza.

Atherton jęknął. Staruszka spojrzała na niego z dezaprobatą.



- Czy powiedział, po co jest mu potrzebny ten klucz?  
- Żeby zabrać rzeczy panny Austen. Wyniósł je w torbie. Zaoferowałam mu filiżankę herbaty, ale powiedział, że nie ma czasu. Podziękował mi jednak grzecznie. Bardzo, bardzo uprzejmy mężczyzna.

- Niech to cholera! - mruknął Atherton. Slider zgasił go spojrzeniem.

- Obawiam się, że nie znam inspektora Petriego - powiedział spokojnie. - Czy wspominał może, gdzie pracuje? W którym komisariacie? A może przeczytała to pani na jego legitymacji?

- Nie, kochaniutki, nie widziałam wtedy zbyt dobrze, bo nie miałam na nosie okularów do czytania, ale inspektor uprzejmie odczytał dla mnie nazwisko. Inspektor Petrie z wydziału zabójstw. Tak było tam napisane. Miał bardzo miły głos, kulturalny, z ładnym akcentem, zupełnie jak Alvar Liddell. To niezwykle w dzisiejszych czasach spotkać człowieka o takim głosie. Chce mi pan powiedzieć, że coś z nim było nie tak?

Atherton podchwycił spojrzenie Slidera i ruszył do samochodu, w którym zamontowana była krótkofalówka.

- Chyba zaszło pewne nieporozumienie - wyjaśnił łagodnie Slider. - Nie sądzę, żebym znał inspektora Petriego. Czy mogłaby go mi pani opisać?

- Był wysoki - odparła po namyśle. - Bardzo ładnie się wyrażał. Gładko ogolony. Myślę, że miał na głowie kapelusz - dodała. - Tak, oczywiście, przecież uchylił go, witając się ze mną. Filcowy kapelusz. Pamiętam, pomyślałam wtedy, że dzisiaj nie spotyka się zbyt wielu mężczyzn noszących filcowe kapelusze. Zawsze uważałam, że dżentelmen bez kapelusza wygląda jak niedorobiony.

- Odwiedził panią wczoraj, tak? - Slider skierował rozmowę na odpowiednie tory. - O której godzinie?

- Przypuszczam, że około drugiej.

- Rozumiem, że dała mu pani klucz do mieszkania panny Austen? Czy poszła pani z nim na górę?

- O nie. Nie mieszam się w cudze sprawy. To samo mówiłam nieraz pani Barclay, kiedy chciała, żebym wpuściła dostawców do jej mieszkania. Ja trzymam zapasowe klucze wyłącznie na wypadek kryzysu i dla inżyniera odczytującego liczniki. Tak jej powiedziałam. Poza tym chodzenie po schodach to za wiele dla mojej nogi. Nie dam komuś ot tak klucza, kochaniutki, ale znam inżyniera już piętnaście lat, a jeśli nie można zaufać policji, to komu można?

- Faktycznie - zgodził się Slider. - Wdziąka pani, jak wychodził?

- Wysłałam na korytarz, kiedy usłyszałam, że schodzi z góry. Uwinął się bardzo szybko, w ciągu pięciu, najwyżej dziesięciu minut. Miał ze sobą czarną plastikową torbę. Powiedział, że włożył do niej rzeczy panny Austen. „Żeby przekazać je najbliższemu krewnemu”, tak powiedział. Zapytałam go wtedy, czy nie zostałby na filiżankę herbaty, bo przecież to niezbyt miłe robić coś takiego, nawet jeśli to obca osoba, ale odmówił, musiał pędzić. Powiedział, że znalazł wszystko, czego potrzebował, i uchylił kapelusza na pożegnanie. Taki miły mężczyzna.

- Czy od tamtego czasu ktokolwiek był w mieszkaniu panny Austen? Na przykład pani?

- Oczywiście, że nie - odparła zdecydowanie. - Poza tym inspektor Petrie ma klucz, więc nie mogłabym wejść, nawet gdybym chciała.

- Gównu, a nie Petrie - mruknął ledwo słyszalnie do jego ucha Atherton, który zdążył wrócić.

- Pojdę teraz na górę - rzekł Slider spokojnie. - Spróbuj wyciągnąć rysopis. Nie naciskaj jej, bo się zamknie w sobie. Może wie, jakim samochodem przyjechał.

- Zakładam, że chcesz również numer rejestracyjny - rzucił z ironią Atherton i z wyraźną niechęcią zajął się powierzonym mu zadaniem. Slider tymczasem wspiał się na górę, żeby wyważyć wcześniej otwarte drzwi. Dosłownie.

Pani Gostyń okazała się niezmiernie pomocna. Atherton dowiedział się od niej, iż fałszywy policjant był wysokim, niskim, grubym i szczupłym mężczyzną, brunetem i blondynem, rudym i łysym człowiekiem w kapeluszu, gładko ogolonym brodaczem z wąsami, w okularach i bez okularów, o miłym głosie. Co do tego ostatniego była bardzo pewna. Samochód, którym przyjechał, był samochodem, miał cztery koła i kolor, ale nie wiedziała jaki.

Atherton westchnął ciężko i przewrócił stronę w notatniku. W dniu morderstwa, jak twierdziła pani Gostyń, panna Austen odjechała swoim małym samochodem około dziewiątej trzydzieści rano i nie wróciła już do domu, chyba że pomiędzy drugą a czwartą po południu, kiedy pani Gostyń była u pedikiurzystki. Jej samochodowi nie było jednak na zwykłym miejscu, gdy pani Gostyń wróciła do domu, a poza tym nie słyszała, żeby panna Austen wróciła do domu w nocy.

Atherton zamknął notatnik.

- Bardzo pani dziękuję za pomoc. Jeżeli przypomni sobie pani coś jeszcze, cokolwiek, proszę nas zawiadomić, dobrze?

- Cokolwiek o czym? - spytała pani Gostyń z wyraźnym zdumieniem.

- Cokolwiek, co dotyczyłoby panny Austen, inspektora Petriego lub jakichkolwiek zdarzeń z tamtego dnia. Oto moja wizytówka, proszę spojrzeć, jest na niej numer telefonu, pod który może pani zadzwonić, dobrze?

Z ulgą uwolnił się od starszej pani i poszedł na górę do Slidera. Jego przełożony zdołał już otworzyć drzwi i wejść do środka.

- Komu potrzebne są klucze? - rzucił głośno Atherton.

- Czego użyłeś tym razem, karty kredytowej Barclaya czy Accessu?

Przyjrzał się zamkowi, staremu, typu yale. Drzwi skurczyły się ze starości i wypaczyły, tworząc szpary między ich brzegiem a framugą, tak że rygiel zamka ledwie sięgał umocowanej na framudze ramki. Potrząsnął głową. *Morceau de gateau\**.

Drzwi otwierały się bezpośrednio na duży pokój na poddaszu, który spełniał funkcję salonu i sypialni. Był wręcz nieprzyzwoicie wysprzątany, starannie posłano łóżko, na którym siedział Slider, słuchając nagrania na automatycznej sekretarce stojącej na stoliku nocnym. Spojrzał na wchodzącego Athertona.

- Trzy kliknięcia i obietnica kobiety o imieniu „To Tylko Ja”, że jeszcze zadzwoni. Dowiedziałeś się czegoś od staruszki?

- Niczego, jak zwykle. Dziewczyna wyszła rano z domu i już nie wróciła. Reszta jest milczeniem.

Slider potrząsnął głową.

\* *Nic prostszego.*

- Musiała wrócić w którymś momencie. W rogu stoja skrzypce.

- Chyba że to zapasowa para - rzucił Atherton.

- Ach. No tak.

Pokrowiec na skrzypce stał oparty o ścianę w rogu pokoju, w pobliżu okna. Tuż przy nim widniał pulpit dostosowany wysokością do postawy stojącej, a na nim otwarta książka z ćwiczeniami muzycznymi. Z daleka nuty wyglądały niczym armia gąsienic czołgająca się po białej stronicy. Na podłodze leżały w bezładzie nuty, jakby ktoś je upuścił, a na niskim stoliku pod oknem było ich jeszcze więcej. Znalazł tam również metronom, pudełko z blokiem kalafonii, dwie żółte szmatki do kurzu, dużą jedwabną brązowo-purpurową apaszkę, trzy różnej długości ołówki, szklaną popielniczkę z gumą arabską w środku, sześć spinaczy do papieru, temperówkę, a także pusty notatnik formatu *octavo*. Było to jedyne miejsce w mieszkaniu, w którym panował bałagan i które wydawało się żyć.

Oprócz salono-sypialni mieszkanie miało jeszcze kuchnię i łazienkę. Slider i Atherton obejrzelili każdy skrawek pomieszczenia. Nie znaleźli niczego. W szafie były ubrania, a w szufladach stroje, które, jak wyjaśnił Atherton, Anne-Marie nosiła w pracy (wliczając w to trzy długie do kostek czarne suknie). Znaleźli kilka książek, wiele płyt i jeszcze więcej taśm z nagraniami, domowej produkcji i kupnych. Dogrzebali się różności: taniego zegarka kwarcowego, gipsowego modelu krzywej wieży w Pizie, garści ładnych muszelek, pokrowca na koszulę nocną w kształcie królika, cukierniczki pełnej płatków kwiatowych. Nigdzie jednak nie było żadnych dokumentów. Terminarz,

książka adresowa, listy, rachunki, dokumenty osobiste, stare książeczki czekowe, cokolwiek mogło powiedzieć im nieco więcej o życiu Anne-Marie, zostało zabrane.

- Zgarnął wszystko. - Atherton ze złością zamknął pustą szufladę. - Drań!

- Był bardzo dokładny. - Mimo to pani Gostyń twierdziła, że nie został tu dłużej niż na pięć, dziesięć minut. Zastanawiam się, czy znał to mieszkanie.

W łazience znaleźli mydło, ręcznik do twarzy, ręczniki kąpielowe, zapasowe rolki papieru toaletowego, płyn do kąpieli (Anne-Marie najwyraźniej lubiła Body Shop), ale nie odkryli żadnych tajemnic. Apteczka na pierwszy rzut oka wydała się zachęcająco pełna, ale po dokładniejszym zbadaniu okazało się, iż zawiera jedynie aspirynę, płyn przeciwko komarom, diocalm, ogromną butelkę kaolinu z morfiną, pigułki na chorobę lokomocyjną, do połowy zużytą paczkę coldrexu, opakowanie tampaksów z jednym brakującym tamponem, butelkę optrexu, cztery różne rodzaje samoopalacza i trzy otwarte paczki elastoplastu. Na szafce stała butelka płynu dezynfekcyjnego, kolejna z listerine, nienapoczęta tubka pasty do zębów mentadent i gdzieś z tyłu jeszcze jedna zakurzona paczka plastrów.

- Żadnych podejrzanych torebek z białym proszkiem - rzekł Slider ze smutkiem. - Żadnych strzykawek ani nawet paczki bibulek do robienia skrętów. Nic.

- Przynajmniej udało się nam ustalić pewne fakty.

- Atherton otrzepał ręce z kurzu. - Wiemy, że była kobietą w wieku przedmenopauzalnym, że podróżowała za granicę i często się kaleczyła.

- Nie daj się zwieść pozorom - mruknął ponuro Slider.

Kuchnia była długa i wąska, z typowymi ciągiem szafek i sprzętów kuchennych zamontowanych wzdłuż ściany. Pod oknem umieszczono zlew, obok którego stała lodówka i kuchenka gazowa.

- Nie ma pralki - zauważył Atherton. - Przypuszczalnie nie chodziła do pralni samoobsługowej.

- Zjrzyj do szafek.

-Właśnie to robię. Czasem podczas rewizji w kuchni szukam maślanych bułeczek. Przyszło ci do głowy, że nie mamy kompletnie nic, co by pomogło nam popchnąć tę sprawę?

- Owszem, przyszło.

Znaleźli całkiem sporo suszonych produktów, ziół i przypraw, herbatę, kawę, ryż i cukier, niewiele zaś świeżego jedzenia. Stojąca w lodówce butelka mleka była otwarta i do połowy opróżniona. Płyn nadal był świeży. Znaleźli jeszcze pięć jajek, dwa opakowania niesolonego masła, owinięty w torebkę pokrojony na kromki bochenek chleba i zapakowany w folię aluminiową kawałek żółtego sera.

- Chyba tamtej nocy nie planowała kolacji w domu - zauważył Slider.

Wyprostował się i jego uwagę przyciągnęło słowo VIRGIN. Za pojemnikiem na chleb, w rogu kuchni, stały dwie duże puszki oliwy z oliwek, niczym miniaturowe kanistry na benzynę. Były pomalowane na jaskrawe, żeby nie powiedzieć krzykliwe kolory, etykieta ukazywała bardzo sielską scenkę: rumiani wieśniacy z idiotycznymi uśmiechami na twarzach zbierali oliwki wielkości awokado z drzew, które, gdyby drzewa potrafiły się uśmiechać, tryskałyby wręcz optymizmem i radością, dobrym zdrowiem i życzliwością wobec chłopów.

Atherton spojrział w tym samym kierunku i odczytał napis na puszcze stojącej z przodu:

- VIRGIN GREEN, oliwa z pierwszego tłoczenia, wyprodukowano we Włoszech. - Odepchnął pojemnik na chleb na bok. - Dwie puszki? Coś mi się wydaje, że bardzo lubiła włoską kuchnię.

Jego słowa przypomniały Sliderowi jego wczesnopopołudniowe fantazje o Anne-Marie. Czy aby na pewno tylko zbieg okoliczności?

- Rzeczywiście - przyznał. - W szafce jest kilka opakowań makaronu i kilka tubek koncentratu pomidorowego.

- Ależ z pana znakomity detektyw, sir. - Atherton spojrział na niego z uwielbieniem.

- Do tego kawałek parmezanu w lodówce. - Slider uśmiechnął się uprzejmie.

Atherton chwycił drugą puszkę i ocenił jej ciężar. Odkręcił wieczko, zajrzał do środka, przechylił kilka razy, podsunął pod nos i powąchał.

- Pusta. Wygląda na to, że została dokładnie wmyta albo nigdy nie była używana. Zastanawiam się, dlaczego jej nie wyrzuciła.

- Może zostawiła ją dla ozdoby.

- Tak, naturalnie. - Atherton obrócił puszkę. - Virgin Green, doprawdy. Brzmi jak tytuł filmu fantastycznonaukowego. A może pornograficznego, chociaż wiemy, że nie była zainteresowana pornografią.

- Wiemy? - spytał Slider nieostrożnie.

- Oczywiście. Nie ma przecież pornografii.

Slider wrócił do pokoju i rozejrzał się, coraz bardziej marszcząc brwi w wyrazie niezadowolenia i niepokoju. Atherton obserwował go z progu kuchni.



- Nie sądzę, byśmy coś tutaj znaleźli. Wszystko wygląda na bardzo profesjonalnie uprzątnięte - rzucił.

- Ktoś zadał sobie wiele trudu - powiedział Slider. - Było tu coś bardzo ważnego, coś, czego nie powinniśmy znaleźć. Co to mogło być?

- Narkotyki. - Atherton wzruszył ramionami, gdy Slider obrzucił go ciężkim spojrzeniem. - W dzisiejszych czasach to zawsze są narkotyki, czyż nie?

- Tak, ale chyba nie tym razem. Nie wygląda mi to na narkotyki.

Atherton spojrzał na niego z wyczekiwaniem, ale Slider najwyraźniej nie zamierzał go oświecić.

- Masz jakieś przeczucie, szefie? - spytał wreszcie. Nie doczekał się jednak odpowiedzi. - A może to tylko wzdęcie?

Slider tylko mruknął coś w odpowiedzi na ten niezbyt wyrafinowany żart. Podszedł do kącika muzycznego, jedynego miejsca, w którym osobowość Anne-Marie odcisnęła swoje piętno.

Podniósł pokrowiec na skrzypce, usiadł na łóżku, położył go sobie na kolanach i otworzył. Instrument lśnił ciemno na tle intensywnie błękitnego pluszu. Miał charakterystyczną patynę starości. Zdawało się, że wydziela jakieś ciepło, jakby tliło się w nim życie. Zachęcał, żeby go dotknąć, niczym zad dobrze wyszczotkowanego gnidosza. W wieku pokrowca zamocowane były dwa smyczki, a za nimi tkwiło zdjęcie. Slider wyciągnął je i obejrzał, odwracając do światła.

Zostało zrobione na plaży, gdzieś, gdzie słońce świeciło wystarczająco mocno, aby bardzo skrócić cienie rzucone przez przedmioty. Było to typowe amatorskie zdjęcie

wakacyjne, przedstawiało ramię i bok szczupłego młodzieńca w kąpielówkach, który nie zmieścił się w całości w kadrze. W centrum widniała Anne-Marie w czerwonym bikini, opierająca rękę na tym męskim ramieniu. Roześmiana, z oczami zmrużonymi od rozbawienia i oślepiającego blasku nadmorskiego słońca. Przechylała głowę do tyłu, tak że jej czarne włosy odsłaniały szyję. Drugą rękę wyciągnęła w powietrze, pewnie dla utrzymania równowagi. Jej dłoń odcinała się na tle błękitnego nieba niczym mała, biała rozgwiazda. Wyglądała jak ktoś, kto nie ma żadnych zmartwień. Jej młodzieńcza niewinność stanowiła doskonały przykład tego, jaka powinna być młodość, choć niestety rzadko taka bywała.

Slider wpatrywał się w zdjęcie wygłodniałym wzrokiem, usiłując wymazać z pamięci widok jej zwłok leżących w ponurym, ciemnym, pustym mieszkaniu. Zamordowana. Ale dlaczego? Biała dłoń, uwieczniona na wakacyjnej fotografii, spoczęła na starych, połamanych deskach zakurzonej podłogi.

Anne-Marie była taka młoda i śliczna. Co takiego wiedziała lub zrobiła, że sprowadziła na siebie śmierć? To niesprawiedliwe, takie niesprawiedliwe. Śmiała się do niego z fotografii, a on przecież znał ją tylko jako ofiarę zbrodni.

Jednego był pewien - za jej śmiercią stała jakaś organizacja, a to oznaczało złe nowiny. Jeżeli byli dobrzy, przewidzieli kolejne kroki Slidera. Niezależnie jednak od tego, jak byli sprytni, w końcu popęlnią błąd. Dobry Bóg czuwał - wystarczy jedna pomyłka, żeby dać szansę przedstawicielom wymiaru sprawiedliwości. Takie były zasady. Rzecz jasna zabójcy mieli mało czasu, a policja mogła

pracować nad sprawą w nieskończoność. Slider jednak wierzył w działanie dobrodusznego Boga. Musiał wierzyć, żeby świat miał jakiś sens.

Atherton w ogóle nie zainteresował się fotografią. Wpatrywał się intensywnie w skrzypce. Wyciągnął je z pokrowca i ostrożnie obrócił.

- Szefie? - rzucił niepewnie. Slider spojrział na niego.
- Myślę, że te skrzypce są bardzo szczególne.
- O co ci konkretnie chodzi?
- Nie jestem wprawdzie ekspertem, ale jest na nich napisane: A. Stradivarius.

Slider wpatrzył się w partnera.

- Chcesz powiedzieć, że to stradivarius?

Atherton wzruszył ramionami.

- Jak już mówiłem, nie jestem ekspertem.
- Może to podróbka?
- Niewykluczone. Jeżeli jednak są autentyczne...

Slider zauważył, że Atherton jak zwykle miał coś ciekawego do powiedzenia.

- Tak, jeżeli jednak są autentyczne... - powtórzył.

Jedna pomyłka. Czy to właśnie to?

- Zabierz je. Dowiedz się - polecił. - Dowiedz się, ile są warte, tylko na miłość boską bądź ostrożny.

- Nie ucz ojca dzieci robić - odparł Atherton, wkładając ostrożnie skrzypce z powrotem do futerału. - Co teraz?

- Zamierzam porozmawiać z jej najlepszą przyjaciółką. Zdajesz sobie sprawę, że dzięki inspektorowi Petriemu nadal nie wiemy, kto jest najbliższym krewnym Anne-Marie? W związku z tym ruszam do Barbakanu.

- Nie wolałbyś, żebym cię zastąpił? Koncerty kameralne to bardziej moja działka niż twoja.

- Dobrze mi zrobi, jeśli poszerzę nieco horyzonty - odparł Slider. - Zamiana ról - dodał, akcentując z francuska.

- Nie uda się - rzekł Atherton. - Z moim urokiem osobistym trzeba się urodzić.

RS

## Rozdział 5

### KOMPLETNIIE ZABARBAKANOWANY

Slider zostawił samochód na parkingu przed Barbakanem i natychmiast się zgubił. Słyszał wcześniej opowieści o tym, że znalezienie w tym miejscu właściwej drogi jest niemożliwe, ale zawsze uważał, że to przesada. Odszukał pracownika ochrony i zapytał o drogę. Został wysłany za jakieś drzwi, za którymi znowu się zgubił. Wszedł do windy, która, jak się okazało ku jego konsternacji, została zaprogramowana do zatrzymywania się wyłącznie na co drugim piętrze. Wreszcie, z uczuciem niewysłowionej ulgi, wrócił na parking, z którego wyruszył. Teraz przynajmniej widział, gdzie jest, nawet jeśli nie miał pojęcia, gdzie przebywał przed chwilą.

Zastanawiał się, co zrobić dalej, kiedy nagle usłyszał stukot kroków. Odwrócił się i zobaczył młodą kobietę z futerałem na skrzypce, zbliżającą się w jego kierunku. Poczł nagły przypływ nadziei. Podeszedł do niej niczym amerykański turysta w Londynie, który właśnie dostrzegł hotel Savoy.

- Czy należy pani do orkiestry? Mogłaby mi pani powiedzieć, jak się dostać na zaplecze sceny?

Kobieta zatrzymała się i spojrzała na niego. Musiała przy tym unieść głowę, ponieważ była dobre piętnaście centymetrów niższa od niego. Slider, sam raczej niewysoki, poczuł się przez to wielkim, silnym facetem.

- Nie mogę panu powiedzieć, ale mogę pana zaprowadzić - odparła uprzejmie. - To istny labirynt, nie sądzi pan? Podobno powstało nawet nowe określenie: być zabarbakanowanym.

-Wcale się nie dziwię - odparł, ruszając za nią żwawym krokiem.

- Powinni nam dawać kłębek przędzy. Znam tylko jedną drogę i zawsze nią chodzę. Najmniejsze odstępstwo i zgubiłabym się na zawsze. - Zerknęła na niego przez ramię.

- Właściwie to nie jestem członkiem orkiestry, ale gram z nimi dzisiaj wieczorem. Pan nie jest muzykiem, prawda?

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Slider odparł po prostu „nie” i kontynuował swoją obserwację kobiety. Choć niewysoka, miała kształtną figurę, bardzo kobiece kształty. Wprawdzie wyszły z mody, ale z przyjemnością patrzył na dziewczynę, zwłaszcza iż jego żona była chudą, niemal dwuwymiarową istotą. Nieznajoma miała na sobie białe spodnie, błękitne tenisówki, podkoszulek z poprzecznymi błękitnymi i granatowymi paskami oraz kusą, niebieską aksamitną kurtkę. Zestawienie to wyglądało na niej nader atrakcyjnie, acz w pewien sposób ekscentrycznie, chociaż Slider nie potrafił powiedzieć dlaczego.

Poprowadziła go przez żelazne drzwi, a potem w dół po tonących w półmroku schodach prosto w ciszę i pustkę. Na dole zatrzymała się nagle i spojrzała na niego, zadzierając głowę.

-Tak sobie myślę, że pewnie przyszedł tutaj pan do mnie. Czy pan jest inspektorem Sliderem?

Przyglądała mu się z życzliwością. Bardzo rzadko w ten sposób na niego patrzono, od kiedy został policjantem. Twarz obramowana była złocistymi włosami, które wyglądały na przycinane sekatorem. Slider nagle zdał sobie sprawę, że to właśnie dlatego wydała mu się ekscentryczna. Ubranie było bardzo młodzieńcze, a twarz nieumalowana. Jej wygląd, swobodny, niemal niedbały, świadczył o pewności siebie. Nigdy nie spotkał bardziej naturalnej kobiety w tym wieku. Stała tak, na nędznym tle stworzonym przez nowoczesne budownictwo, i przyglądała się mu bez wrogości ani dystansu, ze spokojną szczerością dziecka, jak gdyby rzeczywiście chciała się dowiedzieć, jakim człowiekiem jest Slider.

- Pani jest Joanną Marshall - usłyszał, jak z jego ust wypływają słowa.

- Oczywiście - odparła i wyciągnęła ku niemu dłoń. Chwytał jej rękę i uściśnął, jakby byli na jakimś spotkaniu towarzyskim. Poczł ciepło promieniujące z jej dłoni i dziwną przyjemność, niemal rozkosz. Spojrzeli na siebie i wszystko się zmieniło.

Tak po prostu? - zapytał siebie z lekkim zaskoczeniem. Odniósł wrażenie, że pojawiają się przed nim różne możliwości. Poczł przyływ uczuć ożywiających w nim i płynących w jej kierunku, niczym jeszcze niesprecyzowane oznaki życia budzące się podczas pierwszych dni wiosny. Czym prędzej puścił jej dłoń i natychmiast klatka schodowa wydała się bardziej posępna i zatęchła niż przed chwilą.

Joanna ruszyła dalej, a on pospieszył za nią.

- Skąd pani wiedziała, kim jestem? - spytał.

- Zadzwońla do mnie Sue Bernstein. Powiedziała, że zapewne będzie chciał pan ze mną porozmawiać. Wiedzia-

łam, że nie jest pan muzykiem. Jak się dobrze zastanowić, to chyba wygląda pan na detektywa.

- To znaczy? - spytał rozbawiony.

Rzuciła mu spojrzenie przez ramię i uśmiechnęła się.

- Nie wyrobiłam sobie opinii na temat, jak wygląda detektyw, ale teraz, kiedy pana widzę, wydaje mi się to oczywiste.

Otworzyła kolejne metalowe drzwi, a potem następne i nagle znaleźli się z powrotem w cywilizacji: w otoczeniu światła, dźwięków i zapachów zaludnionego wnętrza.

Joanna zatrzymała się i odwróciła w jego kierunku.

-To okropne, co się stało Anne-Marie. Przypuszczam, że nie ma już wątpliwości, iż to ona? Po prostu nie mogę uwierzyć, że nie żyje.

- Nie ma wątpliwości - odparł i pokazał jej jedno ze zdjęć. Wzięła je w drżącą dłoń, jakby obawiała się zobaczyć Bóg wie jakie okropności. Najpierw na jej twarzy pojawiła się ulga, a potem jeszcze głębszy smutek. Niewielu ludziom we współczesnym świecie przychodzi oglądać zwłoki, nawet tylko na zdjęciach. Po chwili westchnęła ciężko.

- Rozumiem. Sue powiedziała, że to było morderstwo. Czy to prawda?

- Obawiam się, że tak.

Zmarszczyła brwi.

- Proszę posłuchać. Chciałabym panu pomóc, ale teraz muszę się przebrać i rozgrzać, a nie mam zbyt wiele czasu. Gram jednak tylko w pierwszej części. Może pan poczekać albo wrócić trochę później? Powinnam skończyć kwadrans po ósmej, potem będzie mnie mógł pan wypytywać tak długo, jak pan zechce.

Tak długo, jak zechce.



Znowu spojrzała mu prosto w oczy. Jej bezpośredniość bardzo go peszyła. Kojarzyła się z dzieckiem, chociaż w jego rozmówczyni nie było nic z dziecka. Znalazł się w sytuacji, której jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył. Wytrąciło go to z równowagi i w pewnym sensie obnażyło. Zupełnie jakby Joanna Marshall była innym gatunkiem albo pochodziła z równoległego wszechświata, gdzie wbrew wszelkim pozorom prawa fizyki były zupełnie inne niż ziemskie.

- Poczekam - odparł. - Może da się pani zaprosić po koncercie na kolację? - rzucił niespodziewanie. Co on najlepszego wyprawia?

- Och, to byłoby cudownie - powiedziała ciepło. - Przepraszam, ale muszę już lecieć. Może zostanie pan na koncercie? Wejście do audytorium jest tutaj.

- Nie mam biletu.

- Nie szkodzi. Nie będzie pełnej sali, a poza tym i tak nikt nie sprawdza biletów. Niech się pan wślizgnie po cichu i usiądzie gdzieś z boku. Po zakończeniu pierwszej części niech pan tutaj wróci. Przyjdę do pana, kiedy z powrotem się przebiorę.

Nie zajęło jej to dużo czasu; wpół do dziewiątej siedzieli już w pobliskiej włoskiej knajpce. Obrus i serwetki były blad różowe, a w całym pomieszczeniu stały palmy. Jedna z nich osłaniała ich narożny stolik przed wzrokiem innych gości.

Siedząc tak blisko Joanny, Slider zaczął się zastanawiać, ile jego towarzyszka ma lat. Była zdecydowanie starsza od Anne-Marie. Miała zmarszczki wokół oczu, a doświadczenia życiowe odcisnęły się na jej twarzy. Mimo to, ponieważ nie była umalowana, wyglądała na młodszą albo może nie

tyle młodszą, ile na kobietę w nieokreślonym wieku. Rozpraszało go to, ale kiedy zadał sobie pytanie dlaczego, przyszło mu do głowy, że jeśli ona zapytałaby go o wiek, czułby się zobowiązany powiedzieć prawdę - całą prawdę, nie tak zwaną prawdę towarzyską. Jej bezpośredniość sprawiała, że nie dostrzegał, by dzieliły ich jakieś bariery, i dotknięcie jej - czego pragnął coraz bardziej - było nie tylko możliwe, ale wręcz nieuniknione.

Lepiej, żeby nie myślał w ten sposób. Powinien wziąć się w garść.

- No dobrze, chyba musimy jakoś zacząć naszą rozmowę. Czy przychodzi pani do głowy ktokolwiek, kto mógłby mieć powód, żeby zabić pani przyjaciółkę, Anne-Marie?

- Zastanawiałam się nad tym już wcześniej i szczerze powiedziaławszy, nie. Nie mieści mi się w głowie, żeby ktokolwiek w ogóle chciał zabić kogokolwiek. Śmierć jest taka zaskakująca, nie sądzi pan? A morderstwo podwójnie.

- Co myśli pani o samobójstwie?

- No tak... - odparła. - Wprawdzie nie przypuszczam, by o tym myślała, ale człowiek zawsze znajduje powody, dla których nienawidzi sam siebie. Poza tym łatwiej odebrać życie sobie niż komuś. Morderstwo z kolei - przerwała na chwilę - to straszliwy afront, nieprawdaż?

- Nigdy nie myślałem o tym w podobny sposób.

- Musi się pan czuć okropnie - rzuciła nagle, zaskakując go-

- Pani chyba bardziej.

- Nie sądzę. Nie czuję się w żaden sposób za to odpowiedzialna, a pan przecież musi sprawę wyjaśnić. Poza tym znałam ją za życia, i żywą ją zapamiętam. Pan poznał ją już po jej śmierci, a to smutne.

Dlaczego sądziła, że potrzebuję pocieszenia? Slider zadał sobie to pytanie, ale potem sformułował je nieco inaczej: skąd wiedziała, że potrzebuję pocieszenia?

- Kim byli jej przyjaciele? - spytał.

- Przypuszczam, że ja byłam jej najbliższa, chociaż nie mogę powiedzieć, byśmy były prawdziwymi przyjaciółkami. Dzieliłyśmy pulpit, więc często ze sobą przebywałyśmy z racji pracy. Odwiedziłam ją w jej mieszkaniu raz czy dwa, kilka razy poszłyśmy do kina. Nie grała z orkiestrą zbyt długo i była zamknięta w sobie. Niełatwo przychodziło jej nawiązywanie przyjaźni.

- Co ze znajomymi spoza orkiestry?

- Nie wiem. Nigdy o żadnych nie wspominała.

- Narzeczeni?

Uśmiechnęła się.

- Widzę, że nie ma pan pojęcia o życiu muzyka. Kobiety w orkiestrze nie mogą mieć narzeczonych. Godziny pracy nie pozwalają nam mieszać się ze zwykłymi śmiertelnikami, a związanie się z kimkolwiek z orkiestry jest tragiczne w skutkach.

- Dlaczego?

- Z powodu plotek. Nie można się od siebie uwolnić, a wszyscy obgadują wszystkich. Poza tym to zupełnie jakby wdać się w związek kazirodczy. Mężczyźni są bardziej złośliwi i krytyczni niż kobiety, wie pan? Jeżeli dziewczyna zaczyna spotykać się z kimś z orkiestry, wszyscy natychmiast się o tym dowiadują i zaczynają ją wyzywać od najgorszych. Pozostali faceci od razu sądzą, że jest łatwa, puszczańska.

- Anne-Marie była przecież bardzo atrakcyjna. Na pewno ktoś się do niej zalecał.

- Oczywiście. Zawsze to robią z nowymi członkami załogi.

- A ona odrzuciła ich awanse?

- W zeszłym roku na koncertach wyjazdowych miała przełotny romans z Simonem Thompsonem, ale to co innego. Podczas tournée zwykle zasady nie obowiązują. To, co się dzieje na wyjeździe, jest traktowane inaczej. Myślę również, że spotkała się kilka razy z Martinem Cuttsem, ale to też się nie liczy. Martin to etap, przez który przechodzą wszystkie kobiety w orkiestrze. Coś w rodzaju ospy wietrznej.

Slider powstrzymał uśmiech i zapisał nazwiska.

- Rozumiem.

- Doprawdy?

Spojrzał jej w oczy, zastanawiając się, jak sobie radzi z tą sytuacją. Opowiedziała mu o trudach bycia członkiem orkiestry bez goryczy, po prostu, jakby opowiadała o pogodzie, o czymś, na co nie ma się żadnego wpływu. Czy wiedziała o tym wszystkim z własnego doświadczenia?

Uśmiechnęła się do niego, jakby odgadła jego myśli.

- Mam własne sposoby radzenia sobie w takich sytuacjach. Kiedyś może panu o nich opowiem.

Pojawił się kelner z pierwszym daniem. Czekali w milczeniu, aż ustawi talerze i oddali się od ich stolika.

- Zatem była pani jedyną przyjaciółką Anne-Marie?

- Uhm - odparła z pełną buzią. Pogryzła i przełknęła. - Nie zwierzała mi się, ale rzeczywiście, chyba byłam najbliższą jej osobą w orkiestrze.

- Lubiła ją pani?

Zawahała się.

- Nie nienawidziłam jej. Trudno ją było rozgryźć. Była dobrą towarzyszką, ale oczywiście rozmawialiśmy wiele

o pracy i poza nią niewiele miałyśmy ze sobą wspólnego. Trochę mi jej było żal. Nie wyglądała na szczęśliwą.

- Miała jakieś zainteresowania?

- Nie wiem, czy lubiła coś oprócz muzyki. I gotowania.

Była dobrą kucharką...

- Kuchnia włoska?

- Skąd pan wie?

- Odwiedziłem dzisiaj jej mieszkanie. Znalazłem kilka paczek makaronu i dwie ogromne puszki oliwy z oliwek.

- Ach tak, stara dobra Green Virgin. To była jedna z jej fanaberii. Mawiała, że do uzyskania właściwego smaku trzeba mieć odpowiedni rodzaj oliwy. Nie chciała używać żadnej innej. Ta oliwa jest horrendalnie droga. Nie sędzę, żeby ktokolwiek inny potrafił odróżnić ją od zwykłych sklepowych, ale Anne-Marie wiedziała bardzo dużo na temat kuchni włoskiej. Chyba sama była częściowo Włoszką - dodała niepewnie.

- Czyżby? Spotkała pani kiedyś jej rodziców?

- Oboje nie żyją - odparła krótko. - Zdaje się, że zginęli, kiedy była jeszcze dzieckiem. Wychowywała ją ciotka, ale nigdy jej nie poznałam. Nie sędzę, żeby dobrze się im układało. Co jakiś czas Anne-Marie ją odwiedzała, ale z tego, co zrozumiałam, raczej z obowiązku niż dla przyjemności.

- Rodzeństwo? Inni krewni?

- Nigdy o nich nie wspominała. Miała raczej samotne dzieciństwo. Chodziła do szkoły z internatem. Zdaje się, że ciocia nie chciała, aby mała pętała się po domu. Pamiętam, jak Anne-Marie powiedziała kiedyś, że nie cierpiała wakacji szkolnych, bo ciotka nigdy nie pozwalała jej zapraszać do domu kolegów z podwórka, żeby broń Boże nie narobili bałaganu. Nie pozwoliła jej również trzymać zwierzaka.

Najwyraźniej to jedna z tych kobiet niezwykle dumnych ze swojego domu. Trudno się z takimi żyje, zwłaszcza kiedy jest się dzieckiem. Rozmawiał pan już z nią?

-Aż do tej chwili nie wiedziałem, że w ogóle istnieje. Pytałem już panią Bernstein, ale nie umiała mi powiedzieć, kto jest najbliższym krewnym Anne-Marie.

- No tak, nie wiedziałyby tego - odparła w zamyśleniu Joanna. - Przypuszczam, że gdybym to ja znalazła się na miejscu Anne-Marie, ona również nie mogłaby panu pomóc. Powiada pan, że ciotunia nie wie jeszcze o śmierci swojej wychowanicy?

Slider potrząsnął głową.

- Nie zna pani pewnie jej nazwiska ani adresu, prawda?

- O Boże! Czy Anne-Marie kiedykolwiek zdradziła mi nazwisko ciotki? Wiem, że mieszka w wiosce Stourton-on-Fosse, gdzieś w Cotswolds. Jej dom nazywa się Grange albo The Manor, coś w tym stylu. Nie pamiętam dokładnie, ale Anne-Marie mówiła, że to ogromna posiadłość, a wioska jest bardzo mała, więc nie powinien pan mieć problemu ze znalezieniem go. Zaraz, chwileczkę. - Zmarszczyła brwi.

- Chyba kiedyś dostrzegłam na kopercie nazwisko. Co to było? Ach tak, miałam właśnie iść na pocztę i Anne-Marie poprosiła mnie o wysłanie listu do niej. - Zastanawiała się przez chwilę, przewracając oczami. - Ringwood. Tak, pani Ringwood.

Spojrzała na niego uradowana, jakby czekając na pochwałę i oklaski, ale akurat przyniesiono główne danie, które przykuło jej uwagę.

- Czosnek! Cudowny zapach! Można by mnie karmić nawet zapalkami, pod warunkiem że zostaną usmażone na czosnku. Lubi pan czosnek?

- Uwielbiam - odparł Slider.

Dawno temu, w młodości, zanim przydarzyło mu się Prawdziwe Życie, gotował dla Irene na starej osmalonej, spryskanej tłuszczem kuchence gazowej w ich maleńkiej kawalerce. Używał czosnku, cebuli, ziół, wina, przypraw, imbiru. Jedzenie było wtedy zmysłową przyjemnością. Zauważył, że dla Joanny nadal jest. Wydała mu się bardzo bliska, ciepła, przyjazna. To, co do niej czuł, mogłoby poruszyć ziemię. Chciał ją chwycić, posiąść, kochać się z nią do upadłego, a potem zasnąć wtulony w nią. Czy coś tak prostego i dobrego zdarzało się w Prawdziwym Życiu? Komukolwiek?

Poczuł, że dostał niesamowitego wzwodu i to na pewno nie z powodu czosnku. Rozczarowany zdał sobie sprawę, jakie mogłoby być jego życie z właściwą osobą. Wyobraził sobie, jak budzi się i kocha z nią, ciepłą i rozespaną, w ciszy poranka, jak je z nią, zasypia, jak wypełnia ją sobą noc w noc. Zwyczajny nieskomplikowany związek, jak u zwierząt. Żadnych pytań, żadnych odpowiedzi. Chciał spacerować z nią za rękę po jakiejś plaży o zachodzie słońca.

Erekcja nie zmniejszyła się, ale napięcie nieco opadło, więc mógł się dostosować do swojego nowego stanu, jak do podróży z dużą prędkością. Wszystkie zmysły miał wyczulone. Obserwował, jak Joanna je z apetytem, ale także z uczuciem. Jej niedbale przycięte, ciężkie kosmyki włosów były niczym kosmyki wyrzeźbione na głowie posągu greckiego bohatera z brązu - miękkie i gęste, prostujące się pod własnym ciężarem. Jadła w skupieniu i z zadowoleniem, a kiedy spojrzała na niego, uśmiechnęła się, jakby było to coś całkiem oczywistego i łatwego. Potem skoncentrowała całą uwagę na nim.

Sięgnęła po kieliszek wina i zanim Slider zorientował się, co robi, chwycił ją za dłoń. Ku jego zaskoczeniu i uldze odwzajemniła uścisk, a potem sytuacja się wyklarowała, zwyczajnie, z wdziękiem, niczym kryształy formujące się po przekroczeniu punktu krystalizacji. Nie było się czym martwić. Uwolnił jej dłoń i oboje wrócili do jedzenia. Slider poczuł się uskrzydłony. Nie mógł wyjść ze zdumienia, że zrobił coś takiego.

W przerwie pomiędzy głównym daniem i deserem poszedł do telefonu i zadzwonił na posterunek. Odebrał Hunt, oficer dyżurny.

- Dowiedziałem się, kto jest najbliższym krewnym panny Austen - powiedział Slider i przekazał informacje o pani Ringwood. - Możesz ją odnaleźć? Potem wyślij jednego z miejscowych chłopaków, żeby ją poinformował o śmierci panny Austen. Będzie musiała dokonać oficjalnej identyfikacji. Poza tym musimy ją przesłuchać. Powiedz Athertonowi, żeby zajął się tym jutro z samego rana.

- Nie ma sprawy, szefie.

- Poza tym niech spisze zeznanie pani *Gostyń* i sprawdzi, czy staruszka pomoże nam w sporządzeniu rysopisu inspektora Petriego.

- W porządku, sir. Coś jeszcze?

Owszem, było coś jeszcze, ale nie przeznaczonego dla jego uszu.

-Jest Nicholls? Połącz mnie z nim, dobrze? Słuchaj, Nicholls - rzucił, kiedy tamten odebrał. - Zadzwoniłbyś w moim imieniu do Irene? Powiedz, żeby na mnie nie czekała. Muszę spisać jeszcze sporo zeznań, więc wrócę do domu bardzo późno.



- Jasne, powtórzę - odparł Nicholls. Cisza, która zapadła, była bardzo wymowna. Zrobię to, ale ona i tak nie uwierzy, pomyślał.

- Dzięki, stary.

- Nie ma sprawy, Bill. Trzymaj się. I bądź ostrożny, dobra?

To akurat, pomyślał Slider, było niczym prośzenie człowieka, który właśnie zamierza przepłynąć wodospadem Niagara w beczce, żeby nie zamoczył sobie stóp.

- Opowiedz mi o tamtym wieczorze - poprosił, kiedy zasiedli nad ptysiami z bitą śmietaną. Gdzieś w międzyczasie przeszli na „ty”.

- Do wpół do dziesiątej nagrywaliśmy w centrum telewizyjnym. Potem spakowaliśmy manatki...

- Skończyliście o czasie?

- Pewnie. - Uśmiechnęła się. - Inaczej musieliby nam zapłacić za nadgodziny. Jesteśmy pod tym względem szalenie skrupulatni. Spakowaliśmy się, pewnie zajęło to jakieś pięć minut. Potem zdecydowaliśmy z Philem Redcliffe'em, Johnem Delaneyem i Anne-Marie, że pójdziemy na drinka.

- Do którego pubu? - spytał z obawą, że był to Pies i Moszna, bądź co bądź najbliższy lokal w tamtej okolicy.

- Zawsze chodzimy do Berła i Korony. Mają tam fullersa, sam rozumiesz - odparła, a Slider pokiwał głową. Dla znawcy piwa było to oczywiste. - Kiedy wychodziłam, Simon Thomson spytał mnie, czy wybieram się na drinka. Odparłam, że tak, ale Anne-Marie idzie ze mną, na co rzekł, że w takim razie on nie pójdzie. Rozmowa z nim trochę mnie zatrzymała.

- Dlaczego nie chciał pójść, kiedy dowiedział się, że będzie tam Anne-Marie? - przerwał jej Slider.

- Drobne nieporozumienie. - Skrzywiła się. - Chyba nic ważnego, ale opowiem ci, ponieważ prędzej czy później i tak się dowiesz, więc lepiej, żebym to ja wszystko ci wyjaśniła. Mówiłam ci już, że Anne-Marie i Simon byli ze sobą podczas koncertów objazdowych.

- Tak. Masz na myśli, że mieli ze sobą romans?

- O nie, nie aż tak. Bycie ze sobą na tournée jest trochę na niby. Nie liczy się. Ludzie śpiąją ze sobą, chodzą wszędzie razem, a po powrocie do domu o wszystkim zapominają. Anne-Marie i Simon to właśnie zrobili podczas ostatniego wyjazdu w październiku do Włoch. Tyle że po powrocie Anne-Marie usiłowała kontynuować znajomość. Simonowi to się nie podobało, bo ma dziewczynę, a Anne-Marie... - Przerwała na chwilę. - Cóż, zaczęła się zachowywać nieco dziwnie. Twierdziła, że Simon powiedział, iż myśli o niej poważnie i obiecał jej małżeństwo, a teraz usiłował się wykręcić.

- Uwierzyłaś jej?

- Nie wiem. Coś na pewno musiało w tym być. Simon oczywiście twierdził, że Anne-Marie gada wierutne bzdury, ale co innego miałby powiedzieć? Zaczął opowiadać o niej bardzo niemiłe rzeczy, że była niezrównoważona i tak dalej. Nie wiem jednak, co było prawdą, a co nie. Po jakimś czasie Anne-Marie wreszcie się poddała i zostawiła go w spokoju, ale Simon cały czas wyraźnie dawał do zrozumienia, że nic ich nie łączy. W kafejkach, jeżeli usiadła obok niego, przesiadał się do innego stolika, nie chodził z nami na drinki, jeżeli Anne-Marie dołączała do grupy, i tym podobne.

- Rozumiem - rzucił zachęcająco Slider. Miał nadzieję, że usłyszy coś więcej. - W jakim była humorze tamtego dnia? Zachowywała się normalnie?

- Nie zastanawiałam się nad tym. Od tamtej sprawy z Simonem była trochę wyciszona, zamknięta w sobie. Jak już mówiłam, chyba nigdy nie była szczęśliwa, a ta sprawa mogła wszystko pogorszyć.

Slider pokiwał głową.

- No dobrze, porozmawiałaś z Simonem Thompsonem i co potem? Poszedł do samochodu?

-Tak. Wszyscy oczywiście przyjechaliśmy do BBC swoimi wozami. Phil i John już odjechali. Mnie zatrzymał Simon, a poza tym musiałam jeszcze zamienić kilka słów z Johnem Brownem, więc wyszłam ostatnia. Anne-Marie uciekła, kiedy tylko zobaczyła, że zbliża się Simon. Zostawiła samochód na zewnątrz, w tej wąskiej części parkingu z boku głównego wejścia, gdzie można postawić małe samochody.

- Tak, wiem. Jeździła mini?

- Nie. Miała czerwonego MG. To chyba jedyna rzecz w jej życiu, którą naprawdę kochała. Jej czerwony morris. W każdym razie kiedy wyszłam, zobaczyłam, jak idzie w moim kierunku. Powiedziała, że cieszy się, iż mnie złapała, i może powinniśmy pójść do Psa i Myśliwego. To inny pub, przy...

- Tak, wiem - rzekł Slider. Wiedziałem, pomyślał dziwnie załamany, że nigdy nie powinienem pić we własnym rewirze. Joanna przyjrzała mu się badawczo.

- To okropne miejsce, a poza tym Phil i John już pojechali do Berła. Powiedziałam jej to. Wydała mi się strasznie zmartwiona. Usiłowała mnie przekonać, żebyśmy poszły do Psa tylko we dwie, ale nie zgodziłam się, więc w końcu zostawiła mnie i wróciła do swojego auta. Pojechałam do Berła i Korony, a ona oczywiście tam się nie pojawiła. Nie mam pojęcia, czy pojechała sama do tamtego drugiego pubu, czy też... czy oni... - Przerwała.

- Powiedziała ci, dlaczego chce iść do drugiego pubu?
- spytał Slider obcesowo.
  - Nie. Nie podała żadnego powodu. Od tamtej chwili myślę nieustannie, że gdybym poszła z nią, może jeszcze by żyła. Sądział, że wiedziała, iż coś jej grozi?
- Slider zamyślił się.
  - Kiedy dokładnie zmieniła zdanie? Zdaje się, że chciała iść ze wszystkimi do Berła, tak? Wiedziała, że to właśnie planujecie?
  - O tak, zawsze tam chodziliśmy. Poza tym, kiedy po raz pierwszy poszła do samochodu, wiedziała, gdzie się wybieramy. Wydaje mi się nawet, że kiedy przechodziła obok mnie, gdy rozmawiałam z Brownem, rzuciła coś w stylu: „Do zobaczenia na miejscu”.
  - W takim razie coś sprawiło, że zmieniła zdanie. Czy rozmawiała z kimś na parkingu?
  - Nie wiem. Kiedy wyszłam, już biegła w moim kierunku. Może stróż pilnujący głównego wejścia coś zauważyli. Zawsze jest ich dwóch i na pewno widzieli jej samochód z okien stróżówki.
  - Tak. - Slider zanotował w pamięci: Stróże i wypytać Hildę. Spojrzał na nią. Joanna wpatrywała się w niego z nieszczęśliwą miną. - Co się stało?
  - Może obawiała się czegoś i w naszym towarzystwie czułaby się bezpieczniej. Jeślibym z nią pojechała...
- Slider doszedł do wniosku, że powinien ją pocieszyć.
  - Nie sądzę, żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Z pewnością zginęłaby po prostu kiedy indziej.
- Joanna szeroko otworzyła oczy, zastanawiając się nad słowami detektywa.
  - Marne pocieszenie - wykrztusiła.

Slider zapłacił za posiłek i wyszli na ulicę.

-To była świetna kolacja - rzekł. - Lubię włoskie jedzenie. - Po tych słowach natychmiast sobie przypomniał o Anne-Marie.

- Przejmujesz się, prawda? - stwierdziła raczej, niż zapytała Joanna. - Anne-Marie. Przejmujesz się nią. Dlaczego? Morderstwo to straszliwa rzecz, ale na pewno widziałeś już wiele okropności w swoim życiu, gorszych niż to. Dlaczego ta sprawa jest dla ciebie taka szczególna?

Chciał ją zapytać, skąd o tym wie, ale obawiał się odpowiedzi.

- Nie mam pojęcia - odparł zgodnie z prawdą.

- Nie czuję tego, nie rozumiem. Dla mnie Anne-Marie jakby nie do końca umarła. Była taka młoda. Zawsze uważałam, że jest małym głuptasem, niezbyt zaradną osobą. Bezbroną. Zabić kogoś takiego to niemal jak oszukiwanie w jakiejś dziwacznej grze.

Rozmawiali, stojąc na chodniku. Teraz, kiedy nadeszła właściwa chwila, czuł, że nie mógłby jej o to poprosić. Nie powinien. Nie miał prawa. Nie miał jej nic do zaoferowania, mógł tylko brać. Spojrzał na nią bezradnie.

- Czy mogą cię za to wyrzucić z pracy? Wiesz, za zadawanie się ze świadkami? - spytała lekkim tonem.

Widocznie dostrzegła jego zakłopotanie i odwaliła za niego całą robotę. Ułatwiła mu sprawę. Teraz miał do wyboru: odejść albo brnąć dalej. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo wspaniałomyślny był ów gest, ale mimo to zachował się nietaktownie.

-Jestem żonaty - wypluł z siebie. Widział, że ją to zabolalo.

- Wiem - odparła cicho.

- Skąd? - Teraz po prostu opóźniał rozstanie, unikał pożegnania.

Wzruszyła ramionami.

- Masz takie głodne spojrzenie. Jak człowiek z tasemcem, który je i je, ale nie może zaspokoić łaknienia. - Popatrzyła na niego z uwagą. Slider zdawał sobie sprawę nader dobrze, że sam na własne życzenie postawił między nimi mur.

- Wiem nawet, jak ona wygląda - ciągnęła Joanna. - Jest ładna, bardzo szczupła i sprytna. Pilnuje, żeby dom lśnił czystością, i nie ma poczucia humoru.

- Skąd to wiesz? - spytał niepewnie.

Dostrzegł w jej oczach nagłe zmęczenie. Zrobiła za niego wszystko, podała mu siebie na talerzu, on zaś zachował się jak słabeusz, tchórz. Nie potrafił zrobić właściwej rzeczy, podjąć decyzji.

Poprawiła torebkę na ramieniu.

- Lepiej już pójdę. Bardzo dziękuję za kolację - powiedziała.

Zostaw ją, nie wchodź w to. Nie prosź się o kłopoty. Życie i tak jest już wystarczająco skomplikowane.

- Gdzie mieszkasz? - wykrztusił. Ostatni wdech, zanim pójdzie na dno, ostatnia próba chwycenia się brzytwy. Powie, że na południu lub na północy, cokolwiek, tylko nie zachód, i załatwione. Niech Bóg zadecyduje. Ale jeśli powie, że na zachodzie, co wtedy? Joanna odwróciła się z ociąganiem. Spojrzała na niego z powątpiewaniem, jakby nie była pewna, czy powinna odpowiedzieć.

- Turnham Green - rzuciła wreszcie obojętnie. Slider oblizał wargi.

- To mi po drodze - rzekł ochryple. - Mieszkam w Russlip.

- Możesz za mną pojechać, jeśli obiecasz, że nie zatrzymasz mnie za przekroczenie prędkości.

Żołądek mu podskoczył, jakby jechał szybkobieżną windą. Skinął głową i oboje powędrowali w stronę samochodów zaparkowanych obok siebie w bocznej uliczce. Nawet w tej chwili powtarzał sobie, że wcale nie jest zaangażowany, że w każdej chwili może skrócić na skrzyżowaniu. Oczywiście ona również to wiedziała, ale było już za późno, przynajmniej o kilka godzin.

Droga powrotna do Chiswick była wystarczająco długa, aby Slider przemyślał wszystko i kilkakrotnie przestraszył się konsekwencji. Niemal od dwudziestu lat uprawiał seks wyłącznie z Irene, a to bardzo dużo czasu... dobry Boże, czy to naprawdę już cały rok, od kiedy się z nią kochał? Z zażenowaniem przypomniał sobie milczące zarzuty, nieustępliwą dbałość o zwyczaje, oczekiwania, zdolność stanięcia na wysokości zadania, nawet troskę o bieliznę. Doszedł do punktu, w którym przerażenie stłamsiło jego pożądanie tak bardzo, że nie potrafił znaleźć wystarczająco dobrego powodu, dla którego robił to, co robił.

Mimo to nadal jechał za Joanną, niemal automatycznie, trzymając się w odległości dwóch samochodów od jej alfa GTV, zmieniając pasy tak jak ona, jakby był źrebkiem podążającym za matką. Wreszcie zatrzymali się, zaparkowali, wysiedli z samochodów. Zaczął wymyślać wymówki. Jeśli Joanna odezwałaby się lub nawet na niego spojrzała, prawdopodobnie uraczyłby ją nimi i uciekł. Ona jednak ruszyła do domu z kluczem w ręku, otworzyła drzwi i weszła, zostawiając je otwarte. Ani razu nie obejrzała się za siebie. Slider podążył za nią, jak gdyby

chwila podjęcia absolutnie ostatecznej decyzji jeszcze nie nadeszła.

Potem zastanawiał się, ile z jego panicznych myśli odgadła i wzięła pod uwagę. Czekwała na niego w środku. Nie zapaliła światła ani nie zdjęła płaszcza. Odłożyła rzeczy na podłogę i kiedy wszedł w mrok korytarza, zarzuciła mu ręce na szyję i uniosła głowę, czekając na pocałunek.

Slider zaczął drżeć. Żadnych pytań, żadnych odpowiedzi. Przyciągnął jej miękkie ciało i zaczął ją zachłannie całować. Poruszyła biodrami i dostał wzwołu, jego członek sterczał twardy jak skała. Odczuł z tego powodu dziwną dumę. Wreszcie oderwała się od niego i poprowadziła go do sypialni, do której wpadało jedynie blade światło latarni - nie za dużo, nie za mało, w sam raz.

W pokoju stało duże, podwójne łóżko przykryte narzutą. Okrążyła je i usiadła na nim, plecami do Slidera. Zaczęła się rozbierać. A więc naprawdę mamy to zrobić? - pomyślał ze zdumieniem. Cieszył się, że pozwoliła mu się samemu rozebrać. W tym stanie umysłu nie pamiętał, co miał na sobie, i nie wiedział, czy zdołałby się pozbyć ubrania, nie robiąc z siebie niezdary. Kiedy Joanna skończyła, on był jeszcze w bieliźnie. Z gracją wślizgnęła się pod kołdrę i spojrzała na niego spokojnie. Wciągnął brzuch i zdjął majtki. Poczłł chłodny powiew na skórze, ale jego penis był tak ogromny i rozgrzany, że podniósłby temperaturę w pokoju niczym grzałka. Co za idiotyczne skojarzenie, skarcił się w myślach. Musiał się jednak przy tym uśmiechnąć, ponieważ Joanna odpowiedziała tym samym i odchyliła kołdrę.

Chociaż żywił tyle obaw, wszystko okazało się cudownie proste. Położył się koło niej, czując całym sobą jej ciepłe ciało, i zanim zaczął się zastanawiać, czego mogłaby od nie-



go oczekiwać w ramach gry wstępnej, przyciągnęła go i nagle znalazł się w niej; westchnął z ogromną ulgą. Czuł się, jakby wrócił do domu - było to egzotyczne, a jednocześnie znajome doświadczenie, tak rozkoszna kombinacja, że wiedział, iż nie wytrzyma zbyt długo. Nie miało to jednak znaczenia. Na wszystko przyjdzie czas później. Obrócił głowę, szukając ustami jej ust, a kiedy połączyli się w pocałunku, poczuł, jak Joanna unosi biodra. To było to. Rozluźnił się i trysnął nasieniem tak obficie, jakby cały czas oszczędzał się dla tej właśnie chwili.

Usłyszał jej cichy jęk, a potem odpłynęli razem w ciemne oceany nocy, czystości i spełnieni. Długo, długo potem pocałowała go w policzek i oparła mu głowę na ramieniu. Slider ułożył się na plecach i objął ją, układając głowę na jej piersi. Czuł się wspaniale. Chciał powiedzieć, że ją kocha, ale nie mógł wydusić ani słowa. Przeżycie było zbyt intensywne, jakby zakończenia jego nerwów zostały nagle obnażone i zatarła się różnica między bólem a rozkoszą. Musiał przez chwilę pomilczeć, żeby przekonać się, czy może wytrwać w owym nowym i niebezpiecznym stanie ducha.

## Rozdział 6

### MOTYL I BEHEMOT

Obudził się spokojnie, z uczuciem, że poprzedniego wieczora zdarzyło się coś niesamowitego, o czym zapomniał podczas snu. Poruszył się lekko i poczuł ruch gdzieś z boku. Nie był sam w łóżku. Nagle wszystkie wspomnienia wróciły do niego klarownie czyste. Otworzył oczy i spojrzał na Joannę w świetle dnia, wtuloną w niego, śpiącą spokojnie na boku. Kołdra zsunęła się, odsłaniając jej kształty. Była zbudowana z krzywizn, mocno wcięta w tali, ładnie zaokrąglona w biodrach i na piersiach. Jej włosy były miękkie i ciężkie, jakby wytopione z kruszcu, zbyt gęste, aby się kręcić. Każde pasmo żyło własnym życiem, układając się na głowie niczym płatki brązowej chryzantemy.

Sięgnął, aby odgarnąć kosmyk z jej twarzy. Joanna uśmiechnęła się i przytuliła twarz do jego dłoni. Pogładził jej brwi i uniesione w uśmiechu kąciki ust. Jej twarz była uległa, miękka pod jego palcami, zupełnie jakby mógł ją sam wyrzeźbić. Czuł się potężny. Świat na zewnątrz był mroczny i mokry jak noworodek. Należał do niego.

Joanna wzdrygnęła się nagle. Przyciągnął ją do siebie i nakrył kołdrą. Wyprostowała się nieco, czując ciepło. Dotknęła dłonią jego członka, który uniósł się i stwardniał na jej przywitanie.

- Hmm? - mruknęła pytająco, nadal z zamkniętymi oczami.

- Hmmm - odparł, przesuwając dłońmi po jej ciele. Rozwinęła się niczym kwiat, a on zanurzył się w niej bez wysiłku. Tym razem nie spieszyli się, szukając rozkoszy powoli, łagodnie, całując się i dotykając. Było to niesamowite uczucie, którego Slider nigdy jeszcze nie doświadczył. Był szczęśliwy i zdziwiony.

- Kocham cię - powiedział po wszystkim, a potem uniósł się na łokciach i spojrzał na nią.

- Nie sądzisz, że jest nieco za wcześnie na takie wyznania? - odparła rozbawiona.

- Tak myślisz? Nie wiem. Nigdy przedtem czegoś takiego nie czułem ani nie zrobiłem.

- W takim razie bardzo mi miło.

- Szkoda, że nie spotkałem cię wcześniej - rzekł, jak każdy inny mężczyzna w podobnym momencie.

- Nie podobałabym ci się - powiedziała pocieszająco.

- Oczywiście, że byś mi się podobała. Musiałaś...

- W tym momencie jego wzrok przyciągnęły seledynowe cyfry zegarka elektronicznego. Obrócił lekko głowę i zeszywniał z zaskoczenia. - Chryste, już za dwadzieścia siódma!

- Naprawdę? - Nie wydawała się zaniepokojona tym spostrzeżeniem.

- Ależ to niemożliwe! Nie mogliśmy przecież przespać całej nocy!

- No rzeczywiście, nie przespaliśmy całej nocy - wymruczała. - O co chodzi? - spytała, widząc, że Slider jest naprawdę zdenerwowany. Ale on już zsunął się z niej, wstał z łóżka, przerzucając nogi przez brzeg, i zaczął zbierać ubranie. Joanna zrozumiała, co go zdenerwowało. Jej usta wykrzywiły się smutno.

- Chryste - wymamrotał. - To koniec. Co ja teraz zrobię, do cholery? Jezus Maria!

Joanna uniosła się i spojrzała na niego.

- Nie możesz teraz jechać do domu - powiedziała rozsądnie. - Spędziłeś poza domem całą noc i to wszystko. Wróć do łóżka, chociaż na chwilę. Siódma to wystarczająco wczesna pora na tłumaczenia.

Ale Slider wiedział, że jest źle. Świat zwałił się na niego niczym lawina. Cała ta czysta prostota, której doświadczył przed chwilą, okazała się ułudą. Nie był już wszechmocny. Po powrocie do domu znowu będzie kłótnia, a na dodatek musi wymyślić cały stek kłamstw, żeby usprawiedliwić swoją nieobecność. Zapewne Irene i tak mu nie uwierzy, ale niezależnie od tego Slider będzie się czuł fatalnie, że ją okłamał.

- Chryste - wymamrotał.

- Uspokój się - zaprotestowała.

Potrząsnęła głową, odsuwając się od niej.

- Muszę skorzystać z telefonu - rzucił żałośnie. - Przykro mi.

Spojrzała na niego przeciągle, a potem wstała z łóżka i otuliła się szlafrokiem.

- Telefon stoi obok ciebie. Pójdę zrobić herbatę.

Wyszła. Slider wiedział, że Joanna nie chce słuchać jego kłamstw, i poczuł się jeszcze gorzej. Sięgnął po słuchawkę. Atherton długo nie odbierał telefonu.

- Byłem pod prysznicem. Co się dzieje? Wcześniej wstałeś.

-Jeszcze się nie kładłem.

- Co takiego?

- W każdym razie nie w swoim łóżku. Spędziłem noc poza domem.

Nastąpiła długa, wymowna cisza.

- Chyba się przesłyszałem. Proszę, powiedz, że to nie to, co myślę - Slider czuł, że Atherton nie wierzył, iż jego partner mógł zrobić coś podobnego. Owa świadomość przygnębiła go jeszcze bardziej.

- Byłem z Joanną Marshall. Jestem teraz u niej.

Kolejna długa, jeszcze bardziej wymowna chwila milczenia.

- Chryste, szefie, nie chcesz powiedzieć...

- Wczoraj wieczorem zabrałem ją na kolację, a potem...

- Nie potrafił dokończyć tego zdania. Czuł wypełniające go poczucie winy. - Och, na litość boską, nie muszę ci chyba tłumaczyć szczegółów, co? Użyj swojej wyobraźni. Robiłeś to sam wielokrotnie.

- Tak, ale ja...

- Problem w tym, że muszę coś powiedzieć Irene. Czy mogę skłamać, że byłem z tobą?

- No tak, świetnie. - Ton Athertona stwardniał. - Po tym na pewno mnie pokocha.

- Tak czy siak nie sądzę, żeby cię lubiła, więc nie robi to żadnej różnicy. Proszę cię. Zadzwoń do niej i powiem, że pracowaliśmy do nocy, a potem wyskoczyliśmy na kilka drinków i zrobiło się za późno na powrót do domu.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś do niej ode mnie?

- O Boże... dotarliśmy na miejsce za późno. Pomyślałem, że położyła się już spać, i nie chciałem jej budzić.

- Chryste! To wszystko, na co cię stać?

- A co mam niby powiedzieć? Daj spokój, pomóż mi lepiej.

- W porządku - rzucił Atherton, wyraźnie zły. - Ale nie podoba mi się to. To nie twój styl. Co ci odbiło?

- Każdy ma swój gorszy dzień - odparł słabo Slider.

- Chodzi mi o zadawanie się ze świadkiem...

- Joanna nie jest świadkiem materialnym. Poza tym co to ma za znaczenie? I tak mam przerąbane z Irene. Nie wsiadaj na mnie jeszcze i ty!

- Dobra, dobra, nie gryź! Powiem jej, co tylko chcesz. Po prostu martwię się o ciebie, to wszystko.

- Dzięki. Przepraszam.

- Tylko spokojnie. - Niepokój w jego głosie był wyraźnie słyszalny. - Zamierzasz teraz zadzwonić do Irene? Chcesz wrócić do domu?

Sama myśl o tym sprawiła, że Slider zadrżał.

- Chyba będzie lepiej, jeśli tego nie zrobię. Przyjadę do pracy i porozmawiam z najbliższym krewnym Anne-Marie, czyli jej ciocią z Cotswolds. Zajmiesz się papierkową robotą? Dostałeś moją wiadomość?

- Tak. Okay. Pogadam ze starą Gostyń i Johnem Brownem. Pomyślałem też, że zawiozę skrzypce do Sotheby'ego.

- Dobrze. Może spróbowałbyś się też skontaktować z byłym chłopakiem ofiary, Simonem Thompsonem.

- W porządku. Zobaczymy się później?

- Zależy od tego, co wydarzy się w ciągu dnia. Zadzwonię do ciebie tak czy owak.

- Jasne. - Przerwał na chwilę. - Zabierzesz ją ze sobą?  
Pomysł Athertona spodobał się Sliderowi.

- Cóż... tak, pomyślałem, że chyba mógłbym ją zabrać.  
Po drugiej stronie Atherton westchnął ciężko.

- No dobrze, tylko wiesz, bądź ostrożny, dobra, szefie?

- Nie ma sprawy - odparł sztywno i odłożył słuchawkę-

Do pokoju weszła Joanna, niosąc kubek herbaty.

- Skończyłeś?

- Rozmawiałem z Athertonem, moim sierżantem. Powiedział, że... da mi alibi, rozumiesz.

- Och. - Spojrzała w bok.

- Ale teraz muszę...

- Pójdę się wykapać - przerwała mu ostro i wyszła z twarzą pozbawioną wszelkich emocji. I to miała być ta łatwiejsza część całej afery, spytał sam siebie, wykręcając numer domowy. Irene odebrała po drugim dzwonku.

- Bill?

- Hej. Obudziłem cię?

- Gdzie jesteś? Co się stało? Umierałam z niepokoju!

- Byłem z Athertonem, u niego. Nicholls do ciebie nie dzwonił?

- Tak, wczoraj wieczorem. Powiedział, że będziesz późno, to wszystko. Nie mówił, że w ogóle możesz nie wrócić. Jak długo można przesłuchiwać świadków? Kim oni są, pracownikami nocnej zmiany?

Łatwiej było sobie poradzić z jej gniewem niż z bólem lub zmartwieniem. Slider poczuł zawstydzającą ulgę.

- Nie, Są muzykami i akurat koncertowali. Musieliśmy zaczekać do końca. Potem zaczęliśmy przeglądać

z Athertonem zeznania. Wypadliśmy na kilka drinków i...  
cóż, pomyślałem, że lepiej, jeżeli odpuścę sobie jazdę  
samochodem.

- Dlaczego, do cholery, nie zadzwoniłeś? Nie wiedzia-  
łam, co się z tobą stało. Mogłeś nie żyć.

- Och, kochanie... zrobiło się strasznie późno, nawet  
tego nie zauważyliśmy. Pomyślałem, że już pewnie położy-  
łaś się spać. Nie chciałem cię budzić...

- Nie spałam. Jak mogłam niby zasnąć, nie wiedząc, co  
się z tobą dzieje? Powinieneś zadzwonić bez względu na  
godzinę!

- Przepraszam. Po prostu nie chciałem ci przeska-  
dzać. Następnym razem zadzwonię - odparł nieszczęśliwy  
Slider.

- Jesteś wstrętnym egoistą, wiesz? Przy twojej pracy mog-  
ło ci się przytrafić wszystko. Ja tu siedzę w domu, zastana-  
wiam się, czy jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę, czy jakiś  
szalenciec nie rzucił się na ciebie z nożem...

- Powiadomiliby cię, gdyby coś się ze mną stało.

- Nie żartuj sobie na ten temat, draniu!

Nic nie odpowiedział. Po chwili milczenia Irene ciągnę-  
ła nieco spokojniejszym tonem:

-Wiem, co to było. Upiliście się z tym cholernym  
Athertonem, prawda?

- Wypiliśmy kilka szkockich... - Z wysiłkiem ukrył ulgę  
w głosie. Niebezpieczeństwo najwyraźniej zostało zażegna-  
ne. Niech sobie myśli, że ma rację!

- Ani słowa więcej! Nie cierpię tego człowieka. Zawsze  
próbuję cię nastawić przeciwko mnie. Wiem, co wyra-  
biacie, kiedy jesteście razem. Opowiadacie sobie sprośne  
historyjki i chichoczeć głupkowato jak dwa dzieciaki.



Nie masz pojęcia, jak bardzo ten Atherton blokuje twój awans. Gdyby nie on, dawno już byś poszedł wyżej.

- Kochanie, daj spokój...

- Nie mów do mnie kochanie - odparła, ale słyszał, że z jej głosu powoli znika gniew, wypierany przez wieloletnie rozgoryczenie. - Powinieneś już dawno zostać głównym inspektorem, wszyscy to wiedzą. Ten twój cholerny Atherton też. Zazdrości ci i dlatego ściąga cię w dół.

Slider zignorował ten komentarz.

- Posłuchaj, kochanie - odparł najbardziej rzeczowym tonem, na jaki go było stać. - Przepraszam, że zamartwiałaś się z mojego powodu. Obiecuję, że jeśli taka sytuacja się powtórzy, na pewno zadzwonię. A teraz muszę już lecieć. Mam dzisiaj cholernie dużo roboty.

- Nie zamierzasz wrócić do domu, przebrać się?

- Nie. Pojadę do pracy tak, jak jestem. Koszula nie wygląda źle, a ogolę się na posterunku.

„Domowa” rozmowa zdawała się ją nieco uspokajać.

- Zapewne nie ma sensu pytać, o której wrócisz dziś do domu?

- Postaram się być niezbyt późno, ale nie mogę nic obiecać. Wiesz, jak to jest.

- Tak, wiem, jak to jest - odparła z ironią, ale przynajmniej zaakceptowała jego odpowiedź. Łódka podryfowała znowu w odpowiednim kierunku. Pożegnał się i odłożył słuchawkę. Nagle zdał sobie sprawę, że pomimo chłodnego styczniowego poranka cały się spocił.

Czuł się bardzo źle, jakby atakowała go grypa. Więc tak to wyglądało. Pomyślał o tysiącach mężczyzn na całym świecie, dla których podobne kłamstwa i udawanie były czymś normalnym, codziennością. Jak oni to robili, jak

mogli do tego przywyknąć? Cóż, on też sobie jakoś poradził, prawda? Całkiem nieźle. Kłamał jak najęty i udało mu się. Poczłł niesłychaną ulgę, kiedy Irene łyknęła jego historyjkę, a jednocześnie obrzydzenie do samego siebie sięgnęło apogeum. Może wszyscy faceci potrafili tak łąać? W każdym razie przekonał się, że on na pewno.

Najgorsze minęło. Zaczął nasłuchiwać pluskania wody i pomyślał o Joannie. Natychmiast opuściło go całe zdennerwowanie i zniechęcenie wywołane telefonem. Pomyślał o kochaniu się z nią i poczuł falę gorąca rozchodzącą się pod jego skórą. Jeżeli Joanna miała dziś wolne, mogliby spędzić ze sobą cały dzień. Błagam, niech ma wolne! Cały dzień z nią!

To była druga strona medalu, nieprawdaż? To zaś, że obie potrafiły istnieć całkowicie niezależnie od siebie, sprawiało, że cała rzecz stawała się możliwa do przeżycia. Cholerni z nas gówniarze, pomyślał bez przekonania. Błagam, niech dzisiaj nie pracuje! Miał nadzieję, że znajdzie w łazience maszynkę do golenia wystarczająco ostrą na jego szczecinę. Wstał i ruszył w kierunku, z którego dobiegało pluskanie.

Andrew Watson, ekspert z domu aukcyjnego Sotheby, był niewysokim, szczupłym, nienagannie ubranym blondynem. Emanował charakterystycznym pięknem człowieka z wyższych sfer, mającym swe źródło w wielopokoleniowej prawidłowej diecie i odpowiedniej higienie osobistej. Przydawało mu ono aury mądrości i młodości w równych proporcjach. Rzeczywiście, mógł być tak młody, na jakiego wyglądał, i tak doświadczony, na jakiego wyglądał. Wychowany w Weybridge Atherton otrzymał słabe

wykształcenie i teraz ciążyło mu jak wstydliva przeszłość. W porównaniu z tym mężczyzną czuł się ogromny i niezgrabny niczym behemot. Górował nad swoim rozmówcą tak, że mógłby go zdeptać butem niczym motyla. Woda kolońska Andrew Watsona miała tak kosztownie delikatny zapach, że przez dłuższy czas Atherton uważał, że zawodzi go zmysł powonienia.

Poza tym wszystkim Andrew Watson był wyraźnie podniekcytowany widokiem skrzypiec. Atherton przypuszczał, że rzuca się to tak w oczy, ponieważ Watson pragnął okazywać jedynie spokojny profesjonalizm. Po długim, uważnym obejrzeniu skrzypiec, zajrzeniu do księgi grubej niczym czternastowieczna Biblia, Watson zaczął się szykować do oględzin każdego skrawka instrumentu pod lupą. Atherton niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. Miał inne rzeczy do roboty. Powinien być na posterunku, kiedy przywiozą panią Gostyń. Nie odebrała telefonu, kiedy zadzwonił do niej z samego rana, więc Atherton poprosił jednego z mundurowych, żeby pojechał do jej mieszkania i przywiózł ją na komisariat.

W końcu Watson przypomniał sobie o jego obecności.

- Czy mógłbym spytać, skąd ma pan ten instrument?

- Mógłby pan, lecz nie wolno mi odpowiedzieć na to pytanie - odparł Atherton. Eleganckie wysławianie się bardzo się udzielało. - Czy rzeczywiście jest to stradivarius?

- W rzeczy samej. Bardzo cenny egzemplarz. Niezwykle wartościowy. Mój współpracownik zgodził się ze mną, iż jest to instrument wykonany przez Antonio Stradivariego w Cremonie w tysiąc siedemset siódmym roku, znany pod nazwą La Donna, czyli Pani - przetłumaczył uprzejmie. Atherton pokiwał poważnie głową. - Widzi pan, drewno,

z którego wykonano bok skrzypiec, ma swoistą ziarnistość, niezwykle charakterystyczną i wyjątkową - ciągnął Watson, obracając instrument, aby zademonstrować, o czym mówił. Atherton spojrzał, nie dostrzegł niczego szczególnego, ale i tak pokiwał głową. - To bardzo znane skrzypce, których historia jest wyjątkowo dobrze udokumentowana aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Wtedy to instrument zniknął, podobnie jak wiele innych cennych eksponatów podczas nazistowskiej okupacji Włoch. Od tamtego czasu słyhać było liczne spekulacje dotyczące losów La Donny. Byłoby niezwykle interesujące, oczywiście nie tylko dla mnie osobiście - jego głos przybrał nieco zaniepokojony ton - gdyby świat mógł się dowiedzieć, w jaki sposób znowu się odnalazła.

Atherton potrząsnął głową.

- Gdybym mógł panu powiedzieć, zrobiłbym to. Jest pan pewien, że to oryginał?

- Och, tak, całkowicie! Dostrzegam tu wiele cech charakterystycznych La Donny. Na przykład jeśli spojrzysz pan na ślimak, o tutaj...

- Wierzę panu na słowo - przerwał czym prędzej Atherton. Watson wyglądał na zranionego.

- Oczywiście może pan poprosić o niezależną ekspertyzę - zaczął. - Mógłbym polecić...

- Jestem pewien, że to zbędne. - Sierżant uśmiechnął się. - Czy mógłby pan je dla mnie wycenić?

- Gdy ma się do czynienia z tak wartościowym instrumentem, trudno jest ustalić jednoznacznie jego cenę. Zależałoby to całkowicie od rodzaju aukcjonariuszy. Bardzo często sprzedaje się przeróżne cenne przedmioty jak ten tutaj i ich ceny mogą przekraczać wszelkie oczekiwania.

Osobiście polecałbym panu, aby zacząć przynajmniej w okolicach siedmiuset, ośmiuset tysięcy.

- Funtów?

- Naturalnie. Nie operujemy już gwineami. - Watson odzyskał profesjonalny spokój w momencie, w którym Atherton stracił swój. - Musi pan zrozumieć, że to bardzo cenny i niezwykły instrument. W dodatku, co zauważam z prawdziwą przyjemnością, w doskonałym stanie. - Przesunął po skrzypcach dłoń z uczuciem, niczym prawdziwy koneser, a potem spojrział błękitnymi jak przetaczniki oczami na Athertona. - Myślę, że z łatwością sprzedałby je pan za milion funtów. Jeżeli kiedykolwiek zdecyduje się pan na licytację, będę się czuł zaszczycony, jeżeli pozwoli mi pan zająć się transakcją. Będę również niezmiernie wdzięczny, jeżeli uzna pan, iż może się podzielić ze mną ich historią.

Atherton milczał. Watson westchnął i delikatnie umieścił skrzypce w futerale.

- To prawdziwy szok widzieć ten piękny instrument w tak okropnym futerale i z tymi paskudnymi smyczkami. Mam nadzieję, że nikt nie próbował ich używać do gry na stradivariusie.

- Sądzi pan, że smyczki są... niestosowne? - spytał nagle zainteresowany Atherton, starając się ostrożnie dobrać słowa.

- Nie mogę uwierzyć, że jakikolwiek muzyk mógłby nawet dotknąć owych skrzypiec jednym z nich - odparł Watson z niezachwianym przekonaniem.

- Nie wiedziałem, że istnieją dobre i złe smyczki.

- Oczywiście. Dobre smyczki w dzisiejszych czasach są prawdziwą inwestycją. Obawiam się, że nie znam się

na nich wystarczająco dobrze. Są same w sobie dziełami sztuki. Jeżeli chce się pan o nich dowiedzieć czegoś więcej, powinien pan porozmawiać z panem Salomanem od Vinceya. To kilkanaście metrów stąd, na Bond Street. Pan Saloman jest bodaj najlepszym ekspertem w kraju w tej dziedzinie. Jestem przekonany, że jego również niezwykle ucieszy widok tych skrzypiec.

- Dziękuję, panie Watson - odparł Atherton, powstrzymując się od serdecznego uściśnięcia mu ręki, po czym zabrał stradivariusa i odszedł, wielki niczym behemot.

Najpierw znalazł budkę telefoniczną i zadzwonił na komendę. Odebrał Mackay z wydziału kryminalnego. Powiedział, że pani Gostyń nadal nie odbiera telefonu ani też nie odpowiada, gdy dzwoni się do drzwi. Atherton poczuł lekki niepokój.

- Powiedz, żeby nadal próbowali, dobrze? Taka staruszka nie mogła się nigdzie daleko wybrać. Musi niedługo wrócić. Będę dzwonił od czasu do czasu, żeby się dowiedzieć, czy się z nią skontaktowaliście.

Potem ruszył na spotkanie z Johnem Brownem, kierownikiem kadr i menedżerem orkiestry. Był to rumiany, pulchny czterdziestoletni mężczyzna o wrogim spojrzeniu starzejącego się homoseksualisty. Powitał Athertona beznamytnie, z miną lekko obrażonego kota, którego przyniesiono do weterynarza. Zupełnie jak ktoś, na kogo życie zwala dodatkowe niezasłużone obowiązki.

- Nie była z nami długo. Przyjechała z Birmingham - rzucił, jakby w ten sposób chciał umyć ręce od całej sprawy.

- Skąd w Birmingham? - spytał Atherton inteligentnie.

- Z orkiestry, proszę pana. - Brown przewrócił oczami. - Z orkiestry miejskiej. Grała tam około trzech lat.

Powiedzą panu dużo więcej o jej życiu prywatnym niż ja - dodał, pociągając nosem.

- Czy Anne-Marie miała w orkiestrze jakichś przyjaciół?

- Zadawała się z Joanną Marshall, ale dzieliły pulpit, więc to normalne. - Wzruszył ramionami. - Na przerwach na kawę i tym podobnych większość zostaje w gronie własnej sekcji. Nie była bardzo towarzyska. Zupełnie nie. Nie umiem panu powiedzieć, co robiła poza godzinami pracy.

- Czy dużo piła? Brała jakieś narkotyki, paliła marihuane, cokolwiek w tym stylu? Czy sprawiała kiedykolwiek jakieś kłopoty?

- Skąd mogę wiedzieć? - odparł Brown, odwracając głowę.

- Nie lubił jej pan, prawda? - spytał Atherton, jakby rozmawiał z kobietą.

- Ani ją lubiłem, ani jej nie lubiłem - rzekł Brown z godnością. - Była dobrym muzykiem i można na niej było polegać nie mniej niż na pozostałych członkach orkiestry. To jedyna rzecz, jaka mnie interesowała.

- Co ma pan na myśli, mówiąc „nie mniej”? Można było na niej polegać nie mniej niż na kim?

- Och, oni zawsze chcą, żeby wypuścić ich do jakichś robótek na boku. Ona chciała wracać i grać ze swoim poprzednim zespołem. Tacy są dzisiejsi muzycy. Chciwi. Żadnej lojalności. Nigdy nie pomyślą, ile tym sprawiają kłopotu innym. Anne-Marie jeździła do Birmingham przynajmniej raz w miesiącu. Szczerze powiedziawszy, jestem zdumiony, że w ogóle ją chcieli. Bez wątpienia mają na miejscu wielu skrzypków, z których mogliby skorzystać. Nie była aż tak dobra, żeby nikt nie mógłby jej zastąpić.

Atherton nie miał jeszcze pojęcia, co z tego wszystkiego wynika.

- Miała chłopaka? Kogoś z orkiestry? - spytał.

Brown znowu wzruszył ramionami.

- Zapewne tak. Typowa moralność kota dachowca.

- Mówi pan o muzykach?

- O kobietach - wypluł z siebie z pociemniałą z gniewu twarzą. - Nie lubię kobiet w orkiestrze i mam po temu powody. Sprawiają wyłącznie kłopoty. Tworzą grupy, nastawiają jednych przeciwko drugim, obgadują ludzi za ich plecami, ale nie daj Boże zwrócisz im uwagę, zaraz zaczynają płakać i trzeba im dać spokój. Żadnej dyscypliny. Nie mieliśmy kłopotów, dopóki nie zaczęliśmy zatrudniać kobiet. Oczywiście teraz to nasz obowiązek prawny - parsknął. - Nie wolno nam wybierać wyłącznie mężczyzn.

Atherton przybrał beznamiętny wyraz twarzy.

- Czy był ktoś szczególny w jej życiu? Jakiś mężczyzna z jej sekcji?

Brown odwrócił wzrok.

- Zapewne ma pan na myśli Simona Thompsona. Byli razem na tournée, jeden jedyny raz. Powinien pan zapytać o to jego. To nie moja sprawa.

- Dziękuję, zrobię to. - Brown zdecydowanie nie lubił kobiet. Ciekawe czego jeszcze. - Kiedy widział pan pannę Austen po raz ostatni?

- W poniedziałek, w centrum telewizyjnym. To oczywiste i doskonale pan o tym wie.

- Tak, ale kiedy dokładnie? Czy widział pan na przykład, jak opuszcza budynek?

- Nie widziałem, jak wychodzi. Stałem w drzwiach studia i rozdawałem paski z płacami. Anne-Marie zabrała



swój i więcej już jej nie zobaczyłem. Kiedy wyszedłem ze studia, dawno jej już nie było.

- Jak płacicie muzykom? Przelewem bankowym?

- Tak. Ja tylko rozdaję potwierdzenia wypłaty.

- Ile zarabiała panna Austen? Przypuszczam, że to akurat pan wie.

- Nie powiem tego z głowy, ale mogę panu pokazać wydruk komputerowy. Wszyscy pracują na zlecenie i płacimy im za każdą sesję, więc wysokość wypłaty dla poszczególnych muzyków różni się i jest inna w różnych miesiącach. Zależy, ile mamy pracy.

- Zatem jeśli miesiąc jest spokojny, nie dostają dużo pieniędzy, tak?

- Niekoniecznie. Wszyscy pracują poza orkiestrą, dla innych zleceniodawców. Mogą to robić, jeśli nie mamy żadnych zleceń. - Brown wyciągnął na biurko stos zielonych kartek i przejrzał wprawnym ruchem. - Proszę bardzo, Austen. W zeszłym miesiącu zarobiła osiemset dwanaście funtów i trzydzieści trzy pensy.

- Czy to powyżej przeciętnych zarobków?

- Nie umiem powiedzieć. W zeszłym miesiącu byliśmy dość zajęci, ale nie był to najlepszy okres w tym roku. Zawsze mamy przestoje w okolicy Bożego Narodzenia.

Atherton szybko dokonał pobieżnego rachunku. Anne-Marie zarabiała pomiędzy dziesięć a dwanaście tysięcy rocznie - stanowczo za mało, żeby kupić stradivariusa nawet na kredyt. Wyglądało na to, że aby zdobyć owe skrzypce, wplątała się w coś niedobrego. Zerknął przez ramię Browna na szczegóły konta bankowego Anne-Marie i przyglądając się kątem oka twarzy menedżera, zapytał od niechcienia:

- Czy wie pan, jakiego rodzaju skrzypiec używała panna Austen?

Brown był lekko zaskoczony.

- Nie mam pojęcia. Joanna Marshall pewnie będzie wiedziała.

Jeżeli stradivarius był kluczem do rozwiązania zagadki, Brown o niczym nie miał pojęcia.

- W porządku. Zatem wręczył pan pani Austen jej pasek i wtedy widział ją pan po raz ostatni?

- Już panu mówiłem. - Brown znowu się naburmuszył.

- Co pan zrobił potem, po rozdaniu wszystkich wydruków?

- Pojechałem do domu i położyłem się spać.

- Czy ktoś to może potwierdzić? Mieszka pan sam? Dąsy zmieniły się w tępy gniew.

- Tak się składa, że mam współlokatora. Może panu powiedzieć, o której godzinie przyjechałem do domu.

- Współlokatora?

- Tak - wypuł z siebie to słowo. - Trevor Byers. Może pan o nim słyszał. Jest specjalistą, chirurgiem ortopedą w szpitalu St Mary. Czy to panu wystarczy?

Oho, pomyślał Atherton, spisując nazwisko. Problemiki?

- Oczywiście - odparł. Postanowił podrażnić go jeszcze trochę. Zdecydował się na stary numer w stylu „a tak przy okazji”. - A tak przy okazji, czy między panem a panną Austen były jakieś niesnaski?

Brown walnął pięściami o blat biurka i pochylił się do przodu, czerwony z gniewu.

- Co pan usiłuje sugerować? Nie lubiłem jej, to prawda. Nie robię z tego tajemnicy. To wichrzycielka. Wszystkie kobiety takie są. Nie powinny grać w orkiestrach, już to

zresztą mówiłem. Jedna w drugą to ladacznice i nigdy nie myślą o pracy.

- Nie akceptował pan jej związku z Thompsonem?

Brown opanował się, wyprostował i z głośnym świstem wypuścił powietrze.

- Powiedziałem panu, to nie moja sprawa. To ona mąciła wodę, obgadywała ludzi, kłamała...

- Na pana temat?

- Nie! - Odetchnął. - Nic mnie nie obchodziła jej paplanina. Jeżeli pan sądzi, że ją zamordowałem, to szczerka pan na złe drzewo. Nie splamiłbym sobie rąk czymś takim. Jeżeli zaś chodzi o kłopoty, jakie sprawiała, niech pan zapyta Thompsona, on wszystko panu opowie.

- To zwykle przesłuchanie, proszę pana - rzekł pojednawczo Atherton. - Musimy wypytać o wszystko, nawet o najbardziej nieprawdopodobne rzeczy. To rutynowe działanie, rozumie pan.

Już w samochodzie zaczął się zastanawiać nad całą sytuacją.

Brown - homoseksualista, Austen z kupą forsy? Czyżby go szantażowała? Homoseksualizm nie jest nielegalny, ale być może szanowany chirurg nie chciałby, aby sprawa się wydała. Z drugiej strony... westchnął. Trzeba sprawdzić wszystkich, zanim dojdzie się do jakiegoś wniosku, a było jeszcze wiele do zrobienia. Dlaczego ta cholerna dziewczyna nie mogła być na przykład latarnikiem, zamiast grać w ponadstuosobowej orkiestrze?

Idealna kobieta Billa zaczynała mieć skazy. Nawet jeśli wziąć pod uwagę wynikające z charakteru uprzedzenie Browna do kobiet, w Anne-Marie musiało być coś, co sprawiało, że ludzie jej nie lubili. Zmarszczył lekko brwi.

Swoją drogą, co się działo ze starym Billem? Najpierw prawie się zakochał w tej Austen, a teraz posunął się zdecydowanie za daleko i przeleciał świadka w dochodzeniu. I to człowiek, który nigdy w życiu nie zdradził żony przez wszystkie lata małżeństwa. Wszystko to niesłychanie niepokoiło Athertona.

RS

## Rozdział 7

### OSTATNIE UMEBLOWANE MIESZKANIE NA ŚWIECIE

Na początku Slider prowadził, jakby on i jego samochód zrobieni byli z cieniutkiego szkła. Oddychał z ogromną, pijacką ostrożnością, czasem wstrzymując powietrze w płucach, jakby chciał się przekonać, czy wtedy coś się zmieni, czy Joanna przypadkiem nie zniknie, on zaś nagle znajdzie się sam, w swoim wozie, w środku korka na Perivale. Jego umysł był jakby nabrzmiały, rozrośnięty niczym wata cukrowa, wypchnięty poza normalne ramy z wysiłku związanego z próbą ogarnięcia niemożliwego i połączenia go z czymś znajomym. Do tej pory istniała Irene i dzieci, teraz pojawiła się jeszcze Joanna. Obie okupowały jednocześnie ten sam obszar w jego umyśle, co stanowiło afront dla praw fizyki, których uczył się w szkole.

Nigdy przedtem się tak nie czuł. Przychodziły mu na myśl wyświechtane słowa wszystkich znanych piosenek miłosnych - teraz nagle tak dosłowne, tak prawdziwe. Nie było to jedynie intensywne uczucie, które znał wcześniej, tylko coś zupełnie nowego i Slider nie wiedział, jak sobie

z tym poradzić. Gdy był młody, w jego życiu było parę kobiet, potem zaś pojawiła się Irene. Slider nigdy nie czuł się z Irene tak, jak teraz.

Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek jakimś intensywnym uczuciem darzył swoją żonę. Oświadczył się jej, ponieważ oczekiwano od niego tego kroku. Najpierw człowiek kończy szkołę, potem zaczyna pracować, a później się żeni. Cenił Irene, bo jego matka uważała ją za idealną partię. Traktował ją jako kolejny cel w życiu i naturalnie założył, iż skoro ma się z nią ożenić, zapewne ją kocha.

Po ślubie zachowywał się stuprocentowo poprawnie, ponieważ tak należało i chyba również dlatego, że w jego naturze leżało współczucie. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz, powiedziałaaby jego matka, gdyby kiedykolwiek dowiedziała się o jego rozczarowaniu. Slider też tak uważał. Teraz jednak zmagął się z nagłą, raniącą poczucie własnej wartości możliwością, że zachowywał się wobec Irene uczciwie tylko dlatego, iż nie doświadczył w życiu pragnienia, aby postąpić inaczej.

Nie, to nie była cała historia. Stanowili z Irene małżeństwo od piętnastu lat, lecz przez wszystkie te lata Slider tak naprawdę jej nie znał. Rozpoznawał ją jedynie i potrafił dość dobrze przewidzieć, co powie albo zrobi w danej sytuacji. Joannę poznał dopiero co i zupełnie nie umiał przewidzieć jej zachowań. Mimo to miał wrażenie, jakby znał ją dogłębnie, na wskroś. Czuł, że chociaż jej uczynki lub słowa mogą go zdumieć, nigdy tak naprawdę go nie zaskoczą.

Groził mu poważny kryzys. Zdradził swoją żonę. Był jej niewierny. Spał z inną kobietą i skłamał, aby to ukryć. Gorzej - zamierzał nadal to robić, tak długo i tak często, jak

będzie to możliwe. Zepsuty przedmiot można naprawić, ale nigdy nie będzie taki sam jak przedtem. Slider wiedział o tym, dlatego rozpoczął coś, co mogło zmienić całe jego życie. W jego decyzji kryło się niebezpieczeństwo i zdawał sobie sprawę, że skrzywdzi Irene i dzieci. Dostrzegał to i doskonale rozumiał. Nie potrafił tylko pojąć, dlaczego wiedząc, iż to, co robi, jest złe i niebezpieczne dla wszystkich bliskich mu ludzi, odczuwał wyłącznie ogromną, rozpierającą go radość, jakby wreszcie życie otwierało się przed nim otworem.

Joanna spojrzała na niego z ukosa i dostrzegła jego nikły uśmiech.

- O czym pan myśli, drogi inspektorze?

Jego radość przemieniła się w śmiech.

- Nie możesz mnie ciągle nazywać inspektorem!

- W takim razie jak mam cię nazywać? Zapewne wyda ci się to śmieszne, ale nie wiem, jak masz na imię.

- Było napisane na mojej legitymacji.

- Miałam wtedy co innego w głowie.

- George William Slider, ale wszyscy zawsze wołali na mnie Bill, bo mój ojciec też miał na imię George. - Wypowiedzenie na głos własnego imienia sprawiło, że bardzo się zawstydził, zupełnie jakby był szesnastolatkiem na pierwszej randce.

- No tak - odparła. - Teraz, kiedy już wiem, to imię rzeczywiście pasuje do ciebie. Lubisz, kiedy nazywają cię Bill?

- Cóż, teraz niewielu ludzi to robi. W policji wszyscy mówią do siebie po nazwisku. Pseudomilitarna struktura, sama rozumiesz. Przypuszczam, że to trochę jak w szkole publicznej. Na przykład ja zawsze nazywałem Athertona po nazwisku. Po prostu nie potrafię pomyśleć o nim

jako Jimie, chociaż nasi młodzi detektywi tak się do niego zwracają.

- Chodziłeś do szkoły publicznej?

Roześmiał się na samą myśl.

- Dobry Boże, nie! Liceum eksperymentalne Timberlog Lane.

- Ładna nazwa - rzuciła zaczepnie. - Gdzie jest Timberlog Lane?

- W Essex, Upper Hawksey. Była to świeżo wybudowana szkoła, jedna z serii Dumy Lat Pięćdziesiątych. Uruchomiona, żeby sprostać powojennemu wyżowi demograficznemu.

- Gdzie jest Upper Hawksey?

- W pobliżu Colchesteru. Kiedyś była to mała wioska, a potem wybudowano tam wielkie osiedle domków jednorodzinnych. Stąd i szkoła. Teraz można to właściwie nazwać miastem-satelitą. Wiesz, co mam na myśli?

- Tak, wiem. Odrestaurowana zielona wioseczka ze starą osmaloną kuźnią, na tle dziesiątek ulic usianych nowoczesnymi domami i zaparkowanymi przed nimi samochodami marki Volvo.

- Coś w tym stylu. Nieco dalej, na obrzeżach, jest stare osiedle domów komunalnych. Tam mieszkaliśmy.

-Już wtedy coś było nie w porządku?

- Uhm. To zabawne; mieszkaliśmy w starej wiosce, więc uważaliśmy siebie za lepszych od wszystkich tych nowych przybyszów. Oni natomiast uważali się za lepszych od nas, ponieważ nie mieliśmy łazienek ani toalet, tylko wychodki. To prawda, nie mieliśmy, ale za to mój ojciec miał niemal akr ogrodu do swojej dyspozycji i hodował dla nas warzywa. Poza tym miał króliki i osiołka.

- Osiołka?



- Do produkcji gnoju.
- Aha. Trochę nieprzyjemne w obróbce, ale bardzo praktyczne. Zatem można powiedzieć, że jesteś ze wsi, tak?
  - Prostack z dziada pradziada, bardzo mi miło. Tata zabierał mnie do lasu i na pole, kazał mi siadać i mówił: „A teraz, chłopcze, trzymaj buzię na kłódkę i miej oczy szeroko otwarte. Nauczysz się wtedy wszystkiego, czego będziesz potrzebował w życiu”. Zawsze uważałem, że był to bardzo dobry trening detektywistyczny.
  - Od dziecka chciałeś być detektywem?
  - Chyba tak. W pewnym momencie przechodziłem przez etap maszynisty. Czytanie historii o Sherlocku Holmesie i Sextonie Blake'u najwyraźniej nieźle mi namieszało w głowie.
    - Uśmiechnęła się.
    - Założę się, że twoi rodzice są z ciebie dumni. Nadal mieszkają w Upper Coś Tam?
      - Hawksey. Tata tak, w tym samym domu z wychodkiem w ogrodzie. Mama... mama umarła. - Nadal nienawidził mówić, że matka nie żyje. Czasownik „umierać” wydawał się jakby mniej destrukcyjny, niedopełniony. - Co z twoimi rodzicami?
        - Oboje żyją. Mieszkają w Eastbourne.
        - Czy tam się urodziłaś?
        - Nie. Przenieśli się tam po przejściu na emeryturę. Wychowałam się w Londynie, w Willesden. Jak widzisz, nigdy nie oddaliłam się zbyt daleko od miejsca urodzenia.
        - Są z ciebie dumni?
        - Przypuszczam, że tak. - Wzruszyła ramionami, a potem zauważyła jego spojrzenie i uśmiechnęła się. - Nie chodzi o to, że ich nie obchodzę, po prostu było nas dużo

w domu. Ja byłam siódmym dzieckiem z dziesięciorga. Nie sądzę, że można się zbytnio przejmować losami każdego dziecka, kiedy ma się ich aż tyle. Poza tym już dawno wyfrunęłam z rodzinnego gniazda. Podejrzewam, że są zadowoleni, że porządnie zarabiam i nie skończyłam w Holloway lub w Shepherds' Market, ale poza tym... - Nie dokończyła zdania. - Jesteś jedynakiem?

-Tak.

- No właśnie. Nadal odwiedzasz swojego ojca?

- Czasami, ostatnio niezbyt często. Nigdy nie mam czasu, a poza tym tata niezbyt się lubi z... - Nagle umilkł.

Joanna spojrzała na niego.

- Z twoją żoną? Prędzej czy później musiałeś o niej wspomnieć. Jak ma na imię?

- Irene - odparł niechętnie. Nie chciał rozmawiać o niej z Joanną. Kiedy jednak nie powiedział nic więcej, w samochodzie zapadła tak złowieszcza i nienaturalna cisza, że wreszcie rzucił z lekką desperacją: - Mama bardzo ją lubiła. Cieszyła się, że się pobraliśmy. Tata za to nigdy się nie umiał z nią dogadać i po śmierci mamy odwiedziny u ojca zaczęły być nieco uciążliwe. Doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jeśli zacznę odwiedzać go sam.

- Przypuszczam, że to dość daleko - rzuciła neutralnie Joanna.

Zapadła cisza. Slider zajął się prowadzeniem. Nagle cały ten brudny, tak znajomy i niepotrzebny stos problemów rodzinnych natarł na jego umysł z całą siłą, zaśmiecając sobą krajobraz niczym prefabrykowane domy z czasów wojny, których nigdy nie zburzono. Mama była bardzo dumna, kiedy ożenił się z Irene. Postrzegala to jako awans społeczny: jej jedyny syn ożenił się ze Współczesną Dziewczyną,

która mieszkała w domu z łazienką. Irene była „lepsza”. Pochodziła z „dobrej rodziny”. Jej rodzice mieli samochód, telewizor i jeździli na wakacje za granicę. Matka Irene nie pracowała i miała pralkę automatyczną. Ojciec Irene pracował w biurze, a nie w polu.

Wyobrażenia i ambicje mamy były nieskomplikowane. Jej Bill zdobył dobre wykształcenie, a potem dobrą pracę i zamierzał się pobrać z dziewczyną z dobrego domu. Być może pewnego dnia sam będzie miał mieszkanie z łazienką. Ze znajomym spazmem nienawiści Slider pomyślał o Kattatonii i o tym, jak bardzo podobałoby się tam mamie. Cóż, powiadają, że mężczyźni zawsze żenią się z kobietami takimi, jak ich matki.

Tata z kolei w jakiś sposób zdołał uniknąć standaryzacji publicznej edukacji. Umiał czytać oraz pisać, a wiedzę ogólną miał ogromną, ale jego podejście do życia pozostało nienaruszone. Żył w zgodzie z naturą, wedle własnych zasad, rozważny i bystry jak dzikie zwierzę. Był również uparty jak jego osioł. Uznał, że Irene nie jest odpowiednią osobą dla syna, i nigdy nie zmienił zdania. Szczerze powiedziawszy, nigdy nie dał jej szansy ani nie brał poprawki na jej młody wiek i brak doświadczenia. To, co z jej strony wynikało z nerwowości, tata postrzegał jako „nadęcie”. Slider, który jak zwykle widział obie strony medalu, nie umiał naprawić stosunków między ojcem i Irene.

Oboje nauczyli się koniec końców jakoś żyć ze sobą, nie chcieli bowiem ryzykować otwartej walki. Slider przypomniał sobie z dreszczem zdenerwowania owe niedzielne wizyty w domu. Och, te podwieczorki z łososiem z puszki, sałatką, ciastem owocowym oraz biszkoptem udekorowanym stertą owoców i metrową warstwą bitej śmietany. Te

uprzejme, monotonne rozmowy, oglądanie zdjęć z albumu rodzinnego, spacerki po ogrodzie i kieliszeczek słodkiego sherry na drogę. Była to rutyna, która zapewne przetrwałaby w ich życiu po dziś dzień, gdyby mama nie umarła, niwelując tym samym potrzebę znoszenia w milczeniu siebie nawzajem.

- Czym się zajmował twój ojciec? - spytała nagle Joanna.  
- Pochodzisz z rodziny policjantów?

- Broń Boże. Jestem pierwszy. Tata był robotnikiem rolnym. - Nawet po wszystkich tych latach Slider mówił to z lekką dumą. Była to pozostałość dni, kiedy Irene, najwyraźniej wstydząc się pozycji społecznej jego rodziny, mówiła ludziom, że jego ojciec jest farmerem, a czasem nawet, że zarządcą. - Dom, w którym mieszkaliśmy, należał do majątku rolnego, ale zanim tata przeszedł na emeryturę, wszystko się zmieniło. Nowe pokolenie robotników rolnych nie chciało żyć w podobnych warunkach, więc zarządcą pozwolił naszej rodzinie zostać. Myślę, że tata wydał w tym domu ostatnie tchnienie i dopiero wtedy wybebeszą to miejsce, odremontują, zainstalują centralne ogrzewanie i wynajmą jakiemuś referentowi z miasta jako weekendowy domek wypoczynkowy.

Wiedział, że w jego głosie słyhać gorycz, i postarał się nadać swojemu tonowi lekkość.

- Nie poznałabyś teraz farmy, na której pracował tata. Kiedy byłem dzieciakiem, mieli tam wszystkiego po trochu: kilka krów mlecznych, kilka świń, kawałek gruntu ornego, kury, kaczki, gęsi, które pałętały się po całym terenie. Teraz wszystko przerobili na sad. Hektary malutkich, skarłowaciałych drzewek owocowych, posadzonych w prostych rzędach. Wykopali wszystkie żywopłoty, zasypali dziury ziemią

i posadzili tam zastępy karłowatych drzew, aż do samej drogi. Wygląda to niczym pustynia.

Jakim cudem drzewa owocowe mogły sprawiać wrażenie pustyni? Zaprotestował milcząco przeciwko własnej, dziwacznej logice. Tylko że naprawdę widok tysięcy równo posadzonych drzewek kojarzył się z pustką. Joanna położyła na chwilę dłoń na jego udzie.

-Wszystko się teraz zmienia. Ludzie zaczynają zdawać sobie sprawę ze swoich błędów i z powrotem sadzą żywopłoty...

- Dla tych, które pamiętam, jest już za późno - powiedział Slider. Odwrócił głowę i spojrzał na nią przelotnie. Jej oczy, brązowe, jak dotychczas sądził, mieniły się barwą złotą, rdzawą i płową, lśniąc w słońcu. - To właśnie najgorsza rzecz w mojej pracy - dodał. - Z natury niemal wszystko, co robię, robię za późno.

- Skoro jesteś tak nieszczęśliwy z tego powodu, dlaczego robisz to, co robisz? - spytała.

- Ponieważ gdybym przestał, byłoby jeszcze gorzej - wyjaśnił Slider.

Simon Thompson mieszkał w apartamencie na Newington Green Road, gdzie żyli ludzie, których nie było stać na przeprowadzkę do Islington. Jego mieszkanie znajdowało się nad sklepem rzeźniczym i, jak stwierdził Atherton, było chyba jednym z ostatnich standardowo umeblowanych przez administrację mieszkań na świecie. Sierżant wspiał się po ciemnych, brudnych schodach na pierwsze piętro i zatrzymał przed tandetnymi drzwiami z dykty z pa-

pierową nalepką. Schody prowadziły wyżej, coraz brudniejsze. Spływał po nich w dół zapach pieluch i przypalonego tłuszczu.

Thompson otworzył drzwi gwałtownie, zaraz po pierwszym puknięciu, jakby przyczaił się za nimi, nasłuchując odgłosu kroków. W rozmowie telefonicznej wydawał się zdenerwowany, protestował i zarazem zgadzał się na spotkanie. Zapewne zdawał sobie sprawę, że był jedyną osobą poza Joanną Marshall, która w jakiś sposób była bliska Anne-Marie Austen.

- Proszę wejść. Nie rozumiem, dlaczego chce pan ze mną rozmawiać. Nie mam nic wspólnego z tą sprawą.

- Doprawdy? - zdziwił się uprzejmie Atherton, wchodząc za Thompsonem do mieszkania tak tragicznie zagraconego, że jeśli miałyby się stać miejscem rozgrywania akcji serialu telewizyjnego, scenarzyście zajęłoby dobry miesiąc urządzenie studia telewizyjnego tak, żeby idealnie odzwierciedlić ów chaos.

-Tędy - rzucił Thompson. Wkroczyli do czegoś, co najwyraźniej było salonem. Stała w nim masywna, przedpotopowa sofa. Wydawało się, że całe mieszkanie zostało zbudowane wokół niej. Poza tym był tam jeszcze komplet niedopasowanych do siebie krzeseł i stołów. Jedna ściana zastawiona była sprzętem hi-fi, nowym i kosztownym, wyglądającym wręcz niestosownie na tle tego bałaganu. Przy najmniej wiadomo było, na co Thompson wydaje pieniądze. W zestawie miał chyba wszystko, o czym można by pomyśleć, włączając w to odtwarzacz płyt kompaktowych. Z boku widniały stojaki pełne płyt winylowych, taśm i kompaktów oraz dwa ogromne głośniki, wyglądające jak para czarnych lodówek.

Wszystko inne w pokoju było przywalone stertą ubrań, gazet, nut, pustych butelek, brudnych naczyń stołowych, książek, listów, pustych opakowań na płyty, ogryzków, zwiniętych niedbale ręczników i przepelnionych popielniczek. Okna pokrywały siatki tak brudne, że początkowo człowiek nie mógł ich odróżnić od ściany. Wyprane zasłony leżały na parapecie, najwyraźniej czekały, aby ktoś je z powrotem powiesił, jednak nawet z miejsca, w którym stał Atherton, widać było, że są pokryte grubą warstwą kurzu.

- Prawie jej nie znałem, rozumie pan - rzucił Thompson obronnym tonem, gdy tylko weszli do pomieszczenia. Spojrzał na Athertona. Był drobnym, szczupłym młodzieńcem o dojrzałej urodzie aktora. Miał czarne, lśniące, choć może nieco zbyt starannie ułożone włosy, ładnie opaloną skórę, a jego oczy były ogromne, błękitne i okolone długimi podkręconymi rzęsami. Miał delikatne, ładne rysy twarzy, usta pełne i nieco nadaśane, a zęby tak białe, że bez wątplenia zawdzięczały to specjalnej paście. Na palcu każdej dłoni nosił obrączkę, a na prawym nadgarstku ciężką złotą bransoletę. Na lewym widniał masywny zegarek z rodzaju tych, co robią wszystko poza tostami i można z nimi nurkować na głębokość trzech mil morskich.

Był typem mężczyzny, który podobał się pewnej grupie kobiet i który nieodmiennie je wykorzystywał. „Zepsuty do szpiku kości”, tak w prostych słowach określiłaby go matka Athertona. Syneczek mamusi: przez całe życie kobiety go hołubiły i teraz nic się nie zmieniło. Zapewne kiedy był jeszcze brzdącem, jego starsze siostry uwielbiały go ubierać w modne ciuszki i zabierały na dwór, żeby pochwalić się braciszkiem swoim koleżankom. Thompson był również,

jak zauważył sierżant, niezwykle zdenerwowany. Ręce, które trzymał przed sobą, były w ciągłym ruchu, a nad jego pełną górną wargą perlił się pot. Co chwila spoglądał na Athertona i natychmiast uciekał spojrzeniem w bok, jak człowiek, który wie, że trup pod kanapą nie został dobrze ukryty, i boi się, iż jego gość może dostrzec wystającą stopę.

- Mogę usiąść? - Atherton odgarnął rzeczy z brzegu sofy i usiadł szybko, zanim śmieci spłynęły z powrotem na to samo miejsce. - To czysto rutynowe przesłuchanie, proszę pana. Nie ma się czym martwić. Musimy porozmawiać ze wszystkimi ludźmi, którzy w jakiś sposób mogą nam pomóc.

- Ale ja prawie jej nie znałem - powtórzył Thompson, przysiadając na oparciu fotela naprzeciwko. Wyglądał na gotowego do ucieczki.

- Zdaje się, że nikt nie znał panny Austin zbyt dobrze. - Atherton uśmiechnął się. - Pan jednak musiał ją znać lepiej niż pozostali. Koniec końców miał pan z nią romans, czyż nie?

Thompson oblizał wargi.

- Ktoś panu powiedział, tak? - Pochylił się do przodu konfidencjonalnie. - Niech pan posłucha, nie mam nic do ukrycia. Przespałem się z nią kilka razy, to wszystko. Na tournée takie rzeczy są na porządku dziennym. Żadnych zobowiązań. Wszyscy panu to powiedzą.

- Naprawdę? - Atherton robił notatki. Thompson po-  
łknął przynętę niczym głodna rybka. Rybka?

- Oczywiście. To nie było nic poważnego. Po prostu zabawiliśmy się nieco razem na wyjeździe, podobnie jak robi to wielu ludzi. Wszystko się urywa, kiedy wsiadamy do samolotu wiozącego nas do domu. Takie są zasady. Jednak



Anne-Marie już po powrocie zaczęła udawać, że to było coś poważnego i że obiecałem jej ożenek.

- Zrobił to pan?

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknął sfrustrowany. - Nigdy nie powiedziałem nic podobnego. Niestety przyczepiła się do mnie, chodziła za mną bez przerwy. To było żenujące. Potem, kiedy powiedziałem jej, żeby spadała, przysięgła, że pożałuję, i próbowała skłócić mnie z moją dziewczyną...

- Och, a więc ma pan dziewczynę, tak?

-Wiedziała o tym od początku - rzekł ponuro Thompson. - Mówię o Anne-Marie. Powinna zdawać sobie sprawę, że między nami nie było niczego poważnego. Jesteśmy z Helen parą od sześciu lat i mieszkamy ze sobą od dwóch. Anne-Marie wiedziała o tym. Zagroziła, że o wszystkim opowie Helen... to znaczy o tournée. - Jego oburzenie całkowicie wyparło wcześniejszy strach. - To by naprawdę zabiło Helen i ta suka doskonale o tym wiedziała. A ja, naiwniak, kiedy się pojawiła w orkiestrze, myślałem, że jest taką miłą dziewczyną. Jednak pod ładną powłoką kryła się okropna kobieta.

Atherton słuchał uprzejmie, ale jego umysł krążył wokół podwójnych miar stosowanych przez Thompsona.

- Czy panna Austen spełniła ostatecznie swoją groźbę?

- Nie, na szczęście nigdy do tego nie doszło. Dzwoniła tu parę razy, ale kiedy Helen odbierała telefon, tamta zaraz odkładała słuchawkę. Poza tym ciągle próbowała się do mnie przyklejać w barach, do których chodziliśmy po koncertach, i rzucała różne sugestie w obecności Helen, rozumie pan. Moja dziewczyna jest bardzo wyrozumiała, ale są rzeczy, których nie zniesie żadna kobieta. W końcu jednak na szczęście Anne-Marie się poddała.

Atherton przewrócił kartkę w notatniku.

- Chciałbym spytać o pewne daty. Kiedy pan poznał Anne-Marie?

- W lipcu, kiedy przyłączyła się do orkiestry.

- Nie znał jej pan wcześniej? Zdaje się, że uczyła się w Akademii Królewskiej.

- Ja chodziłem do Guildhall. Nie, nigdy wcześniej się z nią nie spotkałem. Zdaje się, że pracowała gdzieś poza Londynem.

- Kiedy wyjechaliście na tournée?

- W sierpniu do Aten, a potem w październiku do Włoch.

- Czy... sypiał pan z nią podczas obu wyjazdów?

- Cóż, owszem. To znaczy... tak, sypialiśmy ze sobą podczas obu wyjazdów. - Wyglądał na zażenowanego. Może zdał sobie sprawę, że powracający romans może zostać ostrzeżony jako podejrzany.

- Kiedy panna Austen zaczęła „sprawiać panu kłopoty”? Po wyjeździe do Włoch?

- Nie od razu. - Thompson zmarszczył brwi. - Na początku wszystko było w porządku, ale po tygodniu nagle zaczęła całą tę śpiewkę o małżeństwie.

- Jak pan sądzi, co spowodowało taką zmianę?

- Nie wiem. - Thompson znowu zaczął się pocić. - Po prostu... zmieniła się.

- Czy powiedział pan lub zrobił cokolwiek, co mogłoby jej dać nadzieję, że chce pan kontynuować waszą znajomość?

- Nie! Nic w tym stylu, przysięgam! Jestem szczęśliwy z Helen. Nie chcę nikogo innego. To wszystko miało być tylko przelotną miłością podczas tournée. Nigdy nie

wspominałem ani słowem o małżeństwie. - Spojrzał zaniepokojony na Athertona, niczym ofiara na swego inkwizytora.

- Co pan zrobił po sesji nagraniowej w centrum telewizyjnym piętnastego stycznia?

- Pojechałem do domu.

- Nie poszedł pan na drinka z kolegami?

- Nie. Ja... miałem się gdzieś wybrać z Philem Redcliffem, ale dowiedziałem się, że będzie tam Joanna i Anne-Marie, a unikałem tej drugiej, więc po prostu poszedłem do domu.

- Prosto do domu?

- No... - Zawahał się. - Nie. Wstąpiłem po drodze na drinka do pubu w pobliżu mojego domu.

- Którego?

- Steptoes. Często tam zaglądam.

- Znają tam pana, tak? Pamiętaliby pana obecność tamtego wieczora, prawda?

- Nie wiem. - Wyglądał na zaszczutego. - Było wtedy sporo ludzi. Nie wiem, czy mnie zapamiętali.

- Rozmawiał pan z kimkolwiek?

-Nie.

-Jest pan pewien? Poszedł pan do pubu na drinka i z nikim pan nie rozmawiał?

-Ja... nie, nie rozmawiałem. Wypiłem swoje i poszedłem do domu.

- O której godzinie dotarł pan do domu?

- Dokładnie nie pamiętam. - Znów lekko się zawahał. - Zdaje się, że było około wpół do jedenastej, a może jedenasta.

- Pana narzeczona może to oczywiście potwierdzić, tak?

- Nie było jej w domu. - Thompson wyglądał na zdruzgotanego. - Pracowała.

- Pana dziewczyna pracuje na zmiany?

-Jest pielęgniarką w szpitalu Świętego Tomasza. Asystuje przy operacjach.

Serce Athertona podskoczyło z radości, ale na zewnątrz nie okazał żadnych emocji. Zapisał wszystko skrupulatnie.

- Zatem nikt nie widział pana w pubie i nikt nie może potwierdzić, kiedy wrócił pan do domu.

- Nie zabiłem jej! - wybuchnął Thompson. - Nigdy bym nie zrobił czegoś podobnego. Nie jestem tego typu człowiekiem. Nie miałbym odwagi, na miłość boską! Niech pan zapyta kogokolwiek. Nie mam z tym nic wspólnego. Musi mi pan uwierzyć!

W odpowiedzi Atherton jedynie się uśmiechnął.

- Wiara lub jej brak nie leży w mojej gestii, proszę pana.  
- Młodzi ludzie zazwyczaj bardzo się niepokoiли, kiedy zwracał się do nich „proszę pana”. - Muszę panu zadać te pytania, taka jest procedura. Jakim samochodem pan jeździ?

- Samochodem? - Wyglądał na zaskoczonego. - Czerwoną alfą spyderem. Dlaczego pan pyta o mój samochód?

- Procedura. Stoi teraz na dole?

- Nie. Helen go pożyczyła. Jej samochód jest w przeglądzie.

-Jak się nazywa pana dziewczyna?

- Helen Morris. Ona chyba nie musi o tym wszystkim wiedzieć, co? Nie powie jej pan... o tournée i innych rzeczach, prawda?

Atherton spojrzał na niego surowo.

- Nie, jeśli nie będę do tego zmuszony. Proszę jednak pamiętać, że prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa.

Thompson zamilkł nieszczęśliwy. Nie przyszło mu do głowy zapytać, co to oznaczało. Chwilę później Atherton

siedział już w swoim fordzie sierra i w duchu zacierał ręce. Thompson kłamie i jest przerażony. Teraz trzeba się tylko dowiedzieć dlaczego. W dodatku, i to jest najlepsze, jego dziewczyna jest pielęgniarką asystującą przy operacjach. Bardzo obiecujący trop, bardziej niż ten z Brownem.

Rezydencja The Lodge w Stourton-on-Fosse na pewno nie była niczym domkiem letniskowym, a sądząc po wyglądzie, nawet jeśli Anne-Marie nie miała pieniędzy, nie była to rodzinna przypadłość. Slider miał przed sobą eleganczką, kosztowną neoklasyczną willę wybudowaną w latach trzydziestych z ładnej czerwonej cegły, z białymi kolumnami i portykami oraz zielonymi okiennicami. Teren wokół domu był rozległy i idealnie zadbane, ze żwirowanym podjazdem prowadzącym od żelaznej bramy osadzonej na białych kolumnach. Dróżka wyglądała, jakby została zagrabiona gęstym grzebieniem i wypielona pęsetą.

- Rany gościa - odezwała się Joanna słabym głosem, kiedy przejechali powoli obok bramy, przyglądając się posiadłości.

- Czy to wszystko, co masz do powiedzenia?

- Po prostu zapach pieniędzy mnie oszalał. Nie wiedziałam, że Anne-Marie pochodziła z tak zamożnej rodziny.

- Przecież sama powiedziałaś, że to miał być duży dom w małej wiosce.

- No tak, ale wyobrażałam sobie czteropokojową edwardiańską willę z oknami po obu stronach wejścia, taką, jaką można kupić za sto pięćdziesiąt tysięcy w North Acton.

Trzeba praktyki, żeby wyobrazić sobie coś takiego.

- Anne-Marie nigdy nie wspominała, że jej rodzina była bogata?

- Nigdy, przenigdy. Mieszkała w nędznej kawalerce... no tak, przecież tam byłeś. O ile wiem, utrzymywała się z tego, co zarobiła w orkiestrze. Nigdy nie wspominała o dodatkowych dochodach ani o bogatych krewnych. Może była zbyt dumna.

- Powiedziałaś, że niezbyt dobrze jej się układało z ciotką.

- Powiedziałam, że odniosłam takie wrażenie. Anne-Marie nigdy nie mówiła o tym w ten sposób.

Slider zatrzymał samochód i wjechał w bramę prowadzącą do posiadłości.

- Zamierzasz tam podjechać? - spytała Joanna.

- Po tym żwirze? Nie odważyłbym się. Nie, zaparkuję zaraz za bramą, przy podjeździe.

- W takim razie mogę zaczekać na ciebie w samochodzie.

- Też o tym pomyślałem.

- Tak przypuszczałam. - Pochyliła się i pocałowała go krótko i mocno w usta. Poczul zawroty głowy.

- Nie rób tego - rzucił bez przekonania. Pocałowała go jeszcze raz, wolniej. - Teraz będę musiał przemierzyć podjazd w zapiętym płaszczu - rzekł, kiedy skończyła.

- Doszłam do wniosku, że to ci doda odwagi w spotkaniu z ludźmi lepszego stanu - odparła śmiertelnie poważnie.

Odepchnął jej dłoń i wysiadł z samochodu. Pochylił się po pożegnalny pocałunek.

- Bądź grzeczna - rzucił. - Daj głos, jeśli ktoś się pojawi w pobliżu.

Drzwi otworzyła mu podstarzała pokojówka, a może gosposia. Zaprowadziła go do salonu z pięknymi antykami, gęstym chińskim dywanem na wypolerowanym parkiecie

i ciężkimi aksamitnymi zasłonami na francuskich oknach. Kiedy spoglądał na nie z zewnątrz, dokładnie tak sobie wyobrażał wnętrze domu. Pozostawiony samemu sobie, obszedł salon dookoła, przyglądając się obrazom. Nie znał się na malarstwie, ale sądząc po ramach, były to cenne, stare dzieła sztuki. Na niektórych z nich widniały konie. Wszystko było nienagannie odkurzone i wypolerowane. W powietrzu pachniało woskiem lawendowym.

Obszedł pokój raz jeszcze, tym razem przyglądając się ozdobom. Zauważył, że nigdzie, nawet na fortepianie, nie było żadnych zdjęć. Pomyślał, że to dość niezwykle w tego rodzaju domu, zwłaszcza zamieszkiwanym przez ciocię ze starego pokolenia. Był to niesłychanie bezosobowy pokój, sugerujący jedynie to, że w którymś momencie historii rodziny pojawiło się dużo pieniędzy.

Przysiadł na brzegu śliskiej, obitej brokatem sofy. Nagle drzwi do salonu się otworzyły i do środka wbiegły dwa cairnterier, jazgocząc histerycznie, za nimi zaś biały ozdobny pudel miniatarka, z nieprzyjemnie zbrązowiałym futrem wokół oczu i odbytu. Slider cofnął stopy przed skomasowanym atakiem terierów. Pudel tylko stał i wpatrywał się w niego z nienawiścią, wyszczerzając złowrogo poźółkłe zęby i warcząc nieprzyjemnie.

Tuż za psami wpłynęła do salonu pani Ringwood.

- Chłopcy, chłopcy - upomniała swoich ulubieńców bez przekonania. - Niech pan nie zwraca na nich uwagi. Są niegroźne.

Slider nie podzielał jej zdania. Przyjrzał się cioci Anne-Marie ze zdumieniem. Spodziewał się korpulentnej, pulchnej, wykoafiurowanej sekutnicy. Pani Ringwood, choć dobiegająca już niewątpliwie sześćdziesiątki, była drobna i bardzo

szczupłą, z ładnie zaczesaną złotoblond fryzurą w stylu Audrey Hepburn. Jej biżuteria była ciężka i cenna, a ubrania tak modne, że Slider nie widział niczego podobnego nawet na głównej ulicy Londynu. Usiadła naprzeciwko niego, nieco pod kątem, krzyżując szczupłe nogi. Bransolety zabrzęczały na jej przedramionach niczym kajdany. Sprawiała wrażenie tak

dziewczęcej, że gdyby człowiek nie widział jej twarzy, mógłby

pomyśleć, że przebywa w towarzystwie dwudziestoparolatki.

Slider zaczął od kondolencji, ale pani Ringwood w żaden sposób nie okazała, że jest przybita śmiercią siostrzenicy.

- To musiał być dla pani ogromny szok - ciągnął Slider.

- Przykro mi, że nachodzę panią w takim momencie.

- Ależ skądże, musi pan przecież zrobić to, co do pana należy - uspokoiła go uprzejmie. - Mogę panu jednak od razu powiedzieć, że nie byliśmy sobie bliskie z Anne-Marie. Nie pałałyśmy do siebie gorącym uczuciem, jeśli wolno mi to tak określić.

Czy w ogóle ktokolwiek lubił tę nieszczęsną istotę?

- Dziękuję pani za szczerość - powiedział Slider.

- Nie chciałabym, żeby cokolwiek przeszkodziło panu w śledztwie. Sądzę, iż szczerość od samego początku jest najlepszym rozwiązaniem. Rozumiem, że pan podejrzewa morderstwo, czy tak?

- Tak, proszę pani.

- Wydaje mi się to dość nieprawdopodobne. Dziewczyna taka jak ona nie mogła mieć wrogów. Aczkolwiek oczywiście pan wie najlepiej.

- Rozumiem, że wychowywała pani Anne-Marie.

- Obarczono mnie odpowiedzialnością za nią, kiedy umarła moja siostra - odparła pani Ringwood, upewniając go tym samym, że była to bardzo znacząca różnica. - Byłam jedyną



bliską krewną tego dziecka, a zatem spodziewano się, że przejmę nad nią opiekę. Ja jednak nie uważałam, że się do tego nadaję, ani nie czułam się zobowiązana wziąć na siebie roli jej drugiej matki. Wysłałam ją do dobrej szkoły z internatem, wakacje natomiast Anne-Marie spędzała tutaj, pod okiem guwernantki. Wypełniłam wobec niej narzucony mi obowiązek.

- Musiało to być dla pani duże obciążenie finansowe
- próbował dalej Slider. - Czesne i tym podobne.

Spojrzała na niego przenikliwie.

- Czesne i wydatki na życie Anne-Marie były opłacane z funduszu. Jej dziadek, a mój ojciec, był bardzo bogatym człowiekiem. To on wybudował ten dom. Rachel, matka Anne-Marie, i ja wychowałyśmy się tutaj i naturalnie po śmierci ojca miałyśmy się podzielić majątkiem. Jednak Rachel wyszła za mąż bez zgody ojca, który wydziedziczył ją i zostawił wszystko mnie, poza pewną sumą pieniędzy złożoną w banku na fundusz powierniczy Anne-Marie. Jak więc pan widzi, nie kosztowało mnie to ani pensa.

-Anne-Marie była jedynym dzieckiem narodzonym z owego małżeństwa?

Pani Ringwood kiwnęła głową potakująco.

- Co zrobiła po ukończeniu szkoły?

-Wstąpiła do Królewskiej Akademii Muzycznej w Londynie, żeby uczyć się gry na skrzypcach. Była to jedyna rzecz, która kiedykolwiek naprawdę ją interesowała, i z tego względu zachęcałam ją do tego kroku. Nalegałam, że powinna coś robić w życiu, nie zaś lenić się, co, obawiam się, miała w planach. Zawsze była gnuśnym dzieckiem, chodziła z głową w chmurach. Powiedziałam, że musi zacząć się sama utrzymywać, a nie liczyć na to, że ja będę za nią płaciła. Studiowała więc przez trzy lata w akademii, a potem

zatrudniła się w orkiestrze miejskiej w Birmingham. Tam też wynajęła mieszkanie. Resztę zapewne pan już wie.

- Ile pani wiedziała o jej życiu w Londynie?

-Absolutnie nic. Rzadko odwiedzam to miasto, a jeśli już, to tylko robię zakupy i spotykam się ze starą przyjaciółką. Nigdy nie odwiedzałam Anne-Marie.

- Ona jednak przyjeżdżała tutaj?

- Od czasu do czasu.

-Jak często?

- Trzy lub cztery razy w roku, tak przypuszczam.

- Kiedy odwiedziła panią ostatnim razem?

- Zdaje się, że w październiku zeszłego roku, a może to był listopad? Tak, listopad. Właśnie wróciła z tournée z orkiestrą londyńską.

- Czy wymieniła jakiś szczególny powód swoich odwiedzin?

- Nie, ale nigdy nie rozmawiała ze mną o swoim życiu prywatnym. Odwiedzała mnie od czasu do czasu dla czystej formalności, to wszystko.

- Czy wypłacała jej pani jakieś sumy na utrzymanie?

Pani Ringwood wyglądała na nieco zakłopotaną pytaniem.

- Kiedy studiowała, byłam do tego zobligowana. Gdy zaczęła pracować, uznałam, iż mój obowiązek łożenia na jej utrzymanie wygaś.

- Czy kiedykolwiek dała jej pani lub pożyczyła jakieś pieniądze?

- Absolutnie nie. - Pani Ringwood zaczerwieniła się nieco. - Byłoby bardzo nieuprzejmie z jej strony, gdyby sądziła, iż może do mnie przyjść po pieniądze, kiedy tylko zechce.

- Czy Anne-Marie miała dodatkowe źródła dochodów?  
Coś poza orkiestrą?

- Nic o tym nie wiem.

- Czy zdaje pani sobie sprawę, że panna Austen posiadała bardzo cenne i rzadkie skrzypce, stradivarius?

Pani Ringwood nie okazała ani zdziwienia, ani zainteresowania.

- Nic nie wiem o jej prywatnym życiu, jej londyńskim życiu. Nie interesuję się muzyką i nie znam się na skrzypcach.

Slider postanowił nie drażnić tej sprawy, chociaż nie chciało mu się wierzyć, że ktoś mógłby nie wiedzieć, co to stradivarius, i nie zdziwić się na wieść, iż jego ubogi krewny jest właścicielem takiego skarbu. Miał wrażenie, że pani Ringwood nieco odstępuje od narzuconego samej sobie poczucia obowiązku kompletnej szczerości wobec niego.

- Czy podczas ostatniej wizyty tutaj, w listopadzie, Anne-Marie wspominała o swoich przyjaciółkach?

- Doprawdy, nie pamiętam już, o czym mówiła.

- Powiedziała jednak pani, iż Anne-Marie była na tournée. W takim razie musiała o tym wspomnieć.

- Tak przypuszczam. Jeżeli jednak chodzi o przyjaciół...

- Pani Ringwood wyglądała na zirytowaną. - O ile mi wiadomo, nigdy żadnych nie miała. Kiedy byłam w jej wieku, zawsze byłam aktywna. Chodziłam na zabawy, grałam w tenisa, tańczyłam. Miałam mnóstwo przyjaciół i adoratorów. Anne-Marie natomiast nigdy nie była zainteresowana niczym poza snuciem się po domu i czytaniem książek. Nie miała w sobie za grosz przebojowości!

Slider zaczął lepiej rozumieć, jak wyglądało dzieciństwo Anne-Marie i dlaczego zakończyło się ono nieuniknionym katastrofalnym zderzeniem osobowości owej Błyszczącej

Młodej Osoby i introwertycznej sieroty, która zakochała się w muzyce. Spostrzeżenia pani Ringwood na temat siostrzenicy w niczym mu nie pomogą.

- Czy może mi pani podać nazwisko jej prawnika?

- spytał.

- Finansami Anne-Marie zajmował się nasz prawnik rodzinny, pan Battershaw.

Czyżby usłyszał w jej głosie lekkie wahanie?

- Pan Battershaw z...?

- Firma Riggs i Felper, w Woodstock - dokończyła cicho, jakby z niechęcią. Slider udał, że tego nie zauważa. Zapisał nazwisko swoim starannym, wyuczonym w szkole średniej charakterem pisma. Podniósł wzrok, aby zadać ostatnie pytanie, i jego uwagę przyciągnęło poruszenie za oknem umieszczonym za plecami pani Ringwood. Chwilę później psy również dostrzegły zagląającego do środka mężczyznę i ruszyły w jego kierunku, jazgocząc zajadle.

- Chłopcy, spokój! - upomniała ich automatycznie pani Ringwood, ale przybyszowi nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Szczekanie okazało się objawem radości. Trzy ogony wściekle młóciły powietrze. - Ach, Bernard - rzuciła pani Ringwood.

Nieznajomy wszedł do pokoju. Był wysokim, chudym mężczyzną, na oko kilka lat starszym od niej, odzianym w garnitur z drogiego i niezwykle nietwarzowego tweedu oraz w żółtą kamizelkę. Miał pociągłą, nieco pożółkłą i usianą piegami twarz, rude wąsy, siwe brwi przetykane rdzą i resztkę rudej fryzury, zaczesaną starannie na czubku piegowatej głowy.

Wchodząc, sięgnął automatycznie dłonią, aby przygładzić włosy. Jego ręka również była żółtawa i piegowata,

a palce zakończone bardzo długimi paznokciami. Mężczyzna uśmiechnął się przymilnie pod wąsem, lecz pod niezdyscyplinowanymi brwiami jego oczy błędziły niespokojnie po całym pokoju.

Wolny od stałego nadzoru psów, Slider wstał uprzejmie, a pani Ringwood dokonała prezentacji:

- Inspektor Slider, kapitan Hildyard, nasz miejscowy weterynarz i bardzo dobry przyjaciel. Dbą o moich chłopców i często tu zagląda. Mam nadzieję, że nie przestraszył pana, inspektorze.

Slider potrząsnął silną, kościstą, żółtawą dłonią. Weterynarz pochylił się nad nim zgrabnie i spytał:

- Jak się pan miewa, inspektorze? Co pana tu sprowadza? Mam nadzieję, że nic poważnego. Czyżby Esther zaparkowała na podwójnej żółtej linii?

Slider uśmiechnął się tylko nieznacznie, pozostawiając pani Ringwood wyjaśnienie sytuacji, jeżeli oczywiście zechce.

- Przyszedłeś pewnie spojrzeć na łapę Edgara, tak? - spytała ciotka. - To bardzo miłe z twojej strony, że wpadłeś, ale jestem pewna, że to nic poważnego. Mogłeś przyjść jutro.

- Ależ nie ma sprawy, droga Esther - odparł szybko Hildyard. Slider przyglądał się obojgu. Coś w tej parze trąciło fałszem. Czyżby go ostrzegła, dostarczyła mu pretekstu do wizyty? Czy ci dwoje byli w jakiejś zмовie, a jeśli tak, to o co chodziło?

- Obejrzę łapę Edgara, skoro tu jestem - ciągnął Hildyard. - Nie chcemy przecież, żeby nasz chłopiec cierpiał. Tak przy okazji, inspektorze, czy to pański samochód stoi zaparkowany na poboczu podjazdu?

- Tak - odparł Slider. Spojrzał w oczy weterynarza i odkrył, że były szare z żółtymi plamkami, zadziwiająco błysz-

czące, jakby zostały wykonane ze szkła, niczym oczy wypchanego zwierzęcia. - Przeszkadza panu?

- Och, nie, skądże znowu. Po prostu się zastanawiałem. Był to notabene jeden z powodów, dla których postanowiłem tu zajrzeć. W naszej wiosce zawsze pilnujemy się nawzajem, a nieznany samochód zaparkowany w pobliżu domu zawsze wzbudza niepokój. - Przerwał. Pod naciskiem pięciu spojrzeń Slider zdecydował, że czas już się pożegnać. Drgnął i psy od razu ruszyły w jego kierunku z groźnym jazgotem.

- Pożegnaj się już - rzucił. - Dziękuję za pomoc, pani Ringwood. Miło było pana poznać, kapitanie Hildyard.

Mężczyzna uklonił się lekko, pani Ringwood uśmiechnęła się wdzięcznie, lecz oboje stali ramię w ramię, czekając, aż Slider wyjdzie, z minami nader wyraźnie wskazującymi, iż gdy tylko inspektor znajdzie się poza zasięgiem ich głosów, zaczną rozmawiać o czymś niesłychanie ważnym i interesującym. Było między nimi coś więcej niż tylko układ między weterynarzem i klientką. Stary znajomy? A może coś więcej?

- Kim był ten kompletnie fałszywy charakter w mechtym tweedzie? - spytała Joanna, kiedy wrócił do samochodu i zapalił silnik. - Wyglądał jak uciekinier ze sztuki Noela Cowarda.

- Rzekomo kapitan Hildyard, miejscowy weterynarz.

- Slider odjechał, czując ulgę, która wzrastała wraz ze zwiększającą się odległością od domu pani Ringwood.

- Kiedy mijał samochód, spojrział na mnie dość złowrogo. Dlaczego rzekomo?

- Cóż, zapewne rzeczywiście jest weterynarzem - rzucił Slider.

- Chyba nieco cię zdenerwował.
- Miał długie paznokcie. Nienawidzę długich paznokci u mężczyzn. Poza tym nie cierpię cywilów, którzy używają tytułów wojskowych.
- Wiedziałam, że było w nim coś nieprawdziwego. Po co właściwie przyszedł?
- Jego nagłe pojawienie się w domu pani Ringwood było bardzo dogodne. Ale jej psy dobrze go znały. Powiedział, że przyszedł, ponieważ zaniepokoił go widok obcego samochodu zaparkowanego w pobliżu domu. Nie tylko rozsądna, ale wręcz godna pochwały reakcja.
- Zawsze próbujesz być fair w stosunku do ludzi, prawda?
- rzuciła Joanna. - Założę się, że jesteś spod znaku Wagi.
- Blisko - przyznał jej rację. - Podobno jestem koniunkcją. Słuchaj, on miał okropnie długie paznokcie. To nie tylko obrzydliwe, ale przede wszystkim nader nieporęczne w jego zawodzie, nie sądzisz?
- Być może jest tak wybitnym weterynarzem, że diagnozuje jedynie choroby na podstawie zdjęć rentgenowskich i nigdy nie musi pchać łap w różne miejsca niczym pan Herriot.
- Być może. Pomimo niechęci cioteczki dowiedziałem się jednak kilku rzeczy.
- Dlaczego niechęci?
- To właśnie mnie zastanawia. Widzisz, powiedziała mi, że Anne-Marie zarabiała wyłącznie pracą w orkiestrze. Kiedy jednak spytałem jakby nigdy nic, kto jest jej prawnikiem, podała mi nazwisko.
- Masz na myśli prawnika Anne-Marie?
- Oczywiście.
- Chyba nie nadażam za twoim rozumowaniem. Co w tym takiego niezwykłego?

- Zwykli ludzie nie mają prawników. Czy ty masz prawnika?

- Konsultowałam się z kilkoma, chociaż nie mogę powiedzieć, żebym „miała” prawnika.

-Właśnie. Jeżeli mówisz, że „masz” prawnika, oznacza to, że stale korzystasz z jego usług. Z czymś takim mamy do czynienia, gdy w grę wchodzi zarządzanie czyjąś własnością.

-Aha.

- Teraz zjemy gdzieś lunch, a potem poszukamy owego biznesmena. Wolisz pub czy restaurację?

- Głupie pytanie. Oczywiście, że pub. Zapominasz, że jestem muzykiem.

RS



## Rozdział 8

### DLA KREWNEGO NIC TRUDNEGO

- Przyszło ci do głowy, że pub jest jedynym współczesnym odzwierciedleniem starej zasady podaży i popytu? - spytała Joanna, kiedy wchodzili do Blaksmiths Arms, pubu w sąsiedniej wiosce.

- Nie - odparł Slider. Wybrali to miejsce, ponieważ podawano tu jedzenie i sprzedawano piwo z browaru Wethereds. Kiedy znaleźli się w środku, poczuł apetyczny zapach frytek i wosku do mebli.

- To prawda - ciągnęła Joanna. - W każdej innej dziedzinie handlu zasada ta została złamana. Klient musi brać to, czego dostarcza mu sprzedawca, który może postępować według swojego cholernego widzimisię. Narzekania niczego nie zmieniają. W najlepszym razie można usłyszeć „jak pan sobie chce”.

- Pewnie masz rację. I co dalej?

- Pamiętasz, jak wyglądały puby w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych? Piwo z beczki, linoleum na podłodze, żadnego lodu i żadnego jedzenia z wyjątkiem niedzielnych lunchów. A teraz? Popatrz tylko. Zmieniły się w odpowie-

dzi na zapotrzebowanie. Kompletne zaprzeczenie tego, co twierdził Keynes.

- Kto, Maynard? - zaryzykował.

- Nie, Milton\*.

Dotarli do baru.

- Czego się napijesz? - spytał.

- Duże piwo poproszę.

- W takim razie dwa duże piwa. - Slider skinął głową.

Czuł się wspaniale, będąc w takim miejscu z kimś innym niż Irene, która nigdy nie rozumiała ducha pubu. Zazwyczaj brała wódkę z tonikiem, co Slider uważał za kompletnie bezsensowny drink. Najczęściej jednak, przygryzając wargi, prosiła o sok pomarańczowy, co było chyba najbardziej frustrującą rzeczą na świecie dla piwosza. Pokazywało to wyraźnie, że ta osoba w ogóle nie ma ochoty na picie i jest to ostatnie miejsce, w którym chciałaby teraz przebywać. Zapraszający ją człowiek stawał się automatycznie winowajcą i odbierana mu była jakakolwiek przyjemność z pobytu w pubie.

Zamówili szynkę, jajka i frytki. Usiedli przy oknie, gdzie blade promienie słońca pstrzyły wypolerowany stół. Joanna duszkiem wypijała jedną czwartą swojego piwa i westchnęła radośnie.

- Ale miło. - Uśmiechnęła się do niego, a potem na jej twarzy pojawił się tak wyraźny wyraz skruchy, że Sliderowi zachciało się śmiać.

- Myślałaś, że gdyby nie śmierć Anne-Marie, nie siedzielibyśmy tutaj teraz.

\* *Gra słów: John Maynard Keynes, angielski ekonomista (1883-1946). Milton Keynes, miasto w Buckinghamshire, w połowie drogi między Cambridge i Oksfordem.*

- Skąd wiedziałeś?

- Twoja twarz. Zupełnie jakbym oglądał film animowany. Wszystko jest przerysowane.

- Doskonale, dziękuję bardzo!

- Nie. To bardzo miłe. Większość ludzi jest zawsze tak strasznie zmęczona życiem.

- Uhm, nawet jeśli nie mają ku temu powodu. Biedne stworzenia. Myślę, że to nawyk. To okropne nie umieć się przyznać do radości.

- Dlaczego jesteś inna? - spytał.

Zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Pewnie dlatego, że nie mam czasu na oglądanie telewizji. Nie, naprawdę! - dodała, kiedy roześmiał się w słabym protestcie. - Telewizja jest przygnębiająca. Rządzi nią uniwersalne założenie wszechobecności zła. Nie sądzę, żeby ludzie cokolwiek zyskiwali na ciągłym wysłuchiwanie, że rodzaj ludzki jest zły, małostkowy, brutalny, nikczemny i odrażający.

- Nawet jeśli to prawda?

Przyjrzała się jego twarzy.

- Ty tak nie uważasz. To niezwykle godne podziwu, biorąc pod uwagę, jaki zawód wykonujesz. Jak ci się udaje nie tracić tej ułudy? Zwłaszcza że... - Przerwała, najwyraźniej zdezorientowana.

- Zwłaszcza że co?

- Och, chciałam powiedzieć coś bardzo impertynenckiego. Przecież jesteś nieszczęśliwy w małżeństwie. Przepraszam.

Zważywszy na fakt, że ostatnią noc spędzili razem, uprawiając namiętny seks, i że zdradził z nią swoją żonę, „impertynencki” było cudownie nieodpowiednim i przy okazji bardzo staromodnym słowem. Slider roześmiał się.

Nigdy przedtem nie czuł się tak swobodnie i dobrze w czyimś towarzystwie. Pragnął się z nią kochać, ale też chciał spędzić resztę życia, rozmawiając z nią i przerywając ciąg lat (całego dotychczasowego życia), w których wszystkie konwersacje musiał odbywać w głowie, nie na głos, ponieważ nigdy nie było w jego pobliżu kogoś, kto by się nie zanudził, nie okazał mu pogardy lub po prostu nie zrozumiał przekazu albo nie udawał, iż nie rozumie, by manipulować sytuacją. Slider wiedział, że z Joanną mógłby rozmawiać na absolutnie każdy temat, a ona słuchałaby i reagowała. Poczł nagle ogromny głód konwersacji, niekoniecznie o czymś ważnym, intelektualnym, po prostu na jakiś chwilowo interesujący ich temat. Niezwykle łatwa pogawędka.

- Skoro już jesteśmy przy twojej pracy - rzuciła, stosując zasadę Humptyego Dumptyego, żeby zawsze nawiązywać do przedostatniej uwagi poczynionej w rozmowie - czy nie powinieś zadawać mi jakichś pytań, żeby uzasadnić tu moją obecność? Jeśli się temu przyjrzyć, to zachował się pan bardzo niedyskretnie, panie inspektorze. A jeżeli to ja jestem morderczynią?

- A jesteś?

- Nie, oczywiście, że nie.

- W takim razie o co chodzi? - spytał Slider, uśmiechając się.

- Martwię się o ciebie - odparła. - Nie masz żadnego instynktu samozachowawczego.

Slider pomyślał, że jeśli chodziło o nią, była to bolesna prawda. Z minuty na minutę powinien martwić się o coraz więcej rzeczy, a zamiast tego siedział tu i było mu przyjemnie, kiedy czuł jej bliskość. Z trudem wrócił do rzeczywistości.

- No dobrze, opowiedz mi o swoim przyjacielu, Simonie Thompsonie.

- Po pierwsze, ten oślizgły robak nie jest żadnym moim przyjacielem - odparła krótko. - Niemniej nie sądzę, żeby był mordercą. Jest niczym wypatroszony śledź. Dwulicowy i bez ikry.

-Twoje osądy niekoniecznie są słuszne. Czytasz zbyt dużo książek.

- To prawda - przyznała. - Z drugiej strony, jeśli o tym pomyśleć, może i byłby do tego zdolny. Egocentrycy potrafią być zaskakująco bezwzględni, a Simon przekonał sam siebie, że Anne-Marie była na prostej drodze do przeobrażenia się w tajemniczego Ducha Telefonu.

- Co takiego?

- Och, no wiesz. Mówiłam ci już, że na tournée ludzie często robią rzeczy, których nie zrobiliby normalnie w domu. Wszyscy trzymają jednak buzię na kłódkę i tylko kilka razy się zdarzyło, że żony muzyków otrzymały anonimowe telefony i uprzejmy donosiciel opowiadał o tym, co się działo na ostatnim tournée. Oczywiście zawsze powoduje to ogromne problemy. Po tym, jak Anne-Marie i Simon się rozstali, zaczął rozpowiadać, że Anne-Marie jest tajemniczym Duchem Telefonu. Oczywiście narobił jej tym wrogów, bo przecież zawsze są ludzie, którzy wierzą w zasadę, iż nie ma dymu bez ognia.

- Sądzisz, że była Duchem?

- Nie, oczywiście, że nie. Po co miałyby postępować w ten sposób?

-Jaki powód mógłby mieć ktokolwiek?

Joanna zastanawiała się przez chwilę, aż wreszcie westchnęła.

- W każdym razie nie sędzę, żeby to była ona. Biedna Anne-Marie nigdy nie cieszyła się popularnością. Zamyślony Slider upił trochę piwa.

- Kiedy Simon i ona mieli romans, dobrze się dogadywali? Darzyli się przyjaźnią?

- O tak. Nie mogli bez siebie wytrzymać ani chwili. Martin Cutts powiedział kiedyś, że od samego patrzenia na nich zachciewa mu się seksu. - Zmarszczyła brwi. - Teraz sobie przypominam, że pokłócili się ostatniego dnia we Florencji. Potem jednak chyba się pogodzili, bo w samolocie siedzieli już razem.

- Czego dotyczyła ta kłótnia?

- Nie wiem. - Uśmiechnęła się szeroko. - Miałam ważniejsze sprawy na głowie niż śledzenie tego, co się działo między nimi.

Slider poczuł ukłucie niepokoju, może nawet zazdrości. Ważniejsze sprawy? Jakiś mężczyzna?

- Opowiedz mi o Martinie Cuttsie - poprosił, starając się przybrać obojętny ton.

Joanna oparła łokcie na stole i podparła twarz dłońmi.

- Och, Martin jest w porządku, dopóki nie traktujesz go poważnie. Mało kto zresztą to robi. Po prostu Martin nigdy nie dorósł. Zatrzymał się na etapie napalonego nastolatka. Zakochuje się w każdej kobiecie, która pojawia się w jego życiu, ale u niego niewiele to oznacza. Jest jak dziecko, uroczy chłopiec.

Slider znał ten typ mężczyzny i nie potrafił sobie wyobrazić niczego mniej uroczonego. Niebezpieczny, egocentryczny, samolubny. Jaki był jego związek z Joanną? Nie chciał się nad tym zastanawiać. Na szczęście na stole pojawiło się właśnie jedzenie i nie musiał zadawać żadnych

głupich pytań. Posiłek był doskonały: gruby plaster szynki, oddzielony od kości, soczysty i pachnący, w ogóle nie przypominał różowego płatu plastiku z baru kanapkowego; złotobrazowe frytki, chrupiące z wierzchu i miękkie w środku; usmażone idealnie jajka, wyglądające niczym stokrotki. Zaczęli jeść i prosta przyjemność związana z dobrym posiłkiem i miłym towarzystwem niemal przyprawiła Billa o ból głowy. Usłyszał nagle głos O'Flaherty'ego: „Samotny mężczyzna jest niebezpieczny, Billy”.

- Dzięki niebiosom za pubowe jedzenie. - Joanna westchnęła.

- Pewnie często jadasz poza domem - rzucił Slider.

- To syndrom curry - odparła radośnie. - Jedno z niebezpieczeństw mojego zawodu. Kiedy wyjeżdża się poza miasto, pomiędzy próbą a koncertem trzeba coś zjeść. Zazwyczaj jest wtedy pomiędzy wpół do szóstej i siódmą, a o tej porze jedynymi otwartymi restauracjami są indyjskie knajpy. Kiedy zaś gra się w mieście, po koncercie człowiek ma ochotę coś przegryźć. Najpierw wstępuje na kilka kufli piwa dla rozluźnienia, a potem robi się późno i jedynymi otwartymi restauracjami są indyjskie knajpy.

- Przerazająco znajome - rzekł Slider. - Zupełnie jakbyś opisywała moje życie. - Opowiedział jej o późnych posiłkach z Athertonem, o Anglabangla i o samotnej niestrawności. To przywiodło mu na myśl Irene, więc przerwał gwałtownie i skoncentrował się na jedzeniu, dojadając w milczeniu ostatnie frytki. Joanna przyglądała mu się współczująco, jakby doskonale wiedziała, o czym myślał. Pewnie zresztą tak było, pomyślał Slider. Życie w małżeństwie jest inne, powiedział sobie. Gdyby Joanna była jego żoną, nie spędzaliby ze sobą radosnych, swobodnych, miłych, wypełnio-

nych rozmowami lunchów. Oczywiście, że nie. Wszystko by się zmieniło. Samotny mężczyzna jest niebezpieczny, Billy. Wierzy w to, co mu pasuje.

Atherton zdecydował, że skoro jest już w okolicy, zweryfikuje historyjkę Thompsona o pubie. Steptoes było ruchliwym miejscem, wypełnionym młodymi mężczyznami w zniszczonych butach i eleganckimi kobietami o zmęczonych twarzach ukrytych za maskami makijażu. Urzędnicy. Jakim cudem uchodzi im to na sucho?

Zamówił dużego marstona i zapiekankę z serem na toście. Zaczął gawędzić z właścicielem, niskim, muskularnym eksbokserem, który przedstawił go australijskiej barmance obsługującej klientów w poniedziałkowy wieczór.

Ku zaskoczeniu Athertona oboje zgodnie twierdzili, że znają Simona Thompsona i jego dziewczynę, pielęgniarkę. Bywali tutaj dość często, zazwyczaj w towarzystwie całego tłumu innych muzyków lub pielęgniarek. Najwyraźniej przedstawiciele obu profesji dobrze się rozumieli. Ani barmanka, ani właściciel jednak nie przypominali sobie, by Simon był w pubie w poniedziałkową noc.

- Mieliliśmy wielu gości - rzekła barmanka. - To, że go nie zauważyłam, nie oznacza, że go tu nie było.

Ma rację, pomyślał Atherton.

Slider zostawił Joannę w Woodstock, sam zaś pojechał na spotkanie z prawnikiem.

Pan Battershaw na początku nie chciał uwierzyć, że Anne-Marie nie żyje.

- Muszę zobaczyć świadectwo zgonu. Dlaczego nie zostałem o tym wcześniej poinformowany? - powtarzał co chwila.



Slider wyjaśnił mu cierpliwie, że policja miała problemy z identyfikacją zwłok i odnalezieniem najbliższego krewnego.

- Właśnie wracam ze spotkania z panią Ringwood, która podała mi pana nazwisko i adres. Rozumiem, że był pan doradcą prawnym panny Austen?

Wreszcie pan Battershaw dał się przekonać, że Anne-Marie rzeczywiście odeszła z tego świata, i zaczął współpracować. Był dużym, wymizerowanym mężczyzną około pięćdziesiątki, z wiecznie zdziwionym spojrzeniem i szczęką, która nadawała mu wygląd konającego konia. Zaoferował Sliderowi herbatę, ale ten odmówił, i rozsiadł się wygodniej, odpowiadając posłusznie na pytania dotyczące historii rodziny.

- Dziadek Anne-Marie, pan Bindman, był klientem mojego poprzednika w naszej kancelarii, pana Riggsa juniora. Pan Riggs odszedł już na emeryturę, ale opowiedział mi o panu Bindmanie. Był to człowiek, który wzbogacił się własną pracą. Syn ubogiego uchodźcy, przybył do naszego kraju podczas pierwszej wojny światowej. Założył własny interes i zbił na nim fortunę. Wybudował dla rodziny piękny dom i stał się podporą tutejszej społeczności.

-Jakiego rodzaju był to biznes?

- Obuwniczy. Nic ekscytującego, niestety. Był dwukrotnie żonaty. Pierwsza żona umarła w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym albo trzydziestym roku. Z pierwszego małżeństwa miał syna Davida, z drugiego zaś dwie córki, Rachel i Esther. David zginął w czterdziestym drugim roku. Prawdziwa tragedia. Biedny chłopak, miał zaledwie osiemnaście lat i dopiero co się zaciągnął. Służył w wojsku od kilku tygodni. Potem druga pani Bind-

man zginęła podczas nalotu i panu Bindmanowi zostały tylko dwie córki. Miał absolutnego bzika na ich punkcie, zwłaszcza tej młodszej, Rachel. Esther wyszła za mąż w pięćdziesiątym siódmym roku. Gregory Ringwood był bardzo solidnym młodym człowiekiem, ustabilizowanym, wiarygodnym, takim, jakiego zaaprobowałby kochający i ostrożny rodzic. Później, tego samego roku, Rachel zakochała się w skrzypku o nazwisku Austen. To była zupełnie inna historia.

- Ile miała lat?

- Niech pomyślę... osiemnaście lub dziewiętnaście.

Była bardzo młoda. Pan Bindman był bardzo stanowczym człowiekiem. Kochał muzykę i to on zachęcał Rachel, żeby chodziła na koncerty. Kupił jej nawet płyty gramofonowe i radiolę. Kiedy jednak przyszło do wyjścia za mąż za skrzypka, chłopak okazał się niewystarczająco dobry dla jego córki. Bindman powiedział jej, że związek z Austenem nie ma przyszłości, że nigdy nie zarobi wystarczająco dużo, żeby utrzymać Rachel, i zabronił dziewczynie widywać się z nim. Obawiam się jednak, że Rachel odziedziczyła silny charakter po ojcu. Dwa lata spędzili na nieustannych kłótniach na ten temat. W końcu, gdy tylko Rachel skończyła dwadzieścia jeden lat i zyskała prawną niezależność, wyszła za mąż za Austena, łamiąc tym serce swojemu ojcu. - Battershaw westchnął. - Pan Bindman zareagował w jedyny znany mu sposób. Wydziedziczył Rachel i przysiągł, że nigdy więcej nie zamieni z nią ani słowa.

- Dość drastyczna reakcja - ocenił Slider.

- Och, bardzo wiktoriańska! Swoją drogą, jestem pewien, że gdyby miał więcej czasu, zmieniłby w końcu zdanie.

Uwielbiał Rachel i na pewno udałoby jej się go jakoś ułagodzić. Myślę, że po prostu chciał okazać swoje rozczarowanie w uświęcony tradycją sposób. Niestety, okazało się, że czas na zmianę zdania nie był mu dany. W następnym roku, tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym, urodziła się Anne-Marie. Rachel usiłowała się wtedy pogodzić z ojcem i widać było, że staruszek zaczyna mięknać. Niestety, rok później Rachel i jej mąż zginęli w wypadku samochodowym, osierocając Anne-Marie.

- To okropne.

Battershaw pokiwał głową.

- Był to rok, w którym zacząłem pracować w firmie. Widziałem na własne oczy, jak niemal z dnia na dzień pan Bindman postarzał się o dobre dziesięć lat. Winił siebie, jak zwykle przy tego typu zdarzeniach. Przełał całą swoją miłość do Rachel na małą Anne-Marie. Ponownie zmienił zapis w testamencie, pozostawiając połowę majątku swojej córce, Esther, drugą zaś składając na fundusz powierniczy Anne-Marie.

Jego słowa zapadały w umysł Slidera niczym kolejne pasujące do siebie elementy układanki. Pomijając wahanie pani Ringwood, pieniądze zazwyczaj leżały u źródeł wielu problemów. Dla krewnego nic trudnego, pomyślał.

-Jakie były warunki realizacji funduszu?

- Obawiam się, że bardzo nierozważne. - Battershaw się skrzywił. - Nieraz dyskutowałem o tym z panem Bindmanem, ale był upartym staruszką i nie chciał ustąpić ani na trochę. Pieniądze miały być wypłacane w sumach, które pozwalały na wychowanie i edukację Anne-Marie, jednak główny kapitał i wszelkie nagromadzone odsetki miały być jej wypłacone dopiero po zamążpójściu. - Potrząsnął głó-

wą. - Pan Bindman nie wierzył, że kobiety potrafią sobie radzić z finansami. Uważał, że potrzebują do tego porady mężczyzny. Oczywiście jestem pewien, iż nie przewidział kolei losu. Zapewne oczekiwał, że Anne-Marie wyjdzie za mąż zaraz po skończeniu szkoły, on zaś będzie jeszcze na tym świecie, aby zaaprobować, a może nawet zaaranżować jej małżeństwo.

- Potem, jak rozumiem, mógł zmienić warunki ugody?

- Tak jest. Zrobiłem co w mojej mocy, aby go do tego przekonać. Błagałem go, żeby przynajmniej ustalił datę wygaśnięcia funduszu, tak żeby Anne-Marie mogła odziedziczyć pieniądze po wyjściu za mąż lub po ukończeniu, powiedzmy, dwudziestu pięciu lat. Pan Bindman nie chciał jednak o niczym słyszeć. Ośmielałem się przypuszczać, że gdybym miał więcej czasu, zapewne bym go przekonał, ale znowu szczęście nam nie sprzyjało. Śmierć Rachel sprawiła, że podupadł na zdrowiu i umarł niecały rok później, pozostawiając Anne-Marie w niezwykle krzywdzącej pozycji, bez grosza, albowiem nie mogła dostać swoich pieniędzy, dopóki nie wyszła za mąż.

Slider zamyślił się.

- Czy pani Ringwood знаła warunki funduszu?

- O tak. Jest drugim powiernikiem.

- A Anne-Marie? Czy ona o tym wiedziała?

Battershaw spojrzał na niego lekko zaniepokojony.

- To dziwne, ale gdyby zapytał mnie pan o to rok temu, musiałbym powiedzieć, że nie wiem. Nigdy nie rozmawiałem z nią o tej sprawie i szczerze wątpię, czy pani Ringwood uznała za stosowne wyjaśnić jej ten układ. Warunki umowy, rozumie pan, zdecydowanie zachęcają do wyjścia za mąż, nawet wbrew rozsądkowi, i... - Przerwał zakłopotany.

- Sugeruje pan, że Anne-Marie mogła wyjść za mąż tylko po to, żeby się uniezależnić i położyć rękę na pieniądzach?

- spytał Slider.

- Tak - odparł z wdzięcznością Battershaw. Odchrząknął i kontynuował. - Zeszłej jesieni jednak Anne-Marie umówiła się ze mną na konsultacje.

- Może mi pan powiedzieć kiedy?

- Ależ oczywiście. Nie z głowy, rozumie pan, myślę, że było to w okolicach października. Pani Kapłan, moja sekretarka, poda panu dokładną datę.

- Dziękuję. Tak więc Anne-Marie przyszła do pana z wizytą... tutaj, do biura?

- Tak.

- Jakie na panu sprawiła wrażenie?

- Wrażenie? Wydawało mi się, że jest szczęśliwa. Była ładnie opalona. Pamiętam, że skomentowałem ten fakt, i odparła, że właśnie wróciła z Włoch. Była tam na tournée z orkiestrą. Wydaje mi się, że zawsze lubiła Włochy.

- Na pewno była szczęśliwa?

Battershaw spojrzał na niego zdezorientowany.

- Doprawdy, inspektorze, nie umiem powiedzieć z całą pewnością. Nie znałem Anne-Marie na gruncie prywatnym, a przynajmniej nie na tyle, aby móc ocenić jej uczucia. Mogę jedynie powiedzieć, że nie wyglądała na nie-szczęśliwą.

- Naturalnie. Proszę mówić dalej. - Slider ocalił go od podróży po nieznanym mu terenach. - Po co przyszła?

- Chciała poznać w szczególności warunki funduszu, który ustanowił dla niej dziadek. Powiedziałem jej...

- Chwileczkę. Poprosiła pana o wyjaśnienie warunków czy też знаła je już i poprosiła pana o potwierdzenie?

- Rozumiem, o co panu chodzi. - Battershaw spojrział na niego bystro. - O ile sobie przypominam, powiedziała, że z tego, co się orientuje, nie mogła dysponować żadnymi pieniędzmi, dopóki nie wyjdzie za mąż, i spytała mnie, czy to prawda. Oczywiście potwierdziłem.

-Jak zareagowała?

- Na początku nic nie powiedziała, chociaż widać było, że zastanawia się nad czymś głęboko. Nie wyglądała na zadowoloną, ale to zrozumiałe. Potem zapytała, czy istnieje jakiś sposób zmiany warunków umowy. Odparłem, że nie, na co powiedziała: „Jest pan pewien, że jedynym sposobem na uzyskanie pieniędzy z funduszu jest ślub?” lub coś w tym stylu. Powiedziałem, że tak, po czym Anne-Marie wstała i pożegnała się ze mną.

- To wszystko?

-To wszystko. Zapytałem, czy mogę jeszcze coś dla niej zrobić, ale podziękowała mi tylko. - Anemiczny koń uśmiechnął się niemal szelmowsko. - Rzekła chyba: „Absolutnie nie”. - Spowaźniał nagle. - Wtedy widziałem ją ostatni raz. Nie mogę uwierzyć, że to biedne dziecko nie żyje. Jest pan pewien, że została zamordowana?

-Tak.

- Nie chciałbym myśleć, że mogła... targnąć się na własne życie z powodu pieniędzy. Jej dziadek na pewno by tego nie chciał.

-Jesteśmy pewni, że to nie było samobójstwo - odparł Slider, błędząc myślami gdzieś daleko. - Czy panna Austen miała jakichś krewnych ze strony ojca?

- Nic o tym nie wiem. Jej ojciec był jedynakiem, więc nie miała żadnych wujków i ciotek ani też rodzeństwa ciotecznego.

Być może byli jacyś kuzyni, ale nigdy o nich nie słyszałem.

- Czy miała jakichś krewnych we Włoszech? - zaryzykował Slider. - Może jej ojciec był półkrwi Włochem?

Battershaw wyglądał na absolutnie zdumionego.

- Nic o tym nie wiem, ale też nie miałem z nim żadnego kontaktu. Powinien pan zapytać panią Ringwood.

- Oczywiście. Dziękuję panu. - Slider zebrał się do wyjścia. - Czy pańska sekretarka może mi podać datę spotkania z panną Austen?

- Naturalnie. - Battershaw odprowadził go do drzwi.

- Tak przy okazji - rzucił na odchodne Slider. - Majątek złożony w funduszu był ogromny, prawda?

- Tak jest. Został dobrze zainwestowany. - Battershaw wymienił sumę, od której Slider uniósł brwi.

- Kto otrzyma te pieniądze po śmierci Anne-Marie? Battershaw wyglądał jak bardzo nieszczęśliwy blady koń z kolką jelitową.

- Zapisobiorcą reszty spadkowej jest pani Ringwood - odparł.

- Rozumiem. Dziękuję.

Wyszedł prosto na mocne słońce. Stał przez chwilę, mrużąc oczy w jego blasku. Mętnik, jaki panował w tej sprawie, zaczynał powoli znikać. Widział przynajmniej końce nici owej historii, za którymi mógł podążać. Faworyzowana przez ojca siostra, jej dziecko, również hołubione przez dziadka - bezbronne, nieszczęsne dziecko. Z drugiej strony posłuszna córka, zawsze niedoceniana, zmuszona do opieki nad kobietą, z którą rywalizowała o miłość ojca. Pieniądze, które od samego początku powinny należeć do niej. Teraz sprawiedliwości stało się zadość. Nic dziwnego, że nie chciała o tym rozmawiać, pomyślał Slider. Tylko

że sam motyw nie czyni z człowieka mordercy. Mimo wszystko...

Nagle przypomniał sobie o Joannie. Zaabsorbowany spotkaniem z Battershawem zupełnie o niej zapomniał. Był to jeden z powodów, dla których kochał swoją pracę: absorbowała go tak całkowicie, że stawała się jego ucieczką, jedynym miejscem, gdzie mógł się schronić przed przygnębiającą rzeczywistością.

Myślenie o Joannie było odświeżające, regenerujące. Siedziała przy oknie w kawiarence, w której mieli się spotkać. Na początku go nie dostrzegła, więc obserwował ją ukradkiem. Jej twarz była mu znajoma, ale teraz, w bezlitosnym świetle słonecznym, zobaczył wszystkie jej szczegóły, rysy, nierówności, jej całą wyjątkowość. Świadectwo doświadczeń, egzystencji bez niego. Joanna żyła i owo życie ją ukształtowało. Połowę drogi przebyła sama, bez niego, on zaś przeżył bez niej zdecydowanie więcej niż połowę swojego życia. Ze wszystkich tych tysięcy dni i nocy spędzili razem tylko jeden. Mimo to, spoglądając na nią, czuł, że należą do siebie. Tak właśnie jest, pomyślał. Jego miejsce było u jej boku, wspólnie stawiać czoło całej reszcie świata. Nie obchodziło go, że nie znał jej życia. Znał Joannę, to było najważniejsze.

Wreszcie go dostrzegła. Jej spojrzenie i twarz rozjaśniły się w uśmiechu. Slider wszedł do środka.

Słońce czy nie, był zaledwie styczeń i zmrok, który zapadł, gdy wracali do Londynu, pogorszył im nieco nastroje, przypominając o czekających ich problemach.

- Powinienem być dzisiaj wcześniej w domu - rzekł Slider, kiedy zatrzymali się przed jej domem. Joanna odwróciła



niecio głowę. Przykrość, jaką niewątpliwie jej sprawił, zraniła go. - Jeśli chcesz, możemy wyskoczyć na szybką kolację - dodał niepewnie.

Spojrzała na niego.

- Nie, to byłaby strata czasu. Napijmy się czegoś u mnie, a jeśli jesteś głodny, możemy coś przekąsić. Rozpalę w kominku.

- Muszę zadzwonić w parę miejsc - powiedział i zaraz dodał pośpiesznie: - do Athertona i na komisariat. Nie odzywałem się do nich przez cały dzień.

- Nie tłumacz się - odparła. - Musisz zrobić to, co do ciebie należy.

Kiedy jednak weszli do środka, zaczął dzwonić telefon. Joanna podniosła słuchawkę, zanim włączyła się automatyczna sekretarka. Slidera przeszedł dreszcz, ogarnęło go złe przeczucie, zanim jeszcze odpowiedziała coś uprzejmie rozmówcy i odwróciła się, podając Sliderowi słuchawkę.

- Do ciebie - rzuciła. Było zbyt ciemno, żeby zobaczyć wyraz jej twarzy, ale ton jej głosu świadczył o tym, że doskonale wiedziała, iż oznaczało to dla nich koniec wspólnego dnia.

Dzwonił O'Flaherty.

- To ty, Billy? Chryste, przez cały dzień próbujemy cię złapać. Atherton powiedział, że możesz być pod tym numerem. Czyżbym złapał cię w trakcie baraszkowania, drogi Billy?

- Co dla mnie masz, Pat? - Slider nie zamierzał dać się sprowokować.

- Ach, na tym naszym świecie fortuna kołem się toczy - rzucił zagadkowo O'Flaherty. - Przykro mi, że ci przeszkadza-

dzam, ale lepiej będzie, jeżeli przyjedziesz tu jak najszybciej, mój drogi. Dziękuj Bogu i Małemu Smutnemu Chłopcu, że szukając cię nie zadzwoniliśmy do twojej starej.

O'Flaherty nazywał Małym Smutnym Chłopcem Ather-  
tona. Obaj okazywali sobie żartobliwe lekceważenie.

Fala ulgi pomieszanej z rozczarowaniem i strachem ścis-  
nęła żołądek Slidera.

- Na litość boską, Pat, co się do cholery stało? - rzucił  
niecierpliwie.

- Ta wasza staruszka, pani Gostyń. Próbowali się z nią  
skontaktować przez cały dzień, coraz bardziej zaniepo-  
koleni, bo się nie pokazywała. W końcu Mały Smutny  
wszedł do mieszkania przez okno i znalazł ją sztywną na  
podłodze.

Nagle słuchawka wydała się Sliderowi bardzo śliska i lo-  
dowato zimna. W ciemności korytarza poszukał spojrzenia  
Joanny. Jej twarz wydawała się dryfować wśród cieni, ni-  
czym samodzielna istota. Potem wyciągnęła rękę, zapaliła  
światło i nagle wszystko wróciło do normy. Slider poczuł  
zmęczenie.

- Jak to się stało? - spytał.

- Może się poślizgnęła i uderzyła głową o kant sto-  
łu - rzekł O'Flaherty, akcentując słowo „może”. Slider  
zrozumiał.

- Zaraz przyjadę - rzucił.

Joanna odwróciła się i poszła do kuchni. Uznał to  
za wyraz zwolnienia go z obowiązku dotrzymywania jej  
towarzystwa. Ich dzień razem dobiegł końca, jednak pod  
powierzchnią gotujących się emocji nadal panował spokój,  
ponieważ Joanna wkroczyła w jego życie i czuli do siebie  
to, co czuli.

## Rozdział 9

### WAŻNIEJSZE SPRAWY NA GŁOWIE

Atherton nastawił budzik, żeby wstać wraz z ptakami, jednak zamiast alarmu obudziły go obrzydliwe chrupania i mlaskania dochodzące spod łóżka, gdzie Edyp postanowił skosztować świeżo upolowaną mysz. Atherton wstał, przeklinając, klęknął i ostrożnie podniósł róg narzuty. W bladym świetle poranka kot zaświecił żółtymi oczami. Z jego pyska zwisał mysi ogon.

- Tylko żebyś mi nie zostawiał pod łóżkiem niedojedzonych resztek - powiedział Atherton, przypominając sobie dzień, w którym znalazł na poduszce cztery małe mysie łapki, oderwane od reszty ciała. Powędrował do łazienki, wskoczył pod gorący strumień wody, ogolił się, umył głowę, a potem stał pod prysznicem w obłokach pary, rozmyślając o Sliderze.

Zdarzyło się coś naprawdę niezwykłego. Oczywiście nie znał tej Marshall, ale nawet jeśli była superkobieca, trudno mu było uwierzyć, że Slider tak łatwo wyskoczył z torów pod wpływem jej wdzięków. Przecież spędzili razem zaledwie kilka godzin. To, że z nią spał - we wszystkich znaczeniach

tego słowa - pierwszej nocy po ich spotkaniu, a potem zabrał ją ze sobą, kiedy miał prowadzić śledztwo, zupełnie nie pasowało do jego przełożonego. Atherton, który wierzył w miłość jako uczucie teoretyczne - coś, czego istnienie nie zostało jeszcze całkowicie potwierdzone - mógł jedynie założyć, iż Slider był na skraju poważnego załamania nerwowego.

Brak doświadczenia robi z ludzi strasznych głupców, pomyślał, zakręcając wodę i owijając się ogromnym, grubym ręcznikiem; Atherton traktował kąpiel niezwykle poważnie. O ile wiedział, Slider nigdy przedtem nie zdradził Irene, prawdopodobnie nawet w myślach. Był jednym z nielicznych, naprawdę wiernych mężczyzn i Atherton, który w zasadzie miał nadzieję na to, że stary Bill wydostanie się spod pantofla żony, zastanawiał się, czy ten stary dureń poradzi sobie z tą sytuacją. Jeżeli zamierzał się wykoleić, na pewno zrobi to w spektakularny sposób, a tego typu kryzys w samym środku śledztwa w sprawie morderstwa oznaczał katastrofę.

Atherton włączył suszarkę, nie zaprzestając rozmyślań. W wydziale było wielu ludzi, którzy gdyby mogli, wspiełiby się po szczeblach drabiny nawet po trupach, niszcząc przy tym kogoś, kogo może nawet i lubili, ale kto ich zdaniem nie traktował swojej pracy wystarczająco poważnie. Slider, z tego, co wiedział Atherton, został pominięty przy rozdzielaniu awansów ze względu na politykę wewnątrzwydziałową. Nie ma co tego roztrząsać. Lepiej jeżeli przygotuję coś na kolejne zebranie, pomyślał, ponieważ jak dotychczas nie posunęli się w śledztwie ani na krok.

Ubrał się, zajrzał jeszcze raz pod łóżko. Edypa już tam nie było, pozostał jedynie żaloszny kłaczek szarego futra. Potem pojechał do Świętego Tomasza, żeby złapać Helen Morris, kiedy tylko skończy ona pracę.

Slidera obudziła Kate, wylewając herbatę na jego pierś, kiedy wspinała się na łóżko z trzymanym w dłoni kubkiem,

- Trzeba już wstawać, tato - powiedziała. Jej pachnący gumą do żucia oddech był chrapliwy z wysiłku, jaki włożyła w ocalenie resztek herbaty przed wylaniem. Slider uniósł się na łokciach i odsunął, zanim wylądowała na nim kolejna porcja płynu.

- Dziękuję, kochanie - rzekł zaspany i upił nieco herbaty, żeby sprawić jej przyjemność. Czuł się zmęczony, jakby położył się zaledwie przed chwilą. Całe ciało bolało go tak, jakby dostał porządne baty. Poza tym dręczył go ból głowy z przepalenia i czuł, że ma pełne zatoki. Przestał pozować na twórczego rodzica, odstawił kubek na szafkę nocną i z jękiem opadł z powrotem na poduszki.

- Nie możesz znowu zasnąć, tato. Musisz wstać - oznajmiła surowo Kate. Przyjrzała mu się uważnie niczym ptak śledzący robaka. - Upiłeś się wczoraj w nocy?

- Oczywiście, że nie - wymamrotał Slider. - Dlaczego tak mówisz?

- Mama myśli, że się upiłeś.

Slider otworzył oko.

- Nie powiedziała tego - rzucił z lekką niepewnością. Kate wzruszyła kościstymi ramionami.

- Nie powiedziała, ale na pewno tak myślała. Jest na ciebie o coś zła i powiedziała, że wrócisz do domu późno. Kiedy tata Chantal wraca późno do domu, zawsze jest pijany.

- Za dużo myślisz - rzekł Slider. - W każdym razie ja pracowałem, a nie piłem. Wiesz przecież, że czasami muszę pracować w dziwnych godzinach, prawda?

Nieprzekonana Kate wzruszyła w odpowiedzi ramionami i otworzyła usta, aby powiedzieć, co na ten temat myśli.

- Co będziesz dzisiaj robiła? - spytał nieopatrznie Slider, zdecydowany powstrzymać ją przed komentarzami. Rozchylona buzia otwarła się jeszcze szerzej, jakby córkę zdumiała jego głupota.

- Przecież dzisiaj jest festyn w szkole - powiedziała z naciskiem, niczym pielęgniarka w domu starców zwracająca się do jednego z pacjentów. - Mam być na stoisku. Mam być Mister Manem. Mama zrobiła dla mnie kostium i w ogóle!

- Och, to dzisiaj? - spytał słabo Slider.

Kate westchnęła ciężko i dmuchnęła, by odsunąć sprzed oczu pasemko przetłuszczonych, jasnobrązowych włosów.

- Oczywiście, że dzisiaj. Wiedziałeś o tym - powiedziała bez litości.

- Myślałem, że w przyszłym tygodniu - wyjaśnił Slider z poczuciem nadciągającego nieszczęścia.

- Ale nie jest. - Spojrzała na niego podejrzliwie. - Przyjdiesz, prawda?

- Nie mogę, kochanie. Muszę iść do pracy. Jej twarz wykrzywiła rozpacz.

- Ale tato, przecież obiecałeś! - wyjęczała.

- Przykro mi, słoneczko, ale nie mogę nic na to poradzić. Mam bardzo ważną sprawę i naprawdę muszę iść do pracy. To dochodzenie w sprawie morderstwa. Wiesz, co to znaczy, prawda?

- Oczywiście. Nie jestem głupia - odparła obrażonym tonem. - Ale tak naprawdę nie musisz iść, co? Nie na cały dzień.

- Niestety.

- To dlatego mama jest na ciebie zła?

- Nie sądzę, żeby o tym wiedziała - rzekł Slider słabo.

- Zejdź z łóżka, kochanie. Muszę iść do łazienki.

- Założę się, że mama nic nie wie - powiedziała Kate z zadowolaniem. Zeskoczyła z łóżka i pognąła w podskokach na dół niczym uradowany zwiastun nieszczęścia. Niech ją licho, pomyślał Slider, człapiąc do łazienki. Wydawało mu się, że droga prowadzi pod górę. Wysikał się, postąpił przez chwilę, z przyjemnością drapiąc się po głowie, a potem zaczął nalewać wody do wanny. Pluskanie było tak głośne, że usłyszał Irene dopiero wtedy, gdy odezwała się za jego plecami:

- Czy to prawda?

- Co takiego? - zagrał na zwłokę.

- Kate mówi, że musisz iść dzisiaj do pracy. - Jej ton był lodowaty. Slider odwrócił się, aby ocenić, jak bardzo zła jest sytuacja. Była tragiczna. Usta Irene zacisnęły się w bladą, cienką kreskę, która postarzała ją o pięć lat. Żadnej kobiecie z taką miną nie byłoby do twarzy, pomyślał. Szukał w sobie przez chwilę winy, ale nie znalazł nic nowego poza starymi, znajomymi uczuciami, które już zdążyły się w nim wygodnie zadomowić. Odnalazł w myślach Joannę, ale ona akurat jawiła się mu niczym delikatna błyszcząca sieć rozkoszy, a blask rozsiewany przez myśli o niej wydawał się go chronić przed poczuciem winy.

- Niestety to prawda - odparł i nabrał pełne płuca powietrza, żeby dodać jakieś usprawiedliwienie, jednak Irene była szybsza.

- Dziwię się, że w ogóle zadajesz sobie trud i wracasz do domu - rzuciła z goryczą. - To chyba nie ma sensu. Dlaczego nie przeprowadzisz się do Athertona? Jemu zapewne nie będą przeszkadzały twoje powroty o najróżniejszych porach dnia i nocy, zwłaszcza jeśli to z nim siedzisz przy kieliszku.

- Daj spokój! - Slider lekko się zirytował. - Nie piłem wczoraj w nocy, dobrze o tym wiesz. Pracowałem. Powiedziałem ci przecież, że umarła staruszka, jedyny świadek w całej tej cholerniej sprawie. Wiesz, ile oznacza to roboty. Poza tym - dodał, nabierając rozpędu - wmawianie Kate, że wróciłem do domu pijany, to chyba za wiele.

Pomyślał, że to nieprawdziwe oskarżenie nieco zbije ją z tropu, ale Irene natychmiast odpowiedziała z głęboką ironią:

- I co, chcesz mi powiedzieć, że musisz iść natychmiast, tak?

- Owszem, muszę - odparł obronnym tonem.

- I oczywiście nie mogłeś mnie o tym poinformować wcześniej?

- Nie, nie mogłem. Przecież o tym nie wiedziałem, prawda?

- Zdajesz sobie sprawę, że dzisiaj Kate ma występy na festynie. Czekala na to od kilku tygodni.

- Nie rozumiem, jak to...

- Poza tym Matthew ma dzisiaj mecz. To jego pierwszy występ w drużynie szkolnej, z czego rzekomo byłeś taki dumny.

- O Boże, to też jest dzisiaj? Zapomniałem...

- Tak, jesteś świetny w zapominaniu o tego typu rzeczach, prawda? Rzeczach, które dotyczą twojego domu i rodziny. Nieważnych rzeczach, takich jak to, że miałeś zawieźć mnie i Kate na festyn, a potem zabrać Matthew na mecz. Zapomniałeś, że dla odmiany dzisiaj powinieneś być z nami.

- Przecież nie mogę nic na to poradzić - odparł automatycznie. - Co mam niby zrobić? Powiedzieć w wydziale, że jestem zajęty?



Irene nigdy nie odpowiadała na niewygodne pytania.

-Jeden dzień - rzuciła z goryczą. - Tylko jeden dzień.

Czy to zbyt wiele? Oczywiście nie spodziewałam się, że zrobiłbyś cokolwiek dla mnie, ale myślałam, że przynajmniej swoim dzieciom, które czekały na to tak długo, będziesz mógł poświęcić kilka godzin. Ale ty jesteś zbyt zajęty. Powinam to przewidzieć.

- To moja praca, na litość boską! - wykrzyknął, wyprowadzony z równowagi.

- Twoja praca - powtórzyła z szyderstwem.

- To ważna sprawa...

-Tak twierdzisz. Założę się jednak, że nic na niej nie zyskasz. Nie awansują cię za jej rozwiązanie. I powiem ci dlaczego: bo biegasz z wywieszonym jęzorem niczym ich piesek, pracując na okrągło, zawsze na ich wezwanie, a oni wcale cię za to nie szanują, o nie! Będą cię trzymać dalej na tym samym stanowisku, bo tak będziesz bardziej przydatny niż po awansie.

- Och, na litość boską, Irene! Naprawdę sądzisz, że robiłbym to, gdybym nie uważał tego za konieczne? Uważasz, że lubię chodzić do pracy w niedzielę?

Nagle wszystko się zmieniło. Jej wykrzywiona z gniewu twarz rozluźniła się. Irene przestała odgrywać główną rolę w swojej prywatnej operze mydlanej. Spojrzała na niego, jakby wreszcie naprawdę go zobaczyła, ze smutnym rozczarowaniem, które głęboko go zraniło.

- Tak - odparła. - Tak uważam. Sądzę, że wolisz pracować, niż spędzać czas z nami.

Jej słowa niebezpiecznie ocierały się o prawdę. Spoglądał na żonę bezradnie. Chciał wyciągnąć do niej ręce, ale zbyt dużo czasu upłynęło, od kiedy dotykali się tak po prostu,

aby ów gest był możliwy bez niedopuszczalnego obnażenia duszy. Gdyby wyciągnął do niej rękę, ona zaś ją odtrąciła, zraniłoby to ich oboje. Dystans, który stworzyli między sobą, pozwalał im nadal koegzystować. Ten moment nie był odpowiedni do wprowadzenia zmian w ich związku.

- Och, Irene. - To wszystko, na co się zdobył kierowany współczuciem.

- Przestań - odparła gwałtownie i wyszła.

Slider usiadł na brzegu wanny i wpatrzył się w swoje dłonie. Nagle straszliwie zateśknął za Joanną, za kimś, kto nie był wypełniony po brzegi nieokreślonym i nieuleczalnym bólem i krzywdą. Przypomniawszy sobie, co powiedział kiedyś Atherton: że najlepszym prezentem dla ukochanej osoby jest podarowanie jej możliwości zadowolenia cię. Slider nie miał pojęcia, skąd jego partner wytrzasnął tę sentencję, ale była ona prawdziwa. Kochał Joannę w dużej mierze dlatego, że potrafił ją uszczęśliwić bez nadmiernego wysiłku. Nie był jednak naiwny i wiedział, że mogło to być początkiem czegoś poważniejszego.

Westchnął, wszedł do wanny i zabrał się do golenia oraz kąpieli. Ubrał się, nadal rozmyślając na przemian o problemowości Ireny i bezproblemowości Joanny. Gdzieś w tle przypominał sobie, co zostało zapisane w dokumentach dotyczących sprawy Anne-Marie. Jego umysł był niczym jabłko królowny Śnieżki - jedna połowa słodka, druga połowa zatruta.

- Panna Morris?

- Pan musi być sierżantem Athertonem. Zadzwonili do mnie z dołu i powiedzieli, że chce pan ze mną porozmawiać.

Helen Morris była pulchna i ładna, miała przyjaźnie spoglądające ciemne oczy i zgrabnie przycięte krótkie brązowe włosy, a także przyjemną czystość pielęgniarstwa. Cienie pod oczami stanowiły prawdopodobnie rezultat nocy spędzonej w pracy. Zanim Atherton wjechał na górę, wypytał recepcjonistkę o kilka spraw. Dawało mu to teraz przewagę nad zmęczoną pielęgniarzką.

- Przepraszam, że przedłużam i tak już długi dzień pracy, ale chciałem z panią porozmawiać na osobności - powiedział z rozbijającym, przyjaznym uśmiechem.

- Nie lubię robić niczego za plecami Simona - odparła, zupełnie nie reagując na jego próby nawiązania przyjaźni. Atherton uśmiechnął się jeszcze sympatyczniej.

- To tylko i wyłącznie rutynowa rozmowa. Chodzi o uzyskanie informacji z niezależnych źródeł, to wszystko.

Uniosła nieco głowę.

- Całkowicie ufam Simonowi. Nie miał nic wspólnego z... z tym, co się przydarzyło Anne-Marie.

- W takim razie chyba nic się nie stanie, jeżeli porozmawiamy, nie sądzi pani? - spytał Atherton beznamiętnie, odwracając się, jakby chciał ruszyć z nią. Panna Morris najwyraźniej uznała, iż przyzwoliła mu na to w jakiś bliżej niesprecyzowany sposób, wzruszyła więc tylko ramionami i powędrowała korytarzem.

- Muszę się napić kawy - powiedziała.

- Doskonale. Możemy porozmawiać w kantynie.

Dotarli na miejsce o poranku dość opustoszałe i Atherton poczuł zachęcający zapach smażonego boczku i nieprzyjemny smrodek kawy rozpuszczalnej. Wiele pielęgniarek jadło właśnie śniadanie, ale wokoło było wystarczająco dużo wolnych stolików, aby mogli się znaleźć poza zasięgiem ich

słuchu. Atherton kupił dwie kawy, po czym usiedli naprzeciwko siebie przy laminowanym stole.

- Przypuszczam, iż wie pani, co mnie tu sprowadza - zaczął Atherton zgodnie z zasadą, która nakazywała stworzyć przesłuchiwanym możliwość przejęcia inicjatywy.

Helen Morris wzruszyła ramionami i z obojętnym wyrazem na twarzy zamieszała kawę. Atherton podziwiał jej opanowanie, chociaż po nocy spędzonej na sali operacyjnej obecne zdarzenia zapewne wydały się jej banalne. Przyjrzał się jej uważnie. Helen Morris miała pełne, seksowne usta, teraz wygięte w grymasie niezadowolenia, i ciało, które całym sobą krzychało o zmęczeniu i zgryzocie.

- Jak dobrze znała pani Anne-Marie Austen? - zaczął.

- Prawie w ogóle. Widziałam ją kilka razy za kulisami. Raz czy drugi znalazła się w grupie osób, z którymi wybraliśmy się na drinka po koncercie. Nigdy jednak z nią nie rozmawiałam. To wszystko.

- Nie należała do bliskich przyjaciółek pani narzeczonego?

Helen Morris chwyciła kubek w obie dłonie i uniosła do ust. Skrzywiła się z odrazą i odstawiła kawę, nie upiwszy ani łyka. Ta mina to z powodu kawy czy jego pytania?

- Wiem o jej romansie z Simonem we Włoszech, jeżeli o to panu chodzi.

- Ktoś pani o tym powiedział?

- Wiem, że takie rzeczy są w orkiestrze na porządku dziennym.

- Nie przeszkadza to pani?

Spojrzała na niego z gniewem.

- Oczywiście, że mi przeszkadza. Co pan sobie wyobraża? Tyle że nie mogłam nic z tym zrobić, prawda? - Atherton

milczał. - Pewnie wie pan również i to, że Anne-Marie nie była pierwsza - ciągnęła. Uśmiechnęła się niepewnie. - Muzycy tacy są. To stres. Na tournée robią przez to rzeczy, na które nigdy nie poważyliby się w domu. Tak długo, jak wszystko kończy się na lotnisku, robienie z igły wideł byłoby głupotą. Zawsze tak powtarzałam i zawsze tak było.

- Zawsze?

- Jesteśmy z Simonem parą od wielu lat i dobrze go znam. Pomimo swoich wszystkich wad zawsze był wobec mnie uczciwy. Nigdy nie romansowałby z Anne-Marie po zakończeniu tournée. To ona, to wszystko jej pomysł. - Wypowiadając te słowa, spojrzała na Athertona, jak człowiek zmuszony do uwierzenia w coś, w co tak naprawdę wątpi. Starła się trzymać fason, ale nie była na tyle głupia, żeby nie wiedzieć, jakim gagatkiem jest jej chłopak, pomyślał Atherton.

- Zatem pani zdaniem Anne-Marie nie chciała zakończyć owej znajomości.

Jej twarz stężała.

- Po tym, jak poszli ze sobą do łóżka, przypuszczam, że zakochała się w Simonie. Zaczęła go prześladować, a Simon czuł do niej litość, co ona, jak sądzę, uznała za zachętę.

- Co ma pani na myśli, mówiąc o prześladowaniu?

Uznała to za krytykę i spojrzała na niego wyzywająco.

- To nie tylko moja wyobraźnia, niech pan zapyta kogośkolwiek. Nawet się z tym nie kryła. Ciągłe się koło niego kręciła, próbowała wyciągnąć na drinka, nawet dzwoniła tutaj parę razy.

- Denerwowało to panią? - spytał.

- Udawałam, że nic wielkiego się nie dzieje. - Wzruszyła ramionami. - Nie zamierzałam dać jej satysfakcji.

- Wnioskuje, że nie lubiła jej pani za bardzo.
- Gardzę kobietami tego pokroju. Muszą mieć faceta, nieważne jakiego, byle go mieć. To żalosne.
- Kto jednak mógł przypuszczać, że taka śliczna dziewczyna będzie miała kłopoty ze znalezieniem adoratora - rzucił Atherton, jakby w zamyśleniu.

Helen Morris wyglądała na nieco zakłopotaną.

- Ludzie jej nie lubili. Mężczyźni jej nie lubili. Pan pewnie myśli, że mówię to wszystko z zazdrości, ale...
- Ależ skądże - mruknął Atherton.
- ...ale to wcale nie tak. Nie miałam o co być zazdrosna. Po prostu uważałam, że była... słaba.

Atherton przez chwilę zastanawiał się nad jej odpowiedziami, po czym spróbował nowej taktyki.

- Niech mi pani opowie o tamtym dniu, o poniedziałku.
- Dniu, w którym umarła? - Zmarszczyła brwi z zastanowieniem. - W niedzielę miałam nocną zmianę. Wróciłam do domu w poniedziałek rano, około wpół do dziewiątej. Simon był w łóżku. Dołączyłam do niego i oboje zasnęliśmy. Wstał około wpół do pierwszej i przygotował nam lunch, jajecznicę, jeśli interesują pana szczegóły. Przyniósł ją do sypialni, a potem ubrał się i poszedł do pracy.
- O której to było godzinie?
- Miał sesję nagraniową o drugiej trzydzieści, więc zapewne było wpół do drugiej. Nie patrzyłam na zegarek, ale przypuszczam, że dał sobie godzinę na dotarcie na miejsce.
- Pani natomiast znowu poszła do pracy na noc?
- Tak.
- Kiedy zobaczyła się pani z panem Thompsonem następnym razem?

- Rano, po powrocie do domu.

- Zatem nie widziała się pani z nim pomiędzy jego wyjściem z domu w poniedziałek, wpół do drugiej po południu, a wtorkowym porankiem, powiedzmy wpół do dziewiątej?

-Już to powiedziałam. Oboje pracowaliśmy - ciągnęła, kiedy nie zareagował na jej sarkazm. - Spędziłam w szpitalu całą noc, a Simon nagrywał do wpół do dziesiątej.

- Potem wrócił do domu?

- Najpierw wstąpił na drinka.

- To właśnie pani powiedział? - spytał Atherton. Panna Morris spojrzała na niego z niepokojem. - Widzi pani, tak się składa, że wiem, iż owego wieczora po wyjściu z centrum telewizyjnego pan Thompson przyjechał tutaj, do szpitala. Po co miałyby się tu pojawiać, jeśli nie z wizytą u pani?

Helen Morris zbladła tak gwałtownie, że Atherton przestraszył się, iż za chwilę zemdleje. Przez długą chwilę nic nie mówiła, a jej ciemne, inteligentne oczy błędziły gdzieś, przyglądając się niewidocznym obrazom. W końcu spojrzała na niego.

- Nie było go tutaj - powiedziała słabo. - Nie...

- Nie widziała go pani? Czy nie umówiła się pani z nim, aby wręczyć mu pewien pakunek?

- Nie! - zaprotestowała, chociaż jej głos był zaledwie szeptem. Była wyraźnie wstrząśnięta. Ale Atherton wiedział, że Thompson nie miał czasu, żeby wpaść do szpitala, odebrać narkotyk i wrócić na czas, tak aby zamordować Anne-Marie. Jeżeli był winny, najprawdopodobniej przyszedł tutaj po to, aby zdobyć alibi, a w takim wypadku Helen Morris powinna twierdzić, że go widziała, a nie odwrotnie. Wyglądało na to, że jeśli Thompson popełnił zbrodnię, panna Morris nie brała w tym udziału.

Musiała teraz się zastanawiać nad różnymi rzeczami.

- Proszę pana, ja wiem, co pan myśli, ale nie ma takiej możliwości, żebym wyniosła dla niego jakiegokolwiek leki. Stan szafek jest sprawdzany codziennie i to wielokrotnie. Jeżeli czegokolwiek by ubyło, natychmiast zostałoby to zauważone. Poza tym Simon nie zdołałby zdobyć niczego na własną rękę. W naszym szpitalu wszyscy bardzo przestrzegają przepisów bezpieczeństwa.

- Tak, wiem. Stąd właśnie mam informację o jego odwiedzinach w szpitalu w poniedziałkową noc. Jest pani pewna, że nie przyszedł zobaczyć się z panią?

Zawahała się. Atherton z zaciekawieniem obserwował, jak zmagają się w niej lojalność wobec Thompsona, która nakazywała jej uwolnić go od możliwych kłopotów, i jej inteligencja, która podpowiadała, iż jeśli zmieni teraz swoją historyjkę, będzie to wyglądało podejrzanie.

- Nie widziałam go - odparła wreszcie. - Być może przyszedł się ze mną zobaczyć i nie mógł mnie znaleźć.

Sprytnie, pomyślał Atherton.

- Proszę posłuchać - ciągnęła z nutką irytacji w głosie.  
- Jestem bardzo zmęczona. Czy mogę już iść do domu? Jeśli będzie pan miał jeszcze jakieś pytania, wie pan, gdzie mnie znaleźć. Nie wybieram się za granicę.

Atherton wstał i uśmiechnął się wdzięcznie, słysząc tę ironię. Był dość zadowolony z tej rozmowy. Ktoś tak inteligentny i zdeterminowany jak Helen Morris mógł poradzić sobie ze sfalszowaniem księgi leków ścisłego zarachowania. W dodatku dowiedział się, że panna Morris nie ufała aż tak bardzo Thompsonowi, jak twierdziła. Wiedziała, że to gnojek. Była również zdenerwowana i zmartwiona. Zdecydowanie nie powiedziała Athertonowi wszystkiego. Może



wiedziała, gdzie Thompson był owego wieczora? A może nie? Ciekawe.

Slider wciągnął w płuca czyste powietrze poranka i nagle poczuł straszliwy głód. Zrezygnował ze śniadania w domu, w towarzystwie zasmuconego syna, zadufanej w sobie córki i złej jak osa żony. Dzięki temu zyskał nieco wolnego czasu, wystarczająco, aby podjechać do budki z kawą na Hammer-smith Grove, gdzie sprzedawano kanapki z grubych, chrupiących kromek białego chleba, jaki pamiętał z dzieciństwa, kiedy jeszcze nikt nie dostał bzika na punkcie pełnoziarnistego. Inni pożywiający się przed pracą klienci życzliwie zrobili mu miejsce w milczeniu. Wszyscy zgodnie popijali ciemnobrazowy płyn z grubych białych kubków wyglądających jak miski do namaczania pędzla do golenia, mrugając w ciepłych obłoczkach pary.

Wzmocniony, pojechał do Joanny. Otworzyła drzwi, kiedy parkował, i stała, obserwując go, gdy szedł w jej stronę. Ponowne jej odkrywanie było niczym seria rozkosznych wstrząsów, które ogarnęły całe jego ciało. Miała na sobie miękkie, wyblakłe szare sztruksy wsunięte w kozaki oraz pastelowożółtą bluzkę, która wydawała się lśnić w bezbarwnym zimowym poranku. Wyglądała ślicznie, ale przede wszystkim bardzo lekko i przystępnie. Wziął ją w ramiona. Joanna spojrzała na niego z uśmiechem. Wydała mu się nagle bardzo znajoma i droga sercu. Poczował zapach jej skóry i jego swojskość wydała mu się tak zaskakująca i podniecająca, że dostał wzwołu.

- Hej - rzucił. - Jak spałaś?

-Jak zabita. A ty? - Nie miało znaczenia, co mówili. Slider poczuł się nagle bezpieczny i zadowolony z życia.

Weszli do jej mieszkania. Joanna zamknęła za nimi drzwi wypraktykowanym pchnięciem stopy. Znow znalazła się w jego ramionach, wtuliła się mocniej i poczuła jego erekcję.

- Mamy czas? - spytała po prostu.

Żołądek Slidera skurczył się. Nie był jeszcze przyzwyczajony do takiej bezpośredniości.

- O której przyjeżdża?

Joanna spojrzała na jego zegarek.

- Za dwadzieścia minut.

- W takim razie mamy czas - odparł, ujmując jej twarz w dłoń i całując. Dotykając dłonią ściany, Joanna poprowadziła go tyłem do sypialni.

Martin Cutts był czterdziestopięcioletnim, drobnym, niemal delikatnym mężczyzną z kruczoczarnymi włosami i niesamowicie bladą cerą człowieka z północy. Poruszał się z typową manierą ludzi, którzy cierpią na ból pleców. Miał ruchliwą twarz, ujmujący uśmiech i był ubrany kolorowo, niczym modraszka: szafirowa zamszowa kurtka i kanarkowożółty golf. Slider przyglądał się z podejrzliwością, a nawet lekką pogardą człowiekowi w jego wieku, który nosił się tak jaskrawo. Potem zrozumiał, że po prostu jest zazdrosny o mężczyznę, który mógł kiedyś być kochankiem Joanny. Zmusił się do okazania życzliwości.

Joanna zaaranżowała rozmowę z Cuttsem w jej domu, ponieważ pewnych rzeczy nie powiedziałby w obecności żony. Slider, który zaczynał trochę rozumieć światek muzyków, uznał jego argument. Joanna taktownie zostawiła ich samych i poszła się wykapać. Slider pomyślał o niej,

nagiej, śliskiej od mydła, w obłokach piany. Z trudem powrócił do rzeczywistości. Odchrząknął.

- Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić czas - zaczął.

- Nie ma sprawy - odparł Cutts, przysiadając ostrożnie na oparciu kanapy. - Dziękuję, że zgodził się pan spotkać ze mną tutaj, a nie w moim domu. - Zmrużył oczy w grymasie, który Slider uznał za konspiracyjny uśmiech. Za jego sprawą znowu odczuł swój świeżo uzyskany status Światowca, Człowieka z Kochanką. Nie był pewien, czy mu się to podoba.

- Może zechciałby mi pan powiedzieć, jak pan poznał pannę Austen - poprosił, chwytając notatnik i długopis, co miało nakłonić przesłuchiwanego, by powiedział coś godnego zapisania.

- Oczywiście poznałem ją już w Birmingham - zaczął posłusznie Cutts. Slider ukrył zaskoczenie i pokiwał głową.

- Grał pan z nią w tej samej orkiestrze?

- Bardzo krótko. Dołączyła do nas tuż przed moim wyjazdem do Londynu.

- Czy miał pan z nią romans w Birmingham?

Martin Cutts nie wydawał się zmieszany tym pytaniem. Odpowiedział, jakby chodziło o rzecz tak naturalną, jak wizyta u fryzjera.

- Owszem, przespałem się z nią, ale nie nazwałbym tego romansiem. Musiałem być wtedy ostrożniejszy ze względu na żony.

- Nie bardzo rozumiem.

-Właśnie wtedy rozwiódłem się z pierwszą żoną i miałem zamiar pobrać się z drugą - wyjaśnił posłusznie Cutts.

- Rozumiem, ale dlaczego musiał pan być ostrożniejszy? Jestem pewien...

- Oczywiście - przerwał mu Cutts, jakby to rzeczywiście było oczywiste. - Jeżeli człowiek nie jest żonaty i zadaje się z niezamężną kobietą, ma ona prawo potraktować to jako coś poważniejszego i próbować mężczyznę ze sobą związać. Jeżeli ma się żonę, człowiek jest bezpieczny. Ona wie, że nie może cię mieć. Na tym polega cały urok romansów.

Slider pokiwał głową z niechęcią, słysząc ową niezwykłą filozofię.

- Sądzi pan, że panna Austen próbowała złapać męża?

- Wszystkie kobiety w głębi duszy tego właśnie chcą, nie sądzi pan? Swoją drogą wtedy Anne-Marie nie wyglądała na bardzo zdeterminowaną, nie tak jak później. Była bardzo radosna i traktowała naszą „miłość” dość niefrasobliwie. Dobrze się bawiliśmy i rozstaliśmy się w przyjaźni.

- Powiada pan, że panna Austen była szczęśliwa, zadowolona z życia?

- O tak. Wynajmowała mieszkanie, właśnie kupiła samochód i myślę, że cieszyła się wolnością. Nie sądzę, żeby miała zbyt szczęśliwe dzieciństwo.

- Opowiadała panu kiedyś o tym?

- Nie w szczegółach, ale zrozumiałem, że była sierotą wychowaną przez ciotkę, która jej nienawidziła i chciała się pozbyć. Czy mówię panu rzeczy, które pan już wie?

- Chciałbym usłyszeć pana opinię - odparł Slider. - Po-  
może mi to uzyskać pełniejszy obraz sprawy. Czy Anne-Marie powiedziała panu, dlaczego ciotka jej nienawidziła?

- Zderzenie osobowości, jak sądzę - odparł ogólnikowo.

- Zawsze była spychana na margines, odesłana do szkoły z internatem i tak dalej. Poza tym ciotka podobno skąpiła jej pieniędzy, kiedy Anne-Marie uczyła się w akademii, chociaż była nieźle nadziana. Mówię o ciotce oczywiście.

- Czy panna Austen zwierzyła się panu kiedykolwiek, że miała jakieś nadzieje na spadek czy coś w tym rodzaju?

- spytał, przyglądając się Cuttowski spode łba. Oczekiwał jakiejś reakcji, ale mężczyzna tylko uśmiechnął się do siebie.

- Nadzieje. Piękne, staroświeckie słowo. Nie, nigdy nie wspominała o czymś takim. Mieszkała jednak w dość eleganckim apartamencie, może więc dostała jakąś sumkę. Chociaż z drugiej strony, może mieszkanie było własnością ciotki. Jak się nad tym zastanowić, nie wyglądało na mieszkanie młodej osoby.

- Co pan przez to rozumie?

- Był to jeden z tych luksusowych apartamentów sprzątanym przez administrację budynku, portier, ochrona, wszystko na wysoki połysk. Człowiek spodziewałby się raczej zastać w takim domu staruszki z pekińczykami. Poza tym uderzyło mnie...

Nagle przerwał, jakby oglądał to mieszkanie za ledwie przed sekundą. Slider mruknął zachęcająco.

- Cóż, po prostu jej mieszkanie nigdy nie wydawało mi się zbyt przytulne, swojskie. Zawsze panował tam niezwykły porządek i nie sprawiało wrażenia zamieszkanego. Było niczym jeden z tych firmowych apartamentów, gdzie wszystko jest urządzone przez pracodawców, ustawione i dopieszczane, niczym w luksusowym hotelu. W gruncie rzeczy okropne.

Slider pomyślał o swojej zagraconej kawalerce, a potem, automatycznie, o opustoszałym mieszkaniu czynszowym. Musiał kontynuować, żeby jego podświadomość nie utkwiła w impasie.

- Czy po wyjeździe z Birmingham utrzymywał pan kontakt z panną Austen?

- O nie - odparł Cutts. Słowa „oczywiście, że nie” zawi-  
sły w powietrzu.

- Czyli nie spodziewał się pan jej nigdy więcej zobaczyć.  
Cutts wzruszył ramionami.

- Ożeniłem się ze swoją obecną żoną. Rozumie pan,  
z Anne-Marie po prostu dobrze się przez chwilę bawiliśmy.  
Rozumiała to doskonale.

Czy aby na pewno? - zastanowił się Slider. Pomyślał  
o dzieciństwie Anne-Marie, o bezosobowym mieszkaniu,  
o rozpaczliwych próbach namówienia Simona Thompsona  
do małżeństwa, o wszystkich tych ludziach, którzy twier-  
dzili, że „tak naprawdę wcale jej nie znali”. Nikt, pomyślał,  
nikt nigdy jej nie chciał. Zawsze była wykorzystywana i od-  
rzucana, a Joanna, naturalna i ciekawa życia, była jedyną  
osobą, którą to biedne dziecko mogło nazwać przyjacielem.  
Jej samotność i śmierć przerażały go. Chciał chwycić tego  
zadowolonego z siebie szczura za gardło i potrząsnąć nim  
mocno. Miał nadzieję, z wielu różnych przyczyn, że ten  
gnojek nigdy nie znalazł się w łóżku z Joanną.

- Kiedy jednak Anne-Maire dołączyła do orkiestry lon-  
dyńskiej, znowu się pan z nią związał, tak? - udało mu się  
powiedzieć spokojnie.

- To nie było dokładnie tak. Oczywiście, byliśmy w sto-  
sunku do siebie przyjaźni i może nawet poszliśmy parę  
razy do łóżka, ale między nami nic nie było. Anne-Ma-  
rie była zadowolona z życia do czasu tej afery z Simonem  
Thompsonem.

- Co się wtedy zdarzyło?  
Uciekł spojrzeniem w bok.

- Ona... przyszła do mnie.

-Jak pan sądzi, dlaczego?

- Przypuszczam, że chciała się komuś wypłakać. - Spojrzał na niego znowu. - Naprawdę nie mogła się po tym pozbierać. Powiedziała, że Simon się jej oświadczył, a potem wycofał z propozycji. Nie uwierzyłem w to oczywiście. Simon może i jest kobieciarzem, ale nie jest głupi. Najwyraźniej jednak Anne-Marie wierzyła w opowiastkę.

- Co takiego się wydarzyło, kiedy panna Austen przyszła do pana?

- Poprosiła mnie, żebym poszedł z nią na drinka po jednym z koncertów, a po kilku kolejkach zaprosiła mnie do siebie.

- Rozumiem, że poszedł pan z nią do łóżka, tak? - Slider ledwo ukrywał wściekłość.

-Tak, ale nie sędzę, że to mnie chciała. Nie wyglądała na zaangażowaną. Przypuszczam, że nadal tęskniła za Simonem.

- Czy zdarzyło się to tylko raz?

- Nie, kilka. Nie pamiętam... cztery czy pięć.

- Kiedy spotkaliście się ostatnim razem?

- Tuż przed Bożym Narodzeniem. Po naszym ostatnim koncercie, przed przerwą świąteczną.

Slider pokiwał głową.

- Proszę mi opowiedzieć, co się wtedy zdarzyło.

Martin Cutts spojrział na niego bezradnie, jakby nie wiedział, o co jest pytany.

- Wypiliśmy kilka drinków i poszliśmy do jej mieszkania, tak jak zwykle.

- Uprawialiście seks?

-Tak.

- W jakim nastroju była wtedy Anne-Marie, pana zdaniem? Szczęśliwa? Smutna? Niespokojna?

- Powiedziałbym, że przygnębiona. Na pewno się martwiła, ponieważ zgubiła swój terminarz. Może się to panu wydać głupie, ale dla muzyka utrata terminarza to prawdziwa katastrofa. Poza tym niepokoiła się, że Simon narobi jej problemów w orkiestrze. Rozumie pan, chodziło o te telefony. Wie pan o tym, prawda? No właśnie. Było jednak coś więcej. - Przerwał, porządkując myśli. Jego oczy były bardzo błękitne, ale małe i okrągłe, co gdy tak siedział z przekrzywioną głową, upodabniało go do ptaka. - Kiedy skończyliśmy się kochać, Anne-Marie zaczęła płakać i marudzić, jak to nikomu na niej nie zależy, nie ma chłopaka i tak dalej. Trochę mnie zirytowała, bo wie pan, nikt nie lubi takich sytuacji. Próbowałem ją pocieszyć, a potem pomyślałem, że lepiej będzie, jak się zmyję. Kiedy jednak zacząłem wstawać, uczepiła się mnie kurczowo i naprawdę zaczęła płakać. Powtarzała, że bardzo się boi.

- Boi? Czego?

- Nie powiedziała. Po prostu powtarzała w kółko: „Tak się boję, tak się boję”. Wypłakiwała sobie oczy. Nieźle się nakręciła.

- I co pan zrobił?

- A co mogłem zrobić? Przytuliłem ją, poklepałem po plecach, a kiedy się uspokoiła, znowu się z nią kochałem, żeby trochę się rozchmurzyła.

- Rozumiem - wycedził Slider powoli.

Martin Cutts spojrział na niego nieszczęśliwym wzrokiem.

- Co miałem niby zrobić? - powtórzył. - Samotni ludzie często dostają depresji w okolicach świąt. Niezbyt to miłe być samemu, kiedy wszyscy inni spędzają czas z rodzinami. A ja przecież nie mogłem jej zabrać do domu, prawda?



Z kolei do ciotki Anne-Marie nie chciała pojechać. Czułem się okropnie, zostawiając ją samą, ale musiałem wrócić do domu.

- W jakim stanie była panna Austen, kiedy ją pan zostawił?

- Wyciszona. Nie płakała już, ale wyglądała na bardzo przygnębioną. Powiedziała coś w stylu: „Nie mogę tak dłużej żyć”. Naturalnie odpowiedziałem, żeby nie mówiła głupot, że wszystko będzie dobrze, na co odparła: „Nie, dla mnie wszystko skończone”.

- To były dokładnie jej słowa?

- Wydaje mi się, że tak. Sam pan rozumie, jak się mogłem czuć, zostawiając ją w takim stanie. Potem jednak, kiedy zobaczyliśmy się znowu w styczniu, wydawała się całkiem normalna. Cicha, owszem, jakby zrezygnowana. Później, kiedy usłyszałem o jej śmierci, najpierw pomyślałem, że popełniła samobójstwo, i poczułem się naprawdę okropnie. Ale to nie było samobójstwo, prawda?

- Nie, nie było.

- Zatem nic nie mogłem dla niej zrobić, prawda? - spytał błagalnie.

Slider nie miał najmniejszej ochoty uwalniać go od odpowiedzialności, zwłaszcza że jego postępowanie na pewno złożyło się na przygnębienie Anne-Marie. Nie potrafił jednak winić Cuttsa za jej śmierć. Cicha, powtórzył w myślach, jakby zrezygnowana. Ale dlaczego? Czyżby przewidziała swoją śmierć? Co takiego zrobiła, aby ją na siebie sprowadzić? Być może samotna i niechciana, naprawdę przestała dbać o to, czy żyje, czy też nie - oczywiście do tamtej chwili na parkingu, kiedy nagle zrozumiała (jak?), że jej śmierć jest nieunikniona, i uczyniła ostatni bezowocny wysiłek,

aby ujść swojemu przeznaczeniu. Ostatnie, żalosne próby uwolnienia się ptaszka uwięzionego w klatce.

Do pokoju zajrzała ostrożnie Joanna, różowa i pachnąca. Spojrzała na nich obu.

- Odgłosy rozmowy ucichły, więc pomyślałam, że skończyliście.

Slider wstał.

-Tak, skończyliśmy, przynajmniej chwilowo. Dziękuję panu, panie Cutts.

- Panie Cutts? - powtórzyła Joanna ze sprośną drwiną.

- Panie Cutts?

Cutts wyciągnął ręce w jej kierunku i chwycił za gardło, udając, że ją dusi. Nie był to gest kochanka, ale Sliderowi wydał się bardziej irytujący, kiedy pomyślał o rodzaju i głębi zażyłości, jaka pozwalała na tego typu zachowania.

- Uważaj, co mówisz, kobieto. - Cutts wyszczerzył zęby w uśmiechu. Uwolnił ją z uścisku, a wtedy Joanna objęła go w pasie i ucisnęła mocno.

-Jesteśmy starymi przyjaciółmi - wyjaśniła niemal przepaszająco, widząc spojrzenie Slidera. Cutts uśmiechnął się do niego rozbrajająco.

- Tak. Jo i ja znamy się długie, długie lata. Mam nadzieję, że dobrze się nią pan opiekuje. Joanna to niezwykła kobieta.

Była to chwila, w której Slider powinien teoretycznie uśmiechnąć się i powiedzieć pełnym samozadowolenia głosem coś w rodzaju „to prawda” albo „szczęściarz ze mnie”, tym samym z wdzięcznością akceptując fakt, iż Cutts wiedział o ich romansie i upewniał go niniejszym, że Slider nie ma w nim rywala. Jego uczucia były jednak zbyt nowe, zbyt nieznanne i przy okazji zbyt ogromne, wszechogarniające,

aby wdawał się w takie towarzyskie gierki. Wymamrotał więc jedynie coś sztywnego i pozbawionego wdzięku, czując się jak idiota wściekły na cały świat. Joanna spojrzała na niego ze zdziwieniem i odprowadziła Martina Cuttsa do drzwi, pozostawiając Slidera samego, aby odzyskał panowanie nad sobą.

Przyzwyczajony do małżeńskich gier wojennych oczekiwał, że wróci z gotową awanturą, dlatego postanowił uderzyć pierwszy.

-Widzę, że znasz wielu przemiłych ludzi. Czy wszyscy w twojej branży są tacy, czy też pan Cutts należy do śmietanki?

Stała przed nim, spoglądając na niego bez wrogości. Właściwie to na jej twarzy błąkał się uśmiech.

- Och, Martin nie jest najgorszy, jeśli nie traktuje się go poważnie. Zachowuje się niczym wygłodniałe, chciwe dziecko puszczone samopas w sklepie ze słodyczami, tyle że jego ulubionymi lizakami są kobiece ciała. Przez cały czas musi udowadniać swoją męskość. - Objęła sztywny kark Slidera i jej piersi otarły się o niego niczym dwa tłuste, przyjazne szczeniaki. - Poza tym dobrze wiesz, że połowa wszystkich facetów na świecie zachowywałaby się dokładnie w ten sam sposób, gdyby tylko mieli taką możliwość. Dlaczego tak niewielu mężczyzn dorasta? To przygnębiające. - Przcisnęła wargi do jego ust, oczekując reakcji, ale Slider nadal zmagął się z urazą i nie oddał pocałunku. Cofnęła głowę i spojrzała na niego pytająco. - Dlaczego jesteś taki wściekły?

Bardzo chciał zapytać, czy ten człowiek był jej kochankiem, ale po uśmiechku przyczajonym na dnie jej oczu widział, że tylko czekała na to pytanie. Odrzucił tę myśl.

W końcu to nie moja sprawa, powiedział sobie. Joanna obserwowała zmagania, wypisane na jego twarzy.

- Masz rację - powiedziała. - Nie można być zazdrosnym o kogoś takiego, jak Martin. To nie prawdziwy człowiek, tylko ktoś w rodzaju seksualnego misia Yogi, zawsze podwędzającego koszyki piknikowe i uciekającego przed strażnikiem Smithem.

Slider zaczął się śmiać. Czuł, jak rozpływa się jego uraza.

- Nie zasługuję na ciebie - powiedział w końcu.

- Oczywiście, że nie zasługujesz - upewniła go. - Jestem niezwykłą kobietą.

RS

## Rozdział IO

### PRZEZ ZAGADKĘ I NIBY W ZWIERCIADLE

- Jesteś pewien, że Atherton nie ma nic przeciwko temu?  
- spytała Joanna, kiedy pędzili na północ rozkosznie pustymi ulicami. Był kolejny słoneczny, pogodny dzień, choć wiał lekki, chłodny wiatr, poruszając ogołoconymi z liści gałęziami drzew. Joanna miała na sobie zbyt luźny biały płaszcz z gęstej przędzy wełnianej. Ciemnooka, o bladej cerze, wyglądała w nim jak mały korpulentny miś polarny. Slider spojrział na nią z uczuciem, myśląc, jak komfortowo i zwyczajnie czuł się z nią u boku.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałby mieć?

- Z wielu powodów. Choćby dlatego, że nie przygotował wystarczająco dużo jedzenia dla trojga. W końcu spodziewał się tylko jednego gościa. Poza tym może chciał cię wyłącznie dla siebie.

- Jest moim sierżantem, a nie żoną. Poza tym, jeżeli mamy omówić nasze dochodzenie, potrzebujemy cię. Byłaś najbliższą przyjaciółką Anne-Marie.

- To bardzo naciągane usprawiedliwienie, zwłaszcza że nie jestem detektywem. Założę się, że nie da się nabrać na takie kłamstwo.

- Atherton jest nie tylko moim partnerem, ale również przyjacielem. Poza tym jesteś mi potrzebna.

-Ach, no tak, na to nie ma kontrargumentu, prawda? Czy mam się do niego również zwracać po nazwisku? A może powinnam spróbować po imieniu?

Atherton otworzył drzwi z doskonale wystudiowanym obojętnym wyrazem twarzy i przywitał ich uprzejmie. Nie widać było, czy jest zły, czy raczej zaskoczony. Joanna przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Mam nadzieję, że nie będę przeszkadzała. Nie daliśmy panu zbyt dużo czasu, zwłaszcza dziś, kiedy sklepy są pozamykane. Nie musi mnie pan karmić, jeśli nie ma pan wystarczająco dużo jedzenia.

- Mam - odparł zwięźle. - Wejdźcie, rozbierzcie się. Slider spojrział na niego defensywnie i wszedł do środka za Joanną, przechodząc pod przytrzymującym drzwi ramieniem

Athertona. Wejście prowadziło od razu do salonu, przytulnej przystani z głębokimi fotelami, półkami pełnymi książek i kominkiem, w którym płonął radośnie ogień. Światło płomieni odbijało się w miedzianym kubelku na brykiety.

-Jaki cudowny pokój! - zachwyciła się Joanna i spojrzała niewinnie na Athertona. - Kiedyś miałam starą ciocię, która mieszkała w rozwodniczym domku jak ten, chociaż wyglądał zupełnie inaczej.

- Chyba chciała pani powiedzieć: robotniczym domku - rzucił Atherton, unosząc brwi w pogardzie dla jej ignorancji.

- O nie - odparła poważnie. - Wszyscy jego mieszkańcy kończyli rozwodem.

Zapadła krótka cisza. Slider przyglądał się niepewnie Athertonowi, wiedząc, iż jego partner wolał żartować z in-

nych, niż sam być przedmiotem żartów. Jednak na ustach sierżanta pojawił się niekontrolowany grymas uśmiechu.

- Powinieneś mnie uprzedzić, że jest zabawna - rzucił do Slidera. - Siadajcie przy kominku, zrobię wam drinka. Czego się napijecie?

Edyp, który leżał wyciągnięty tuż przed kominkiem, wstał uprzejmie i podszedł do Joanny, ocierając się o jej różowe aksamitne ogrodniczki. Pochyliła się, wyciągając dłoń w jego kierunku. Kot wyprężył się i przeszedł pod jej ręką kilka razy, ocierając się z zadowoleniem.

- Gin z tonikiem, jeśli można - powiedziała Joanna. - Jak ma na imię kot?

- Edyp. Bill?

- Dlaczego Edyp?

- Nazywam go Edypem, bo jest atypowy. Jesteś naprawdę bardzo tępa!\* - rzucił Atherton.

Slider drgnął zaskoczony na tę niespodziewaną niegrzeczność, ale Joanna uśmiechnęła się tylko szeroko i odparła:

- Na świecie są dwa rodzaje ludzi: ci, którzy *cytują Alicję*...

- ...i ci, którzy tego nie robią.

- Alicję? - spytał, nie rozumiejąc Slider.

- *W krainie czarów* - wyjaśnił Atherton i uśmiechnął się do Joanny, zmierzając do kuchni. Slider usiadł, stwierdzając nie do końca zrozumiały dla niego fakt, iż prosta wymiana cytatów z Joanną zmieniła nastawienie Athertona do niej z niezbyt dobrze skrywanej wrogości w otwarte kumoterstwo. Są ludzie i ludziska, pomyślał. I kobiety.

Joanna zajęła fotel przy kominku i Edyp natychmiast wskoczył na jej kolana, obwąchał ją ostrożnie, obrócił się

\* Parafraza dialogu Alicji z *Niby-Żółwiem z Alicji w krainie czarów*.

kilka razy i usadowił majestatycznie, układając masywne łapy na jej udach. Atherton wrócił, trzymając trzy szklanki w swoich wielkich dłoniach, rozdał je i usiadł wygodnie.

- No dobrze, od czego zaczynamy? - spytał. - Widziałeś już wstępny raport na temat pani Gostyń?

- Tak. Nie ma wątpliwości, tyle że nie ma żadnej pewności. - Slider westchnął. - Beevers tam pojechał, prawda?

- Tak. Dywan był podwinięty, jakby stanęła na nim, a on wyjechał jej spod stopy. Beevers przetestował hipotezę i stwierdził, że podłoga była wystarczająco śliska, aby mogło się to wydarzyć. Musiałyby upaść na plecy i uderzyć głową o róg osłony kominka. Były na nim ślady krwi, poza tym rodzaj rany wskazywałby na taki przebieg wydarzeń. Freddie Cameron twierdzi, że kształt, głębokość i siła, z jaką została zrobiona, świadczy o tym, że musiała upaść na róg kominka. W jej wieku i stanie zdrowia wystarczyło to, żeby ją zabić. Żadnych śladów walki lub włamania...

- Nie spodziewałbym się żadnych śladów - przerwał mu Slider, wpatrując się ponuro w swoją szklaneczkę. - Przecież go znała, nieprawdaż? Nasz przemiły inspektor Petrie. Dlaczego miałyby go nie wpuścić? Powinienem ją ostrzec...

- Daj spokój, Bill, to nie twoja wina. Nie wiemy nawet, czy to on. Po co miałyby wracać? Już za pierwszym razem dostał wszystko, czego potrzebował.

- Może wrócił, żeby zamknąć jej usta. Była jedyną osobą, która mogła go zidentyfikować.

- Nie wiemy, czy to nie był wypadek. Na przykład mogła się zdenerwować, odsunąć od niego i wtedy poślizgnąć.

- Myślałem, że w ogóle go tam miało nie być. - Slider uśmiechnął się.

Atherton wyglądał na nieco obrażonego.



- Ktoś musiał tam być. Beevers przesłuchał Barclayów, to małżeństwo z góry. Oboje twierdzili, że słyszeli, jak ktoś chodzi po mieszkaniu Anne-Marie mniej więcej w tym samym czasie, w którym umarła pani Gostyń.

-Wrócił po coś. Coś, czego zapomniał za pierwszym razem. Co takiego?

- Skrzypce?

- Nie ma wątpliwości. Potem zszedł na dół do pani Gostyń, żeby zamknąć jej usta. Udało mu się załatwić tylko jedną sprawę. Lepszy rydz niż nic.

-Tak, to możliwe - zgodził się Atherton. Uśmiechnął się smutno. - Barclayowie się wyprowadzają. Zamierzają zatrzymać się u rodziny żony w Milton Keynes. To dopiero objaw desperacji.

- Boją się?

Uśmiech Athertona zrobił się szerszy.

- Nie chcieli wpuścić Beeversa do środka, nawet kiedy wsunął legitymację przez otwór na listy. Udało mu się ich namówić, żeby zadzwonili na komisariat, gdzie Nicholls podał im szczegółowy opis i numery jego samochodu. Nawet kiedy już go wpuścili, pani B. stała w bezpiecznej odległości, trzymając w ramionach dziecko, podczas gdy pan B. sterczał z przodu z wielkim kluczem francuskim, starając się wyglądać groźnie.

- Łatwo ci się śmiać, ale oni musieli naprawdę być przerażeni - wtrąciła oburzona Joanna. - Dwie ich sąsiadki zamordowane...

- Nie widziałas jeszcze Beeversa - rzekł Atherton. - Ma metr pięćdziesiąt w kapeluszu, jest niemal idealnie okrągły i wygląda jak mały pluszowy niedźwiadek. Sprawia wrażenie mniej więcej tak niebezpiecznego jak ozdobna poduszka.

- O co chodzi z tymi skrzypcami? - spytała Slidera nieprzekonana Joanna. - Powinny chyba być w jej samochodzie, prawda? Miała je po wyjściu z sesji nagraniowej.

-Tak właśnie myśleliśmy. Oczywiście nie znaleźliśmy jeszcze jej wozu, ale w mieszkaniu była para skrzypiec, więc albo ktoś je tutaj przywiózł, albo Anne-Marie miała dwie pary.

- Nic o tym nie wiem - powiedziała Joanna. - Widziałam tylko jedno. Tak czy owak, dlaczego ktokolwiek chciałby ryzykować powrót do jej mieszkania po to tylko, żeby zabrać skrzypce?

- Ponieważ to bardzo cenny egzemplarz - odparł Atherton.

-Ale przecież skrzypce Anne-Marie były najzwyklejsze w świecie - zaprotestowała Joanna, wyraźnie zagubiona.

- To tak się mówi o stradivariusie?  
Joanna roześmiała się w głos.

- Anne-Marie na pewno nie miała strada! Grała na zwykłych niemieckich skrzypcach, dziewiętnastowiecznych, bardzo ładnych, ale nie wyjątkowych.

-Jesteś pewna? - spytał Slider.

- Oczywiście, że jestem! - Spojrzała na obu mężczyzn.

- Przecież siedziałam tuż obok niej, pamiętacie? Widziałam jej skrzypce setki razy. Kupiła je za dziewięć tysięcy funtów. Musiała wziąć z banku pożyczkę.

-Jednak znaleźliśmy w jej mieszkaniu stradivariususa - oświadczył Slider. - W starym tanim futerale, z dwoma byle jakimi smyczkami.

- Zabrałem wszystko do Sotheby'ego, poprosiłem o wycenę - przejął pałeczkę Atherton. - Tamtejsi specjaliści twierdzą, że te skrzypce są warte nawet milion funtów.

Joanna powtórzyła kilka razy bezgłośnie wymienioną przez Athertona sumę, jakby nie rozumiała, co oznacza owa liczba. W końcu potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem. Skąd Anne-Marie wzięłaby takie skrzypce? Przecież nie było jej na nie stać. I dlaczego ich nie używała? Jak ktoś, kto miał takiego strada, mógłby powstrzymać się od grania na nim?

- Może uznała, że jest zbyt cenny? - zaryzykował Slider. Joanna znowu potrząsnęła głową.

- Nie rozumiecie. Skrzypce to nie pierścionek z brylantem. Trzeba na nich grać, używać ich. Nawet firmy ubezpieczeniowe to rozumieją.

- Alternatywnym wyjaśnieniem jest to, że nie chciała ujawnić, że je posiada.

- Ukradła je? - spytała Joanna, ale Slider widział wyraźnie, że co do tego również nie jest przekonana. - Posłuchajcie, skrzypce takie jak stradivarius są jak... jak słynne obrazy. *Słoneczniki* albo *Mona Lisa*, rozumiecie? Nie mogą tak po prostu pojawiać się i zniknąć. Ludzie je znają i wiedzą, kto jest ich właścicielem. Na pewno byście się dogrzebali szczegółów.

- Jesteś absolutnie pewna, że na nich nie grała? Skoro nie miałaś żadnego szczególnego powodu, żeby przyglądać się jej skrzypcom, jesteś pewna, że zauważyłabyś różnicę?

- To jedna z pierwszych rzeczy, którą omawia się z nowym partnerem od pulpitu - wyjaśniła bez nacisku. - Jakich skrzypiec używasz? Ile kosztowały? Gdzie je dostałaś? I tym podobne. Poza tym przyzwyczajasz się do ich brzmienia. Każdy instrument ma swoje cechy szczególne, własny dźwięk, i trzeba się do niego przystosować. Nawet gdybym nigdy w życiu nie spojrzała na nie, natychmiast

zauważyłabym zmianę instrumentu u partnera, zwłaszcza jeżeli byłyby to skrzypce klasy stradivariusa.

Atherton wreszcie zrozumiał. Slider zaakceptował jej wyjaśnienie bezwarunkowo, ponieważ pochodziło od niej. Dopili swoje drinki.

- Chodźmy coś zjeść - zaproponował Atherton. - Pora nakarmić bestię. Czy moglibyście nakryć do stołu? Ja tymczasem zajmę się jedzeniem. Sztuce są w tamtej szufladzie.

Chwilę później zasiedli do okrągłego rozkładanego stołu i zaczęli jeść pasztet z wędzonej makreli na gorących grzankach, popijając wszystko chablis. Edyp również siedział przy stole, wyciągnięty niczym struna na swoim krześle, z półprzymrużonymi oczami, jakby ledwie mógł ścierpieć widok tych nieosiągalnych dla niego pyszności.

- Lepiej, żeby siedział tam, gdzie ma wszystko na widoku - wyjaśnił Atherton. - Inaczej jego ciekawość usuwa w cień dobre maniery.

- To jest przepyszne - oświadczyła Joanna. - Sam zrobiłeś ten pasztet?

Atherton wydawał się niezwykle zadowolony z komplementu.

- Marks and Sparks\*. Dostarczyciele dóbr wszelkich bogatym i samotnym ludziom. Jednym z wielkich plusów życia kawalera jest to, że nigdy, przenigdy nie trzeba jeść nudnych potraw. Można sobie zafundować to, na co się ma ochotę i kiedy się ma na to ochotę.

- Zgadzam się w zupełności - odparła Joanna. - Wolę nic nie jeść, jeżeli nie widzę czegoś interesującego. Lubię sobie poskubać naprawdę egzotyczne potrawy.

\* *Marks and Spencer.*

Slider spojrział na nich ponuro.

- Dobrze, dobrze, młodziaki. Poczekajcie, aż dorośniecie. Dopadną was w końcu burgery z Bird's Eye i chrupiące naleśniki z Findusa.

- Nigdy nie będę aż tak stary - rzucił Atherton, otrząsając się lekko. - Pójdę po następne danie.

- Potrzebujesz pomocy? - spytała Joanna, ale Atherton zniknął już w kuchni, aby wkrótce powrócić z odgrzewanym, kupnym pieczonym bażantem.

- Marks and Spencer? - spytała Joanna.

- Wainwright and Daughter - poprawił ją Atherton. - Zawsze sądziłem, że Daughter to nazwisko drugiego gościa ze spółki. Wiesz, pan Daughter.

Przyniósł na stół egipskie młode ziemniaki, hiszpańskie brokuły i zielony groszek w strąkach z Gwatemali.

- Harrods? - zaryzykowała Joanna.

- Marks and Spencer - odparł triumfalnie. - Transport powietrzny i ciepłarnie praktycznie rzecz biorąc wyeliminowały sezonowość.

- Oraz mrożenie - dodała Joanna.

- Nic nie może wyeliminować mrożenia, chyba że się jest na równiku. Więcej wina?

Podczas posiłku Slider opowiedział im o swojej rozmowie z Martinem Cuttsem i obawach Anne-Marie. Atherton słuchał uważnie.

- Zapewne sądzisz, że była wplątana w coś bardzo poważnego - powiedział w końcu. - I że to było morderstwo na tle porachunków gangów lub coś w tym stylu. Nie masz jednak żadnych śladów. Chłopcy z Lambeth poszli do jej mieszkania i przeczesali je grzebieniem na wszy. Nie znaleźli absolutnie niczego.

- Chłopcy z Lambeth? - spytała Joanna.
- Laboratorium medycyny sądowej wydziału policji.

W Lambeth.

- Wiedzieliśmy to od początku,- powiedział Slider cierpliwie. - To właśnie przekonuje mnie, że cała sprawa została dokładnie zaplanowana. Nie popełnili ani jednego błędu, poza przeoczeniem skrzypiec.

- Czy przypadkiem nie kręcisz się w kółko w tym swoim rozumowaniu? Brak dowodów oznacza, że mordercy byli zbyt dobrzy, by jakiegokolwiek po sobie pozostawić. Po co kopać martwego konia? Sprawa Thompsona jest znacznie bardziej interesująca. Trzeba tylko trochę nad nią popracować, żeby nabrała odpowiedniego wyglądu.

- No dobrze, powiedz mi, jak ty to widzisz. - Slider westchnął.

- Po pierwsze, Thompson miał dobry powód, żeby się jej pozbyć. Naprzykrzała mu się, i to bardzo.

- To niewystarczający motyw.

- Lepszy niż jego brak. Poza tym jego dziewczyna jest pielęgniarką, asystuje przy operacjach i ma dostęp do substancji, która zabiła Anne-Marie.

-Tylko że nic nie ubyło z szafki z lekami w szpitalu.

Wiesz, że od razu to sprawdziliśmy.

Atherton wzruszył ramionami.

-Jeżeli była na tyle sprytna, żeby wykraść trochę pentotalu, z pewnością potrafiła również sfałszować zapisy w księdze, żeby jakoś ukryć ten brak. Kimkolwiek był morderca, musiałby tak właśnie postąpić.

- No dobrze, mów dalej.

- Po trzecie, Thompson skłamał o tym, gdzie był owego wieczoru. Twierdził, że poszedł na drinka do pewne-

go pubu, gdzie nikt nie pamięta jego obecności, a potem prosto do domu. Tak się jednak składa, że był tej nocy w szpitalu. Widział go portier. Rozpoznał go z łatwością, bo Thompson często przychodził po swoją dziewczynę.

- Może tamtej nocy też po nią przyszedł.

- Ale ona twierdzi, że go nie widziała. Po co miałby pojawiać się w szpitalu, jeśli nie po to, żeby się z nią spotkać? A jeżeli rzeczywiście przyszedł w odwiedzin do swojej narzeczonej, dlaczego w takim razie ona kłamie?

- To niezbyt wiele - mruknął Slider.

- No nie, dajcie spokój! - nie wytrzymała Joanna. - Nie sądzicie chyba, że ten cherlak Thompson zamordował Anne-Marie? Przecież to tchórzliwy szczur.

Atherton spojrzał na nią uważnie.

- Cóż, tak się składa, że się z tobą zgadzam, ale to jeszcze żaden dowód, prawda? Poza tym Bill może ci powiedzieć, że wielu morderców, zwłaszcza dopuszczających się podobnych „domowych” zbrodni, wygląda na ludzi, którzy nie skrzywdziliby muchy. A teraz, na deser, mam polski sernik, tak pyszny, że człowiekowi chce się płakać z rozkoszy. Kawa też jest gotowa. Jeżeli chcecie przenieść się przed kominek, przyniosę wszystko na tacy. Będzie nam wygodniej.

Slider rozsiadł się w fotelu przy kominku, Joanna zaś na podłodze, u jego stóp. Atherton schował resztki bażanta do lodówki. Wkrótce do towarzystwa dołączył Edyp, który uznał, że ciepło z paleniska i jasnoszare spodnie Slidera, doskonale kontrastujące z jego czarno-białą sierścią, chwilowo mu wystarczają. Kiedy wszyscy mieli już w rękach talerzyki z sernikiem i widelce oraz filiżanki z kawą i kieliszki umieszczone na wyciągnięcie ręki, Atherton usadowił się na kanapie.

- No dobrze, a teraz Bill, powiedz, co ty myślisz na ten temat.

-Jest w tej sprawie kilka rzeczy, które mnie niepokoją - zaczął Slider powoli. - Nie poskładałem sobie jeszcze wszystkiego do kupy, ale popatrzcie. Ciało Anne-Marie było kompletnie nagie, zapewne po to, aby zapobiec identyfikacji, prawda? Z drugiej strony jednak na jej stopie po śmierci wycięto znak, który wyglądał na ostrzeżenie dla kogoś. Anne-Marie żyła skromnie w ciasnej klitce, ale miała skrzypce warte niemal milion funtów. Jej ciotka twierdziła, iż dziewczyna nie miała żadnych pieniędzy oprócz tych zarobionych z koncertowania, jednak w Birmingham Anne-Marie mieszkała w bardzo luksusowym apartamencie. Dziadek zapisał jej w spadku ogromne pieniądze, z których nie mogła skorzystać aż do wyjścia za mąż, i nagle po powrocie z Włoch zaczęła desperacko przekonywać Simona Thompsona, żeby się z nią ożenił. Kiedy to się nie udało, wpadła w przygnębienie i powiedziała Martinowi Cuttsowi, że się boi. Tuż przed Gwiazdką zginął jej terminarz, a później została zamordowana dokładnie wtedy, kiedy wiadomo było, że nikt nie będzie jej szukał przynajmniej przez kilka dni. W noc morderstwa Anne-Marie najpierw poszła do samochodu, potem wróciła biegiem i próbowała przekonać Joannę, żeby ta poszła z nią do innego pubu.

Zapadła cisza. Słysząc było tylko trzaskanie brykietów w palenisku i głośne mruczenie Edypa, który zdążył przenieść się na kolana Athertona.

-I co z tego wszystkiego wynika? - spytał sierżant, chociaż nie zabrzmiało to zbyt jak pytanie.

-Jedno jest pewne: musimy się bliżej przyjrzeć jej powiązaniom z ludźmi w Birmingham. John Brown powiedział,



że Anne-Marie jeździła tam dość regularnie, żeby grać ze swoją poprzednią orkiestrą. - Spojrzał na Joannę. - Czy to możliwe?

- Cóż, wszyscy pracujemy na boku, kiedy tylko możemy. - Zmarszczyła brwi. - Ruth Chisholm, ich menedżer, jest znacznie miłsza niż ten wstrętny pedał John, który nie wpisałby kobiety na listę kontaktów nawet za cenę życia lub śmierci. Z drugiej strony, jeżeli było tak, jak mówisz, Anne-Marie miała szczęście, że ją chcieli. Na pewno na miejscu było wielu zainteresowanych.

- Zatem to możliwe, że tak naprawdę nie grała dla swojej dawnej orkiestry, lecz tylko używała tego jako przykrywki dla swoich wyjazdów do Birmingham?

- Ale po co miałyby tam jeździć?

- Dlaczego ktokolwiek chciałby odwiedzać Birmingham?

- zgodził się z nią Atherton. - Tylko po co w ogóle miałyby się tłumaczyć? Dlaczego po prostu nie pojechać, nie mówiąc nic nikomu?

- Być może ktoś udzielił jej takich instrukcji - powiedział powoli Slider.

Atherton spojrzał na niego z ukosa.

- Nadal sądzisz, że stoi za tym jakaś organizacja?

Slider wzruszył ramionami.

- Inaczej po co miałyby podawać powód wyjazdu?

- Nie wiecie przecież, czy nie jeździła tam do pracy - wtrąciła się Joanna.

- Tego akurat możemy się łatwo dowiedzieć - odparł Atherton. - Przypuszczam, że będziesz składał o kolejne siedemset dwadzieścia osiem, Bill?

- Co to jest siedemset dwadzieścia osiem? - zainteresowała się Joanna.

- Pozwolenie na opuszczenie granic strefy miejskiej - wyjaśnił. - Musimy o nie prosić, jeśli chcemy wyjechać do innego miasta w sprawie służbowej.

- Oznacza to również nadgodziny, diety, pieniądze na paliwo, lunchy w pubie. - Atherton uśmiechnął się. - Nic dziwnego, że urzędnicy w policji myślą, że prowadzimy łatwe życie. Kogo zabierzesz ze sobą? - spytał go niewinnie.

- Normę - odparł szybko Slider.

- Już to widzę!

- Kto to jest Norma? - spytała ponownie Joanna, nadal posłusznie bawiąc się w ich grę.

- Posterunkowa Swilley - wyjaśnił Atherton z wyraźną lubością. - Nazywamy ją Normą z oczywistych przyczyn\*. Jest świetną kumpelką, pije i klnie jak szewc, typowe dla ludzi z kryminalnego. Nie sądzę jednak, żeby ci się udało, Bili. Już widzę, jak naczelną pozwala ci uwieźć ją swoim żelaznym rumakiem na kilka skoków w bok w jakichś miłosnych zatoczkach. Lunch z Beeversem lub ze mną to jedno, a gzik z kartofelkiem w mundurku to trochę za wiele.

Zadzwonił telefon i Atherton wyszedł z pokoju, żeby go odebrać. Joanna odwróciła się do Slidera i oparła ramiona na jego kolanach.

- Naprawdę sądzisz, że Anne-Marie zadawała się z jakąś organizacją kryminalną? Wydaje się to nieprawdopodobne.

- Wolisz teorię Athertona?

- Muszą być jakieś inne wyjaśnienia. Jeżeli jednak przyjdzie mi wybierać, wolę twoją teorię.

- Dlaczego? - spytał ze szczerym zainteresowaniem.

\* Nieprzetłumaczalna gra słów: Norma Swilley wypowiedziane razem brzmią jak Norma's Willy, czyli Penis Normy.

- Bo jesteś przystojniejszy.

Atherton wrócił do salonu z triumfującym wyrazem twarzy.

- Znaleźli samochód Anne-Marie. W tej chwili są tam ludzie z kryminalnego. Poza tym przyszedł raport z oględzin samochodu Thompsona. Nic ciekawego, poza kilkoma długimi ciemnymi włosami. Bardzo długimi ciemnymi włosami.

- Powiedziałeś, że jego dziewczyna ma ciemne włosy

- przypomniał Slider.

- Krótkie i kręcone - rzuciła cicho Joanna.

- Gdzie znaleziono samochód?

Triumfujący uśmiech Athertona jeszcze się poszerzył.

- W bocznej uliczce w Islington, około pół kilometra od mieszkania Thompsona. Kilkanaście minut piechotą, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć.

- Ale przecież nikt nie byłby na tyle głupi, żeby porzucić samochód swojej ofiary w pobliżu własnego mieszkania!

- zaprotestowała Joanna.

- Zdziwiłabyś się, jak nierozgarnięci potrafią być ludzie.

- Kto jest na służbie? Hunt? - spytał Slider. - Mogę do niego zadzwonić?

- Użyj telefonu w kuchni - odparł Atherton.

Zostali sam na sam z Joanną. Przyglądali się sobie uważnie przez dłuższą chwilę, a potem Atherton odchrząknął.

Joanna zmrużyła oczy z rozbawieniem.

- Zapewne zamierzasz mnie ostrzec. Zawsze starasz się go chronić, nieprawdaż?

- Wiesz, że jest żonaty?

- Tak. Wiem.

- Bardzo żonaty. Nigdy przedtem nie miał romansu. Po prostu nie jest tego typu człowiekiem.

- Czy w ogóle istnieje „ten typ” człowieka?
- Ma dwójkę dzieci, pożyczkę w banku na dom i karierę.

Nie zostawi tego wszystkiego dla ciebie.

- Czy wyglądam na kogoś, kto tego oczekuje?
- Po prostu ostrzegam cię, dla twojego własnego dobra.
- Nieprawda - odparła spokojnie.

Atherton nieco się najeżył.

- Posłuchaj, każdemu facetowi zdarza się trochę zapomnieć. Jeżeli porzuci rodzinę pod wpływem uczuć, wyniknie z tego wielka tragedia. To go zniszczy i to nie tylko materialnie. Jest jednym z niewielu uczciwych ludzi, których znam. Ma sumienie, przejmując się ludźmi. Poczucie winy wobec żony i rodziny zabije najmniejszy promyk radości, jaką będziesz mu mogła dać.

Joanna powstrzymała się przed uśmiechem.

- Wybiegasz bardzo daleko w przeszłość i to w zawrotnym tempie. Jeśli się nie mylę, nazywamy to pochopnym wyciąganiem wniosków.

- To, że zrobił to, co zrobił, oznacza, że jesteś dla niego ważna. Nie znasz go tak dobrze jak ja. Bill nie jest taki jak ty czy ja, jest z innego pokolenia. Nie potrafi traktować takich spraw niefrasobliwie. Poza tym jest bardzo niewinny pod wieloma względami.

- Tak... - Joanna spojrzała w przestrzeń, a potem znów na Athertona. - Sądzę, że Bill jest wystarczająco dorosły, żeby samemu podjąć decyzję, nie uważasz?

Atherton potarł wierzch dłoni palcami w nerwowym geście, którego nie był świadomy.

- Nie chcę, żebyś stawiała go w sytuacji, w której będzie musiał dokonać wyboru. Nie rozumiesz, że kiedy to się stanie, będzie nieszczęśliwy niezależnie od tego, co zdecyduje?

- Zdaje się, że na to akurat nic nie mogę poradzić - odparła Joanna poważnie.

Atherton poczuł rosnącą w nim złość za to, że traktowała sprawę tak lekko.

- Mogłabyś z nim zerwać, zanim wasza znajomość posunie się dalej.

- On też.

- Ale Bill tego nie zrobi, dobrze o tym wiesz. Jeżeli zostawisz go w spokoju...

Joanna w końcu się uśmiechnęła.

- No tak, ale do tego Bill także musiałby mnie zostawić w spokoju. Pomyślałeś o tym?

Atherton wstał gwałtownie, podszedł do kominka i łagodnie uderzył pięścią w jego kant.

- Mogłabyś go zniechęcić - rzekł w końcu, odwrócony do niej tyłem. Obawiał się, że jeśli na nią spojrzy, poniesie go gniew. - Mogłabyś to zrobić.

- Zapewne - zgodziła się. Spojrzała w zamyśleniu na jego napięty kark. - Nadal jednak sędzę, że to jego wybór, nie mój czy twój.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- To najlepiej świadczy o tym, jak mało naprawdę ci na nim zależy! Nie masz żadnych skrupułów przed zniszczeniem jego życia, co?

Spojrzała na niego uważnie, jakby zastanawiała się, czy warto próbować coś mu wyjaśnić.

- Nie wierzę, że to *status quo* jest jedynym wyjściem z sytuacji lub że utrzymywanie owego stanu powinno być głównym celem istnienia. Życie oferuje nam niezliczone możliwości i statystycznie rzecz biorąc, niektóre z nich muszą być lepsze.

- Sprawisz, że wielu ludzi będzie nieszczęśliwych - rzucił ostro Atherton.

- Tak się składa, że nie wierzę, iż szczęście jest głównym celem istnienia.

- Pieprzysz! - wybuchnął Atherton. Joanna tylko wzruszyła ramionami i nie powiedziała więcej ani słowa.

Po chwili pojawił się Slider.

- Chyba będzie lepiej, jeżeli zawiozę cię do domu - zwrócił się do Joanny. - Zaczyna się robić gorąco. - Spojrzał na Athertona. - Kłóciliście się?

- Dyskutowaliśmy - odparł ostrożnie Atherton. - Nasze poglądy na pewne sprawy różnią się zasadniczo.

- Nonsens. - Joanna uśmiechnęła się. - Kłóciliśmy się o ciebie. Próbowaliśmy sobie udowodnić, które z nas kocha cię bardziej.

Slider uśmiechnął się szeroko, nie wierząc jej słowom.

- Kto wygrał? - zapytał.

- Myślę, że osiągnęliśmy remis - odparła Joanna. Została nagrodzona krótkim, dziwnym uśmiechem Athertona.

- O czym rozmawialiście, kiedy byłem w kuchni? - spytał już w samochodzie.

-Atherton próbował mnie przekonać, żebym z ciebie zrezygnowała.

- O! - wykrzyknął z niepokojem. - Co mu odpowiedziałas?

- Ze jesteś wystarczająco dorosły, żeby sam podejmować decyzje.

Nie były to dokładnie słowa, które chciał usłyszeć, i Joanna dobrze o tym wiedziała. Slider westchnął.

- Dlaczego wszystko musi być takie skomplikowane?
- spytał, jak wielu przed nim.
- Takie właśnie jest życie. Proste, ale skomplikowane.
- Łatwo ci mówić, że życie jest proste - rzucił z urazą.
- Bo jest. Zawsze mamy wybór.
- Może nie jestem tak odważny jak ty.
- To nie kwestia odwagi.

Zatrzymali się na światłach.

- Nie bądź taka bezwzględna. W takim razie o co chodzi?

- Wszystko to kwestia podejścia. To tak, jak ze zdejmowaniem plastra. Można go ściągać powoli, centymetr po centymetrze, albo zedrzeć jednym mocnym pociągnięciem i mieć to za sobą. Już na początku zawsze wiadomo, jak się to skończy. Dlatego ja zawsze myślę, że równie dobrze mogę zrobić to od razu, no wiesz, skoczyć na główkę.

Slider spojrział na nią, nagle zalało go tyle skomplikowanych uczuć, że nie umiałby ich wyrazić. Światła zmieniły się na zielone i ruszył automatycznie, ledwie będąc tego świadomy.

- Tak czy inaczej - ciągnęła Joanna po chwili milczenia
- nie myśl sobie, że ty nie potrafisz sobie poradzić, a ja tak.

To duży błąd.

Spojrział na nią zakłopotany.

- Ale przecież ty potrafisz sobie poradzić ze wszystkim.

- O tak, wiem, wszyscy tak myślą - odparła zmęczonym głosem. - W tym właśnie problem. Kiedyś to właśnie mnie wykończy.

Slider chciał zaprotestować, wyjaśnić, że nie jest Ather-tonem, że nie rozumie zagadek, ale nagle okazało się, że wszystko jest dużo prostsze, niż sądził. Miłość, jaką do

niej czuł, odnalazła swoją drogę bez jego pomocy. Była tak gwałtowna i krucha, w niezwykle pomieszanych proporcjach, że czuł się wstrząśnięty i wypłukany do cna.

O dziwo, poczuł nagle, jak bardzo go to wzmocniło, niczym człowieka, który pościł przez wiele dni. Czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Tak, był silniejszy niż Joanna. Jak to możliwe?

Dotarli wreszcie do jej domu. Slider chciał się z nią kochać, zagłębić się w nią i nigdy więcej nie wynurzyć z tego błogostanu. Joanna była niczym ciepły, słoneczny radosny dzień i Slider nie chciał, żeby kiedykolwiek się skończył.

- Wstąpisz? - spytała, kiedy siedział bez ruchu.

- Nie. Muszę jechać do domu.

- A mówiłeś, że brakuje ci odwagi. - Joanna siedziała w milczeniu przez kilka chwil, a potem zaczęła wysiadać z samochodu.

- Wiesz, że jutro jest pogrzeb Anne-Marie? - spytał.

- Nie, nie wiedziałam. Zamierzasz iść?

- Prywatnie, nie oficjalnie. Chcesz pójść ze mną?

- Tak. W tym całym zamieszaniu tak łatwo o niej zapomnieć. - Spojrzała na niego poważnie, jakby chciała upewnić się, że zrozumiał, co miała na myśli. Oczywiście Slider rozumiał. Dotknął jej twarzy opuszkami palców, a potem pocałował ją czule w usta.

- Przyjadę po ciebie - powiedział.

Nie spodziewał się, że pogrzeb będzie tak przygnębiający. W nocy zrobiło się ciepło, a potem zaczęło padać i tak cały dzień. Było tak ciemno i ponuro, że o jedenastej rano wydawało się, jakby była czwarta po południu. Fakt, iż na pogrzebie prawie nie było żałobników, tylko pogorszył



ogólny nastrój. Oczywiście Anne-Marie nie miała żadnych krewnych poza ciotką, ale Slider spodziewał się pojawienia przyjaciół, ludzi z młodości, chociaż nie umiał sobie wyobrazić, kim mogliby być. W rzeczywistości rodzinę Anne-Marie Austen reprezentowała pani Ringwood, której towarzyszyli gosposia, kapitan Hildyard, prawnik rodzinny i starszy mężczyzna, który był chyba ogrodnikiem rodziny. Spośród kolegów z pracy pojawiła się tylko Joanna i Martin Cutts.

- Zapewne inni również by przyszli, gdyby zostali wcześniej uprzedzeni - powiedziała Joanna bez przekonania.

- Sue Bernstein zadzwoniła do Ruth Chrisholm na wypadek, gdyby ktoś z Birmingham chciał ją pożegnać, ale wygląda na to, że nikomu nie udało się dotrzeć - dodał Martin Cutts.

- Przypuszczam, że to trochę za daleko - rzekła Joanna.

- Nonsense. Z Birmingham jest tutaj bliżej niż z Londynu.

- Cóż, w takim razie prawdopodobnie musieli dzisiaj pracować - powiedziała niepewnie Joanna.

Msza była denerwująco obcesowa i pozbawiona jakiegokolwiek duchowego wsparcia. Slider był zwolennikiem Kościoła anglikańskiego i nigdy nie potrafił się pozbyć wrażenia, że współczesna interpretacja modlitewnika była wręcz świętokradczo okropna. Poza tym nieustannie myślał o tym, że Joanna siedziała nie obok niego, lecz po drugiej stronie, u boku Martina Cuttsa, i kiedy zaczęła płakać, Cutts objął ją ramieniem, ona zaś oparła policzek na jego piersi. Slider nienawidził tego mężczyzny z jego wieczną, oślizgłą gotowością do okazywania uczuć. Dlaczego ja nie potrafię być taki? - spytał sam siebie z odrazą. To, co Cutts

okazywał i przyjmował z taką łatwością, kosztowało Slidera wiele bólu i wysiłku.

Ceremonia pogrzebowa była krótka i gdy tylko dopełniono wszelkich formalności, wszyscy czym prędzej rozeszli się w poszukiwaniu schronienia. Pani Ringwood, której towarzyszył kapitan Hildyard, zagadnęła Slidera:

- Dziwię się, widząc pana tutaj, inspektorze. Reprezentuje pan wydział kryminalny?

- Nie, proszę pani. Przyszedłem zupełnie prywatnie.

Pani Ringwood uniosła brwi.

- Prywatnie? Dlaczego, jeśli wolno spytać? Nie był pan przecież przyjacielem mojej siostrzenicy.

- Nie byłem, proszę pani, ale czuję się na tyle zaangażowany w sprawę jej morderstwa, że... że chciałem ją pożegnać.

- Zaiste pokrzepia wiedza, iż policjanci to też ludzie - wtrącił Hildyard, uśmiechając się pod wąsem, aby zaznaczyć, że to tylko żart. Jego oczy były jednak szklane i bez wyrazu, jak zwykle. Oboje odwrócili się i spojrzeli na Joannę.

- A ty, młoda damo? Byłaś przyjaciółką naszej biednej drogiej Anne-Marie? - spytał Hildyard.

Joanna wydawała się zdenerwowana, wręcz zagniewana sposobem, w jaki na nią patrzyli, i słowami, które usłyszała. Wlepiała wzrok w krawat kapitana, unikając jego spojrzenia.

- Dzieliłam z nią pulpit w orkiestrze. A pan? Anne-Marie nigdy nie wspominała o panu jako o przyjacielu.

Jej słowa były niegrzeczne, wyzywające i wzrok Hildyarda sygnalizował złość, chociaż nie dał po sobie nic poznać.

- Znałem to biedne dziecko od maleńkiego - odezwał się. - Jestem tak stary, że nigdy nie śmiałybym nazywać się

jej przyjacielem, ale wiem, że ufała mi i traktowała mnie z uczuciem. Sądzę, iż jednym z przywilejów mojej profesji jest zdolność zdobywania serc klientów. Wiele razy leczyłem jej kuczka z kolki jelitowej i odrobaczałem szczeniaka. Proszę mi wierzyć, nie ma lepszego sposobu na zdobycie miłości dziecka.

- Może wrócimy do domu na kieliszek cherry? - wtrąciła nagle pani Ringwood. Sliderowi przypomniały się lekcje łaciny w szkole, kiedy to uczył się tak konstruować pytanie, aby odpowiedź musiała brzmieć „nie”. Ton pani Ringwood właśnie taką sugerował.

- Nie, dziękuję pani. Muszę wracać do Londynu - odparł i odwracając się, zrównał się z panią Ringwood na zwirowanej ścieżce na tyle wąskiej, że mieściły się na niej tylko dwie osoby. Hildyard został zmuszony do pozostania w tyle, z Joanną. - Tak przy okazji, pani Ringwood - rzucił przyciszonym głosem, pochylając się ku jej uchu pod parasolką. - Czy kiedykolwiek odwiedzała pani Anne-Marie w Birmingham po tym, jak zaczęła grać w tamtejszej orkiestrze?

- Naturalnie, że nie. Po co miałabym ją tam odwiedzać?

- Nigdy nie była pani w jej mieszkaniu?

- Nie miałam powodu.

- Nie ma pani zatem pojęcia, jak wyglądał jej apartament, czy go wynajmowała, czy dzieliła z kimkolwiek?

Spojrzała na niego zniecierpliwiona.

- Najmniejszego - odparła. - Jak już panu wcześniej mówiłam, inspektorze, nie wiem nic o jej życiu osobistym. Sugeruję, żeby zapytał pan o to jej kolegów muzyków.

Slider podziękował jej i oddalił się pospiesznie z Joanną zwirowaną ścieżką w stronę bramy. Zatem mieszkanie

w Birmingham nie należało do ciotki. Właśnie to potwierdził. Dziś jednak zostało powiedziane coś - nie pamiętał przez kogo i kiedy - bardzo istotnego. Za nic jednak nie mógł sobie przypomnieć co. Coś dzwoniło, ale nie wiedział, w którym kościele. Poddał się wreszcie. Wiedział, że prędzej czy później jego podświadomość rozwiąże ten problem. Skoncentrował się na Joannie.

Martin Cutts właśnie pytał ją, czy nie chciałyby pójść z nim do pobliskiego pubu na kufel piwa. Potrząsnęła głową i znacząco spojrzała na Slidera. Cutts, wyszczerzył zęby w uśmiechu, pocałował ją lekko w usta, rzucił: „Do zobaczenia w środę” i odszedł.

- Zamykają o wpół do trzeciej - rzuciła Joanna. Jej głos brzmiał tak dziwnie, że Slider spojrzał na nią z niepokojem i zobaczył, że jest blada z zimna, nieszczęśliwa, bliska łez. Czym prędzej zabrał ją do samochodu z tego przygnębiającego miejsca. Absurdalnie, bardzo pragnął stąd zabrać również Anne-Marie. Ona również była muzykiem i nawet jeśli nikt jej nie kochał, spotykała się ze swoimi kolegami w pubach i знаła pocałunki Martina Cuttsa. Kontrast był zbyt duży i pozostawienie jej tutaj samej wydało mu się nagle okrucieństwem.

Już w samochodzie włączył ogrzewanie i nawiew i tak szybko, jak pozwolił mu na to deszcz, odjechał ku normalności Londynu. W miarę jak wewnątrz wozu się ogrzewało, Joanna odzyskiwała wigor.

- No tak - odezwała się pierwsza. - A więc to wszystko? Nie był to pogrzeb, jakiego się spodziewałam. Kiedy umrę, mam nadzieję, że setki ludzi będą wyplakiwać sobie oczy nad moim grobem, a potem na stypie spiją się porządnie i będą wygłaszać peany na moją cześć.

- Dopilnuję tego - odparł Slider krótko.

- Muszę też mieć porządną mszę w kościele, ze świecami, hymnami i prawdziwą modlitwą, nie tym drugorzędnym produktem zastępczym dla biedaków. Nie cierpię Nowego Ekumenicznego Czwartego Wydania Książeczki do Nabożeństwa czy jak to tam teraz nazywają. - Spojrzała na niego z gniewem. - To niesprawiedliwe! - krzyknęła nagle.

Oczywiście nie miała na myśli mszy świętych. Slider cieszył się jednak w pewnym sensie, że nie była to tradycyjna msza, ponieważ znajome słowa przypomniłyby mu o pogrzebie mamy. Zawsze tak było, gdy słyszał je w telewizji albo w kinie, nadal przyprawiały go o płacz. Pogrzeby przede wszystkim przypominały mu, że nie ma odwrotu, że każdego dnia życie odbiera ci coś, czego już nigdy nie odzyskasz.

- Kiedy umrę, dopilnujesz, żeby pochowano mnie godnie, nie tak jak Anne-Marie? - spytała cichutko. - Przysięgam, że zrobię to samo dla ciebie.

- Och, Joanno - szepnął bezradnie i ujął pokrzepiająco jej dłoń.

Kiedy dotarli do Turnham Green, Joanna odzyskała dobry humor z szybkością charakterystyczną dla młodych ludzi.

- Umieram z głodu. Wiesz, co bym zjadła? Hamburgera. Prawdziwego, nie jakiegoś z McDonalda. Wstąpimy do Macarthura?

- Nie mogę - odparł niechętnie. - Muszę jechać na komisariat. Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia, a poza tym powinienem przygotować się do spotkania. Przepraszam.

- Ładny mi romans - odparła żartobliwie, jak zwykle ułatwiając mu sprawę.

- Postaram się wpaść później, w drodze do domu, a jeżeli nie będę mógł, zadzwonię. Nie martw się, teraz nie możemy już siebie stracić. Przecież nie możemy nagle przestać się znać! - dodał pokrzepiająco, widząc, że Joanna posmutniała.

- Dzielisz skórę na niedźwiedziu! - Uśmiechnęła się. - Nie zapominaj, że kiedy znowu zacznę pracować, będziesz miał do zgrania dwa szalone harmonogramy dnia!

- Popatrz na to, szefie - rzucił Atherton, wchodząc zważnym krokiem do gabinetu Slidera. - Wykaz stanu konta Anne-Marie. Bardzo interesujący.

- Midland Bank, oddział na Gloucester Road?

- Zapewne otworzyła rachunek, kiedy wstąpiła do Akademii Królewskiej - rzekł mądrze Atherton. - Chociaż sądząc po jej elitarnych znajomościach, człowiek mógłby pomyśleć, że od urodzenia trzymała pieniądze u Couttsa.

- Jednak przedtem nie miała przecież własnych pieniędzy, prawda? - Slider rozłożył przed sobą wydruk. - Stan konta jest dość skromny. Nie widzę tu pieniędzy, za które można by kupić stradivariusa.

- To prawda, ale spójrz tutaj. Sierpień, widzisz? Wydatki różne, trzy tysiące funtów.

- Czy to wypłata z orkiestry?

- Nie, to akurat zawsze identyfikują jako pensję. O popatrz, tutaj i tutaj. Ale wpływy i wydatki różne to depozyt, gotówka lub czek, wpłacone na pocztę lub bezpośrednio w banku. Za chwilę zresztą zniknęły. Cztery duże wypłaty czeków. Musiała mieć kosztowne przyzwyczajenia.

- Nie ma żadnych śladów spłat pożyczki, o której wspominała Joanna?

- O, tę sprawę uregulowała dawno temu. Spójrz, to jeszcze bardziej interesujące. Cofnij się nieco w czasie i zobacz, co tu jest. Kolejna duża suma, pięć tysięcy tutaj, cztery tam, znowu pięć, potem sześć i pół. Mniej więcej co miesiąc wpłacała na konto dużą sumę, a potem wyciągała ją w gotówce. Co o tym myślisz?

- Czy to możliwe, żeby wydała wszystkie te pieniądze? Może miała rachunek oszczędnościowy.

- Niczego takiego nie znalazłem. Może kupowała akcje na rynku albo grała na wyścigach. Nie interesuje mnie jednak, gdzie pozbywała się pieniędzy, lecz skąd je miała. Wiesz, co myślę?

- No co? - spytał przymilnie Slider.

- Myślę, że kogoś szantażowała. Może nawet kilka osób. - I ten ktoś wreszcie miał dosyć i zabił ją dla świętego spokoju? Widzę, że zrezygnowałeś z Thompsona.

- Niekoniecznie. Może to jego szantażowała.

- Tu mi jedzie czołg, a tu lufa wystaje - odparł spokojnie Slider.

Atherton uśmiechnął się niechętnie.

- Nie jesteś jedynym człowiekiem uprawnionym do przeczuć, wiesz? W tej młodej kobiecie było coś bardzo złowrogiego i antypatycznego. Zamierzam mieć oczy szeroko otwarte.

- Zrób to. Tutaj masz coś, czym możesz je zająć. Raport o jej samochodzie.

- Niech mnie, w laboratorium naprawdę tym razem ruszyli tyłki. Co znaleźli?

- Nic ciekawego poza tym, że na siedzeniu pasażera z przodu były ślady białego proszku...

- Białego proszku?!

- Zachowuj się. Biały proszek po analizie okazał się pyretryną i - zajął do raportu - piperonylem tlenku butylu.

- Czego?

- To środek owadobójczy na pchły, wszy, pluskwy, skorki, stonogi i tak dalej. Można go kupić w każdym sklepie ogrodniczym albo Woolworcie. Znajdziesz go w każdym domu. Trujący, jeżeli się go wystarczająco dużo połknie, może podrażniać oczy i nabłonek w nosie przy wdychaniu.

- Na razie podrażnia moją tkankę mózgową - odparł naburmuszony Atherton. - Jaki z tego użytek? Mogła kupić puszkę tego proszku kiedykolwiek i w dowolnym celu, a potem rozsypać przypadkiem trochę na siedzeniu. Gdzie to nas prowadzi?

- Nigdzie. Poza tym, że nie znaleźliśmy nic takiego w jej mieszkaniu. Co więcej, na siedzeniu pasażera wciśnięte między poduszki było to. - Wręczył Athertonowi mały kawałek papieru, oryginalnie złożony na czworo, teraz pomięty, tu i ówdzie naddarty i przybrudzony po długim leżeniu między poduchami siedzenia. Atherton rozłożył kartkę, wydarł ją z małego notatnika z rodzaju tych, które trzyma się przy telefonie. Na niej, zapisane pod kątem, jakby ktoś trzymał wtedy słuchawkę telefonu między brodą a ramieniem, żeby uwolnić ręce, widniało słowo *Saloman* i numer telefonu.

- Saloman! - wykrzyknął Atherton po bolesnej chwili niezrozumienia. - Saloman od Vinceya!

- Wiesz, kim jest ten człowiek?

- Pracuje u Vinceya na Bond Street. To antykwariat. Saloman jest ich ekspertem od smyczków. Andrew Watson, ten gość z Sotheby'ego, wspomniał o nim, kiedy oceniał dla nas stradivariusa. Czy to charakter pisma Anne-Marie? Przypuszczam, że tego akurat możemy się dowiedzieć. Konsul-



towała się z nim? Przynajmniej to jakiś trop, a tych akurat nie mamy zbyt wiele.

Slider uśmiechnął się, widząc jego podniecenie.

-Tropy mają zwyczaj kończenia się w ślepej uliczce - ostrzegł. - Pozostawię ci to do załatwienia. Stałeś się wszak lokalnym ekspertem od skrzypiec. Tak przy okazji, ktoś powinien wstąpić do Psa i Moszny, porozmawiać z Hildą i stałymi bywalcami. Wiem, że wszyscy twierdzą, iż nie widzieli tamtej nocy Anne-Marie, ale to oficjalne zeznania. Przyjazna prywatna pogawędka powinna wyciągnąć z nich prawdę. Tak sobie myślę - dodał nieprzekonany - że skoro mam ten pub po drodze...

- Srata tata - przerwał mu Atherton. - Dobrze wiesz, że nie wracasz tamtędy do domu. Zrobię to, szefie, a ty zbieraj się do swojej młodej kochanki.

- To bardzo miłe z twojej strony, stary - powiedział Slider poważnie. - Myślałem, że nie pochwalasz tego związku.

-Jeżeli będziesz ją widywał wystarczająco często, może w końcu się nią znudzisz. Poza tym wiesz, że Hilda ma na mnie oko. Prędzej zwierzy się mnie niż tobie. Nie potrafi się oprzeć mojej przystojnej twarzy i młodocianemu urokowi.

Slider wzdrygnął się lekko.

- Co ze strażnikami w centrum telewizyjnym?

- Beevers z nimi rozmawiał. Jeden z nich twierdzi, że za pierwszym razem Anne-Marie nie wsiadła do samochodu. Podeszła tylko do niego, a potem pobiegła z powrotem, jakby czegoś zapomniała.

- Może zobaczyła wetkniętą za wycieraczkę kartkę, na której morderca kazał jej przyjść do pubu?

- Nie, jeżeli był nim Thompson.

- Wiesz, co na ten temat myślę - odparł Slider.
- Może po prostu chciała jakiejś odmiany. Czasem człowiek wyobraża sobie zbyt wiele.

Slider spojrział mu w oczy i przesłali sobie kilka niemych ostrzeżeń, których żaden z nich nie zamierzał posłuchać.

RS

## Rozdział II

### Miss ŚWIATA I MONTEZUMA

- Hej - rzuciła Joanna, siadając i spoglądając na niego w migoczącym świetle kominka.

- Hmm? - Połowa jego ciała była zbyt gorąca, druga zaś zziębnięta od przeciągu ciągnącego od drzwi salonu. Podłoga pod jego plecami wydawała się twarda, a koc pod pośladkami gryzący. Mimo to z chęcią pozostałby w tej pozycji jeszcze przez kilka godzin. Sen był czymś, czego ostatnio bardzo potrzebował.

- Spij sobie w domu - powiedziała Joanna. - Powinieneś mnie teraz zabawiać.

- Przed chwilą to zrobiłem - wymruczał, nie otwierając oczu. Pochyliła się, aby go pocałować, i poczuł twardy dotykanie jej włosów i lekki nacisk na penisa.

- Seks jest wspaniały, ale chcę, żebyś ze mną porozmawiał.

Slider jęknął, odwrócił się na bok i oparł głowę na ugiętym ramieniu.

- O czym? - spytał.

- Wyglądasz tak słodko z tymi potarganymi włosami.

- Uśmiechnęła się szeroko. - Tak niewinnie.

-Ty za to wyglądasz jak niebezpieczne dzikie zwierzę  
- zrewanżował się. - Większość ludzi bez ubrania wygląda bezbrannie, ale ty jesteś zupełnym zaprzeczeniem tej zasady. Wyglądasz, jakbyś miała mnie zjeść.

- Mogę, jeżeli chcesz - zaoferowała spokojnie.

- Najpierw się napijmy. Wam, kobietom, jest łatwo, ale my, faceci, potrzebujemy odpoczynku.

-Wam, kobietom?! Rozumiem, że przemawia przez ciebie ogromne doświadczenie.

- Nie musisz mieć dziecka, żeby być ginekologiem - odparł z godnością.

Joanna wstała jednym płynnym ruchem.

- Chcesz gin z tonikiem?

- Czy mała chce banana?

Pozostawiony samemu sobie, usiadł i odwrócił się drugim bokiem do ognia. Rozejrzał się i zdumiał uczuciem spokoju i bezpieczeństwa, jakie wywoływał w nim ten pokój. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek siedział na podłodze we własnym domu, chociaż zwykł to robić na początku małżeństwa, kiedy jeszcze mieszkali z *Irene w ciasnej kawalerce*. W domu jednak nie mógł usiąść na podłodze przy kominku, ponieważ nie mieli kominka ani niczego w tym stylu. Salon w domu Joanny nie był elegancki ani gustowny, nie był nawet posprzątany. Mimo to można było w nim leżeć i nie robić nic, lenić się w idealnym spokoju. Był to pokój, który niczego od ciebie nie wymagał i niczego nie narzucał.

Delikatny brzęk szkła zapowiedział powrót Joanny z dwoma wypełnionymi drinkiem wielkimi szklankami, w których pływały kostki lodu, niczym miniaturowe góry lodowe. Na brzegu każdej szklanki tkwiły połówki cytryny. Szkło było

usiane srebrnymi pęcherzykami, a nalany do nich płyn opalizował lekkim błękitem ogromnej porcji ginu. Do jego nozdrzy dotarł jałowcowy aromat.

- Cudownie - rzucił. Joanna pochyliła się nad nim i przysunęła szklanę bliżej, na wysokość jego wzroku.

- Bardzo estetyczne, nie sądzisz?

- Ależ z ciebie potwór. Wszystko kojarzy ci się z przyjemnością. Przyjemnością i komfortem.

- Każdy głupi potrafi czuć się źle.

- A co z obowiązkiem i odpowiedzialnością?

Przechyliła głowę i lekko otarła swędzący nos o jego ramię. Nie potrafił sobie wyobrazić, żeby Irene kiedykolwiek miała zrobić coś podobnego.

-To też jest ważne i ludzie znajdują na to czas, wiesz?

Przede wszystkim jednak obowiązek wobec samego siebie.

- Łatwo ci mówić. Nie masz żony ani dzieci.

- Ach te żony i dzieci!

Spojrzał na nią zirytowany.

-Jeżeli nie potrafisz uszczęśliwić samego siebie, nie uda ci się z nikim innym, nie sądzisz? - ciągnęła Joanna. - Na co ci się zdam, skoro masz być nieszczęśliwy?

- Gdyby wszyscy myśleli tak jak ty... - zaczął, ale Joanna przerwała mu.

- Nikt tak nie myśli. Sęk w tym, że filozofia braku odpowiedzialności działa jedynie u ludzi, w których moralność można wierzyć. Dlatego wypij drinka i nie zastanawiaj się już nad tym. Bycie zagorzałym hedonistą wymaga lat praktyki.

- Innym słowy nie chcesz na ten temat rozmawiać.

- Uhm - przyznała, pochylając się w jego kierunku i odsuwając jego dłoń z drinkiem, żeby go pocałować. Wsunęła

mu język w usta i Slider ze zdumieniem poczuł, że natychmiast reaguje. Niech mnie, drogi chłopcze, rzucił w myślach do swojego małego przyjaciela. Nieźle ci idzie jak na twój wiek. Pewnie jesteś z siebie bardzo dumny, co?

Sięgnął za siebie po omacku, żeby odstawić bezpiecznie szklankę i uwolnić dłonie. W tym momencie zadzwonił telefon. Joanna przestała go całować.

- Czas śledzi was, kaszle ochryple, gdy usta szukają ust\*  
- zacytowała.

- Mam odebrać? To pewnie do mnie.

Ale Joanna już wstała.

- Powinnam włączyć automatyczną sekretarkę.

Dzwonił O'Flaherty, który właśnie zaczynał tydzień dyżurów nocnych i po całym dniu byczenia się nie krył swojej irytacji.

- Wytropić cię, Billy, kochanie moje, to prawdziwa droga przez mękę. Dzwoniłem nawet do Psa i Cholernego Skorpiona, aż wreszcie Mały Smutny Chłopiec powiedział, że znajdzie cię *in flagrante dilecto*. Powiedziałem, że o takim pubie jeszcze nie słyszałem...

- Nie chciałbym przeszkadzać ci w odgrywaniu roli ignorant z zapadłej dziury, ale chciałeś ode mnie coś szczególnego? Zimno mi, wolałbym wrócić przed kominek.

- Chyba mam coś dla ciebie. - O'Flaherty przestał żartować. - Posłuchaj, jest pewien młody człowiek, który pyta o ciebie. Twierdzi, że ma coś ważnego do powiedzenia, ale tylko tobie, ponieważ śmiertelnie się boi Athertona. Mówi, że Atherton się na niego uwziął. Chce rozmawiać z tobą sam na sam.

\* Fragment wiersza W.H. Ardena Gdy szedłem raz wieczorem, tłum.  
S. Barańczak.

-Jak go oceniasz?

- Myślę, że to pierwszorzędny towar. Nazywa się Thompson.

- Chryste!

- Nie, Thompson. Głuchy jesteś czy co? - rzucił O'Flaherty grobowym głosem.

-Jest tam teraz?

- Nie. Nie chciał przyjechać na komisariat. Bał się, że go aresztujemy. Musiałem przeprowadzić negocjacje. W końcu przekonałem go, żeby poczekał na ciebie w Koronie i Perle, ale Bóg jeden wie, jak długo tam wytrzyma. Jeżeli nie dotrzesz tam w miarę szybko, to jeśli nie umrze ze strachu, na pewno będzie pijany w trzy dupy. Gdzie jesteś?

- W Turnham Green. Będę w pubie za dziesięć minut. Słuchaj, Pat, mam prośbę. Czy możesz zadzwonić do pewnej osoby, wytłumaczyć jej sytuację i powiedzieć, że nie wiadomo, ile czasu mi to zajmie.

-Jezusiczku, Billy...

- Daj spokój, Pat. Nie zaczynaj od nowa.

- Dobrze, dobrze, zrobię to. A teraz lepiej zbieraj dupę w troki i pędź do tego pubu, zanim twój chłoptaş zmieni zdanie.

- Dobra, zadzwonię do ciebie później.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się. Joanna nie patrzyła na niego.

- Pewna osoba, doprawdy - rzuciła, lecz dość łagodnie.

- Simon Thompson chce się ze mną zobaczyć, sam na sam. Mówi, że ma dla mnie informację. Muszę się z nim spotkać, zanim się rozmyśli.

Joanna pokiwała w milczeniu głową i odwróciła się, pijąc swojego drinka i spoglądając w ogień. Każdą cząstką ciała

pragnął przytulić się do niej i tak już zostać, ale zamiast tego sięgnął automatycznie, choć niechętnie, po ubranie.

- Przykro mi.

Wzruszyła ramionami.

- Zadzwoń, jeżeli nie zrobi się zbyt późno - powiedział cicho.

Odwróciła się do niego, nagle skruszona.

- Zadzwoń bez względu na porę - szepnęła. - Będę czekała.

Slider ubrał się i zanim wyszedł, pocałował ją na pożegnanie, jednak myślami był już w Koronie i Berle.

Pub wydawał się dość pełny jak na środek tygodnia. Slider stanął tuż przy drzwiach i rozejrzał się, dając Thompsonowi szansę podejścia. Oczywiście żaden z nich nie wiedział, jak wygląda ten drugi, ale komisarz szybko odnalazł Thompsona wśród tłumu, po opisie Athertona („Miss Świata w spodniach”) i sposobu, w jaki garbił się nad nietkniętą kwartą piwa, niczym cierpiące zwierzę. Skierował wzrok ku drzwiom, zawahał się, spojrzął przed siebie, a potem znowu, z nadzieją, na Slidera. Komisarz skinął lekko głową i podszedł do Thompsona, który posłusznie zrobił mu miejsce na ławie. Slider wyczuł strach mężczyzny, gdy tylko podszedł bliżej. To nie była podpucha.

- Pan Thompson?

Skinął głową, nadal żałośnie przygarbiony.

- Inspektor Slider?

- Skąd pan wiedział o moim istnieniu?

- Sue Bernstein powiedziała, że to pan zajmuje się sprawą. Twierdziła, że wygląda pan na porządnego człowieka. Podobno spotyka się pan z Joanną Marshall. Czy to prawda?



Slider kaszlnął lekko, zdumiony bezpośredniością pytania.

- W każdym razie pomyślałem, że pewnie jest pan w porządku - ciągnął Thompson. - Na pewno lepszy niż sierżant Atherton. Uwziął się na mnie. - Podniósł głos w panice.

- Myśli, że zabiłem Anne-Marie. Teraz chce to udowodnić za wszelką cenę. - Wzdrygnął się na dźwięk własnych słów i przygarbił jeszcze bardziej, rozglądając się wokoło, jakby oczekiwał, że w każdej chwili spod stołu wyskoczy triumfalnie Atherton z magnetofonem w dłoni.

- Jestem pewien, że to nieprawda - rzucił Slider uspokajająco. - Musieliśmy panu zadać kilka pytań, żeby ustalić fakty, to wszystko.

Thompson spojrzał na niego z nadzieją. Nad jego wargą perlił się pot. Miał oczy zaszczutej sarenki.

- Wydaje się pan rozsądnym facetem. Pan nie uważa, że ją zabiłem, prawda?

- Skoro już o tym mowa, to rzeczywiście, nie - odparł Slider. - Nie ma to jednak nic do rzeczy, prawda?

-Nie?

- Skoro pan jej nie zabił, dlaczego jest pan taki zdenerwowany?

- Panu to dobrze mówić - rzucił Thompson z goryczą.

- Gdyby pan jednak był w moim położeniu, nie byłoby panu do śmiechu. Nie miałem z tym nic wspólnego, musi mi pan uwierzyć. Byłem wstrząśnięty i przerażony jej śmiercią, tak samo jak pozostali członkowie orkiestry.

- Być może nieco bardziej - zasugerował Slider. - W końcu przecież miał pan z nią romans. Musiał pan być nieco bardziej związany z Anne-Marie niż pozostali...

- Nikt nie był z nią zaprzyjaźniony - przerwał mu. - Anne-Marie była dziwna i... niech pan posłucha, przykro

mi, że umarła, ale nic nie mogę na to poradzić. Była w coś zamieszana i myślę, że w końcu to coś przywiodło ją do zguby. Sama sobie była winna, tak uważam.

- A w co takiego była zamieszana? - spytał Slider spokojnie, chociaż waliło mu serce.

- Nie znam szczegółów - zaczął Thompson - ale jestem pewien, że była zaangażowana w jakiś przekręt z przemysłem. Odniosłem wrażenie, że chciała się z tego wycofać, ale siedziała w sprawie zbyt głęboko. W samolocie, kiedy wracaliśmy z Włoch, była naprawdę przerażona, ale nie chciała mi nic powiedzieć.

- Ach tak, Włochy. Proszę mi o tym opowiedzieć. Byliście wtedy ze sobą, tak?

Thompson był zakłopotany.

- Tylko na czas tournée... taka była umowa. Robiliśmy to już wcześniej. Zamieniliśmy się na pokoje z innymi ludźmi, żebyśmy mogli ze sobą sypiać. Wszystko było w porządku, aż do ostatniego dnia, we Florencji. Wyszliśmy na miasto rano, zaglądaliśmy do tych małych sklepików z mydłem i powidłem w jednej z bocznych uliczek odchodzących od rynku... wie pan. - Slider, który nigdy nie był we Florencji, pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Potem zaproponowałem, żebyśmy zjedli lunch, a ona nagle, że nie, bo musi się z kimś spotkać. Tak po prostu wyskoczyła nagle z tą wiadomością. Nigdy wcześniej nie wspominała o tym ani słowem. Cóż, kiedy jest się ze sobą na tournée, człowiek zazwyczaj myśli, że wie, co robi ta druga osoba, nie sądzi pan?

Slider znowu potaknął.

- Oczywiście zapytałem ją, z kim niby musi się spotkać tak nagle - ciągnął Thompson - ale Anne-Marie nie chciała

mi powiedzieć. Zrobiła się bardzo opryskliwa, ale wreszcie wyznała, że skoro tak bardzo chcę wiedzieć, z kim się spotyka, to ze swoim kuzynem Mariem, ale że to nie mój interes, że nie daje jej spokoju, że potrzebuje trochę prywatności i tak dalej. Nagle zaczęliśmy się kłócić, sam nie wiem dlaczego.

- Sądzi pan, że Anne-Marie specjalnie doprowadziła do sprzeczki, żeby się uwolnić od pana towarzystwa?

Thompson pokiwał gorliwie głową.

- Tak, tak właśnie uważam. Poza tym Anne-Marie zachowywała się zupełnie inaczej niż zwykle. Była nerwowa, przestraszona, oglądała się co chwila przez ramię, jakby sądziła, że ktoś ją może śledzić. W każdym razie kłóciliśmy się przez kilka minut, po czym Anne-Marie zostawiła mnie i odbiegła. Poszedłem za nią. Tak naprawdę nie chciałem tego zrobić. Na początku po prostu tak się złożyło, że szedłem w tym samym kierunku, bo akurat tak sobie wymyśliłem, a potem, ponieważ byłem na nią zły, pomyślałem, że ruszę za nią i zobaczę, gdzie naprawdę poszła, a potem rzucę jej w twarz ten nonsens o kuzynie... - Przerwał.

- Może był pan nieco zazdrosny - zasugerował Slider. Thompson wzruszył ramionami. - Czy Anne-Marie wiedziała, że pan ją śledzi?

- Nie sądzę. Odeszła tak daleko od turystycznych szlaków, że w pewnym momencie uznałem, że teraz już muszę za nią iść. Bałem się, że ją zgubię i nigdy nie znajdę drogi powrotnej. Nie miałem pojęcia, gdzie zawędrowałem.

- Czy Anne-Marie знаła drogę?

- O tak. Nie zawahała się ani przez sekundę. Przechodziła przez wiele bocznych uliczek i zaułków. Nigdy nie zapamiętałbym drogi, to było zbyt skomplikowane.

Była ostrożna, pomyślał Slider. Jakim cudem udało jej się przeoczyć tak niekompetentnego detektywa jak Thompson?

- Gdzie wreszcie dotarliście?

- Na zwykłą ulicę, z domami i sklepami po każdej stronie. Nie dla turystów. A potem Anne-Marie zniknęła za jednymi z drzwi.

- Sklepu?

- Nie widziałem. Zostałem za nią trochę w tyle, a kiedy zniknęła, nie chciałem podchodzić zbyt blisko, na wypadek gdyby nagle wyszła. Stałem w podcieniu drzwi prowadzących do jednego z domów i czekałem. Pamiętam, myślałem wtedy: A jeżeli wyjdzie tylnymi drzwiami? Wtedy wpadłbym jak śliwka w kompot.

- Nie zauważył pan pewnie nazwy ulicy? - spytał Slider bez większej nadziei.

- Owszem - rzucił Thompson gorliwie. - Drzwi, w których stałem, były naprzeciwko tabliczki z nazwą ulicy, więc wpatrywałem się w nią całe wieki. Pamiętam tę nazwę, bo wydała mi się bardzo nie na miejscu. Paradise Alley, tylko po włosku, rozumie pan.

Niech mnie, pomyślał Slider. Wreszcie ktoś coś pamięta.

- Proszę mówić dalej.

- Gdziekolwiek była Anne-Marie, spędziła tam całe wieki. Tak naprawdę nie mam pojęcia, ile czasu minęło. Może dziesięć minut. Kiedy wreszcie wyszła, miała w ręku torbę.

- Jaką torbę? Jak dużą?

- Wyglądała jak torba podróżna z tkaniny przypominającej dywan, wie pan, co mam na myśli. Miała kształt torby sportowej, z uszami, mniej więcej takiej wielkości. - Rozpo-  
stał ramiona na odległość mniej niż metra.

- Była ciężka? - spytał Slider. Thompson spojrział na niego, nie rozumiejąc. - Jak poruszała się Anne-Marie? Czy szła, jakby torba była ciężka?

- Och! - wreszcie załapał. - Nie, nie wyglądało na to. Szła całkiem normalnym krokiem. Schowałem się w podcieniu i pozwoliłem, by mnie minęła, a potem ruszyłem za nią, aż dotarliśmy do rynku. Kiedy rozpoznałem okolice, skręciłem w znajomą uliczkę. Anne-Marie jednak musiała skręcić w następną przecznicę, bo minutę później wpadliśmy na siebie. Nie wyglądała na zadowoloną ze spotkania, ale uznałem, że to z powodu kłótni. Spytałem ją, co ma w torbie. To chyba dość naturalne pytanie, prawda?

- Oczywiście. Co odpowiedziała?

- Przez chwilę myślałem, że zignoruje pytanie albo powie mi, żebym pilnował własnego nosa. Ale ona roześmiała się tylko dziwnie i powiedziała, że oliwę z oliwek.

- Oliwę z oliwek? - spytał osłupiały Slider. Małe kółka w jego mózgu kręciły się jak szalone, ale nie potrafił znaleźć w tym wszystkim sensu.

- Oliwę z oliwek. Dwie puszki, tak powiedziała. Wiedziałem, że ma świra na punkcie gotowania. Powiedziała, że to specjalna oliwa, której nie można kupić w Anglii, i że jej kuzyn Mario zdobył ją dla niej. - Thompson wzruszył ramionami.

- Powiedział pan, że się roześmiała - przypomniał Slider.

- Czy wyglądała na szczęśliwą? Podnieconą?

- To nie był ten rodzaj uśmiechu - rzekł Thompson ze zwątpieniem. - Bardziej już jakby śmiała się w duchu z mojej naiwności czy coś w tym stylu. W każdym razie na pewno chciała się mnie pozbyć, bo kiedy powiedziałem, że wybieram się na lunch, i spytałem, czy nie wybrałaby

się ze mną, odparła, że wraca do hotelu, i czym prędzej uciekła.

- Kiedy zobaczył ją pan następnym razem?

- W pokoju hotelowym, kiedy wróciłem po skrzypce na próbę, którą mieliśmy tego wieczora. Była w środku, kiedy wszedłem.

- Dostrzegł pan gdzieś torbę?

- Tak, stała przy łóżku. Spytałem, czy kuzyn jej ją podarował, bo była to naprawdę ładna torba, dość kosztowny prezent. Nie odpowiedziała od razu. Wyglądała, jakby coś kręciła, zastanawiała się, co powiedzieć. Potem wreszcie odparła, że tylko pożyczył i ma ją mu oddać dzisiaj wieczorem w sali koncertowej. Pociągnąłbym rozmowę dalej, ale Anne-Marie zerwała się na równe nogi, oświadczyła, że nie będzie czekać na autobus służbowy, chce zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i zamierza iść na piechotę. Potem wyszła. Chyba chciała się mnie pozbyć, na wypadek gdybym zaczął zadawać zbyt wiele pytań.

- Zabrała torbę ze sobą?

- Tak. I swoje skrzypce.

- Czyli nigdy nie zajrzał pan do środka.

- Nie. Trzymała ją na próbie pod krzesłem, ale potem musiała przekazać kuzynowi, bo nie miała jej ze sobą w drodze powrotnej. Myślę jednak, że wiem, co w niej miała, i nie była to oliwa z oliwek. - Spojrzał wyczekująco na Slidera.

- Nie oliwa z oliwek? - spytał detektyw.

- Nie. Jestem pewien, że były to skrzypce, w dodatku bardzo cenne.

Slider podskoczył w środku pod sufit, chociaż na zewnątrz okazał zaledwie umiarkowane zainteresowanie.

- Dlaczego tak pan sądzi?

- Dlatego że na próbie i na koncercie siedziałem za nią i skrzypce, na których grała na koncercie, nie były tą samą parą, na których grała na próbie.

- Jest pan pewien?

- Oczywiście. Znam jej normalne skrzypce. Lakier był na nich bardzo ciemny, odłupany tuż obok podbródka, co wyglądało jak blady przecinek na tle reszty drewna. Na koncercie jednak miała znacznie jaśniejsze skrzypce, a kiedy oparła je o kolano, dostrzegłem dość niezwykły wzór żyłkowania drewna. Przede wszystkim jednak brzmiały zupełnie inaczej, powiedziałbym dużo, dużo lepiej. Jak bardzo cenne skrzypce. Strad, amati lub coś w tym stylu. Warte małą fortunę.

- Nie przyjrzał się pan im bliżej?

- Nie, ale powiem panu, że podczas przerwy Anne-Marie nie odstępowała ich ani na krok. Trzymała je cały czas przy sobie. Włożyła je do futerału i stała z nim potem nawet wtedy, kiedy piła kawę. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby się tak zachowywała. Nikt nigdy się tak nie zachowywał.

- Zatem przypuszcza pan, że Anne-Marie dostała od swojego kuzyna Maria cenne skrzypce, które miała przeszmuglować do Anglii, zamieniła je więc na własne i te przekazała mu z powrotem w torbie podróżnej gdzieś pomiędzy próbą a koncertem?

- Tak właśnie sędzę. Tej nocy, po powrocie do hotelu, kiedy Anne-Marie poszła do łazienki, próbowałem zajrzeć do środka, ale futerał był zamknięty na kłódkę, a przecież nie mogłem się włamać. To kolejna rzecz, która mnie przekonała do mojej teorii. Anne-Marie nigdy nie zamykała futerału na kłódkę.

- Ale przecież ktoś powinien się zorientować, że nie grała na swoim zwykłym instrumencie - powiedział powoli Slider.

- Oczywiście, że się zorientowali - odparł zaskoczony Thompson. - Ja się zorientowałem.

- Co z jej partnerką od pulpitu? Przecież powinna zauważyć to od razu.

Thompson wyglądał naraz zakłopotanego. Zmarszczył brwi, jakby niezadowolony, że jego teoria przestała mieć sens. Potem nagle wypogodził się i spojrzał na Slidera podekscytowany, niemal z dziecięcą radością.

- Teraz pamiętam! Joanny nie było na koncercie! Tak, właśnie tak. Po próbie wybrały się gdzieś na kolację i Joannę dopadła zemsta Montezumy. Nie mogła wziąć udziału w koncercie, takie miała rozwolnienie. Normalnie po prostu wszyscy przesunęlibyśmy się o jedno miejsce, ale mieliśmy już niesparowanego muzyka, bo Pete Norris złamał w Neapolu palec. Dlatego na koncercie po prostu posadzili Hilary Tonks obok Anne-Marie. Oczywiście Hilary nie miała pojęcia, na jakich skrzypcach gra zazwyczaj Anne-Marie.

Jednak Anne-Marie nie mogła przecież przewidzieć, że Joanna będzie tego wieczora wykluczona z gry. Chyba że dosypała jej czegoś do jedzenia. Czy to możliwe? Slider niemal słyszał głos Athertona, mówiącego: „Co ty na to, drogi Watsonie?”.

- Jak trudno jest przemycić skrzypce? Co się z nimi dzieje w samolocie?

- Zazwyczaj instrumenty są ładowane do koszyków, które idą do luku bagażowego, ale skrzypkowie zabierają swoje skrzypce na pokład, dla bezpieczeństwa. Wypełniamy deklaracje celne, ale nikt nigdy ich nie sprawdza, chyba tylko



po to, aby zobaczyć, czy zgadza się liczba. Wie pan, jeżeli wyjeżdża się z jednym instrumentem, a wraca z dwoma, ktoś może to zauważyć. Nic poza tym.

- Czy Anne-Marie zabrała swoje skrzypce na pokład w drogę powrotną do domu?

- Nie pamiętam. Sądzę, że tak, ale nie jestem pewien.

- Nie jest pan pewien.

Spojrzał na niego przepaszająco.

- Skrzypce to dla nas jak dodatkowe ramię. Skrzypek niosący futerał z instrumentem to tak naturalny widok, że nie zwracamy na to uwagi. Nie mogę być pewien, ale sądzę, że miała ze sobą skrzypce.

Slider pokiwał głową zamyślony.

- Czy rozmawiał pan z Anne-Marie na temat swoich podejrzeń?

- Nie. Pomyślałem, że to nie moja sprawa. Poza tym, jeżeli udałoby się jej przemycić strada do Anglii, tym lepiej dla niej. Każdy z nas chciałby mieć takie skrzypce. - Zmarszczył brwi. - Chociaż nigdy nie widziałem, żeby używała ich w Anglii. Jeżeli je przemyciła, musiała je sprzedać.

- Zatem to nie te skrzypce były powodem waszej kłótni?

- Kłótni? Och... - Nagle, ku zaskoczeniu Slidera, Thompson się zarumienił. - Nie... to... ale to nie była moja wina. Od początku wiadomo było, że nasz romans musi się skończyć po tournée, Anne-Marie zdawała sobie z tego sprawę. Większość ludzi to wiedziała. Na początku wszystko było w porządku, zachowywała się jak zwykle. Potem jednak zmieniła się, zaczęła za mną łązić, usiłowała wyciągać mnie na drinki. Próbowwała nawet zmienić miejsce w orkiestrze, tak żeby siedzieć obok mnie. Powiedziałem jej, że jestem szczęśliwy ze swoją dziewczyną i żeby przestała mnie wkurzać. Wtedy

zaczęła być nieprzyjemna. Zagroziła, że powie o wszystkim mojej dziewczynie. Twierdziła, że ją oszukałem, że obiecałem jej małżeństwo i tym podobne.

- A obiecał pan?

- Nie! - Jego oburzenie wyglądało na całkowicie szczerze. - Nie wiem, skąd wzięła ten pomysł. Chyba zaczęło jej odbijać. Nigdy nie powiedziałem ani słowa na ten temat.

Musi mi pan uwierzyć! - Slider nie okazał żadnych uczuć.

- Helen mi wierzy - dodał Thompson żałośnie.

- Rozповідаł pan podobno, że Anne-Marie była osobą, która dzwoni z anonimowymi informacjami do żon muzyków z orkiestry?

Thompson poczerwieniał jak burak.

-Ja... cóż... chyba tak. Byłem na nią zły i chciałem się odegrać za to, że próbowała mi skomplikować życie. Pomyślałem, że to ją powstrzyma.

- I tak się stało?

- Coś niewątpliwie ją powstrzymało. Tak czy siak została mnie w spokoju.

- Czy miała przez to kłopoty w orkiestrze?

Thompson wzruszył ramionami.

-Jeżeli chodzi panu o tę sprawę z Johnem Brownem, to nigdy jej nie lubił. On w ogóle nie lubi kobiet w orkiestrach.

- Proszę mi opowiedzieć o dniu, w którym zginęła panna Austen. Z pewnością widział ją pan w centrum telewizyjnym.

- Oczywiście. Nie sprawiała mi kłopotów od świąt Bożego Narodzenia, lecz mimo to starałem się jej unikać, tak na wszelki wypadek.

-Jaka się panu wydała tamtego dnia?

-Wydala?

- Czy była szczęśliwa, smutna, przestraszona, zmartwiona?

- Nie wiem, naprawdę. Była cicha, nie rozmawiała zbyt wiele z ludźmi, ale to u niej normalne. Nie zauważyłem żadnej szczególnej zmiany w jej zachowaniu.

- Umówił się pan z ludźmi na drinka po nagraniu, tak?

- Owszem, z Philem Redcliffem, ale podczas drugiej sesji powiedział mi, że zaprosił też Joannę i Anne-Marie. Chyba było mu żal Anne-Marie. Nie dyskutowałem z nim na ten temat, ale po skończeniu nagrania poszedłem do Joanny i powiedziałem, że jeśli Anne-Marie wybiera się z grupą na drinka, ja nie pójdę. Wzruszyła ramionami i powiedziała, że to moja sprawa. Wie pan, jaka ona jest. Nigdy nie przejmuje się uczuciami innych osób. Oczywiście nie poszedłem z nimi.

- Gdzie pan się udał zamiast tego?

- Do domu. To znaczy najpierw wstąpiłem na drinka...

- Przerwał nerwowo. - Mam ulubiony pub blisko domu...

- Sugeruję, żeby powiedział mi pan prawdę - rzekł Slider uprzejmie. - Wiemy, że tamtego wieczora nie poszedł pan do Steptoos, tylko do szpitala Świętego Tomasza. Wiemy, że tamtej nocy ktoś był w pana samochodzie i nie była to panna Morris. - Thompson bladł z każdym słowem.

- Była to kobieta z długimi, ciemnymi włosami - dodał Slider niemal łagodnie. - Tej samej długości i koloru co włosy Anne-Marie Austen. Widzi pan, znaleźliśmy kilka włosów na oparciu siedzenia.

- O Chryste - szepnął Thompson. Przez moment Slider miał wrażenie, że mężczyzna zemdleje albo zwymiotuje.

- Wiem, co pan sobie myśli. Wiem, co sądzi sierżant Ather-ton, ale przysięgam...

- Proszę powiedzieć, co pan robił po opuszczeniu centrum telewizyjnego.

Thompson kilka razy przełknął głośno ślinę.

- Pojechałem do szpitala.

- Tak, to już wiemy. Po co?

- Chciałem się z kimś spotkać. Z jedną z pielęgniarek. Nie Helen. Ona... ostatnio spotykam się z nią od czasu do czasu. Helen nic o tym nie wie. Nie zrozumiałyby.

Pewnie, że nie, pomyślał Slider.

- W porządku. Proszę mi podać jej nazwisko i adres. Sprawdzimy to. Przypuszczam, że potwierdzi, iż spędziła tę noc z panem. Do której godziny?

- Po północy - odparł Thompson. Slider zastanowił się, dlaczego akurat wybrał tę godzinę. - Poszliśmy do mnie, wypiliśmy po drinku, a potem... odwiozłem ją do domu wcześniej. Nie wiem dokładnie, o której, ale na pewno po północy.

- Nazwisko i adres tej kobiety?

Thompson oblizał wargi.

- Nie mogę. Nie mogę panu powiedzieć. Jest mężatką. Jej mąż... powiedziała mu, że musi pracować w nadgodzinach, bo w szpitalu brakuje personelu. Jeżeliby się dowiedział...

- Panie Thompson, nie rozumie pan, że ta osoba, kimkolwiek jest, stanowi pana jedyne alibi? Obiecuję, że zachowamy pełną dyskrecję, ale musi mi pan podać jej nazwisko.

- Thompson nie wyglądał na uszczęśliwionego. - Zdaje pan sobie sprawę, że w razie odmowy będziemy zmuszeni zakwestionować pana historię? Pewne dowody rzeczowe sugerują...

- O Chryste, pan nadal uważa, że to ja ją zabiłem?! Przyśięgam, nie zrobiłem tego! Po co? Nic dla mnie nie znaczy-

ła! - Slider zachował milczenie. Wreszcie Thompson spuścił wzrok i skoncentrował się na przepychaniu szklanki z piwem po stole. - Niech pan posłucha - powiedział wreszcie. - Porozmawiam z nią, zapytam, co ona na ten temat myśli. Jeżeli zgodzi się na rozmowę, zadzwonię do pana albo poproszę, żeby sama to zrobiła. - Spojrzał na niego zdesperowany. - To wszystko, co mogę zrobić. Nie mogę tak po prostu jej wydać tylko po to, żeby ocalić swój tyłek.

To ci dopiero, pomyślał Slider. Rycerski odruch u tego dupka? Oczywiście mogło mu chodzić wyłącznie o kupienie czasu, żeby mógł uzgodnić wersje zeznań z tą pielęgniarką, ale Slider nie przypuszczał, że to było celem Thompsona. Bez względu na to, co sądził Atherton, nie wierzył, że Thompson był mordercą.

Wyszli z pubu razem.

- Ma pan jakiś środek transportu czy gdzieś pana podwieźć? - spytał.

- Mój samochód stoi tam. - Thompson machnął ramieniem w kierunku alfy spyder zaparkowanej na rogu. - Jakim cudem udało się wam znaleźć włosy na siedzeniu? A może to był tylko trik? - spytał podejrzliwie.

Slider potrząsnął głową.

-Tego dnia, kiedy przyjechał pan na komisariat, aby złożyć zeznanie, odprowadziliśmy go na tyły budynku i zbadaliśmy.

-I wolno wam było to zrobić? - spytał nieco bardziej ożywiony Thompson.

- Oczywiście - odparł Slider łagodnie. Thompson zamilkł. Odwrócił się i powłókł żałośnie do samochodu. Slider obserwował go przez jakiś czas, ale jego uwagę przyciągało coś innego. Szósty zmysł nakazywał mu zbadać uliczkę po drugiej

stronie pubu. Ktoś czaił się tam w cieniu. Slider przeszedł obok powoli, robiąc małe przedstawienie z poprawianiem paska prochowca, dzięki czemu zdołał rzucić spojrzenie w głąb uliczki ponad uniesionym ramieniem.

Nie zobaczył niczego, ale nadal był zaniepokojony. Zwierzęcy instynkt, który rozwija w sobie każdy policjant, sygnalizował niebezpieczeństwo. Ktoś go obserwował. Do jego świadomości docierało zbyt wiele impulsów. Wrócił do samochodu jeszcze bardziej przekonany, że Atherton grubo się myli.

- Znalazłeś go? - spytał O'Flaherty, unosząc głowę.

- Tak. Zadzwońeś do Irene?

- Tak. Powiedziałem, że wrócisz do domu późno.

- I co ona na to?

-Nic. - Spojrzał na przyjaciela ze smutkiem. - Proszę cię, bądź ostrożny, Billy, to wszystko. Proszę cię o to, bo to dla ciebie nietypowe.

Slider usiłował się uśmiechnąć, co, ku jego zaskoczeniu, przyszło mu z ogromnym wysiłkiem.

-Ostatnimi czasy ty i Atherton bardzo troszczycie się o moje dobro. Nie mogę porozmawiać z żadnym z was, żeby nie usłyszeć pięciominutowego wykładu i kilku dobrych rad.

- To dlatego, że cię kochamy - odparł O'Flaherty z doskonale wystudiowaną szczerością.

- To dlatego, że nie macie nic lepszego do roboty.

- Oczywiście możesz mieć rację. Jaki był ten cały Thompson?

- Śmiertelnie przerażony. Wiesz, Pat, było coś jeszcze. Kiedy wyszedłem z pubu, miałem to stare, dobrze znane przeczucie, że ktoś nas obserwował.

O'Flaherty zastrzygł uszami.

- Jezusiczku drogi! Wiedziałem, że coś się dzieje. Widziałeś go?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Kiedy dzisiaj przyszedłem na dyżur, koło posterunku kręcił się jakiś gość. Było w nim coś dziwnego, coś znajomego, ale nie mogłem sobie przypomnieć, co takiego.

- Co to za człowiek?

- Profesjonalny obibok. Chuchro, wyglądał jak konik albo cinkciarz. Mały drań, rozumiesz, Billy. I wiesz co? Może nie mam pamięci do nazwisk, ale nigdy nie zapominam twarzy. Widziałem go już wcześniej w podobnych okolicznościach, ale za Chiny nie mogę sobie skojarzyć, co i jak.

- Rozumiem. W każdym razie będę ostrożny. Postaraj się przypomnieć sobie, gdzie go widziałeś, a jeśli zobaczysz go jeszcze raz, złap drania.

- Dobra. Może zresztą nie ma nic wspólnego ze sprawą, ale...

- Właśnie. Ale - zgodził się Slider. Poszedł do gabinetu, żeby napisać raport. Kiedy skończył, siedział przez chwilę, pocierając oczy kostkami dłoni w taki sposób, że mógłby przyprawić każdego okulistę o zawał serca. Bolała go szyja, czuł się zmęczony i przygnębiony. Zastanawiał się, czy to początki grypy, ale w głębi duszy wiedział, że to nie to. Po prostu jego umysł chciał uciec przed sprawami, którym Slider nie chciał stawić czoła.

Jak na przykład powrót do domu. Slider usiłował poważnie rozważyć tę możliwość, ale zamiast tego przyłapał się na przypominaniu sobie widoku nagiej Joanny siedzącej na kolanach w świetle płomieni z kominka. Jakże bardzo chciał uwiecznić jej widok z tamtej chwili. Wyobraził sobie,

że jest sławnym artystą, ona zaś jego równie znaną modelką i kochanką. Wyobraził sobie poddasze w jakimś domu w Paryżu, białe ściany skapane w słońcu, Joannę leniuchującą nago na purpurowym aksamitnym dywanie. Potem zmienił poddasze na mieszkanie w domku wypoczynkowym na Krecie. Dwutygodniowe wakacje z Joanną po zakończeniu sprawy - dla odzyskania zdrowia, bo z przepracowania przeszedł załamanie nerwowe. Co Freddie Cameron powiedziałby o człowieku, który aż tak bardzo chce uciec od rzeczywistości?

Slider uśmiechnął się do siebie i sięgnął po telefon. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, zrobić to, co do ciebie należy, spełnić swoje obowiązki bez względu na koszty.

Wykręcił numer. Joanna odebrała po pierwszym dzwonku.

- Czuwałaś nad telefonem?

- Był tuż obok mnie. Wszystko w porządku? Chcesz przyjechać?

-Jest już późno. To nie fair w stosunku do ciebie.

- Daj spokój. Uważasz, że z kim rozmawiasz?

- Potrzebuję cię - powiedział z trudem.

-Ja też cię potrzebuję. Zamierzasz nadal marnować czas?

Pojechał okrężną drogą, często zerkając w lusterko wsteczne, a kiedy dotarł do Turnham Green, zaparkował za rogiem, nie naprzeciwko mieszkania Joanny. Resztę odległości pokonał pieszo, mając oczy i uszy otwarte. Przeszedł obok jej drzwi i zatrzymał się za lampą uliczną. Rozejrzał się uważnie. Nic. Wrócił do domu Joanny i zapukał cicho. Wpuściła go od razu i nie powiedziała ani słowa, dopóki nie zamknął drzwi.

- Co to było? Co ty robiłeś?



- Chciałem się upewnić, że nikt mnie nie śledzi.
- Tak myślałam. Jesteś w niebezpieczeństwie? A może Ireneę wynajęła detektywa?

Nie odpowiedział. Wziął ją w ramiona, ukrył twarz w jej włosach, a potem w zgięciu szyi, upajając się dotykiem, zapachem i ciepłem.

- Ostatniego wieczora we Florencji - rzucił stłumionym głosem. - Nie powiedziałaś mi o kolacji z Anne-Marie.

- Nie było w tym nic niezwykłego. Często jadałyśmy razem.

- Opowiedz mi o tym. Gdzie poszłyście?  
Odsunęła się od niego z zastanowieniem.

- Właściwie to pamiętam, że zjadłam już wcześniej, przed próbą, ale Anne-Marie powiedziała, że jest głodna. Chciała, żebym z nią poszła dla towarzystwa. Nie miałam nic przeciw temu. Trzeba było jakoś zabić nudę. Poszłyśmy do pobliskiej restauracji...

- Kto ją wybrał, ty czy ona?

- Ona. Ja nic nie zamówiłam, po prostu siedziałam tam z nią, kiedy jadła.

- Zupełnie nic nie wzięłaś? Nawet do picia?

- Anne-Marie usiłowała mnie przekonać do zamówienia lampki wina, dla towarzystwa, ale nie lubię pić przed koncertem. Wzięłam kawę.

- Dostałaś ją w filiżance czy w dzbanku?

- To było zwykłe espresso. - Spojrzała na niego zdziwiona. - Dlaczego pytasz?

- Kiedy zaczęłaś czuć się chora?

- Chora? Ach! To była tylko zemsta Montezumy, dość silny napad, muszę przyznać. Nie mogłam wziąć udziału w koncercie. Całą noc spędziłam na kibelku.

- W holu koncertowym?

-Zaczęłam się czuć źle, kiedy wracałyśmy. Prawdziwy atak nastąpił, kiedy się przebierałam. Chyba zjadłam coś ciężkostrawnego na kolację. Byłam głupia i wzięłam świeże figi. - Slider milczał. - Co ty sugerujesz? Sądzisz, że...? O nie! Daj spokój, to śmieszne.

- Doprawdy? Uważam, że zostałam rozmyślnie usunięta z gry tego wieczora.

- Ale przecież Anne-Marie nie mogła niepostrzeżenie dosypać mi czegoś do kawy.

- To ona wybrała restaurację. Tylko tego potrzebowała.

- Mój Boże! - Joanna wyrwała się z jego objęć i odeszła kilka kroków, jakby chciała się zdystansować od tego nieprzyjemnego pomysłu. - Po co? Dlaczego chciała, żebym zniknęła z horyzontu?

- Może dlatego, że tamtej nocy zamieniła skrzypce. Na koncercie użyła strada, a ty byłeś jedyną osobą, która natychmiast by to zauważyła. - Spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Czy zauważyłaś w którymś momencie, że Anne-Marie miała torbę podróżną?

- Tylko tę, w której przyniosła rzeczy na zmianę. Na próbie trzymała ją pod krzesłem.

- Co zrobiła po próbie?

- Nie pamiętam. Przypuszczam, że zabrała ją do przebieralni.

- Postaraj się sobie przypomnieć. To ważne.

- Niech pomyślę. Co myśmy wtedy robiły? Chwileczkę, teraz sobie przypominam. Musieliśmy zostawić skrzypce w schowku w poczekalni, bo nasze przebieralnie nie zamykały się na klucz. Anne-Marie poprosiła mnie, żebym wzięła jej skrzypce, a sama poszła z torbą do przebieralni. Potem

spotkałyśmy się przy drzwiach prowadzących na zaplecze sceny.

- Czyli tak naprawdę nie jesteś pewna, że w torbie były ubrania? Czy miała ją ze sobą później?

Joanna wzruszyła ramionami.

- Nie zwracałam uwagi. Kiedy Montezuma mnie dopadł, przestałam myśleć o czymkolwiek innym.

- Zatem kiedy ty zajmowałaś się jej skrzypcami, mogła ją komuś przekazać albo zostawić, żeby ktoś ją później odebrał?

Spojrzała uważnie na jego zamyśloną twarz.

- Naprawdę sądzisz, że była zamieszana w przemyt? Że zadawała się z jakąś mafią?

- Nie wiem, ale to niewykluczone.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Nie Anne-Marie.

- To tylko jedna z teorii. Nie mamy jeszcze żadnych dowodów. - Joanna nadal wyglądała na nieszczęśliwą i lekko przestraszona, więc wziął ją w ramiona i spytał po prostu:

- Mogę się z tobą kochać?

W sypialni Joanna rozebrała się i położyła w łóżku, czekając, gdy Slider mocował się ze swoim ubraniem. Wyglądała blado i beznamiętnie w bezdusznym świetle latarni. Kiedy był gotowy i wyciągnęła do niego ręce, zdało się mu, że unoszą się niemal bezcieleśnie z ogromnej głębi, dwa białe ramiona wynurzające się z czarnego oceanu w niemym błaganiu, niczym tonącej Hełle.

Jego chłodna skóra rozgrzewała się w miejscach, gdzie dotknęła jej ciała. Chwycił twarz Joanny w dłonie i pocałował. Tym razem, tym jedynym razem, to on był silny, to on był obrońcą, tarczą i opoką, nie zaś uległym i pokornym suplikantem. Teraz to Joanna potrzebowała pocieszenia tak

bardzo, jak on potrzebował jej. Zrobili to szybko, choć niespiesznie, w milczeniu, z wielkiej potrzeby i ogromnej czułości, nie z uniesienia. Po wszystkim nakryła kochanka kołdrą i obróciła na bok, układając jego głowę na swej pierś. Pocałowała go raz i otoczyła ramionami. Czując wszechobecne, rozkoszne ciepło jej ciała, nieświadomie odpłynął w głęboki, cichy sen.

RS

## Rozdział 12

### NA KRAWĘDZI WINY

Głośny dzwonek telefonu obudził go tak gwałtownie, że serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. W gardle czuł kwaśną kulę paniki. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest, a potem niemal natychmiast panika zmieniła się w strach, że znowu przespał całą noc, nie wrócił do domu i będzie miał kłopoty.

Zimne powietrze omyło nieprzyjemnie jego ciało, kiedy Joanna podniosła się i chwyciła słuchawkę.

- Halo? Tak, jest. Chwileczkę.

Slider również usiadł i spojrzał na złowrogie zielone oko budzika. Wpół do trzeciej. W pokoju było diabelnie zimno. Musiała się zmienić pogoda. Joanna podała mu słuchawkę. Slider schował się z nią pod kołdrę.

- Czy ty nigdy nie zamierzasz wrócić do domu? - Oczywiście dzwonił O'Flaherty.

- Co się dzieje, Pat?

- Mamy kłopoty. Najlepiej, jeżeli przyjedziesz tu jak najszybciej. Opowiem ci wszystkie szczegóły na miejscu. Twój młody przyjaciel Thompson kopnął w kalendarz.

- Nie żyje? - Tak szybko? Slider poczuł narastającą dezorientację. Jakim cudem mógł zginąć tak wcześnie?

- Zimny trup. W związku z tym mógłby pan zebrać dupę w troki i przyjechać tu do cholery?

Znajoma alfa spyder stała przed zaniedbanym domem na równie ponuro wyglądającej ulicy, mniej więcej trzysta metrów od miejsca zamieszkania Thompsona. Jakiś hulaka powracający z przyjęcia uznał, że z mijanym wozem jest coś nie tak, i postanowił bliżej się temu przyjrzeć. Pomimo przerażenia zwyciężył w nim duch uczciwego obywatela i zanim zadeklarował, że nie chce mieć z tą sprawą nic wspólnego i oddalił się w bliżej niesprecyzowanym kierunku, zadzwonił na miejscowy posterunek policji.

Slider wpatrywał się w coś, co całkiem niedawno było jeszcze Simonem Thompsonem. Mężczyzna leżał na przednich siedzeniach wozu z podwiniętymi nogami, jednym ramieniem zwisającym bezwładnie na podłogę i gardłem poderżniętym tak głęboko, że głowa trzymała się reszty ciała tylko na kręgosłupie. Tapicerka i dywaniki były przesiąknięte krwią, podobnie jak lewy rękaw i górna część ubrania Thompsona oraz jego włosy i uszy. Oczy nieżyjącego wpatrywały się ślepo w przestrzeń, usta miał nieco uchylone, a jego wybielone zęby pokrywała brązowa skorupa.

Na podłodze, pod zwisającą dłonią, leżał skalpel, zapewne narzędzie mordu, chociaż ktoś chciał, żeby wyglądało to na samobójstwo. Slider spojrzął jeszcze raz na przesiąkniętą krwią gęste loki Thompsona i odwrócił się, niemal chory z gniewu i żalu.

Nie tracili czasu. Musieli dorwać Thompsona, zanim Slider zaczął się poważnie martwić. Powinien być ostrożniej-

szy. Powinien się bardziej martwić, zważywszy na to, kim, jak przypuszczał, byli. Mógł zapobiec tej tragedii.

Towarzyszący mu policjant z miejscowej dochodzeniówki wręczył mu małą kartkę papieru. Był bardzo młody, chyba nowy narybek. Wyglądał na wstrząśniętego, wręcz chorego. Slider zakonotował z zawodowym zainteresowaniem, że Hindusi również potrafią przybrać na twarzy bladoszary kolor z odcieniem zieleni.

- W jego prawej dłoni znaleźliśmy to, sir. Pomyśleliśmy więc o skontaktowaniu się z panem.

Slider rozłożył kartkę, pomietą raczej niż złożoną. Na niej, tragicznie nierównym charakterem pisma, nader wyrażnie świadczącym o przerażeniu autora, zostało nabazgrane:

*Powiedzcie inspektorowi Sliderowi. Zrobiłem to. Nie mogę tego już dłużej znieść.*

Zielony na twarzy posterunkowy przyglądał mu się ciekawie. Na jego twarz powoli wracał normalny kolor.

- Wie pan, co to oznacza, sir? Znał go pan?

- Tak - odparł Slider. - Wiem o nim wszystko.

Slider w ogóle nie wrócił do domu. O siódmej rano zjadł ogromne śniadanie w kantine na posterunku w Highbury - smażone jajka na boczku, dwie kielbaski, pomidory, tosty i wypił kilka filiżanek herbaty. Zdziwił go własny apetyt, ale potem przypomniał sobie, że nic nie jadł poprzedniego wieczora. Śniadanie rozgrzało go i sprawiło, że krew zaczęła mu żywiej krążyć w żyłach, a umysł pracować lepiej. Wszystkie zdarzenia sprzed posiłku zaczęły nabierać nierealnej mglistości. Niemal zapomniał, że otwarte oczy Simona Thompsona były wypełnione krwią, a rzęsy sztywne od niej, jakby pomalowane

dziwacznym punkowym tuszem. Przynajmniej przestał się tym przejmować.

Freddie Cameron, mrużąc coś pod nosem, jak to zwykle on, przeprowadził autopsję.

- Co mam ci powiedzieć? - spytał Slidera przez telefon.

- Przyczyną śmierci było uduszenie. Tchawica jest kompletnie przecięta. Wysłałem narządy wewnętrzne do analizy, ale nie ma żadnych śladów wskazujących na otrucie. Oczywiście pewności mieć nie mogę. Samobójcy są znani z zabezpieczania się ze wszystkich stron.

- To było samobójstwo?

Camreon gwizdnął w odpowiedzi.

- To ty mi powiedz. Ty jesteś detektywem. Rana mogła zostać zadana własnoręcznie przez samobójcę-mańkuta lub przez stojącego za ofiarą leworęcznego mordercę. Czy twój człowiek był leworęczny?

- Nie wiem.

- Musiałby być również niezwykle zdeterminowany. Nikt nie wie, jak trudno jest poderżnąć gardło człowiekowi, dopóki sam tego nie spróbuje. Zazwyczaj przy samobójstwach znajdujemy w pobliżu cięcia kilka powierzchownych ran. To dość niezwykle, żeby przy pierwszym podejściu poderżnąć gardło tak głęboko. Brzezi nie są w ogóle postrzępione.

- Rozumiem, że narzędzie znalezione na miejscu było tym, którym zadano śmierć?

- Nie mam powodów, aby przypuszczać inaczej.

- Zdziwiła mnie taka ilość krwi.

- Kto by pomyślał, że dorosły facet ma w sobie tyle tego, co? Powiem szczerze, to było porządne cięcie. Serce zabiło jeszcze pewnie parę razy. Poza tym alkohol powoduje rozszerzenie naczyń krwionośnych.



-Alkohol?

- Dla kurażu. Mało co sam się nie upiłem, kiedy otworzyłem żołądek. Wlał w siebie chyba dobrą ćwiartkę whisky, i to tuż przed wielkim finałem. Rozumiem, że nie chcesz, żeby to było samobójstwo?

- Doprawdy? Nie, w rzeczywistości wolałbym, żeby było, ale wątpię w to.

-Ja też.

-Jakieś komentarze, Freddie? Nie była to wypowiedź mojego zazwyczaj ostrożnego w dobieraniu słów patologa - rzucił Slider ze słabym uśmiechem.

- Po pierwsze, nie wierzę, że to było pierwsze cięcie amatora. Poza tym emalia z jednego z przednich zębów denata była odłupana. Coś takiego mogło się zdarzyć, gdyby ktoś siłą wlewał mu do ust whisky z butelki.

Slider milczał, czując nagły chłód na myśl o takim przebiegu wydarzeń.

- Pewnie po to, żeby go zamrozić - mruknął.

-Albo żeby dodać wiarygodności motywowi samobójczemu, nie wiem. Rozumiem, że znowu zaczniesz szukać swojego leworęcznego mordercy, jak prywatni detektywi Agaty Christie, co?

- Uważaj z tymi określeniami - ostrzegł Slider. - W każdym razie, sądząc ze sposobu użycia skalpela, mamy do czynienia z leworęcznym chirurgiem.

- Chirurgzy potrafią posługiwać się obiema rękoma, ty ignorancie.

- Doprawdy?

- Oczywiście. Ja też to potrafię. Na pewno o tym wiedziałeś. A tak przy okazji, czy notatka do czegoś się przydała?

-Absolutnie nie. Była notabene bardzo w stylu Agaty Christie. - Slider ucieszył się ze zmiany tematu. - Przypuszczam, że ktoś na tyle zrozpaczony, żeby popełnić samobójstwo, mógł równie dobrze mieć tak zły gust, aby pozostawić melodramatyczny list pożegnalny. Czy jednak leworęczny morderca byłby na tyle sprytny, aby zaryzykować podwójny bluff, taki jak ten? Nie przypuszczam, żebyś znalazł na ciele Thompsona jakieś siniaki? - spytał z nadzieją. - W końcu ktoś go zmusił do napisania tej notatki. Nie mógłbyś znaleźć dla mnie kilku siniaków na nadgarstku?

- Mając na gardle ostry skalpel, musiałby być niezwykle odważny, żeby nie zgodzić się na napisanie wszystkiego, co mu kazano - zauważył słusznie Cameron.

- Cóż, Thompson nie należał do bohaterów - rzekł Slider, wspominając przerażonego Thompsona kurczącego się nad swoim drinkiem. Bohaterowie umierają raz, pomyślał, tchórze zaś tysiąc razy.

Atherton pojechał z posterunkową Swilley, aby przesłuchać Helen Morris. Wrócił stamtąd smutniejszy i mądrzejszy.

- Była nieco zdenerwowana - powiedział Sliderowi, nie patrząc mu w oczy.

- Usiądź - odparł detektyw. - Wyglądasz na wykończonego.

- Ty też - zauważył Atherton i otworzył usta, aby udzielić wsparcia swojemu przełożonemu, ale zaraz zamknął je z powrotem. Opadł na krzesło i ułożył dłonie na brzegu biurka Slidera. - Twierdzi, że to Thompson napisał list. Powiedziała, że to jego charakter pisma. Był leworęczny.

Slider uniósł brwi. Atherton się skrzywił.

- Simon Thompson był oburęczny. Podobno jako dziecko był leworęczny, ale gra na skrzypcach zmusiła go do praworęczności. Nie można grać na skrzypcach odwrotnie, bo struny są ułożone do góry nogami i musiałby przesuwac smyczkiem w górę, kiedy wszyscy inni ciągnęliby go w dół.

- Czy to takie złe?

- Nieporządne. W każdym razie Morris powiedziała, że Thompson potrafił pisać obiema rękoma, ale zazwyczaj używał prawej, chociaż inne czynności mógł wykonywać jedną bądź drugą.

- Czy w tej cholernej sprawie nic nie będzie proste?

- Jak dla mnie sprawa jest wystarczająco prosta, szefie. W stresie wywołanym przez planowane samobójstwo wrócił do przyzwyczajenia z dzieciństwa, czyli naturalnej leworęczności.

- A co z odłamanym zębem?

- Może trzęsła mu się ręka? Mógł sam ukruszyć sobie ząb.

Slider potrząsnął głową.

- Chciałbym podzielać twój punkt widzenia, ale mam wyraźną wizję, że ten tchórz został zastraszone przez mordercę z ostrym skalpelem. Był tak przestraszony, że napisał list, ale w ostatniej desperackiej próbie powiedzenia światu, że prawda wygląda zupełnie inaczej, napisał go lewą ręką, co, jak twierdzi Helen Morris, jest rzeczą niezwykłą.

- Ale poderżnął sobie gardło lewą ręką.

- Morderca, który, jak wiemy, jest bardzo sprytny, zauważył, że jego ofiara jest leworęczna, i poderżnął mu gardło tak, żeby wszystko się zgadzało.

Atherton podniósł ręce w geście poddania i zaraz je opuścił.

-Jeżeli morderca był taki sprytny, dlaczego nie zrobił tego tak, żeby bardziej przypominało samobójstwo?

- Może nie zdał sobie sprawę z własnej siły. Najprawdopodobniej jednak Thompson nie zamierzał siedzieć spokojnie i poddać się artystycznej obróbce. Jedno krótkie mocne pociągnięcie i było po wszystkim.

- No, nie wiem. - Atherton westchnął. Potarł wierzch lewej dłoni palcami prawej. - Wszystko to wydaje mi się naciągane. Jeżeli Thompson zabił Anne-Marie Austin, a potem popełnił samobójstwo, miałyby to sens, a przy okazji rozwiązało cały problem.

- A my moglibyśmy wrócić do domu na obiad - do-kończył za niego Slider. Wiedział, że nawet Atherton miała momenty, kiedy chce uciec daleko od rzeczywistości.

- Mimo wszystko życie nigdy nie jest takie proste.

- Mimo wszystko nie mamy żadnego dowodu, że to nie było samobójstwo - przejął pałeczkę Atherton. - Tylko twoją artystyczną wrażliwość.

Zapadła cisza.

- Poszcęściło ci się w Psie i Mosznie? - spytał wreszcie Slider.

- Nie, ale jeszcze nie skończyłem pracy. Jestem przekonany, że Hilda coś wie. Zamierzam wypytać ją dziś w nocy.

- Hilda zawsze wygląda, jakby coś ukrywała - odparł Slider. - Nie daj się nabrać.

- Tak czy inaczej musimy mieć coś do zaprezentowania na jutrzejszym zebraniu. Naczelnny będzie chciał wiedzieć, co robimy całymi dniami.

- Zarzynamy się.

- Tak, ale rznięcie to niezupełnie to samo co zarznięcie.

- Co takiego?

-Nieważne. Perły przed wieprze - rzekł Atherton wy-  
niośle.

- Odwrotnie niż przy świniobiciu - powiedział Slider  
z lekkim uśmiechem.

Mężczyzna był młody, spokojny, schludnie ubrany i roz-  
sądny - wymarzony świadek każdego policjanta.

- Zauważyłem samochód, ponieważ był to roadster  
MGB. Kocham te wozy. Miałem kiedyś taki, ale teraz kiedy  
pojawiły się dzieci, stał się niepraktyczny.

Żonaty, dzieciaty, zanotował Atherton. Coraz lepiej.

- Czy zauważył pan może numery rejestracyjne?

- Niestety nie. Pamiętam tylko, że była tam litera Y.

- Kolor?

-Jasnoczerwony. Zdaje się, że profesjonalnie nazywają  
to cynobrem.

Opowiedział Athertonowi swoją historię. Siedział w sa-  
mochodzie na parkingu przed Psem i Myśliwym, czekając  
na żonę, która pracowała na nocną zmianę w mleczarni  
United Dairies na Scrubs Lane. Oboje pracowali, kiedy tyl-  
ko mogli, żeby zebrać na zaliczkę za dom. Teraz, kiedy  
pojawiło się dziecko, chcieli mieć własny ką.

Kto zajmował się dzieckiem? Mama Denise. Mieszkała  
w bloku czynszowym na North Pole Road. Dlatego właś-  
nie miał odebrać żonę przy Psie i Myśliwym. Kolega De-  
nise z mleczarni podrzucił ją na parking, Paul zabierał ją  
stamtąd i razem jechali po dziecko, a potem do domu na  
Latimer Road.

Tego wieczora przyjechał nieco wcześniej, więc posta-  
nowił zaczekać na Denise w samochodzie. Obserwował  
przejeżdżające obok wozy, kiedy nagle pojawił się roadster.

Siedząca w środku dziewczyna prowadziła go bardzo szybko i agresywnie. Wjechała na parking z piskiem opon, zahamowała gwałtownie i płynnie zaparkowała tyłem naprzeciwko niego. Kiedy wysiadła z samochodu, pomyślał, że to śliczna dziewczyna, która gra twardzielkę. Ubrana była w ciepłą kurtkę, dżinsy i krótkie kozaki, co jeszcze podkreślało jej urodę.

Która była godzina? Mniej więcej za dwadzieścia dziesiąta. Nie spojrzął na zegarek, ale Denise przyjeżdżała zazwyczaj za kwadrans dziesiąta, a pojawiła się nie później niż pięć minut po przybyciu pięknej nieznajomej.

W każdym razie ta dziewczyna wysiadła z samochodu, poszła w kierunku pubu i nagle wyrósł przed nią mężczyzna. Nie, nie widział, skąd nadszedł. Przyglądał się samochodowi. Po prostu nagle wynurzył się z cienia pomiędzy dwoma zaparkowanymi samochodami. Dziewczyna zatrzymała się i wymienili kilka słów. Potem wrócili do jej samochodu i odjechali. To wszystko.

Jak wyglądał ten mężczyzna? Nie przyjrzał się mu zbyt uważnie. Był wysoki, miał na sobie płaszcz, apaszkę i jeden z tych brązowych filcowych kapeluszy, jakie nosi lord Oaksey w telewizji. Nazywają je chyba trilby. W każdym razie nie był to młody mężczyzna. Skąd to wiedział? Po prostu odniósł takie wrażenie. Poza tym młodzi mężczyźni nie noszą filcowych kapeluszy, prawda? Nie widział jego twarzy, ponieważ zasłaniały ją kapelusz i apaszka. Nie sądzi, żeby rozpoznał go ponownie. Po prostu jakiś zamożny facet w średnim wieku, ubrany w płaszcz i kapelusz.

Czy ta dziewczyna go znała? Jaka była jej reakcja na jego widok?

Młody człowiek zmarszczył brwi w zamyśleniu.

Tak, знаła go. Nie wydawała się zaskoczona jego widokiem. Chwileczkę... Kiedy go zobaczyła, rozejrzała się szybko dookoła, jakby chciała sprawdzić, czy ktoś się przypadkiem im nie przygląda. Nie, był pewien, że żadne z nich go nie zauważyło. Miał wyłączone światła w samochodzie i żadne z nich nie spojrzało ani razu w jego stronę. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś rabuś, że chce zabrać dziewczynie torebkę albo coś w tym stylu, ona zaś rozgląda się w poszukiwaniu pomocy. Ale to nie było to. Poza tym trwało tylko chwilę. Mężczyzna powiedział coś do niej, ona odpowiedziała, on znowu coś rzucił, a potem poszli razem do jej wozu i odjechali w kierunku, z którego przyjechała, wzdłuż Wood Lane w stronę Shepherd's Bush. Atherton zamknął notatnik.

- Bardzo panu dziękuję, panie Ringham. Niezwykle nam pan pomógł. Jeżeli przypomni sobie pan coś jeszcze, cokolwiek, proszę mnie powiadomić, bez względu na to, jak trywialna mogłaby się panu wydać owa informacja. Może mnie pan złapać pod tym numerem.

- W porządku... ale proszę pana, nie będę w nic zamieszany, prawda? To znaczy, nie będę musiał identyfikować tego mężczyzny, prawda? Muszę myśleć o Denise i dziecku.

Cóż, każdy świadek miał swoje wady, pomyślał Atherton i uspokoił go nieco, używając ogólników i długich, trudnych słów. Jadąc teraz swoją błękitną sierrą do sanktuarium własnego domu, kota, prawdziwego kominka i eleganckiej kolacji, zastanawiał się, jak daleko ich to zaprowadziło. Na scenie pojawił się tajemniczy pan X w złowróżbnym kapeluszu. Teraz wiedzieli, że Anne-Marie spotkała się ze swoim zabójcą przed Psem i Moszną i chociaż opis nieznanego nie był zbyt obiecujący, mógł to być Thompson. Wydawał

się tego rodzaju idiotą, który przebrałby się „dla niepoznaki” w wyróżniający go wśród tłumu kapelusz i szalik.

W każdym razie przynajmniej dowiedzieli się, że Anne-Marie pojechała do White City własnym samochodem. Dobrze by było jeszcze raz przesłuchać mieszkańców Barry House i wypytać ich o czerwone MGB. Na pewno ktoś zauważył tak charakterystyczny wóz.

Atmosfera w domu była lodowata, tak jak zresztą oczekiwał. Irene spojrzała na niego zimno.

- Nie ma nic na kolację, tylko to, co w lodówce. Nie wiedziałam, czy wrócisz do domu, a nie zamierzam gotować bez końca posiłków po to, żeby wyrzucać je do śmieci.

- Nie ma sprawy - odparł Slider, cierpliwie znosząc zarzut. - Zrobię sobie coś. - Wypowiadając te słowa, zastanawiał się, co takiego mogłoby to być. Irene nie tolerowała resztek. Lodówka była zapewne tak ogołocona z jedzenia, jak stół operacyjny z zarazków - i to z tych samych przyczyn. Atherton już dawno zwrócił mu na to uwagę, oczywiście w innym kontekście - powiązał obsesję na punkcie higieny z zahamowaniami seksualnymi.

Dzieci były w domu, bawiły się z przyjaciółmi i Slider mógł wykorzystać je jako osłonę, jak to zresztą często czynił. Spytał Matthew o jego mecz i posłusznie wysłuchał niekończącego się potoku słów. Przyjaciel Matthew, mówiący przez nos chłopiec o imieniu „Sibod”, z ognistorudą czupryną, która wyglądała niemal obraźliwie, powtarzał wszystko z półsekundowym opóźnieniem, tak że Slider nie dosłyszał wszystkich szczegółów wypowiedzianych w niesynchronizowanej stereofonii.



-Czyli wygraliście, tak? - spytał wreszcie, starając się zrozumieć.

- No tak, wygraliśmy - odparł Matthew, marszcząc czoło zaniepokojony. - Jeżeli wygramy w przyszłą sobotę z Beverly, zdobędziemy Tarczę. Tylko że oni są bardzo dobrzy, a jeśli tylko zremisujemy, będą karniaki, a my nie jesteśmy najlepsi w strzelaniu goli. - Po jego zaniepokojonym spojrzeniu widać było, że cała odpowiedzialność za brak goli spoczywa na jego barkach. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Nawet jeżeli nie wygracie, nie będzie miało to znaczenia, jeżeli tylko dacie z siebie wszystko - rzekł Slider, jak robiły to całe pokolenia rodziców przed nim. Simon i Matthew spojrzeli na niego, zdumiewając się jego głupotą.

-Ale przecież to Tarcza! - zaczął Matthew w nadziei, że jego nieczuły rodzic zrozumie powagę sytuacji. Slider powstrzymał go pospiesznie.

- Matthew, czy ty masz w buzi gumę balonową? Tyle razy ci mówiłem. Nie życzę sobie, żebyś używał tego świństwa. Wyjmij ją i natychmiast wyrzuć.

- Ale tato, przecież pozwalasz mi żuć gumę - zaprotestował Matthew. - Tylko z normalnej gumy nie można robić balonów.

-Zwykła guma do żucia to co innego - odparł Slider. Następne pytanie będzie brzmiało: „dlaczego?”. Był uprzedzony, bo zapach gumy balonowej przypominał mu zapach masek, przez które podawali głupiego jasia w klinikach stomatologicznych w czasach, kiedy był jeszcze dzieckiem, dlatego uciekł się do autorytetu ojcowskiego.

- Proszę ze mną nie dyskutować, tylko zrobić, co powiedziałem. Wyjmij to świństwo i wyrzuć do kosza. Przedtem

owiń je w coś - dodał, kiedy Matthew, wzdychając ciężko, poczłapał do kuchni w towarzystwie wiernego Simona. Slider poczuł na sobie wzrok Irene, mówiący wyraźnie: „Ależ ty uwielbiasz odgrywać surowego ojca, co? Potrafisz być twardy i stawiać się tylko dzieciakom”.

Nie chciał jeszcze zostawać z nią sam na sam, poszedł więc na górę do Kate, całkowicie pochłoniętej jedną z jej prywatnych i niewygodnie zrytualizowanych zabaw z najmniej lubianą przez Slidera przyjaciółką - grubą dziewczynką o imieniu Emma, tak potwornie sentymentalną i kobiecą, że za każdym razem kiedy ją widział, krzywił się z zażenowania. Kiedy otworzył drzwi do sypialni córki, zastał dziewczynki odgrywające role nauczycielek sześciu lalek, w tym Łysej, jednookiej i dość odrażającej Barbie, pluszowej małpki i niedźwiadka. Rola Emmy polegała głównie na sapaniu i wpatrywaniu się z podziwem w Kate, która cisnęła gromy i ogólnie rzecz biorąc, pastwiła się nad swoimi ofiarami, używając tonu tak ociekającego sarkazmem, że Slider zaczął się zastanawiać, czy tak właśnie dorośli jawią się oczom dzieci.

- Zdaje się, że zabroniłam ci to robić, tak? - pastwiła się nad pluszowym misiem. Slider nazwał go kiedyś, dawno temu, Zradość, bo przyszyte asymetrycznie oczy misia kojarzyły mu się w jakiś sposób z pieśnią, którą śpiewał w szkółce niedzielnej: „Z radością będę niósł swój krzyż”. Kate zaakceptowała imię bezwarunkowo, podobnie jak akceptowała wszelkie niezrozumiałości świata dorosłych, jakby nie miały z nią nic wspólnego. Slider pamiętał, że kiedyś też był tak młody, z umysłem nieskrępowanym wiedzą o prawdopodobieństwie i realiach. Jako małe dziecko myślał, że Bóg ma na imię Swiećsie, z powodu drugiej linijki „Ojcze Nasz”

i wcale nie wydawało mu się to dziwne czy podejrzanе. Podobnie sądził przez długi czas, że w rządzie był starszy dżentelmen nazywający się Lord Privy\*, a symbolem sprawowanego przezeń urzędu była pieczęć.

Rzeczą, która odróżniała go od jego dzieci, było to, że gdy dowiedział się prawdy, uznał ją za niezwykle interesującą i godną zapamiętania. Obawiał się, że Kate nie mogło zainteresować nic poza jej własnymi ostatnimi doznaniemі. Jego córka już wykreowała własny obraz i chociaż z upływem lat będzie on przechodził drobne zmiany, podstawowy cel jej życia zawsze będzie polegał na podtrzymaniu jego najnowszej wersji.

Przyjrzał się jej ze smutkiem. Przerwała swą diatrybę i spojrzała na niego z niechęcią, opierając małe pięści na biodrach i zaciskając usta w nieprzyjemnie znajomy sposób. Jak to jest, że zupełnie bez naszej wiedzy dzieci przejmują nasze charaktery? Matthew już zaczynał przejawiać cechy Slidera: zbyt rozwinięte poczucie odpowiedzialności, brak zdecydowania i tendencje do zamartwiania się o rzeczy, których nie może zmienić. Kate z kolei z każdym dniem przemieniała się w groteskową kopię swojej matki. Jak to się mogło stać? - spytał sam siebie. Smutną prawdą było to, że spędzał zatrważająco mało czasu ze swoimi pociechami od chwili, kiedy zaczęły regularnie sypiać. To chyba grzech pierworodny, pomyślał ze smutkiem.

Chciał zapytać córkę o jej festyn, ale Kate rzuciła:

- Idź sobie, tato. Nie chcemy cię tutaj w tej chwili.

Oczywiście szacunek do samego siebie i poczucie obowiązku zobligowały go w tym momencie do wykładu na

\* *Lord Privy Seal, strażnik (prywatnej) królewskiej pieczęci.*

temat dobrych manier. Kate słuchała jego przemówienia z obojętnym wzrokiem i cierpliwością kogoś, kto wie, że opór tylko przedłuży męczarnie. Pod tym względem tak bardzo różniła się od Matthew, który zareagowałby natychmiast, z bolesnym jęczeniem męczennika, i cała sprawa zakończyłaby się łzami. Kate urodziła się czterdziestoparoletnią kobietą, pomyślał Slider. Skończył swój monodramat i wyszedł z pokoju. Zanim zdążył dobrze zamknąć drzwi, usłyszał, jak Kate powraca do swojej tyrady:

- Na pewno nie chcesz, żebym znowu cię zabiła, prawda?

Nawet pomimo bardzo ograniczonej wiedzy na temat zabaw Kate Slider miał nieodparte wrażenie, że Zradość nie będzie mógł się wybronić z tej sytuacji.

Teraz nie pozostało mu nic innego, jak tylko wkroczyć do świata Królowej Śniegu i stanąć twarzą w twarz z odpowiedzialnością - jej kolejnym wcieleniem, albowiem Irene nie zawsze była taka jak teraz, a zatem coś innego mogło wpłynąć na jej obecną formę, jeśli nie jego zachowanie? Siedziała na kanapie, wpatrując się w telewizor, chociaż Slider wiedział, że niczego nie ogląda. Niemniej właśnie nadawano wiadomości, a Irene ustaliła, iż dziennik telewizyjny jest świętością i nie wolno przeszkadzać w jego słuchaniu rozmowami lub w jakikolwiek inny sposób.

Z tego, co widział, wiadomości były takie jak zawsze: w tej chwili pokazywano na ekranie zniszczoną walką ulicę w jakimś upalnym zakątku świata, gdzie domy były zbudowane z betonu wzmocnionego metalowymi prętami, jak w mostach. Pospieszny komentarz dziennikarza był przerywany odgłosem strzałów z karabinu maszynowego, podczas gdy podobni do siebie mężczyźni w bezbarwnych mundurach polowych biegali, przyczajali się za murami i, przypuszczal-

nie, umierali. Dziwiło go nieustannie, że wiadomości o wojnie, choć jedna w drugą takie same i zupełnie niezaskakujące, uznawane były za „prawdziwe” nowiny, natomiast cokolwiek, co obrazowało dobroć, życzliwość, współczucie lub pomysłowość gatunku ludzkiego, spychano na sam koniec - jeśli w ogóle raczono poinformować o tym społeczeństwo - jako miły akcent dla staruszek i gospodyń domowych: tak zwane informacje „I na koniec”.

Mimo wszystko ucieszyły go migające na ekranie obrazki śmierci i cierpienia, oznaczały bowiem kolejne kilkanaście minut unikania rozmowy z żoną. Ile małżeństw trwało właśnie dzięki temu? - pomyślał zmęczony. Jego umysł był otepiały i wyczerpany z wysiłku, który wkładał w pokonanie poczucia winy, strachu oraz frustracji spowodowanej skomplikowanym śledztwem. Jeśli chodziło o to ostatnie, wyglądało na to, że wlaź w pole kukurydzy i nie miał pojęcia, w którą stronę ma iść, aby się z niego wydostać. Ba, nie wiedział nawet, czy istnieje jakaś droga wyjścia. Irene, dzieci, Anne-Marie, Thompson, Atherton, naczelny, wszystko wirowało wokół niego niczym makbetowskie wiedźmy - niewyraźne, niebezpieczne, żadne jego uwagi, oczekujące odpowiedzi od niego, który nie znał nawet pytań. Głos O'Flaherty'ego przypląwał i odpływał niczym morskie fale, ostrzegając go donośnie i złowieszczo przed niebezpieczeństwem. Gdzieś w oddali, mała i czysta, niczym coś widziane przez kryształ, dryfowała Joanna, niemal poza jego zasięgiem, zbyt daleko, odpływająca, znikająca...

-Jeżeli chcesz spać, możesz iść do łóżka - rzuciła Irene, przywracając go do rzeczywistości. Wiadomości już się skończyły i nadawano teraz nudny serial o parze, która zamieniła się rolami. Ona pracowała, on zaś zajmował się

domem. Głośne wybuchy śmiechu zostały prawdopodobnie wywołane widokiem mężczyzny w fartuchu, niemającego pojęcia, jak uruchomić zmywarkę do naczyń. Przygnębiająco w stylu lat pięćdziesiątych.

- Co? - spytał, usiłując wyglądać na zainteresowanego programem. Mężczyzna trzymał w ręku pieluszkę i przyglądał się dziecku z zaintrygowanym wyrazem twarzy. Za chwilę powie: „Z którego końca się to zakłada?”.

- Nie ma sensu, żebyś siedział tutaj i udawał, że oglądasz telewizję. Minutę temu chrapałeś - wyjaśniła Irene.

- Nienawidzę, kiedy opada ci głowa i podrywasz się co trzy sekundy! - dodała z nagłą irytacją.

- Przepraszam - odparł pokornie i z całkowitą szczerością. Irene po prostu spojrzała na niego z taką pogardą i zmęczeniem, że poczuł się całkowicie bezradny. Uczucie to było tak intensywne, że przez chwilę jakby całkowicie przysłoniło jego osobowość. Powinien teraz chwycić Irene za rękę, zapytać, co się stało, spróbować uczynić gest dobrej woli, pocieszyć tę kobietę, którą codziennie ranił i zasmucał. Ale jakim sposobem miał jej pomóc, jeżeli to jego istnienie sprawiało, że Irene była nieszczęśliwa? Nie mógł zapytać jej, co się stało, skoro i tak nigdy nie potrafił nic zrobić dobrze. Jego litość była bezużyteczna i tak samo zbędna jak owe pokurczone ciała w sprawozdaniu z wojny w dzienniku. Był to wieczny dylemat życia w związku małżeńskim, który hamował wszelką czułość, koniec końców zabijając nawet jej pragnienie.

- Przepraszam - powtórzył. Nie powinien się w ogóle odzywać, tylko wstać w milczeniu i pójść do łóżka. Irene również zdawała sobie z tego sprawę. Odwróciła głowę gestem skrzywdzonego dorosłego, który Slider widywał niemal przez całe ich wspólne życie.

- Za co? - spytała.

Rzeczywiście, za co przepraszał? Za to, że jedynym sposobem na przetrwanie życia z owym okaleczającym poczuciem odpowiedzialności było zostanie policjantem i robienie jedynej rzeczy, którą potrafił robić dobrze, żeby uczynić świat lepszym? Marne wytłumaczenie.

- Dla mnie to też nie jest przyjemne - powiedział wreszcie.

- Wieczne przebywanie poza domem. Niewidywanie dzieci. Wiesz, Kate spojrzała dziś na mnie jak na obcą osobę. Po prostu stała w milczeniu i czekała, aż wyjdę z pokoju.

Irene mogła powiedzieć i zrobić wiele rzeczy w odpowiedzi na tę skargę, ale zamiast tego, po krótkim milczeniu, rzuciła obojętnie:

- Marilyn Cripps dzwoniła, zanim przyszedłeś.

Crippsowie byli parą, którą poznali jakiś czas temu na przyjęciu w ogrodzie. On był sędzią pokoju, ona zaś zasiadała w radzie parafialnej kościoła w Dorney i była ochotniczym zarządcą oddziału towarzystwa National Trust w Cliveden. Mieli wielki wolno stojący dom w Eton i niemal onieśmielili Irene, kiedy po pierwszym spotkaniu pani Cripps nalegała, aby kontynuować znajomość. Było to tego rodzaju towarzystwo, do którego żona Slidera zawsze chciała należeć i w którym zapewne znalazłaby się, gdyby jej mąż otrzymał awans, tak jak powinien. Żona komisarza policji mogła stawać na równi z najwyższymi postawionymi ludźmi w tym kraju.

- Zaprosiła nas na obiad - ciągnęła Irene pozornie obojętnym tonem. - Oczywiście nie mogłam odpowiedzieć bez porozumienia się z tobą. Z innym mężem byłaby to czysta formalność, ale ciebie pewnie nawet nie warto pytać.

- Kiedy dokładnie ma być to przyjęcie? - zaczął nieszczerze Slider, chociaż miał pewność, że Irene i tak wie swoje.

- Dlaczego pytasz? Przecież nawet jeśli się zgodzisz, odwołasz wszystko w ostatniej chwili, co zresztą jest potwornie niegrzeczne w stosunku do gospodyni. Albo, co gorsza, spóźnisz się na obiad. Poza tym, nawet jeżeli pójdziemy do Crippsów, będziesz narzekał, że musiałeś włożyć garnitur, a potem przez cały obiad będziesz siedział z ponurą miną, wpatrując się w ścianę, nie mówiąc ani słowa i podskakując jak imbecyl za każdym razem, kiedy ktoś się do ciebie odezwie.

- W takim razie dlaczego nie pójdziesz sama? - spytał ostrożnie Slider.

- Nie bądź idiotą! - rzuciła gniewnie. - Zostaliśmy zaproszeni jako para. Na takie przyjęcia nie chodzi się pojedynczo. Już sama sugestia jest bardzo nietaktowna.

Slider nie miał na to żadnej odpowiedzi, więc milczał. Po chwili Irene ciągnęła wywód, ponurym, niskim, niezadowolonym tonem, który kojarzył mu się z wulkanem szykującym się do wybuchu.

- Nienawidzę chodzić na przyjęcia bez ciebie. Wszyscy patrzą na mnie z taką litością, jakbym była trędowata. Jak mogę prowadzić jakiegokolwiek przyzwoite życie towarzyskie, będąc twoją żoną? Jakim cudem mam kogoś poznawać? Nie dosyć, że musimy mieszkać w tym wstrętnym domu...

- Myślałem, że lubisz ten dom.

- Nie masz zielonego pojęcia, co lubię! - krzyknęła zagniewana. - Podobał mi się jako mieszkanie na początek naszego życia, ale nigdy nie myślałam, żeby zostać tu na zawsze. Sądziłam, że awansujesz i przeniesiemy się do czegoś lepszego, jakiegoś domu w Datchet albo Chalfont, gdzie mieszkają odpowiedni ludzie. Gdzieś, gdzie nasze dzieci mogłyby znaleźć właściwych przyjaciół. Gdzieś, gdzie chadza się na prośzone obiady do sąsiadów!



Slider powstrzymał uśmiech, słysząc te słowa, albowiem Irene była śmiertelnie poważna.

-Jeżeli nie jesteś tu szczęśliwa, możemy się przeprowadzić - odparł. - Zaczynij się rozglądać...

-Jak możemy się przeprowadzić? - krzyknęła, sprowokowana. - Z twoimi zarobkami nie stać nas na nic przyzwoitego. Nigdy nie ma cię w domu, pracujesz całymi dniami, a przynajmniej tak twierdzisz, ale dokąd cię to zaprowadziło? Inni ludzie zawsze awansują przed tobą i powiem ci dlaczego: bo wiedzą doskonale, że jesteś pozbawiony ambicji. Nie obchodzi cię to. Nie upomnisz się o swoje. Nie uczynisz wysiłku, żeby uśmiechnąć się do właściwych ludzi...

-Jest coś takiego, jak duma...

- Och, duma! Jesteś dumny z bycia chłopcem na posyłki całego komisariatu? Jesteś dumny z tego, że przydzielają ci najgorsze sprawy? Z tego, że zostajesz w tyle za ludźmi młodszymi od ciebie o dwadzieścia lat? Nikt cię za to nie szanuje, zrozum to wreszcie. Widziałam cię na tych wszystkich przyjęciach policyjnych. Zawsze stałeś sam, odmawiając rozmowy z kimkolwiek, żeby nie posądzono cię o całowanie tyłka. Widziałam, jak na ciebie patrzą. Wstydzą się ciebie. Jesteś brzemieniem, którego nie wypada się pozbyć!

Przerwała gwałtownie, słysząc echo własnych niewybaczalnych słów, które zawisły w powietrzu. Slider milczał. Policjanci nigdy nie powinni się żenić, pomyślał ze smutkiem. Nie mogli dobrze wykonywać swojej pracy i jednocześnie wypełniać zobowiązań względem połowicy. Mimo to, jeżeliby się nie żenili, nie byłiby w pełni ludźmi, tak jak księża, a wtedy jak mogliby wypełniać swój zawód uczciwie i skutecznie, skoro nigdy nie doświadczyliby życia,

jakie prowadzi ponad dziewięćdziesiąt procent ludzi na ziemi?

Przez krótką, pełną zawstydzenia chwilę pomyślał o Joannie i tym, że małżeństwo z kimś takim jak ona byłoby doskonałe. Nie - nie z kimś takim jak ona. Małżeństwo z nią. Z nią mógłby być szczęśliwy i dobrze wykonywać swój zawód. Szczęśliwy, dobry i rozumiany. Jego zmęczony umysł zaczął poddawać się tej myśli. Nie powinien myśleć o Joannie w środku awantury z Irene. To było bardzo złe.

- Przykro mi - odparł - ale prowadzę teraz bardzo trudne śledztwo i...

- Nie stać cię nawet na to, żeby się rozzłościć, co? - nie pozwoliła mu dokończyć. - O Boże! - Wpatrzyła się w niego wściekła i bezradna jednocześnie. Zastygła, niczym ilustracja w „Strand Magazine”, skonsternowana, to chyba było dobre słowo.

- Posłuchaj, naprawdę mi przykro - zaczął znowu - ale to bardzo trudne dochodzenie. Od czasu pierwszego morderstwa straciły życie dwie zamieszane w sprawę osoby, starsza kobieta i młody mężczyzna, a ja czuję się za to częściowo odpowiedzialny. Muszę poświęcić temu śledztwu cały swój czas i energię, dopóki nie uda mi się go posunąć do przodu. Nic na to nie poradzę. Kiedy jednak dochodzenie się skończy, obiecuję ci, że zabierzemy się do naszych spraw porządnie. Usiądziemy, porozmawiamy tak długo, jak będzie trzeba, i rozwiążemy wszystkie problemy. Czy możesz okazać trochę cierpliwości?

Wzruszyła ramionami.

- A teraz chyba pójdę się położyć. Nie spałem od wieków i naprawdę jestem wykończony.

Jak zwykle, kiedy Slider dotarł do sypialni, rozebrał się, umył zęby i wskoczył do łóżka, poczuł się całkowicie rozbudzony. Jego umysł krążył nieustannie wokół spraw związanych ze śledztwem. Próbując się uwolnić od natrętnych myśli, sięgnął po książkę, do której nie zaglądał od wieków, odpowiednio usypiający wytwór Jeffrey Archera. Kiedy w sypialni pojawiła się Irene, zastała go wspartego o poduszki i pogrążonego w lekturze.

- Myślałam, że jesteś wykończony - rzuciła obojętnym tonem. Ocieężałość jej gestów świadczyła o jej niezadowoleniu i zgryzocie. Zazwyczaj poruszała się szybko i lekko.

- Mycie mnie rozbudziło, więc pomyślałem, że trochę poczytam - odparł. Irene odwróciła się i zaczęła szykować do spania. Slider obserwował ją ukradkiem, udając, że jest pochłonięty lekturą. W odróżnieniu od Joanny Irene wyglądała lepiej w ubraniu niż bez niego. Miała ciało, na którym większość ubrań leżała znakomicie, ale które pozbawione osłony było mało interesujące. Irene była szczupłą, bez krągłości i kobiecej jędrności. Miała proste ramiona i nogi, wąskie biodra i małe, niewyraźnie zarysowane piersi, które, pomyślał Slider, zawsze wywoływały w nim smutek.

Dawno temu, na początku ich małżeństwa, oboje sypiali nago, ale pomysł ten był obecnie czymś tak odległym, że zdziwiło go owo wspomnienie. Po kilku tygodniach Irene zaczęła wkładać koszule nocne z wyprawy ślubnej, ponieważ „szkoda je było zmarnować”, on zaś zaczął nosić piżamę, gdyż spanie nago w takiej sytuacji wyglądałoby niezręcznie, jeżeli nie zostałyby odebrane jako krytyka.

Irene wróciła z łazienki, przynosząc ze sobą zapach pasty do zębów i mydła Imperial Leather. Wyglądała schludnie i niemal ładnie w swoim kwiecistym bawełnianym szlafroku,

ze starannie uczesanymi lśniąco ciemnymi włosami. Jawiła się niemal jak ukończone, kompletne dzieło sztuki. Nie była to jednak perfekcja, która przynosiła satysfakcję, lecz która sugerowała, że w sprawie tej istoty wypowiedziano już ostatnie słowo i nic, absolutnie nic nie mogło ulec zmianie. To była właśnie Irene. Koniec tematu.

Zupełnie przeciwieństwo Joanny, pomyślał znowu. Joanna w jego umyśle jawiła mu się niczym ameba, nieustannie się zmieniająca. Dziwne, ale z trudem przypominał sobie rysy jej twarzy. Musiał myśleć o niej bardzo ostrożnie, jakby zbyt duże natężenie uczuć mogło zdeformować plastyczny materiał, z którego została stworzona.

Irene stanęła w nogach łóżka i spojrzała na niego z lekko pochyloną głową, przygryzając dolną wargę w sposób, który sprawiał, iż wyglądała na bezbronną istotkę. Wyglądała jak ktoś, kto stoi na skraju przepaści. Slider wiedział, że za chwilę poruszy niebezpieczny temat, i z całego serca zapragnął ją powstrzymać. Gdyby jednak to zrobił, przyznałby się tym samym, że nie obchodzą go ich dyskusje i kłótnie. Nie mógł jej tego zrobić.

- O co chodzi? - spytał, kiedy stało się oczywiste, że Irene potrzebuje kuksańca, żeby wyrzucić z siebie to, co ją dręczyło.

Wahała się jeszcze przez chwilę, balansując na krawędzi, a potem rzuciła pospiesznie:

- Wiem o niej... o twojej dziewczynie.

Dziwne, jak ciało potrafiło przyznać się do winy, nawet jeśli umysł takowej nie odczuwał. Przez jego ciało przepłynęła fala gorąca, serce nagle zatrzepotało w piersi niczym umierający ptak, a żołądek ścisnął mu się boleśnie. Mimo to odpowiedział jej spokojnie i bez wahania:

- Nie mam dziewczyny.

Irene uczyniła niespokojny gest zaprzeczenia i ciągnęła, jak gdyby Slider nigdy się nie odezwał:

- Oczywiście już od jakiegoś czasu zdawałam sobie sprawę, że coś się dzieje, ale nie wiedziałam co. Nie kochaliśmy się od piętnastu miesięcy...

Zdumiało go to, że Irene dokładnie wiedziała, jak dużo czasu minęło od ich ostatniego razu. On sam mógł jedynie zgadywać, jednak życie kobiet było wyznaczone menstruacjami i pigułkami. Seks, jak przypuszczał, zawsze był dla nich związany z konkretnymi datami.

- Do tego wszystkie te dni, kiedy nie ma cię w domu. Cóż, przypuszczam, że czasem rzeczywiście pracujesz, ale nie zawsze. Aż do dzisiaj nie byłam jednak pewna, co się dzieje.

- Nic się nie dzieje, to tylko twoja wyobraźnia - odparł. Irene spojrzała na niego wymownie i w jej wzroku dostrzegł nie gniew, ale niewymowny ból i krzywdę. Przez jeden nieproszony moment dostrzegł i poczuł, że taka rana zadana kobiecie nigdy się nie zagoi. Mężczyzna, którego żona okazała się niewierna, odczułby gniew, wściekłość, być może zazdrość. Dla żony jednak zdrada była śmiertelną chorobą, która niszczyła jej wiarę w siebie, podważała kobiecość, obarczała winą za wszystko i trwała niczym nieskończona, wieczna boleść.

- Nie musisz kłamać - powiedziała. - Słyszałam to w ich głosach. O wszystkim wiedzą, Nicholls i O'Flaherty, kiedy dzwonią do mnie, żeby cię wytłumaczyć. Atherton też. Widziałam, jak na mnie patrzy ze współczuciem. Pewnie wszyscy już wiedzą, tylko nie ja, i śmieją się ze mnie. Prawdziwy z ciebie ogier, co? Pewnie poklepują cię po plecach i gratulują, mam rację?

- Nie, absolutnie nie...

- Do tej pory znosiłam to wszystko, ale teraz zaczęłam z nią spędzać noce i wykorzystywać najnowsze śledztwo jako usprawiedliwienie. Nie zamierzam się na to godzić ani chwili dłużej! To odrażające. I to jeszcze z dziewczyną, która mogłaby być twoją córką! Jak mogłeś zrobić coś takiego?!

Przez umysł Slidera przepłynęło naraz tysiące myśli. Szczęśliwie monolog Irene powstrzymał go od komentarza. Zdziwił się na przykład, że jego żona, nawet w uniesieniu, mogła uznać Joannę za wystarczająco młodą, aby była jego córką. Inna część jego mózgu starała się z kolei pojąć, w jaki sposób jego żona dowiedziała się o wszystkim. Nikt w wydziale by go nie wydał, Slider dałby za to głowę, a myśl o tym, iż Irene wynajęłaby prywatnego detektywa, aby go śledzić, wydała mu się idiotyczna. Przy tym wszystkim gdzieś w tle brzęczało, że nie powinien się w tej chwili zastanawiać nad tak głupimi sprawami, lecz zamiast tego powinien czuć się winny i żałować tego, że skrzywdził w ten sposób Irene.

To, co w końcu powiedział, zabrzmiało zadziwiająco spokojnie i naturalnie:

-Jesteś w błędzie, Irene. Nie mam dziewczyny i na pewno nie zainteresowałbym się osobą na tyle młodą, że mogłaby być moją córką.

- Kłamiesz! - wykrzyknęła i doskonale niewystudiowanym gestem rzuciła w jego kierunku fotografię. - W takim razie kto to jest? Całkowicie obca ci kobieta? Nie mów mi, że masz zwyczaj noszenia zdjęć nieznajomych w portfelu. Ty sukinsynu! Nigdy nie miałeś mojego zdjęcia, nigdy, nawet...

Przerwała i odwróciła się gwałtownie, żeby nie zobaczył jej łez. Podniósł fotografię, speszony i rozbawiony, z ulgą i żalem, a przede wszystkim z ogromnym, przerażającym smutkiem. Ze zdjęcia spoglądała na niego Anne-Maire, rozświetlona, ze zmierzwionymi włosami, na wieki piękna i młoda. Mała rozgwiazda dłoni odcinała się na tle granatowego morza, zastygłego na całą wieczność w owej chwili radosnej żywiołowości.

Miłość do Joanny sprawiła, że Anne-Marie przestała go prześladować. Teraz jednak dawne uczucia spadły na niego niczym lawina; smutek i żal z powodu jej bezsensownej, okropnej śmierci w samotności. Uśpiono ją niczym starego psa, rozebrano z bezduszną tępotą rzeźnika i porzucono na obrzydliwej podłodze w ponurym, pustym mieszkaniu. Przypomniawszy sobie niemal dziecięco rozczochrane włosy, małe, nierozwinięte piersi i smutek ścisnął mu serce niczym imadło. Był to jego wieczny żal do świata, w którym ludzie robili innym ludziom tak bezsensownie potworne rzeczy; smutek z powodu utraty świata, w którym dobrzy ludzie przeważali nad złymi i w którym można było mieć nadzieję. Był to główny powód, dla którego został policjantem, i coś, przeciwko czemu wypowiedział swoją prywatną wojnę - ponieważ zło świata okaleczało go i odbierało mu możliwość należytego wykonywania zawodu. Tyle że on i jego współpracownicy trudzili się dzień po dniu i nie potrafili zmienić porządku rzeczy ani odrobinę, a pragnienie zaprzestania tego syzyfowego wysiłku było coraz silniejsze, bo przecież ta cała ich walka nie miała sensu.

Irene odwróciła się do niego i wzdrygnęła na widok rozpaczki na jego twarzy. Zawsze wiedziała, że w Sliderze drzemie melancholia, którą usiłował ukryć przed nią i przed

sobą samym, ale aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy z jej mocy i głębi. Przypomniała sobie nagle wszystkie te historie o policjantach, którzy szukali zapomnienia w alkoholu, narkotykach i seksie z setkami kobiet, i o tych, którzy popełnili samobójstwo, bez emfazy, niczym zmęczone dzieci, które po prostu chcą się już położyć spać. Zastanawiała się, co pozwalało Sliderowi zachować zdrowy rozsądek w obliczu jego własnej rozpacz. Nie sądziła, iż to ona, chyba że tylko dlatego, iż razem z dziećmi stanowiła przeciwieństwo zawodowej codzienności męża. Zastanawiała się, jak długo jeszcze ten układ będzie skutecznie działał i co się stanie, kiedy zawiedzie. Czy wówczas, kiedy nadejdzie koniec, będzie miała jakiegokolwiek prawo do niezadowolenia ze swego losu, do poczucia się jego ofiarą?

Spojrzała na niego z rezygnacją kobiety, która zdaje sobie sprawę, iż nigdy nie będzie dla swojego męża ważniejsza niż jego praca i dla której obojętność jest najgorszym z możliwych wyjść z sytuacji. Slider zobaczył, jak opuszcza ją opór i złość. Poczł wdzięczność, chociaż nie wiedział, dlaczego tak się stało.

-To zdjęcie tej zamordowanej dziewczyny, Anne-Marie Austen. Właśnie w jej sprawie prowadzę śledztwo. Możesz to łatwo sprawdzić, jeżeli mi nie wierzysz.

Odwróciła się.

- Nie. Wierzę ci - odparła, udając, że szuka czegoś w szufladzie. Nie chciała na niego patrzeć, kiedy dodała stłumionym głosem: - Nie powinnam zaglądać do twojego portfela. Przepraszam.

- Nie ma za co.

- Właśnie, że jest. Nie powinnam tego robić.

Sliderowi wydało się, że Irene płacze.



- Przestań - powiedział. - Połóż się już.

Kiedy jednak odwróciła się do niego, miała suche oczy, chociaż wyglądała na wyczerpaną. Położyła się obok, nie dotykając go, a potem odwróciła się na bok, plecami do niego, przybierając pozycję, w której spała. Slider odłożył książkę i spojrzał na nią z wahaniem. Wyglądało na to, że wszystko było w porządku. Niebezpieczeństwo minęło, zdołał się ukryć przed pościgiem. Teraz na jakiś czas zapanauje spokój, Irene bowiem będą dręczyć wyrzuty sumienia, że niesłusznie go oskarżyła.

Żałował, że w tym momencie nie potrafił zdobyć się na seks z żoną. Mogłoby to pocieszyć ich oboje i dać pozór rozwiązania ich nierozwiązywalnego problemu, jednak zbyt wiele czasu minęło od chwili, gdy zrobili to po raz ostatni, już wtedy z przyzwyczajenia i swoistego poczucia obowiązku. Obecnie nie potrafiłby się na to zdobyć z serca lub z jakichkolwiek uczuć, które do niej żywił. Zgasił światło i położył się spać. Od kiedy w jego życiu pojawiła się Joanna, nie potrafił zrobić czegoś takiego.

## Rozdział 13

### NIEZAMOŻNA KOBIETA

Zebranie dochodzeniówki odbywało się w sali konferencyjnej wydziału kryminalnego. Inne pomieszczenia były zbyt małe, żeby pomieścić tyle osób. Kiedy Slider pojawił się na sali, wszyscy inni już tam byli. Posterunkowa Swilley, która nienawidziła swojego prawdziwego imienia Kathleen tak bardzo, że wołała, kiedy nazywano ją Normą, siedziała na jednym ze zniszczonych biurków, wymachując długimi, pięknymi nogami ku uciesze kolegów. Była wysoką, silną, atletycznie zbudowaną dziewczyną o złotej skórze, dużych białych zębach, jasnych włosach usianych białymi kosmykami i o zagadkowo niezapadającymi w pamięć rysach twarzy panienci z kalifornijskiej plaży. Slider często miał uczucie, że jest jedynym pracownikiem wydziału, którego nie uwiodła, co, jego zdaniem, dawało mu pewną przewagę nad innymi. Najwyraźniej Kathleen vel Norma uważała go za człowieka, podczas gdy jego współpracownicy byli dla niej wyłącznie obiektami seksualnymi.

Uśmiechnęła się teraz do niego.

- Oto i on, wymięty i wiecznie zabiegany. Idealny przykład Małoważnego Małżonka Menedżera.

- Zapomniałaś o Menopauzalnym - dorzucił Beevers, siadając w miejscu, skąd miał najlepszy widok sławnych nóg Normy, które często nawiedzały go w snach. Był niemal idealnie okrągłym mężczyzną z gęstą, brązową czupryną i bujnym, rozbrajającym wąsem. Jego żoną była drobna, okrągłutka brązowowłosa cicha myszka o imieniu Mary. Beevers uwielbiał ją, ale jej nogi nigdy nie poruszały się tak, jak nogi Normy.

-I o Maniakalnym? - dorzucił Atherton.

- Nie dzisiaj - przerwał Slider, poluzniając krawat. - Dzisiaj jestem Monumentem Spokoju. Mężczyzny, który odrobił pracę domową, nic nie może już wzruszyć. Czas, abyście wy, młodzi, nauczyli się jednego; talentem nie można zastąpić ciężkiej pracy.

Rozejrzał się wokoło. Wszyscy zgodnie jęknęli w odpowiedzi na jego moralizatorską gadkę. W sali był detektyw Anderson, świeżo po wakacjach, prawdopodobnie trzymający w zanadrzu stertę zdjęć, którymi chciał się pochwalić. Lubił robić tzw. artystyczne zdjęcia, które zazwyczaj okazywały się różnymi etapami zachodu słońca odbijającego się w morzu oraz mokrego piasku. Kolejni dwaj detektywi, tępy, obsesyjny Hunt oraz cichy, introwertyczny Mackay, siedzieli poważnie ramię w ramię na niewygodnych krzesłach, przygniecenii urokiem Normy i Athertona, a podniesieni na duchu kłocowatością Beeversa, któremu brakowało którejś klepki, przez co nigdy nie czuł się zawstydzony lub zażenowany.

Slider poczuł, że ci ludzie byli jego rodziną znacznie bardziej niż trójka z Ruislip. Tylko że jeśli to była jego

rodzina, on najprawdopodobniej był matką, podczas gdy naczelny odgrywał rolę autorytatywnego ojca. Brakowało tu tylko nadinspektora Colina Raisbrooka, który przeszedł lekki zawał i nadal był na zwolnieniu lekarskim. Nie wiadomo było jeszcze, czy w ogóle wróci do pracy. Jeżeli odeślą go na wcześniejszą emeryturę, pomyślał Slider wzdychając w duszy, Irene będzie oczekiwała, że zajmie miejsce Raisbrooka. Jeżeli się to nie stanie, jego życie ma szansę stać się wyjątkowo nieprzyjemne.

- Co za obrzydliwy dzień - rzuciła z uczuciem Norma, obserwując przez okno zimny, bezlitosny deszcz. - Podobno ma się jeszcze pogorszyć. Lada chwila wpadnie tu Dickson, wyglądający jak reklamy wybielającej pasty do zębów, i znowu zapragnę go zamordować.

- Witaj, szefie! - zaświergotał Anderson, na co Hunt posłusznie wygdał:

- Witaj, Piękna!

- Jeżeli jeszcze raz nazwie mnie posterunkową Snockers\*, zabiję go - ciągnęła niezrażona Swilley. - Nie cierpię przełożonych, którzy próbują być zabawni i oczekują, że człowiek będzie się śmiał z ich marnych dowcipów.

- Nie sądzę, żeby tak było - rzekł Atherton. - Myślę, że naczelny żyje tylko i wyłącznie ku swojej własnej satysfakcji.

To było zbyt wiele dla biednego Hunta, który sprowadził rozmowę na swój poziom, pytając:

- Ale jeżeli go zabijesz, Norma, co zrobisz z ciałem?

- Sprzedaj go do kantyny - zasugerował Mackay. - W każdej środe serwują pieczeń wieprzową.

*\* Nieprzetłumaczalna gra słów: Norma Snockers brzmi jak Norma's nockers, czyli majtki Normy.*

- Myślałem, że mają dostawy ze szpitala w Hammersmith  
- przyłączył się do dyskusji Anderson. - Czy to nie w środę przypadkiem mieliśmy ten karambol na Speake's Corner? Ten z fordem cortiną i ciężarówką naczepową. Zdaje się, że kierowca forda wyszedł z tego w kawałkach.

- Zawsze tacy sami - rzucił Atherton z miażdżącą pogardą. - Wasze dowcipy na poziomie czwartej klasy podstawówki zaczynają mnie męczyć.

- Ty zawsze jesteś zmęczony - zauważyła posterunkowa Swilley, smutnie potrząsając głową. Anderson gwizdnął.

- A skąd ty to wiesz, Norma? - spytał. - Zdradź nam swoją małą tajemnicę.

Ich pogawędkę przerwało, zdaniem Slidera w samą porę, wejście naczelnego - komisarza Dicksona. Był to potężny, masywny mężczyzna o szerokich ramionach; krótko mówiąc, kawał chłopca. Nikomu nigdy nie przyszło do głowy, żeby nazwać go grubasem. Jego zwinne, energiczne ruchy w połączeniu z rozmiarami nadawały mu impet, niczym rozpedzonej ciężarówce. Miał szeroką, rumianą sympatyczną twarz wieśniaka z Yorkshire, z ogromnym bulwiastym nosem wiecznie przekrwionym od wysokiego ciśnienia, przeredzone włosy w kolorze piasku i uśmiech ukazujący przednie zęby zbyt liczne i idealne, aby były prawdziwe.

Przez całe lata znosił przezwisko Dicksona z Shepherd's Bush Green, udając, że sam je wymyślił. Rozwinał, niczym kompensujący nawyk, pasję do wymyślania przezwisk. W zawodzie wykonywanym w połowie przez twardzieli udających łagodnych baranki i łagodnych baranki udających twardzieli Dickson stanowił osobną kategorię: twardziela udającego łagodnego baranka udającego twardziela. Pił whisky niemal nieustannie, tak jakby nią oddychał, ale nie było widać po nim żadnych

efektów. Spodziewano się, że pewnego dnia ktoś zastanie Dicksona nieżywego przy jego biurku. Slider nie mógł się zdecydować, czy będzie wtedy szczęśliwy, czy smutny.

- Witajcie, wszyscy. Witaj, Norma - rzucił radośnie Dickson, obdarzając ją widokiem garnituru swoich białych zębów. W odpowiedzi spojrzała na niego spode łba. - Siadajcie. Mamy dzisiaj dużo spraw do omówienia.

Zanim dotarli do sprawy morderstwa Anne-Marie Austen, minęło sporo czasu. Slider opowiedział, do czego doszli do tej pory, a potem pałeczkę przejął Dickson.

- Powiem ci, że władze nie są zbyt szczęśliwe z powodu tej sprawy. Dwa dodatkowe trupy i nic konkretnego, czego można by się chwycić. Jeśli chodzi o śmierć Thompsona, wydział „N” chce wiedzieć, czy uważamy ją za część tej samej operacji. Rozumiem, że tak? W porządku. Będą musieli odwalić swoją robotę we współpracy z Athertonem. A teraz co trzeba sprawdzić przede wszystkim?

- Ślad prowadzący do Birmingham - wykorzystał sytuację Atherton. - Wiemy, że panna Austen jeździła tam regularnie. Oprócz tego pozostaje kwestia mieszkania, które tam wynajmowała, a na które nie powinno ją było teoretycznie stać. Mógłbym...

- Dobra - przerwał Dickson. - Bill, ty się tym zajmiesz. Zabierz z sobą kogoś. Atherton, jesteś naszym muzycznym geniuszem. Zajmij się sprawą tych cholernych skrzypiec. Nie wierzę, że nikt ich nie widział od tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Rozpracuj też tego gościa, Salomana.

-Tak jest, sir - odparł Atherton, przewracając oczami, tak by Slider widział.

- Beevers, ty zajmiesz się ciotką dziewczyny. Nie znają tam jeszcze twojej twarzy. Dowiedz się, kogo zna, gdzie

chodzi, gdzie była tamtej nocy, po co jeździła do Londynu. To mała wioska, nie powinieneś mieć problemu ze skłonieniem ludzi do mówienia. Co jeszcze?

-Jestem przekonany, że za wszystkim stoi jakaś duża organizacja, sir - oznajmił Slider.

- Wiem o tym i muszę przyznać, że mnie też pachnie to jakąś mafią, ale nie mamy żadnego dowodu na to, iż nie był to po prostu jeden bezduszny morderca.

- Nacięcia na jej stopie, sir. Czy wiadomo coś więcej na ich temat? - Dickson nie odpowiedział od razu. Slider wpatrywał się w niego z uwagą. - Ponieważ wyraźnie miała jakieś kontakty z Włochami, zastanawiałem się, czy nie chodzi o Rodzinę. Te nacięcia mogą wskazywać na rytualne zabójstwo.

Zapadła krótka, pełna napięcia cisza. Twarz Dicksona nie wyrażała żadnych uczuć, jego oczy wpatrywały się w przestrzeń.

- Nie mogę nic na ten temat powiedzieć - rzekł obojętnym tonem. - Nikt nie miał nic do powiedzenia na temat litery T.

- A może to inicjał mordercy? - wtrącił gładko Ather-ton.

- Może - zgodził się Dickson.

- Mam pewną sugestię, sir - rzucił szybko Slider. Twarz Dicksona znowu przybrała wyraz obojętności. - Bez względu na to, czy za morderstwem stoi organizacja, czy też jeden człowiek, uważam, że śmierć Thompsona miała za zadanie wszystko wyjaśnić: morderstwo, przyływ skruchy i samobójstwo. Zastanawiam się, czy nie byłoby dobrze dać mordercy lub mordercom do zrozumienia, że kupiliśmy tę bajeczkę. Jeśli pomyślą, że przestaliśmy za nimi węszyć...

- Co z panią Gostyń? - przerwał Atherton.

-Wypadek. Może zresztą rzeczywiście był to wypadek - rzekł Slider.

- Musielibyśmy nakłonić do współpracy prasę - powiedział Dickson. - Może jednak rzeczywiście coś to da. Zgadzam się. W porządku, dopilnuję tego.

Slider skinął głową w podzięcie, chociaż w głębi duszy czuł się dziwnie nieusatisfakcjonowany. W spolegliwości Dicksona było coś, co kazało mu pomyśleć, że wszystko zostało już dawno ustalone przez kogoś innego. Coś się działo. Ostrożnie zapuścił sondę.

- Co ze śladem włoskim, sir? Z kuzynem Mario? Czy jeśli chodzi o niego lub dom na Paradise Alley, możemy liczyć na jakąkolwiek współpracę?

Twarz Dicksona zaczerwieniła się z gniewu.

- Myślę, że masz już wystarczająco dużo spraw do załatwienia. Musisz się dowiedzieć, gdzie została zabita, skąd wziął się pentotal i co zabójcy zrobili z jej ubraniem, a to dopiero początek. Poza tym, kim jest ten gość, który według O'Flaherty'ego kręci się w okolicach komisariatu? Czy ma coś wspólnego ze sprawą?

- Nie wiem... - zaczął Slider, ale Dickson przerwał mu w pół zdania.

- Widzę, że niewiele wiesz! - ryknął niczym wściekły lew.

- Informuję cię i radzę, żeby wszyscy obecni wzięli sobie moje słowa do serca. Pewne osoby na górze są bardzo niezadowolone z przebiegu całego dochodzenia. Lepiej będzie, jeśli zabierzemy się do sprawy porządnie i osiągniemy wreszcie jakieś rezultaty. - Uniósł się niczym gwałtownie wypiętrzające się Andy, przez chwilę spoglądał na wszystkich gniewnie, a potem na jego twarzy pojawił się groteskowo ojcowski



uśmiech. - Tylko bądźcie ostrożni, dobrze? Nie pracujecie tu po to, żeby ktoś strącił wam te wasze makówki.

Wyszedł z pokoju żwawym krokiem, utwierdzając Slidera w przekonaniu, że coś się kroilo, a on miał pozostać poza kręgiem wtajemniczonych. Dickson udał atak wściekłości po to, aby uniknąć pytań, na które nie był gotowy udzielić odpowiedzi. Pozostali pracownicy wydziału zaczęli jednak szurać krzesłami i mamrotać pod nosem, jakby uznali, że ich szef jest w złym humorze i właśnie udzielił nagany całej klasie.

- Syndrom pieczarki - rzucił Beevers, jakby dopiero co na to wpadł. - Należy nas trzymać w ciemności i obrzucać gównem.

- Bardzo oryginalne, Alec - powiedziała uprzejmie Norma.

Beevers uśmiechnął się do niej pod wąsem.

- Jest jednak pewna teoria, na którą nikt do tej pory nie wpadł.

- Poza tobą, ma się rozumieć?

- Oczywiście! Thompson został zamordowany przez leworęcznego chirurga, tak? John Brown, menedżer orkiestry, to kompletny wariat i przypominam, że mieszka z niejakim Trevorem Byersem, który, tak się składa, jest chirurgiem w szpitalu Świętej Marii. Załóżmy, że Austen szantażowała ich obu, aż wreszcie doprowadziła ich do granicy wytrzymałości i ją zabili. Thompson mógł się jakimś cudem o tym dowiedzieć, więc musieli się pozbyć również i jego.

- Spojrzał triumfalnie na resztę policjantów.

Norma przycisnęła ręce do piersi i wyszeptwała:

- Genialne!

- Ten pomysł z mafią to idiotyzm! - ciągnął Beevers, akceptując jej uznanie. - Może i dziewczyna przemyciła

do kraju stradivariusa, ale nie mamy żadnego dowodu, że nie zrobiła tego dla siebie albo że robiła to więcej niż raz. Z całym szacunkiem, szefie, to wszystko jest zbyt niezręczne jak na robotę profesjonalisty. Jak nic, wygląda mi to na amatorską robotę.

- Mózg i oryginalność - zauważyła Norma. - Bez nich do niczego nie dojdiesz.

- Beevers dojdzie - skomentował Atherton.

-Zrób, co tylko możesz, ale bądź ostrożny, na litość boską - ostrzegł Slider. - Nie zachowuj się jak burak, bo napłyną skargi na wydział.

- Zostaw to mi, szefie - powiedział Beevers wyraźnie zadowolony. Delikatnie, na paluszkach, wstał i ruszył w kierunku drzwi. - Muszę was teraz opuścić, kochani moi.

Czas, abym...

- ...zaczął biegać po całym mieście, szczerząc się z radości niczym wariat? - dokończył pytająco Atherton.

- Co takiego? - spytał Beevers.

- To cytat z psalmu pięćdziesiątego dziewiątego - oznajmił Atherton.

- Cóż, jestem baptystą\* - odparł Beevers niewzruszenie, obdarzając go pełnym wyższości uśmiechem.

Ku zdumieniu Slidera, Norma zgłosiła się, żeby pojechać z nim do Birmingham. Potem okazało się, iż zna to miasto dość dobrze, ponieważ mieszkała tam przez kilka lat. Ponieważ Slider nie mógł zabrać ze sobą Joanny, z przyczyn zawodowych i dlatego, że musiała pracować, ucieszył się z towarzystwa posterunkowej Swilley. Odpoczywał w jej towarzystwie, a poza tym uważał, że

\* *Baptyści nie uznają psalmów.*

Norma jest najlepszym gliniarzem z wydziału „F” i zdecydowanie przyjemniej było patrzeć na nią niż na mapę Birmingham.

-Wiesz, gdzie to jest? - spytał, podając jej adres mieszkania Anne-Marie. Martinowi Cuttsowi udało się go jakoś sobie przypomnieć i teraz Slider zaproponował, żeby bliżej się przyjrzeć temu miejscu i jeśli to możliwe, porozmawiać z pozostałymi lokatorami.

- O tak. To część nowego projektu rozwojowego w centrum miasta. Dość elegancki, trochę jak Barbakan, kiedy jeszcze był w modzie. Drogie mieszkania, ale bardzo wygodne dla typowych miastowych.

Miejsce to okazało się wysokościowcem ze stali i szkła, beznamiętnie odbijającym pochmurne niebo. Slider spojrział w górę i zmrużył oczy.

- Zapewne widok z góry jest wspaniały. Zastanawiam się, gdzie jest wejście.

- Dobrze ukryte - rzekła Norma, kiedy skręcili za drugi róg budynku. - Zastanawiam się, czy oni kiedykolwiek dostają jakąś pocztę.

Znaleźli drzwi po obejściu trzeciego rogu. Były zrobione z przyciemnianego szkła, z dużym guzikiem wzywającym ochronę. Kiedy zadźwięczał sygnał brzęczyka, popchnęli szklaną tafłę i znaleźli się w przedsionku, którego nie powstydziałaby się centrala międzynarodowego konsorcjum. Wysoki na cztery piętra, wyłożony hektarami miękkiego szarego dywanu Ściany, które nie były szklane, zostały wyłożone boazerią. W chromowanych tubach z szybami tkwiły sztuczne rośliny, a kolumna stojąca w samym centrum zawierała prawdziwe drzewo, wyglądające na bardzo zażenowane swoją obecnością w tym miejscu.

- Niech mnie - rzuciła Norma ze szczerym uznaniem.
- Widziałeś to?

Powędrowali w kierunku umundurowanego strażnika, który stał za ogromnym, obitym mahoniem kontuarem w kształcie bardzo nieregularnego trapezu, zaprojektowanego w ten sposób nie tylko ze względu na funkcjonalność. Obfitość całego tego bogactwa nieco ich przytłoczyła, co zapewne zresztą było zamierzonym efektem.

- Pomyśl tylko o czynszu! - wyszeptała Norma.
- Taryfach za prąd itp. I opłatach za konserwację.
- To nieprzyzwoite, żeby płacić za to wszystko - doszła do wniosku Norma.

Strażnik spoglądał na nich zaniepokojony, kiedy zbliżali się do jego stanowiska. Zanim Slider zdążył zaprezentować swoją legitymację, wyprostował się służbiście i rzucił:

-Policja, sir? Tak myślałem. Kim są państwo zainteresowani?

Rozbawiło to Slidera.

- Ma pan tu wielu kłopotliwych mieszkańców?
- Nie, sir, wcale nie. Żadnych kłopotów, chociaż policja często tu przychodzi i wypytuje mnie o różne rzeczy. - Jego lewa powieka zadrgała.

- Chcemy zasięgnąć informacji o pewnej młodej kobiecie, która mieszkała tutaj około osiemnastu miesięcy temu. Panna Austen.

- Panna Austen? Ach, tak, sir, mieszka pod numerem 15D, w jednym z penthouse'ów. Bardzo przyjemna.

Wyglądało na to, że nie dotarła tu wiadomość o jej śmierci. Poza tym najwyraźniej Anne-Marie nie zrezygnowała z mieszkania po wyjeździe z Birmingham.

- Penthouse, powiada pan? - spytał. - To musi sporo kosztować. Wie pan, ile wynosi czynsz za ten apartament?

Zachowując profesjonalną dyskrecję, strażnik zapisał sumę na kartce z notatnika i podał ją Suderowi. Detektyw spojrzał i zatkało go, a zaglądnąca mu przez ramię Norma jęknęła:

- Auć!

- Jak długo panna Austen tutaj mieszka? - spytał Slider.

- Około czterech lat, tak przypuszczam. Mogę to dla pana sprawdzić.

- Czy miała kiedykolwiek problemy z płaceniem za wynajem?

- To nie moja działka, sir, ale szczerze wątpię. Gdyby tak było, agenci pojawiliby się tu w mgnieniu oka. Co takiego zrobiła panna Austen, jeśli wolno spytać?

- Niestety umarła.

- Och. Tak mi się właśnie wydawało, że nie widziałem jej od jakiegoś czasu - odparł strażnik całkiem poważnie. Oto i epitafium dla tej enigmatycznej kobiety, pomyślał Slider.

- Pamięta pan, kiedy ostatnio tu była?

Strażnik potrząsnął głową.

- Na pewno dobre kilka tygodni temu. Nie widywałem jej zresztą zbyt często, ale tak to jest w takich budynkach. Ludzie starają się nie zwracać na siebie uwagi. Poza tym nie ma nic niezwykłego w lokatorach wracających do domu lub wychodzących. Obcego oczywiście zaraz bym zauważył. Wiecie państwo, jak to jest.

- Co z gośćmi?

- Ktokolwiek przychodzi tu z wizytą, musi najpierw zameldować się przy kontuarze. Zapisujemy wszystko w księdze gości, zanim zadzwonimy po mieszkańca. Względy bezpieczeństwa. Możecie przejrzeć notatki, jeżeli chcecie.

Oczywiście jeżeli lokator przyprowadza kogoś ze sobą, niczego nie zapisujemy.

- Rozumiem. No dobrze, zajrzę do tych ksiąg, ale przedtem chciałbym zobaczyć mieszkanie denatki. Ma pan klucz, jak rozumiem?

- Tak, sir. Uniwersalny. Obawiam się, że muszę was wpuścić osobiście. Takie przepisy.

- Może pan opuścić swoje stanowisko?

- Na pięć minut tak, sir. Zamykam wtedy zewnętrzne drzwi. Jeżeli ktoś chce wejść do budynku, musi zadzwonić, co słyszę dzięki temu. - Poklepał słuchawkę przenośnego telefonu przyczepioną do biodra.

- Właściciele budynku są chyba bardzo czuli na punkcie bezpieczeństwa?

- Cóż, sir, w tym wieżowcu mieszka wielu wpływowych ludzi.

- Czy panna Austen też do nich należała?

- Tego nie wiem, sir. Nie wyglądała na taką osobę. Na początku myślałem, że jest kochanką kogoś ważnego, ale chyba nie była tego rodzaju kobietą. Przypuszczam, że to córka kogoś wysoko postawionego.

Lśniaca czystością, cicha winda pachniała bogactwem, a drzwi do penthouse'u były wykonane z litego drewna z miedzianymi okuciami i imponującym zestawem zamków, rygli i łańcuchów.

- Nie będziemy już pana dłużej zatrzymywać - powiedział uprzejmie Slider, kiedy strażnik otworzył drzwi i stanął z wahaniem na progu. - Może pan wierzyć, że pozostawimy wszystko w zastanym porządku.

- Oczywiście, sir. Kiedy już skończycie, proszę do mnie zadzwonić na portiernię. Przyjdę wtedy i zamknę drzwi. Tu-

taj jest telefon wewnętrzny, ten biały. Jeżeli będziecie czegoś potrzebowali, też proszę dzwonić.

Odszedł. Norma weszła do środka i cicho gwizdnęła.

- Rany gościa! Zupełnie jak w *Dallas*. Skąd ona wzięła pieniądze na to wszystko?

-Thompson podejrzewał ją o przemyt. Beevers myśli o szantażu.

- Niemożliwe. Musiało to być coś większego i dużo bezpieczniejszego. Handel narkotykami? - W odpowiedzi Slider tylko wzruszył ramionami. - Dlaczego zatrzymała to mieszkanie po wyjeździe do Londynu?

- Może to był jej dom - zasugerował Slider zamyślony.

Dom. Coś, co dla Anne-Marie było dość obcym pojęciem, to określenie nie bardzo pasowało do tego miejsca. Norma miała rację, twierdząc, iż wygląda to niczym wnętrza posiadłości z *Dallas*. Było niczym plan filmowy, całkowicie nierealne, urządzone kosztownie, lecz bez krzty indywidualności, zimne, bezosobowe. Slider obszedł je powoli, dotykając rzeczy i przyglądając się im lekko zmartwiony. Białe puszyste dywany, widok na Birmingham z ogromnych okien, białe skórzane kanapy, ogromne łóżko ze śliską satynową pościelą, meble z drewna tekowego i mosiądzu, *masywny* stolik do kawy z blatem wykonanym z grubej tafli szkła, dobrze wyposażony barek i bezosobowe, kosztowne współczesne obrazy na ścianach.

Nic tutaj nie wyglądało na prawdziwe. Całe mieszkanie wydawało się jednym wielkim przekrętem. Slider pomyślał, że w taki sposób bardzo niedoświadczona osoba mogłaby sobie wyobrazić dom, gdyby była bardzo bogata - dziecięce marzenie o hollywoodzkiej rezydencji. Jego usta zaczęły się wykrzywiać w smutnym uśmiechu.

- Szefie? - Norma stała przy biblioteczce w rogu salonu. Kiedy Slider podszedł do niej, wręczyła mu egzemplarz *Kariery Emmy Hartę* Barbary Taylor Bradford.

-Jakiś czas temu nadawali ten serial w telewizji, pamiętasz?

- Tak - odparł Slider. - Irene zawsze go oglądała.

- Opowiada o pomocy kuchennej, która koniec końców zostaje szefem ogromnej firmy. Przy filmowaniu wykorzystali oryginalny budynek Harrodsa jako sklep, którego właścicielką została.

- Tak, słyszałem o tym.

- Od zera do fortuny - ciągnęła Norma. - Popatrz na inne pozycje. Wszystkie traktują o tym samym. Opowieści o bogatych, wpływowych kobietach. Współczesna proza eskapistyczna dla pań; luksusowa sceneria, bogate bohaterki, tak samo bezwzględne i ambitne jak mężczyźni, robiące fortuny i manipulujące życiem ich totumfackich.

-Tak. - Slider ponownie rozejrzał się po pokoju. - Wszystko się zgadza.

Teraz to widział. Wpatrzył się w rządę kolorowych, tandetnie wykonanych słodkich pożywek dla umysłu i zobaczył Anne-Marie - osieroconą w dzieciństwie, wychowaną przez ciotkę, która jej nie akceptowała i dla świętego spokoju wysłała do szkoły z internatem, a podczas wakacji szkolnych oddawała pod opiekę guwernantki. Zobaczył niekochane dziecko bez przyjaciół, potwornie samotne, być może czujące się nieudacznikiem, ponieważ nie potrafiło sprawić, aby ludzie je kochali. Uciekała w świat książek, gdzie wszystko układało się po myśli bohatera, gdzie niepopularna z początku bohaterka strzelała najważniejszego gola w meczu hokejowym i stawała się ulubienicą całej szkoły,



gdzie biedna dziewczyna ratowała życie jakiegoś człowieka i w nagrodę dostawała własnego konia. Potem, w wieku dojrzewania, być może sięgała po mocniejsze wrażenia, romanse, w których bohater zdejmował okulary z nosa zwykłej dziewczyny i mówił z zachwytem: „Mój Boże, ależ ty jesteś piękna!”. Jako młoda kobieta zaspokajała się wata cukrową lat osiemdziesiątych - sagami o wpływowych kobietach.

W jakiś sposób w jej życiu pojawiła się pokusa, szansa na prowadzenie ekscytującego życia pełnego intryg i na zarabianie ogromnych sum pieniędzy. Szansa na stanie się tym, kim chciała być - bogatą, odnoszącą sukces, wpływową kobietą. Dlaczego miałyby odmówić? Wprawdzie był to nielegalny biznes, ale co z tego? Anne-Marie nikogo nie obchodziła, a zatem komu wyrządziłaby krzywdę swoją nieuczciwością? Może nawet cieszyła ją myśl o odegraniu się na praworządnych ludziach z jej dzieciństwa, którzy nie potrafili obdarzyć jej miłością.

Odwrócił się od regału z książkami i wyobraził sobie Anne-Marie samotną w tym lśniącem, sterylnym apartamencie, karmiącą swą próżność i pragnienie bogactwa iluzjami rodem ze szmatławych czytadeł, walczącą z rosnącym poczuciem, że to wszystko ułudą, że jej nowi „przyjaciele” tylko ją wykorzystują, w rzeczywistości zaś wcale ich nie obchodzi. Czy to dlatego tak nagle zapragnęła wyjść za Thompsona i położyć rękę na majątku, żeby uwolnić się z sideł, w które sama wpadła? Żałosna próba. Ludzie, z którymi się związała, byli dużo bardziej bezwzględni niż jakikolwiek bohater powieści. Nie pozwoliliby jej się tak łatwo wywinąć. W ostatnim momencie zdała sobie z tego sprawę.

Slider przypomniał sobie, co mówił Martin Cutts na temat swego ostatniego spotkania z Anne-Marie, kiedy

widział ją zrezygnowaną. Być może, skoro życie tak mało o nią dbało, aż do ostatniej chwili nie broniła się przed myślą o śmierci.

Stał z książką w ręku, wpatrując się pusto w przestrzeń, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że coś przyciąga jego uwagę, niepokojąc go, gdzieś na skraju podświadomości. Pozwolił temu czemuś wypłynąć na powierzchnię umysłu. Stał naprzeciwko otwartych drzwi od kuchni, kolejnego wypieszczonego pomieszczenia z kolekcją stylizowanych sosnowych szafek, blatów z białego marmuru i wiszących szafek z oprawnymi w ołów szklanymi drzwiczkami. Przez szkło ostatniego kredensu, tuż naprzeciwko siebie dostrzegł niepokojąco znajomy kształt o przypominającym mu coś kolorze.

- Tak - rzucił. Gwałtownym ruchem podał książkę Normie, podszedł do szafki i otworzył ją. Stała w rogu, znajoma puszka z dziwnym obrazkiem rumianych wieśniaków, dobrego drzewa oliwnego i wielkimi literami VIRGIN GREEN. Chwycił puszkę triumfalnie i obrócił w dłoniach.

- To jest to - powiedział. - Virgin Green.

- Co to jest, sir? - spytała Norma bez większej nadziei na uzyskanie odpowiedzi. Znała nastroje szefa i wiedziała, że w obecnej chwili w jego głowie działo się wiele, ale nic z tego nie wypłynie na zewnątrz.

-Virgin Green. To musi być nasze połączenie - powiedział, a potem zobaczył coś jeszcze, coś nowego, czego do tej pory nie dostrzegł albo przynajmniej nie zanotował w umyśle. Nazwa i adres producenta, zapisane bardzo małymi literami z tyłu puszki, na samym dole: Olio d'Italia, 9 Calle le Paradiso, Firenze.

Zaczął się śmiać w głos.

Atherton zatrzymał się na Bond Street przed sklepem Vinceya i pozwolił sobie na minutę zadziwienia. Był to wiekowy lub bardzo udanie stylizowany antykwariat, cały w mahoniu, ze złotymi literami na szyldzie i ascetyczną wystawą. Z drewnianego drążka zamontowanego w połowie wysokości okna zwisała ciężka zasłona z niebieskiego aksamitu, zasłaniając przed przechodniami widok wnętrza sklepu. Jej dolna część była podwinięta i elegancko udrapowana, tworząc miękkie łoże dla jedynej przedmiotu na wystawie - szesnastowiecznej lutni na mahoniowej podstawie.

Wewnątrz sklepu panował półmrok. Pachniało tu kurzem i pieniędzmi. Podłogę pomiędzy drzwiami a staroświeckim kontuarem ciągnącym się na całą szerokość sklepu pokrywał stary turecki dywan w przyciemnionych kolorach rubinu i brązu. Na ścianach wisiało kilka masywnych, staroświeckich gablot zawierających dziwnie nieinteresujące antyczne instrumenty. Atmosfera panująca w sklepie była zatechle dostojna i wymuszała natychmiastowy szacunek. Atherton przypuszczał, że owe starodawne instrumenty muszą kogoś interesować, inaczej Vincey nie mógłby egzystować. Niemniej cały ten interes wydał mu się nader niepewny, zwłaszcza biorąc pod uwagę czynsz i wszelkie opłaty manipulacyjne na Bond Street.

Kiedy otwierał i zamykał drzwi, w pomieszczeniu rozległ się cichy odgłos dzwonka. Zanim dotarł do kontuaru, spoza zasłoniętych storami drzwi prowadzących do piwnicy wynurzył się mężczyzna i spojrzał na niego uprzejmie. Był mały i przygarbiony, miał na oko sześćdziesiąt pięć lat, chociaż jego twarz wydawała się młodsza za sprawą błyszczących ciemnych oczu, schowanych za okularami w złotych

oprawkach, oraz ogromnego haczykowatego nosa. Miał przerzedzającą się siwą czuprynę z dużym różowym plackiem łysiny na szczycie głowy, na którym tkwiła haftowana jarmułka. Ubranie mężczyzny było skromne, żeby nie powiedzieć nędzne, powyciągane i szare - jakby w ten sposób starał się zamaskować swoją tutaj obecność, zlać z mrocznym, cienistym tłem sklepu. Kiedy się nie ruszał, tylko oczy zdradzały jego pozycję.

- Pan Saloman? - spytał Atherton, chociaż ani przez chwilę nie wątpił, że ma przed sobą tego, kogo szukał. Jeżeli jakikolwiek człowiek na świecie miałby wyglądać jak Saloman, był to właśnie stojący przed nim mężczyzna.

- Saloman od Vinceya - odparł, jakby to był tytuł szlachecki. Jego dłonie, przylegające do bioder, teraz uniosły się i spoczęły na kontuarze, dotykając go tylko opuszkami palców. Miał pofałdowane, zbiele pazurek starego człowieka, wąskie palce i błyszczącą, zbrązowiałą skórę dłoni, jakby patynowaną przez lata pracy ze starym drewnem. Kiedy dłonie Salomana spoczęły na kontuarze, Atherton odniósł dziwaczne wrażenie, że wspięły się tam same, aby móc mu się lepiej przyjrzeć. Trochę go to zdenerwowało i zanim odezwał się ponownie, musiał odetchnąć parę razy dla uspokojenia.

- Dzień dobry - rzucił na tyle radośnie, na ile potrafił.

- Mógłby mi pan powiedzieć, czy miał pan kiedykolwiek do czynienia z tą młodą damą?

Saloman nie od razu spojrział na przedstawioną mu fotografię. Najpierw zlustrował twarz Athertona, a kiedy wreszcie jedna z jego dłoni odlepiła się od kontuaru i popęzła w jego kierunku, Atherton poczuł, że jego ręka cofa się z niechęcią na myśl o kontakcie z wąskimi, zbrązowiałymi na końcach, niemal nieludzkimi palcami antykwariusza. Sa-

loman wziął zdjęcie, przyjrzał mu się w milczeniu, podczas gdy przyglądający mu się Atherton stwierdził, że za fasadą podstarzałego, zubożniałego człowieka z haczykowatym nosem krył się bystry umysł, który właśnie w tej chwili rozważał wszelkie wyjścia z tej sytuacji i zastanawiał się, czy lepiej będzie znać widniejącą na zdjęciu kobietę, czy też nie. Tak, zdecydowanie jestem na jakimś tropie, pomyślał Atherton, instynktownie kojarząc i dedukując, co uważał za cechę dobrego detektywa.

- Owszem, znam tę kobietę - odparł wreszcie Saloman, zwracając fotografię tak ostatecznym gestem, jakby właśnie wypowiedział ostatnie słowo na ten temat. Zgodnie z zamierzeniem zmyliło to Athertona, który szybko musiał wymyślić kolejne pytanie.

- Czy może mi pan powiedzieć dokładnie, gdzie i w jakich okolicznościach ją pan poznał?

Nie było to właściwie pytanie i Saloman uśmiechnął się jak rozsądny człowiek.

- Czy mogę? - Wzruszył ramionami. - Dlaczego miałbym móc? Kto pyta? Młody człowieku, nie przedstawił mi się pan jeszcze.

Była to gra, którą obaj znali nader dobrze. Atherton zadawał sobie bowiem sprawę, że wyglądał jak typowy policjant. Wyciągnął legitymację służbową. Saloman przyjrzał się jej długo i z taką uwagą, jakby właśnie komponował muzykę do tego „dzieła”. Wreszcie oddał ją sierżantowi.

- Tak - powiedział. - A zatem chodzi panu o tę młodą damę.

- Owszem. Powiedział pan, że ją zna.

- Pewnego dnia przyniosła tutaj skrzypce, innego zaś dwa smyczki. Wyceniłem je dla niej, a wtedy spytała mnie, czy

nie kupiłbym ich od niej. Zrobiłem to, a potem sprzedałem je z zyskiem. W ten sposób robię interesy. Mam nadzieję, że to nie przestępstwo? A teraz proszę mi powiedzieć, co chce pan wiedzieć. Czy ta dziewczyna w końcu wpakowała się w kłopoty?

- Dlaczego pan tak sądzi?

Saloman uśmiechnął się łagodnie.

- Ponieważ jest bardzo ładna i bardzo młoda. Koniec końców życie dopada pięknych i młodych ludzi, inaczej jak miałyby uczynić zadość sprawiedliwości wobec starych i brzydkich. Co takiego zrobiła?

- Nic nielegalnego, zapewniam pana - odparł Atherton, uśmiechając się wbrew sobie. - Przypomina sobie pan może, kiedy odbyły się owe transakcje?

- Czy pamiętam? Nie. - Saloman wzruszył ramionami.

- Przypuszczam jednak, że prowadzi pan rejestr sprzedaży i kupna?

- Oczywiście, że tak. Jestem biznesmenem. Płacę podatek dochodowy i VAT. Co pan sobie wyobraża?

- Czy mógłby pan zatem zajrzeć do swojego rejestru i powiedzieć mi, kiedy dokonał pan tych transakcji? - poprosił zdeterminowany Atherton, starając się być precyzyjny.

Saloman uśmiechnął się niczym drapieżnik, wyciągnął spod lady wielką księgę i zaczął ją przeglądać od końca, strona po stronie, bardzo powoli. Atherton mógł tylko czekać bezsilnie. Pomyślał, że jego przygotowanie jest równie dobre jak Salomana.

Było to długie oczekiwanie. Kiedy Saloman przebrnął przez wszystkie stronicę księgi, zamknął ją, wyciągnął następną i zaczął wszystko od nowa. Wreszcie, po upływie pół

godziny, zamknął księgę tak gwałtownie, że w powietrze wzbił się mały obłoczek kurzu.

- W październiku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku sprzedała mi guaneriusa. W marcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego smyczki, peccatte i tourte ze złotym wykończeniem. To właśnie pan chciał wiedzieć?

- Czy podała panu swoje nazwisko?

- Jest tutaj, w księdze. Panna A. Austen.

- W październiku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku, kiedy przyszła do pana ze skrzypcami, czy wiedziała, ile są warte?

- Gdyby to wiedziała, po cóż miałaby mnie prosić o wycenę?

Atherton zgrzytnął zębami.

- Jak zareagowała, kiedy powiedział jej pan, ile są warte?

- Kto to pamięta? - Saloman wzruszył ramionami. - Niektórzy klienci są zadowoleni, inni nie. Nie pamiętam.

- Ale pamięta pan pannę Austen, tak?

- Była piękną młodą kobietą z cennymi skrzypcami.

- Jak cennymi? He pan jej za nie dał?

Saloman pochylił głowę nad księgą, chociaż z pewnością pamiętał cenę.

- Trzysta tysięcy funtów.

- A smyczki?

- Sto tysięcy za oba.

- Później sprzedał pan owe przedmioty z zyskiem, tak?

- Oczywiście. Na tym polega mój biznes.

- Czy panna Austen kiedykolwiek przyniosła panu stradivariusza? - Atherton spojrzał prosto w oczy Salomanowi. Czyżby zauważył lekki błysk? Nie był pewien.

-Nie.

-Jest pan pewien?

-Jestem pewien.

- Czy zapytał pan ją, skąd wzięła guarneriusa i smyczki?

-Nie.

- Nie spytał pan? Nie poprosił pan jej o okazanie dowodu własności?

Antykwariusz westchnął z lekkim wyrzutem.

- Ludzie mają różne rzeczy. Po co miałbym żądać dowodu, iż należą do nich? Być może była to pamiątka rodzinna. Skrzypce to nie rolex, mój drogi młodzieńcze. Policja przekazuje mi aktualną listę skradzionych instrumentów i na te zawsze mam baczenie. Jeżeli czegoś nie ma na owej liście, mogę to sprzedawać i kupować, nie sądzi pan? - Przechylił głowę pytająco, ale Atherton słyszał wiszący w powietrzu śmiech. Osiem zbrązowiałych palców zawieszonych na brzegu kontuaru triumfalnie wyszczerzało zęby w uśmiechu. Nie masz na nas absolutnie nic, mówiły. Nie możesz nas tknąć.

- Dziękuję, był pan niezwykle pomocny - powiedział wreszcie Atherton.

- Zawsze służę pomocą policji.

-Jeszcze jedna rzecz. Czy mógłby mi pan na jakiś czas wypożyczyć pańskie rejestry?

- Potrzebuję ich do prowadzenia interesów - zaprotestował Saloman, ale bez specjalnego nacisku.

- Oddam je panu jutro. Jestem przekonany, że poradzi pan sobie przez jeden dzień.

Saloman skinął powoli głową na zgodę i przesunął księgę po kontuarze w kierunku sierżanta. Brązowe palce były w nią wczepione do samego końca.



- Bardzo panu dziękuje - powiedział Atherton. Odwrócił się z wahaniem, czując dziwaczną niechęć do pozostawienia Salomana za plecami. Szybko pokonał krótki odcinek między kontuarem i drzwiami. Na zewnątrz Bond Street nigdy nie wyglądała tak promiennie, lekko i cudownie. Będzie teraz musiał resztę dnia spędzić na przeglądaniu tych cholernych rejestrów i znaleźć coś ciekawego. Cokolwiek wyszpera, Atherton wiedział, że nie będzie to dowód, najwyżej ślad, sugestia. Saloman był niezłym spryciarzem. Nie popełnił nawet błędu, zaprzeczając jakiegokolwiek znajomości z Anne-Marie, co przekonało Athertona bardziej niż cokolwiek innego, że miał do czynienia z profesjonalnym kryminalistą.

RS

## Rozdział 14

### KOGO BÓG CHCE ZGUBIĆ, TEGO CZYNI BOGATYM

Menedżerem orkiestry miejskiej z Birmingham, czyli tak zwanym naganiaczem, była Ruth Chrisholm, zdrowa ładna kobieta z lisią czupryną, jasnymi policzkami i bladymi, świdrującymi oczami. Dostarczyła Sliderowi odpowiedzi, którą spodziewał się usłyszeć.

- Nie znałam Anne-Marie Austen zbyt dobrze. Nie sądzę, że ktokolwiek ją znał. Trzymała się na uboczu. Tak naprawdę... - Zawahała się lekko. - Sądzę, że nie bardzo jej się podobało w orkiestrze.

- Z jakiego powodu? - spytała Norma.

- Przede wszystkim krążyły plotki, że dostała tę pracę po znajomości. Podobno ktoś bardzo wpływowy porozmawiał z dyrekcją i wprowadził ją do zespołu. Nie wiem, czy była to prawda, czy nie, ale z pewnością nigdy nie była na przesłuchaniu, co jest dość niezwykle dla skrzypków. Nie dziwota, że nieco grała ludziom na nerwach. Sami oczywiście zrobiliby wszystko, żeby wprowadzić do orkiestry swoich znajomych, ale jeśli coś takiego przytrafia się komuś

innemu, rzucają się na nieszczęśnika niczym wygłodniałe piranie. W teorii muzycy powinni się cenić za zdolności muzyczne, ale w praktyce tak nie bywa i wszyscy dobrze o tym wiedzą.

- Czy panna Austen nie była wystarczająco dobra? - spytała Norma.

- Ależ nie, była bardzo dobrą skrzypaczką i wspaniale zgrała się ze swoją sekcją, co jest rzadkością. W dzisiejszych czasach wszyscy chcą być solistami, a to nie pomaga, kiedy w sekcji zasiada szesnastu skrzypków i wszyscy powinni brzmieć jednakowo. Anne-Marie doskonale potrafiła się dopasować do grupy, to znaczy pod względem muzycznym.

- Ale nie towarzyskim, tak?

- Cóż, podam panu przykład. Anne-Marie miała mieszkanie w pobliżu centrum miasta. Powinna być bardzo popularna wśród kolegów. Czasem ludzie potrzebują wyskoczyć gdzieś blisko, w przerwie między próbą a koncertem. Anne-Marie nigdy nie zaprosiła nikogo do siebie. Ludzie powiadali, że była sztywna, nieprzystępna.

- Czy była majątna? - spytał Slider.

- Muzyk? Chyba pan żartuje!

- Myślałem, że pochodziła z zamożnej rodziny.

Ruth Chrisholm potrząsnęła głową na znak, że o niczym takim nie wie.

- Czy znała pani przyjaciół Anne-Marie? - spytała Norma. - Z kim się prowadziła?

Zanim Ruth zdołała odpowiedzieć, przeszkodził im starszy mężczyzna w uniformie portiera, który podszedł chyłkiem do ich grupki i konspiracyjnie kaszlnął.

- Przepraszam najmocniej, sir. Pan jest inspektorem Sliderem, czy tak? Telefon do pana. Gdyby zechciał pan pójść

za mną, przełączę rozmowę do budki telefonicznej. - Ściszył głos i mrugnął do inspektora. - W ten sposób będzie miał pan całkowitą prywatność.

Slider spojrział na Normę i skinął głową na znak, żeby kontynuowała rozmowę. Sam poszedł za starcem. Chwilę później rozsiadł się z lekkim obrzydzeniem w budce telefonicznej, w której ktoś przed chwilą palił cygaro. Była to jedna z rzeczy, za które bezwzględnie karałby ludzi śmiercią. Zadzwoił telefon. Slider odebrał. Dzwonił Nicholls.

- Bill? Witaj, mój drogi. Mam dla ciebie pilną wiadomość od twojej sikorrrrki. - R w ostatnim wyrazie wymówił tak wyraźnie i długo, że Slider miał trudności z jego zrozumieniem.

- Ach, masz na myśli pannę Marshall? - spytał niewinnie. Nicholls zaśmiał się w głos.

- Jeśli jej twarz jest tak ładna, jak jej głos, jesteś cholernym szczęściarzem. W każdym razie oto co mi powiedziała. Pracowała dzisiaj cały dzień z niejakim Martinem Cuttsem. Coś ci mówi to nazwisko? - Slider poczuł znajome ukłucie zazdrości i chrząknął ponuro. Jeden dzień. Tylko jeden dzień! - Rozmawiali o panie Austen i wygląda na to, że Cutts wie, jaki był jej przystanek docelowy w Birmingham. Ma to dla ciebie jakiś sens?

- Tak, tak. Mów dalej.

- Dobra. Podobno ta Austen kiedyś uprosiła Cuttsa, żeby ją ze sobą zabrał, kiedy wybierał się do Birmingham. Ponoć jej samochód się wtedy zepsuł. Poprosiła go wtedy, żeby zawiózł ją na Tutman Street.

- Tutman. - Slider zapisał nazwę w notatniku.

- Tak jest. Cutts mówi, że kiedy czekał na moment, gdy będzie się mógł włączyć z powrotem w ruch drogowy,

zobaczył ją w lusterku wstecznym. Oddalała się od niego wzdłuż ulicy. Wyglądało na to, że doskonale wie, dokąd zmierza.

- To wszystko?

- Uhm. Przyda ci się na coś?

- Być może. To więcej, niż udało się nam uzyskać do tej pory, czyli nic. *Nada, niente.*

- Ależ ty jesteś słodki. - Nicholls się zaśmiał. - Nikt już tak nie mówi. Mam coś przekazać twojej kobiecie?

- Jest tam? - spytał żarliwie Slider, czując, jak jego serce gwałtownie przyspiesza, a tysiąc motyli zaczyna nagle wykonywać gwałtowne manewry w jego żołądku. Czuł się jak nastolatek.

- Nie, jest w pracy. Zadzwoiła podczas przerwy, żebyśmy mogli ci przekazać tę wiadomość, kiedy nadal byłeś na miejscu. Sprytna kobieta, co?

- Joanna jest wspaniała. W porządku, Nicholls, dzięki. Zadzwonię do niej później i podziękuję osobiście.

- Jeszcze jak. Powiem jej to, jeżeli jeszcze zadzwoni.

- Nie spłosz jej. A tak przy okazji, jak się miewa twoja mama?

- Dużo lepiej, dzięki. Jutro wychodzi ze szpitala, na szczęście. Mam już dość opiekowania się Onanem. To straszny śmierdziel.

- Onanem? - spytał Slider, czując, że daje się podpuścić.

- Jej papugą. Na razicho, Billy. Miłego polowania. Ucałowania dla Normy.

Slider wynurzył się z ulgą na „świeże powietrze” zatęchłego korytarza za kulisami i wrócił do rozmawiających z ożywieniem Normy i Ruth Chrisholm. Technika posterunkowej była niesamowita, jak zresztą zdołał to już

wcześniej zaobserwować. Uniosła brew, kiedy do nich dołączył, i przekazała mu pałeczkę.

- Czy Anne-Marie nie przyjaźniła się przez jakiś czas z Martinem Cuttsem? - spytał Slider.

- Przyjaźniła? - Ruth się skrzywiła. - Cóż, nie nazwałabym tego w taki sposób. Spotykali się ze sobą przez jakiś czas, dopóki Martin nie odszedł z orkiestry i nie wyjechał do Londynu. Nie było to jednak nic poważnego. Z Martinem nie da się związać na poważnie. Zmienia kobiety jak rękawiczki.

Slider domyślił się, że Ruth również była ofiarą Cuttsa. Nie spodobało mu się to.

- Czy wie pani, gdzie jest Tutman Street?

- Około pięciu minut stąd piechotą. To jedna ze starych bocznych uliczek w centrum, których jeszcze nie przebudowano.

- Czy jest tam jakiś sklep muzyczny albo coś, co byłoby atrakcyjne dla muzyka?

- Nic o tym nie wiem. Jest tam dużo sklepów spożywczych i tym podobnych. Nic szczególnego, naprawdę.

- Rozumiem, dziękuję. - Slider zakończył rozmowę i kilka minut później był już na ulicy z Normą, przekazując jej informację od Joanny.

- Może wcale nie zatrzymała się na Tutman Street - zauważyła. - Może po prostu było jej tak po drodze.

- Zdaję sobie sprawę, że to niepewny ślad, ale nie mamy nic innego.

Norma wyglądała na zadowoloną z siebie.

- Tak, zwłaszcza że Ruth powiedziała mi, iż Anne-Marie nie grała z orkiestrą z Birmigham od zeszłego lipca.

- Co takiego?

- Właśnie to. Kłamała. Ruth powiedziała, że niby dlaczego mieli ją tu zapraszać, skoro mają mnóstwo miejscowych skrzypków. W jakimkolwiek celu Anne-Marie jeździła do Birmingham, to nie po to, żeby grać w orkiestrze.

- Mam nadzieję, że jednak jej celem było coś na Tutman Street. Och, tak przy okazji - przypomniało mu się nagle.

- Dlaczego ktokolwiek miałby nazwać papugę Onanem?

Na twarzy Normy wykwitł szeroki uśmiech.

- Przypuszczalnie dlatego, że nieustannie rozsiewa nasienie.

Dobrotliwy Bóg Slidera sprawił, że Tutman Street okazała się dość krótką ulicą. Mimo wszystko czekała ich długa i ciężka praca, ponieważ musieli zajrzeć do wszystkich wybudowanych tu domów i pomieszczeń.

- Zajmij się tamtą stroną, ja wezmę tę - powiedział. Była to wąska uliczka pełna wiktoriańskich domów i sklepów, zniszczona i zaniedbana, chociaż gdyby leżała w Islington lub w okolicach Kings Cross, zarząd miasta rzuciłby się natychmiast, żeby ją wyremontować i odrestaurować. Tutaj jednak ucierpiała na bliskości prężnie rozwijającego się współczesnego centrum i przez ogólne zaniedbania urbanistyczne.

O drugiej przechwycił Normę w połowie roboty i zabrał do baru na lunch.

- Musimy się posilić.

- Powiedz mi szczerze, szefie, naprawdę sądzisz, że mamy jakieś szanse? - spytała nad hamburgerem, frytkami i fasolką.

- Mówisz, jakbyś była głosicielem odnowy religijnej.

- Nie no, pytam poważnie.

- Nie no, poważnie to nie, nie sędzę. Ci ludzie nie popełnili zbyt wielu pomyłek, ale chyba na tym to polega, nie sądzisz? Robimy, co w naszej mocy, i to musi wystarczyć.

- Żółw wygrywa wyścig?

-Tylko wtedy, gdy zając uderzy w kimono, a szczerze powiedziawszy, zawsze uważałem, że to dość nieprawdopodobna historia.

Norma umoczyła frytkę w kałuży keczupu.

- Myślę, że Anne-Marie tylko przechodziła przez Tutman Street. To dość blisko do Malborough Towers, gdzie przecież mieszkała. Pewnie szła na skrót do domu.

- Tak, wiem, ale musimy wszystko sprawdzić.

Późnym popołudniem Norma wreszcie trafiła na jakiś ślad. Spotkała się ze Sliderem za rogiem i rzuciła bez tchu:

-Właściciel tamtego sklepu papierniczego rozpoznał Anne-Marie ze zdjęcia. Powiedział, że często chodziła na zakupy do sklepu spożywczego kilka domów dalej. Jego żona twierdzi, że sprzedają tam szczególny rodzaj oliwy importowanej w beczkach i trzeba na nią przynieść własne naczynie. Podobno Anne-Marie często tam chodziła z zieloną puszką.

Slider milczał, marszcząc brwi w zamyśleniu.

- Myślałam, że będziesz skakał z radości - rzekła z wyrzutem Norma.

- Za każdym razem, kiedy w polu widzenia pojawia się ta cholerna oliwa, nie wiem, czy się cieszyć, czy płakać - powiedział, wzdychając. - No dobrze, chodźmy to sprawdzić.

Spożywczy okazał się jednym z tych małych lokalnych sklepików przerobionych na supermarket za pomocą podwójnego stelażu do wystawiania towarów i kasy przy



drzwiach. Na pierwszy rzut oka nie było w nim nic szczególnego: sterta powyginanych koszyków, wyliniałe warzywa, usiane brązowymi plamami jabłka w kartonowych pudełkach, wypełniona paczkami Lean Cuisine, French-bread Pizzą i chilli con carne zamrażarka rozpaczliwie potrzebująca rozmrożenia, lodówka zawierająca poklejony, ciekący jogurt i opakowania twardej jak podeszwa szynki, podłoga pokryta popękaną terakotą i gruba warstwa kurzu na mniej popularnych rzędach puszek i butelek.

Slider wszedł do środka sam i przespacerował się wzdłuż sklepu, udając, że czegoś szuka. Kiedy dotarł do końca i odwrócił się, aby ruszyć w kierunku kasy, coś zaniepokoiło jego umysł detektywa. Było coś nietypowego w tym pomieszczeniu. Właściciel, który pojawił się nie wiadomo skąd, stał przy kasie, obserwując go. Nie był Azjatą, tylko białym mężczyzną w średnim wieku. Jeśli chodzi o stereotypy z dzieciństwa Slidera, idealnie przypominał starego dobrego pana Baldergammona, który prowadził wiejski sklep. Był tęgawym, zaróżowionym, łysawym, przyzwoicie wyglądającym jegomościem w schludnym brązowym fartuchu. Gdyby grali w serialu telewizyjnym, z pewnością nosiłby czystutki biały fartuch sprzedawcy, a jego oczy lśniłyby dobrotliwie zza oprawianych w złote ramki okularów.

Slider podszedł do niego czujnie.

- Czym mogę panu służyć? - spytał sklepikarz.

- Szukam oliwy z oliwek, proszę pana. - Slider spojrzał mu w oczy, zimne jak lód.

- Właśnie pan ją minął. Górna półka po prawej stronie, na samym końcu sklepu - odparł cierpko.

Slider uśmiechnął się przyjaźnie i uniósł pytająco brew. Ta akurat mina całkiem nieźle mu wychodziła.

- Ach, tak naprawdę szukam specjalnej oliwy. Moja przyjaciółka zaprosiła mnie kiedyś na obiad, kuchnia włoska, rozumie pan. Powiedziała, że bardzo dużo zależy od oliwy. Oczywiście zapytałem, jakiej używa. Virgin Green, śmieszna nazwa, nie sądzi pan?

- Mamy tylko to, co jest na półkach - odparł chłodno sklepikarz.

Slider uśmiechnął się nieco przymilniej.

- Moja przyjaciółka twierdziła, że sprzedajecie tu ową oliwę z beczki, jak piwo. Pomyślałem więc, że skoro jestem w sąsiedztwie, wstąpię i zapytam, czy nie mógłbym trochę dostać.

- Nie sprzedajemy już oliwy z beczki - uciął właściciel sklepu.

-Jestem przekonany, że moja znajoma zaopatrzyła się w kolejną porcję dość niedawno. Jest pan pewien, że nie ma pan zupełnie nic? Nawet na zapleczu?

Mężczyzna podświadomie przeniósł wzrok na drzwi, które zapewne prowadziły do magazynu. Było to zaledwie mgnienie oka i sklepikarz szybko się opanował, ale skóra na głowie Slidera zaczęła go swędzić od nagłego napięcia, jakie zapanowało między nimi. Niemal słyszał turkotanie i stukanie trybików w mózgu sklepikarza.

- Powiedziałem, że już nie sprzedajemy tej oliwy. Nie rozchodziła się dobrze, była mało opłacalna.

- Czy w takim razie mógłby mi pan powiedzieć, skąd pan ją wziął?

- Z Włoch - odparł zniecierpliwiony. - Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze? - Pytanie było niemal agresywne i z pewnością należało je zinterpretować jako „spadaj”.

- Och, nie, nie. To wszystko, dziękuję - odparł Slider, niemal wcielając się w Uriaha Heepa. Wyszedł ze sklepu,

a sprzedawca zatrzasnął za nim drzwi. Usłyszał charakterystyczne ciche kliknięcie przekręcanego plastikowego szyl-du. „Zamknięte”, głosił teraz. Slider ruszył na poszukiwanie Normy z pieśnią zwycięstwa na ustach.

Spotkał ją w wyznaczonym miejscu za rogiem. Wydawała się całkowicie pochłonięta doprowadzaniem twarzy do porządku za pomocą chusteczki i lusterka kieszonkowego. Miała zmierzwione włosy i lekko przekrzywiony kołnierzyk.

- Jakiś sukces? - spytał, przyglądając się jej uważnie. - Mam nadzieję, że się nie narażałaś.

- Na zaplecze sklepu prowadzi wąska alejka. Wysoki mur, ale to żadne wyzwanie dla byłego nauczyciela WF-u.

- Wzruszyła ramionami. - Betka.

- Nigdy nie byłaś nauczycielką wf-u - przypomniał jej surowym głosem Slider. - Widziałaś coś?

- Drzwi były zamknięte na zamek, a okno zablokowane. Tak przy okazji, potwornie brudne. Mimo wszystko udało mi się podciągnąć i zerknąć do środka. To zwykły magazyn, pełen pudeł i innych gratów. Na półkach jednak dostrzegłam około dwudziestu takich samych puszek oliwy jak ta, którą znaleźliśmy w mieszkaniu Anne-Marie.

Slider westchnął z czystego zadowolenia.

- Popełnili błąd. W końcu popełnili błąd. Mały, to prawda, ale jednak! Mój Boże.

- Jak ci poszło?

- Praktycznie rzecz biorąc, wyrzucił mnie ze sklepu. Powiedział, że nie sprzedają już tej oliwy ze względu na rzekomy brak popytu. Chyba go nieźle przestraszyliśmy - przerwał i pociągnął nosem. - W co ty wdepnęłaś?

- Nawet nie chcę o tym myśleć - odparła Norma, wycierając podszwę o krawężnik. - Tamto podwórze to chyba

jakiś kurort brudasów. Naprawdę myślisz, że wpadliśmy na jakiś trop?

- Jestem tego pewien. Taki sklep jak ten nigdy nie odmówiłby sprzedaży czegoś, co mają w magazynie. Chodź, moja piękna, postawię ci drinka. Musi tu gdzieś być w pobliżu pub.

-Wszystko mi jedno, gdzie pójdziemy, byle to miejsce miało toaletę, gdzie będę mogła się doprowadzić do porządku.

-Thompson miał rację - rzucił triumfalnie Atherton, kiedy Slider wszedł do biura. - Anne-Marie była przemytniczką!

- A gdzie się podziało: „Dzień dobry, kochanie, czy dobrze dzisiaj spałeś?” - Slider uśmiechnął się kokieteryjnie.

- Całą noc spędziłem na wczytywaniu się w rejestry i wykazy bankowe Anne-Marie. Znalazłem pomiędzy nimi wiele zadziwiających zbieżności - ciągnął Atherton niewzruszenie.

- Wiesz co, przestałeś być taki zabawny jak kiedyś - zaczął marudzić Slider. - Jakie znowu rejestry?

- Salomana od Vinceya. Wykazuje bardzo interesującą aktywność. To zdumiewające zobaczyć, jakie obroty robi ten sklep, zwłaszcza kiedy się tam było i widziało pustki, jakimi świeci.

- Na Bond Street trzeba mieć dobre obroty - zauważył Slider.

-Wiem, wiem, ale popatrz na te liczby. Saloman przyznał się do kupienia od Anne-Marie jednej pary skrzypiec w październiku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku. Imię, nazwisko i adres, wszystko się zgadza. A te-

raz popatrz na wykaz z banku. - Slider pochylił się nad ramieniem przyjaciela i spojrzał na ciąg cyfr wskazywany przez jego długi palec. - Zapłacił jej trzysta tysięcy funtów, swoją drogą dość wysoką sumę jak na tamte czasy, tak przynajmniej uważa mój przyjaciel z Sothebyego. Panna Austen zdeponowała w banku cztery tysiące pięćset. W marcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku Saloman kupuje od niej dwa smyczki łącznie za sto tysięcy, a ona wpłaca na konto tysiąc pięćset. - Spojrzał na Slidera.

- Chyba nie muszę ci mówić, że obie te sumy reprezentują dokładnie półtora procent od ceny sprzedaży?

- Nie, mój drogi. Co się jednak stało z resztą pieniędzy?

- Oto jest pytanie. Moim zdaniem kuzyn Mario przekazywał jej przedmioty, które ona przewoziła do kraju, sprzedawała Salomanowi i po odliczeniu swojej doli wysyłała resztę pieniędzy... komuś.

- Komuś? - spytał surowo Slider.

Atherton zmierzwił włosy.

- Nad tym się jeszcze porządnie nie zastanowiłem

- przyznał.

Slider przyglądał się jego czuprynie.

- Tylko się z tobą drażnię.

- Posłuchaj, możemy to pchnąć dalej. Nazwisko Austen pojawiło się w księgach tylko dwukrotnie, ale za każdym razem, kiedy dokonywała wpłat na swoje konto, w rejestrze została zanotowana duża transakcja u Vinceya. Czasami sumy nie zgadzają się co do pensa, ale przecież od czasu do czasu mogła potrzebować gotówki na bieżące wydatki. To akurat nie problem. Nazwiska używane do zaksięgowania owych zakupów nigdy się nie powtarzają. Może powinniśmy je sprawdzić.

- Przypuszczalnie użyli prawdziwego nazwiska dwukrotnie, żeby upewnić się, iż Anne-Marie jest całkowicie wplątana w sprawę i nie wyda ich po jednym razie - rzekł Slider.

- To dość prawdopodobne. Nie ma powodu, dla którego nie miałyby mieć dobrych skrzypiec i pary smyczków na sprzedaż, ale więcej takiego sprzętu wzbudziłoby podejrzenie. Wiemy jednak, że nie jeździła na tournée częściej niż raz w miesiącu.

- Nie musiała wcale wyjeżdżać z orkiestrą. - Atherton wzruszył ramionami. - Tak długo, jak zabierała ze sobą jedno skrzypce, a przywoziła z powrotem drugie, była bezpieczna. Przecież wiemy, że często brała urlop, teoretycznie po to, żeby brać udział w innych koncertach.

-To prawda. Wiemy również, że nie grała w orkiestrze miejskiej w Birmingham, w przeciwieństwie do tego, co twierdziła.

-Zastanawia mnie tylko, jakim sposobem dostarczali Anne-Marie z powrotem jej własne skrzypce. Slider wzruszył ramionami.

- Mogli je przesłać legalnymi kanałami. Musieliby jedynie zapłacić cło i VAT, znikomą sumę w porównaniu z wartością skrzypiec, które szmuglowała do Anglii.

- Tylko na czym polegał przekręt, szefie? Skrzypce były sprzedawane otwarcie Salomanowi od Vinceya. Wydawałoby się, że jeżeli cokolwiek nie grało z tym układem, zostałyby wykryte już dawno temu. Przecież u Sotheby'ego o wszystkim wiedzieli.

- Musimy ich sprawdzić, podobnie jak tę firmę produkującą oliwę z oliwek i sklep na Tutman Street. Mam jednak przeczucie, że wszyscy okażą się kryształowo czysti. Muszą, jeżeli mają być w jakikolwiek sposób użyteczni dla mafii.

-Włoski łącznik. - Atherton uniósł brwi. - Naprawdę sądzisz, że to sprawka Rodziny?

- Założę się, że tak. Sprytnie zaplanowany sposób prania brudnych pieniędzy i przekazywania ich do Włoch, gdzie mogły być użyte otwarcie i legalnie. Oczywiście Anne-Marie odgrywała w tym wszystkim zaledwie pomniejszą rolę, była małym trybikiem w ogromnej maszynie. Kiedy zaczęły się kłopoty, po prostu ją usunięto.

-Tak, ale kto to zrobił? Nadal nie mamy pojęcia, kto właściwie ją zabił.

- Kiedy dowiemy się, jak, dowiemy się również, kto - odparł Slider, chociaż bez przekonania. - Obawiam się jednak, że ta kwestia może się okazać najmniej istotna dla sprawy. Chyba będzie lepiej, jeżeli pogadam teraz z Dicksonem. Zrób mi kopię tych notatek o pieniądzach, dobrze?

Kiedy Atherton wrócił z odbitkami notatek, oparł się wdzięcznie o ścianę obok biurka Slidera, anektując jedyną płamę światła słonecznego w gabinecie.

- Wygląda na to, że od początku miałeś rację, szefie. Postawiłem na złą kartę z tym Thompsonem. Zastanawiam się jednak, czy kiedykolwiek uda nam się dowieść, że cały ten biznes był nielegalny.

- Wątpię - odparł Slider, nie podnosząc głowy znad papierów. - Na tym właśnie polega pranie brudnych pieniędzy.

- Skoro jednak cała rzecz jest oszustwem, powinna istnieć możliwość zdemaskowania oszustwa.

- W świecie idealnym.

- Może uda się nam mimo wszystko posadzić ich na podstawie domniemania. Posłuchaj, popracowałem

nad tym jeszcze trochę. Z wyciągów bankowych wynika, że Anne-Marie musiała przekazać około dwóch milionów funtów do sklepu na Tutman Street. Jak się niby z tego rozliczyli? Oliwa z oliwek kosztuje, powiedzmy, trzydzieści funtów za puszkę...

- Co takiego?

- O tak. - Atherton był zadowolony, że zaskoczył partnera. - Oliwa z oliwek z pierwszego tłoczenia jest bardzo droga. W Sainsburym mała buteleczka kosztuje dwa funty. No dobra, jeśli policzymy trzydzieści funtów za puszkę, musieliby mieć rekordową sprzedaż sześćdziesięciu siedmiu tysięcy puszek rocznie, żeby rozliczyć się z takiej sumy. Oznaczałoby to około stu osiemdziesięciu sprzedanych puszek dziennie. Wyobrażasz sobie, żeby taki mały sklep potrafił przehandlować tyle oliwy z oliwek?

- Domniemanie nie jest dowodem. Poza tym założę się, że akurat ten problem rozwiązali bez pudła. Nie musieli wpisywać wszystkich przychodów do ksiąg rachunkowych sklepu, a jeśli nawet, mogli rozłożyć tę sumę na różne towary. Poza tym nie wiemy nawet, czy Anne-Marie dostarczała pieniądze właśnie im.

- Nie, ale przecież po coś tam chodziła.

- Nawet jeśli uda ci się przygwoździć jeden sklepik, będzie to zaledwie małe draśnięcie dla całego systemu. Nie wyobrażasz sobie chyba, że dwa miliony funtów były szczytem ich ambicji, co?

- Zacytuję twoje słowa: „Robimy, co w naszej mocy, i to musi wystarczyć”. Twój problem polega na tym, że wszystko bierzesz zbyt poważnie. Nawet jeśli uda się posadzić za kratkami jedno małe gówno, świat staje się lepszym miejscem.



- Dziękuję ci, Wielka Księgo Przysłów - odparł Slider nie bez pewnej goryczy.

Zaciągnęła ciężkie zasłony w kolorze porto, odgradzając ich od posepnego wieczoru. Rozpaliła w kominku i blask płomieni wydobył z półmroku czające się tam przedmioty, zwiększając tylko efekt jaskini Aladyna, nadawany przez czerwony turecki dywan oraz wielkie poduchy na kanapie i fotelach.

- Spóźniłeś się. Miałeś kłopoty?

- Przyjechałem od strony ronda i przez jakiś czas krążyłem po ulicach, spoglądając w lusterko wsteczne.

- Mam nadzieję, że to tylko paranoja.

- Środki ostrożności, tym bardziej uzasadnione, że widzieli teraz moją twarz. - Chwycił ją w ramiona i pocałował. Wydawało mu się, że od ostatniego razu minęły całe wieki.

Po dłuższej chwili potarła dłonią jego krocze i rozochociona zauważyła:

- Przynajmniej zawsze nosisz twardego instrument przy sobie.

- Nie zawsze. Tylko kiedy jestem z tobą.

- Och, potrafisz powiedzieć takie miłe rzeczy biednej dziewczynie. - Odchyliła głowę i spojrzała na niego z leniwym uśmiechem. - Chcesz zjeść teraz czy później? Zdecyduj się szybko, bo za chwilę coś może się przypalić.

Roześmiał się.

- Jesteś taka prostolinijna. To cudowne.

- Zdrowe. A więc?

- Wyłącz gaz - poprosił.

Dużo później rozsiedli się przy kominku i zjedli stek z sałatką awokado, a potem gorgonzolę, popijając ją rully. Joanna była cudownie, bezwstydnie naga.

- Oszczędzam w ten sposób na serwetkach - oznajmiła. Slider włożył majtki, ponieważ dywan kłuł go w pośladki.

- Zmieniłeś się - zauważyła ze zdumieniem - i to w tak krótkim czasie. Naszej pierwszej nocy byłeś taki zamknięty w sobie, niepewny. Nigdy czegoś takiego nie zrobiłeś.

- To ty mnie zmieniłaś. - Poglaskał ją po ramieniu.

- I wcale nie jesteś biała. Już bardziej w kolorze masła.

- Solonego czy niesolonego?

- Pure Jersey.

- To tylko ogień z kominka - odparła, przekręcając głowę, żeby pocałować jego dłoń. Slider uśmiechnął się i potrząsnął głową. Wszystkie jego zmysły wydawały się wyostrzone, odczucia spotęgowane. Smak jedzenia i wina, błogie ciepło promieniujące z kominka i rozlewające się na jego skórze, cienie rzucane przez przedmioty w świetle płomieni, ciche trzaskanie brykietów, tykanie zegara, lekkie pobrzękiwanie sztućców o talerze - wszystko wydawało się zintensyfikowane, bardziej materialne i namacalne, niż gdyby został nagle przeniesiony w świat paradygmatów. Może zresztą tak było - w końcu był zakochany.

Rozmawiali o niczym i stopniowo Slider milkł coraz bardziej, oddając pole Joannie. Poruszyła kilka tematów, a kiedy byli już przy serze, spytała go o postępy w śledztwie.

- Czekamy na raporty w sprawie sklepu i Vinceya. Nie przypuszczam jednak, że dużo nam one wyjaśnią. Jeżeli Anne-Marie była związana z wielką, wpływową organizacją, nie sądzę, żebyśmy mogli oskarżyć ich o jej zamordowanie. Na pewno zatarli za sobą ślady.

- Czy to cię właśnie martwi?

- Najbardziej martwi mnie to, że jeśli mam rację, moi przełożeni uznają, że Anne-Marie jest nieważna. W dzisiejszych czasach ludzie znaczą dużo mniej niż pieniądze.

- Och, Bill! - Uśmiechnęła się i pochyliła, dotykając jego kolana. - To nic nowego. W zasadzie jest wręcz przeciwnie. Dopiero w dzisiejszych czasach ludzie zaczęli dostrzegać, że uważanie niektórych ziomków za mniej cennych niż pieniądze jest złe. Pomyśl o czasach wiktoriańskich. Pomyśl o starożytnym Rzymie, o każdym innym momencie w historii.

Nie wyglądał na przekonanego, więc zmieniła temat i opowiedziała mu o swoim dniu i okropnym dyrygencie, którego musieli znosić. Dorzuciła parę muzycznych anegdot, na które Slider próbował zareagować rozbawieniem, a kiedy mu się to nie udało, zamilkła. Poczł się winny i próbował naprawić sytuację, kochając się z nią ponownie. Po raz pierwszy nie mógł jednak tego zrobić. Długo po tym, jak Joanna zaakceptowała nieuniknione, on nadal próbował, aż w końcu powiedziała łagodnie:

- Nie ma sensu się zmuszać. Pewnych rzeczy nie da się przeskoczyć.

Slider przekręcił się na bok, oparł na łokciu i spojrzł na nią. To był minus nadwrażliwej świadomości - wszystko bolało dwa razy bardziej.

- Przepraszam - rzucił bezradnie.

- Nie powinieneś zaczynać. Przez to jesteś teraz smutny.

- Nie chciałem... nie chciałem, żebyśmy byli rozdzieleni.

-Właśnie takie podejście nas rozdziela. Na miłość boską, jeżeli chcesz być smutny w moim towarzystwie, nie ma sprawy, zrób to! Nie musisz mnie zabawiać za wszelką cenę. Nie musisz dawać z siebie wszystkiego.

Wyciągnął dłoń i dotknął kosmyka zmierzwionych włosów

- Wiem.

- Nie, nie sądzę, żebyś to wiedział. Odwiedzanie mnie tutaj jest dla ciebie jak... och, no nie wiem, jak przychodzenie do kogoś na podwieczorek, jakbyś nadal był dzieckiem. Garniturek, nienaganne maniery, wyrwanie się z codzienności, bułeczki i dżem. Nie jestem dla ciebie kimś realnym.

- Jesteś! - rzucił zaskoczony. - Jesteś najbardziej realną osobą w moim życiu.

- W takim razie powinieneś się wobec mnie zachowywać naturalnie. Jeżeli czujesz się przygnębiony, nie ukrywaj tego.

- Ale to nie byłoby uczciwe w stosunku do ciebie.

Odsunęła się od niego gwałtownie i usiadła.

- Uczciwe w stosunku do mnie! Co niby jest uczciwe w stosunku do mnie? Uważasz, że co teraz robisz? Kiedy tu jesteś i tak się składa, że jesteś w dobrym humorze, sądzisz, że to właśnie jest uczciwe?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - powiedział bezradnie.

-Widzę. To dlatego, że nie masz ochoty pomyśleć. Powiedz mi, gdzie spędzisz dzisiejszą noc?

- W domu oczywiście - odparł niezadowolony.

- Oczywiście!

- Przecież o tym wiesz. Co innego mogę zrobić?

- Nic. Absolutnie nic. Zapomnij. Tylko nigdy więcej nie wspominaj o uczciwości. - Wstała gwałtownie, smutna lub zraniona, Slider nie był pewien, co nią powodowało. Stała tyłem do niego, opierając się na ugiętych ramionach o kominek.

-Joanno, nie rozumiem. Myślałem, że chcesz, żebym tutaj był. Nie chcę cię ranić. Jeżeli moja obecność tutaj cię krzywdzi, przestanę przychodzić - spróbował.

- Och, na litość boską! Dziękuję za hojną ofertę wyboru.

Nie wiedział, co jeszcze może powiedzieć.

- Lepiej będzie, jeżeli już pójdziesz. Teraz już możemy się tylko bardziej pokłócić.

Nie, pomyślał. Nie mógł znieść myśli, że zostawi ją teraz, w taki sposób. Zawahał się przez długą chwilę, a potem podszedł, położył jej dłonie na ramionach i obrócił ją twarzą do siebie. Miała suche, lśniące oczy. Spoglądała na niego pytająco, uważnie, jakby chciała zobaczyć, ile zrozumiał z tego wszystkiego. Nie było tego wiele.

- Kiedy byłam dzieckiem, w niedzielne popołudnie, około piątej, moja mama zawsze nakręcała zegar w salonie - powiedziała nagle. - Był to bardzo sugestywny dźwięk. Pod zlewem w kuchni był odpływ, z którego pachniało bardzo starym zielonym płynem do mycia naczyń. Cegły, z których zbudowano dom, pachniały jak karmel, kiedy rozgrzało je słońce. Nikt jednak nie będzie mówił takich rzeczy o żadnym z moich domów. Wiję swoje gniazdko, ale nic w nim nie rośnie.

Slider nadal nie rozumiał, ale mądrze unikając słów, pocałował ją w czoło, oczy i usta. Po chwili zareagowała. Położyli się na dywanie i zaczęli kochać, tym razem bez problemów.

- Uważasz, że to załatwi sprawę? - wymamrotała w pewnym momencie. Slider zanotował to mgliście, ale oczywiście nie rozumiał.

- Kocham cię - odparł. - Kocham cię - powtórzył, a potem jeszcze raz. Nie użył jej imienia, bo była z nim

połączona, stanowiła część jego istoty. Po wszystkim leżał ościęzły niczym kłoda w jej ramionach, niezdolny do wykonania ogromnego wysiłku, aby się poruszyć.

- Lepiej już pójdę - powiedział wreszcie.

- Nie ma sensu. Równie dobrze możesz zostać. Wprowadzić się i zaoszczędzić na benzynie.

- Nie mogę - odparł automatycznie. Powiedziała to poważnie czy tylko żartowała? Przestraszył się odnowienia kłótni, ale Joanna odparła tylko:

- Wiem.

- Nie wydajesz się przekonana.

- A czego ode mnie oczekujesz? Pisemnej gwarancji?

- spytała, lecz bez urazy. - Idź już, ty głupku. Wracaj do swojej fabryki klonów.

- Oto sprawozdanie na temat firmy Olio d'Italia - rzucił Dickson, wskazując Sliderowi krzesło. Zapach whisky wisiał w powietrzu niczym woń wody kolońskiej. - Nasi włoscy przyjaciele przeprowadzili śledztwo z pewną niechęcią, co samo w sobie potwierdza twoje podejrzenia, Bill. Na dnie każdego stawu jest szlam i zazwyczaj lepiej nie grzebać w nim patykami. Mimo wszystko wysłali nam raport, mniej więcej taki jak oczekiwałeś.

- Och - odparł Slider. Czasami to, że miało się rację, wcale nie było miłe.

- Olio d'Italia ma centralę na Calle le Paradiso czy jak to tam się wymawia. Prowadzone jest przez Gino Manettię...

- Kuzyna Mario - rzucił Slider. Dickson spojrzał na niego pytająco, ale nie czekał na odpowiedź.

- Firma jest filią Prodiutto Italian. Tylko popatrz, jakie zmyślane nazwy tworzą ci ludzie. Jest to ogromny koncern

międzynarodowy eksportujący różnego rodzaju włoskie produkty spożywcze: oliwę, makarony, pomidory, oliwki, sery, winogrona, suszone owoce, co chcesz. Szefem firmy-matki jest niejaki Arturo Manetti. Co za niespodzianka, nie sądzisz? Mieszka w ogromnej willi na wzgórzach koło Florencji. Fantastyczne miejsce, jak mi powiedziano. Służba, szkolone do ochrony psy, uzbrojeni strażnicy, ogrodzenie pod napięciem, co tylko chcesz. Arturo jest wujkiem Gina. Kompania ma wiele filii, wszystkie prowadzone przez jego krewnych. Oczywiście powodem, dla którego lokalna policja nie chciała zajmować się tą sprawą zbyt szczegółowo, jest to, iż Arturo jest lokalnym *capo*.

- Rozumiem. - Wszystko to z minuty na minutę okazywało się coraz gorsze.

- W każdym razie prowadzą legalny interes, chociaż oczywiście to głównie prawda. Nie sprzedają oliwy z oliwek we Włoszech, zgodnie z naszymi przewidywaniami. W tym akurat wypadku chodzi wyłącznie o eksport, a dwoma największymi klientami są... no zgadnij?

- Anglia i Ameryka.

- Wielka Brytania i Stany Zjednoczone. Trafiłeś bez pudła. Ich obrót towarowy jest całkiem duży. Tylko w naszym kraju zarabiają dwieście milionów. To cholernie dużo oliwy z oliwek.

- Cholernie dużo ludzi lubi włoską kuchnię.

Dickson spojrzał na niego ostro.

- Stroisz sobie żarty?

- Nie, sir.

- Mam tu listę ich punktów sprzedaży. Niektóre to hurtownie, nie sądzę, żeby na liście znajdowały się wszystkie sklepy detaliczne. Muszą sprzedawać oliwę w jakiś sposób,

ale wątpię, żeby więcej niż dwa interesy były lewe - sam nie pozwoliłbym sobie na to, żeby ktoś w ten sposób prowadził mój biznes. Twój sklep na Tutman Street jest na liście, oczywiście z legalnymi dokumentami i tak dalej. Na papierze wygląda to niewinnie i pięknie, ale oczywiście niczego innego nie należało się spodziewać. Mają przecież swoich ludzi na całym świecie. Już oni wiedzą, jak znaleźć odpowiednich rekrutów.

- Zastanawiam się, kto zwerbował Anne-Marie - rzekł Slider. Dickson uniósł gwałtownie głowę.

- Z tego, co zrozumiałem, była zimną, pozbawioną emocji, ambitną małą dziwką. Idealny materiał, czyż nie? Albo to, albo Foreign Office. - Odchylił się na oparcie krzesła, które zatrzeszczało protestująco. - Drugi wątek, Vincey, jest jeszcze trudniejszy do przełknięcia. - Obrócił się razem z krzesłem i zrzucił przy tym plik dokumentów z biurka, zawadzając o nie łokciem. Zamknięcie go w ciasnej przestrzeni gabinetu było niczym wsadzenie słonia do składu porcelany. - Vincey prowadzą biznes od ponad stu lat, zawsze w tym samym miejscu, na Bond Street. Wszystko bez zarzutu, adres, szanowana klientela itp. Sklep wraz z jego renomą został zakupiony jedenaście lat temu przez agenta działającego z ramienia międzynarodowego konsorcjum zajmującego się handlem antykami, które ma za sobą ogromne pieniądze z Ameryki, z jakiejś nowojorskiej firmy z Park Avenue.

- Elegancja Francja.

- Dokładnie. Firma nazywa się AM Holdings, a jej prezesem jest niejaki Walter Fontodi.

- Oczywiście uczciwy do bólu, tak?

- Nieskazitelnie. - Dickson uśmiechnął się dziko. - Jeżeli miejscowym władzom udałoby się nakryć AM Holdings,



skakaliby pod sufit z radości, ale nie znaleźli jeszcze sposobu, żeby ich tknąć.

- Zatem Vincey to żadna nowość?

-Tak właśnie działają. Na tym polega piękno interesu rodzinnego. Na wszystko jest czas. Jeśli ty się nie dorobisz, zrobi to twój syn lub wnuk. Wszystko zostaje w cholernej rodzinie. To był żart.

Slider posłusznie wykrzywił usta w uśmiechu. Dickson zabujał się na krześle do tyłu i opadł na podłogę z łomotem, który wstrząsnął drewnianymi deskami.

- Kupują firmę z niesplamioną historią i prowadzą legalnie. Bardzo legalnie, podatki, czynsz, YAT, wszystko. Robią to przez całe lata, zanim zaczną używać tego miejsca do swoich celów. Chcą mieć szanowaną przykrywkę i stać ich na zapłacenie za to. Kupno Vinceya i prowadzenie go bez żadnego zysku przez kilka lat musiało ich zakosztować parę ładnych milionów, ale co to dla nich? Co roku manipulują sumami długimi jak numer telefonu. Pewnie odpisują to jakoś od podatku.

- Sklep Vinceya jest bardzo szanowany.

- Oczywiście. Przecież w końcu kupują i sprzedają antyki, a jeśli niektórzy z ich klientów są nieco lewi, to cóż z tego? Nigdy nie tykają skradzionych przedmiotów. Tak naprawdę są zapewne uczciwsi niż przeciętny kupiec. Powiedziano mi, że Saloman ma znakomite układy z lokalną policją.

- A kim jest Saloman?

-Ach, a to bardzo interesujący szczegół całej historii. Kiedy kupili firmę, była na sprzedaż, ponieważ jej dawny właściciel, prawdziwy Saloman, zmarł. Miał sześćdziesiąt lat i prowadził sklep od tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku. Najwyraźniej był fantastycznym człowiekiem,

prawdziwym ekspertem, wiedział wszystko o instrumentach strunowych i smyczkach. Sam w młodości był skrzypkiem koncertowym i to podobno całkiem niezłym. Z jakiegoś jednak powodu zrezygnował i zajął się działalnością handlową, specjalizując się w antykach.

Slider uniósł brwi.

- Masz na myśli, że obecny Saloman przejął nazwisko i reputację tego prawdziwego? Młodzieniec od Sotheby'ego wysłał Athertona do Salomana jako rzekomego eksperta od smyczków.

- Cudowne, nie sądzisz? Przypuszczam, że wszyscy wtajemniczeni wiedzieli, że stary Saloman umarł, ale pozostali, spoza kręgu, nie mieli o tym pojęcia, a w tej chwili nikt już pewnie nie pamięta tej historii.

- W takim razie kim jest nasz Saloman?

- Po pierwsze nie nazywa się Saloman. Nie jest nawet Żydem, chociaż nosi jarmułkę. To Włoch, Joe Novanto. Przybył tutaj podczas wojny, uciekając przed nazistowską okupacją. Zmienił nazwisko, stał się Josephem Neves, i zdobył posesję u Hillsa w Hanwell. Robił smyczki do skrzypiec, co, jak twierdził, było jego wyuczonym zawodem. Po zakończeniu wojny został w Anglii i dostał pracę u Vinceya.

- Czyli naprawdę potrafił to robić?

- O tak, to akurat było prawdą. Został zatrudniony do renowacji i naprawy smyczków oraz instrumentów, które przechodziły przez antykwariat. Pod okiem prawdziwego Salomana uczył się prowadzenia interesu. Szkolony przez prawdziwego eksperta. Kiedy stary umarł i firma została sprzedana, przejął jego imię, reputację, a nawet charakter. Oczywiście to, że pracował w tym miejscu tak długo, za-

pewne pomogło mu zamydlić ludziom oczy. Ludzie rozpoznawali go i z czasem jego fałszywa tożsamość została zaakceptowana jako prawdziwa. Poza tym nie sądzę, żeby wielu ludzi chodziło do takiego sklepu częściej niż raz w życiu.

- Oczywiście nowy Saloman dobrze znał starego i jego wszystkie tajemnice zawodowe.

- Pracował w zawodzie przez dwadzieścia pięć lat.

- Ale kiedy go zwerbowali? Jeżeli była to organizacja, która wykupiła Vinceya po śmierci starego, czy Neves był jednym z ich ludzi?

- Bóg jeden wie. Nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek do tego doszli. Jeżeli jednak chcesz znać moje zdanie, to owszem. Może cały ten biznes z tajnymi agentami mafii wydaje się naciągany, ale Rodzina tak właśnie działa. Na dużą skalę. Może sobie pozwolić na robienie planów, których wykonanie zajmie pięćdziesiąt lat, tak długo, aż twoi najbliżsi na tym zyskają. Powiedziałbym, że Neves czy Novanto, jak go zwał, tak zwał, był ich człowiekiem od samego początku, zanim jeszcze wyjechał z Włoch. Wysłali go tutaj na wszelki wypadek, gdyby wypłynęło coś, do czego może się przydać. Oczywiście nie mamy nic, za co możemy go przyskrzynić. Nie tylko wygląda na uczciwego obywatela, ale nim jest, może z wyjątkiem tego, iż używa nie swojego nazwiska, ale to akurat nie jest przestępstwo.

- W takim razie co robimy ze sprawą?

Dickson spojrział na niego uważnie i oparł mięsiste pięści na biurku, sprawiając wrażenie jeszcze bardziej masywnego. Mowa ciała? Dickson mógłby o tym napisać książkę, doszedł do wniosku Slider.

- Nie spodoba ci się to, co zaraz powiem, Bill Obawiam się, że nic nie zrobimy z tą sprawą. Zamierzają ją nam odebrać.

- Wydział Specjalny?

- Prowadzą własną operację związaną z Rodziną. Znają się na rzeczy. Daj spokój, nie ma sensu robić zawiedzionej miny. Chyba się tego spodziewałeś. Osobiście dziwię się tylko, że zostawili sprawę w naszych rękach aż tak długo.

- Co z Anne-Marie? - spytał Slider, oblizując spierzchnięte wargi.

- Cóż, to akurat trochę poboczny wątek, czyż nie? Poza tym była jedną z ich własnych operatorek. Najwyraźniej usunęli ją, kiedy zaczęła sprawiać kłopoty, a ponieważ sami sprzątnęli po sobie bałagan, nie możesz się spodziewać zainteresowania ze strony naszych chłopców. Mają do złowienia znacznie większą rybę i WS nie chce, żebyśmy włązili im w sprawę z ubłoconymi butami.

- Co z panią Gostyń i Thompsonem?  
Dickson wzruszył ramionami.

- Posłuchaj, wiem, jak się teraz czujesz, ale rozpracowanie mafii jest ważniejsze niż jakiegoś przeciętnego lokalnego operatora. Jeżeli będziemy grzebać w sieci, szukając mordercy, wystraszymy ich, zwiną interes i cała ciężka praca specjalnych zmarnowana. Poza tym nawet jeżeli odkryłbyś, kto jest mordercą tej Austen, założę się, że gość i tak już nie żyje. Rodzina nie toleruje błędów, co doskonale wiesz, a każdy, kto zwraca na siebie uwagę, przynosi im zawód. *Ipsofacto*. Wykończyli go, jak nic.

Slider nawet nie spojrzął na Dicksona. Naczelnny oparł na biurku łokcie i posłał mu zniewalające spojrzenie.

- Nie jest aż tak źle, Bill, daj spokój. Oficjalnie mamy polecenie, żeby zamknąć sprawę. Thompson zabił Austen,

a potem popełnił samobójstwo. Stara Gostyń to zwykły wypadek. Tak będzie zapisane w papierach. Będzie to dobrze wyglądało w naszym rozliczeniu.

- W naszym rozliczeniu? - spytał Slider z niedowierzaniem.

- Pozwolą nam zebrać pochwały za rozwiązanie sprawy, a ponieważ to ty odwalileś większość roboty, tobie przypadnie nagroda, Bill. Wszystko zostanie zapisane w twoich aktach. Zdobędziesz sporo punktów skautowskich, mój chłopcze. Niedługo sam zostaniesz drużynowym. - Dickson odchylił się na krześle z szerokim uśmiechem na twarzy, pozwalając Sliderowi na okazanie zaskoczenia, wdzięczności, skromności i nadziei, dokładnie w tej kolejności. Zasugerował zmianę; zmianę, na którą tak długo, całymi latami czekała Irene. Teraz stała przed jego oczami, złoty cielec, na wyciągnięcie ręki.

Slider wstał z krzesła.

- Czy to wszystko, sir?

Uśmiech Dicksona zniknął niczym słońce nagle zachodzące za chmurę. Jego twarz stwardniała niczym granit, a kiedy przemówił, jego ton był twardy i niecierpliwy:

- Odbieram ci sprawę. Zapomnij o wszystkim. To rozkaz, zrozumiałeś?

Kiedy w drodze do swojego gabinetu Slider mijał drzwi wydziału spraw kryminalnych, usłyszał wołanie Athertona. Zatrzymał się i zajrzał do środka, lecz bez zainteresowania. Był tam również Beevers. Siedział na biurku Athertona i czytał gazetę.

- Chodziło o raport o Salomanie? - spytał Atherton.

- Dickson coś znalazł?

- Nigdy nie przypuszczałem, że pójdzie na te historie z mafią - zaczął marudzić Beevers. - Zawsze był zwolennikiem solidnego motywu pieniężnego. Słuchaj, chyba trafiłem na jakiś ślad. Flaki sobie wypruwałem, pracując nad sprawą Johna Browna i jego narzeczonego, i sędzę, że coś jest z nimi nie tak.

-To akurat nie nowina - skomentował Atherton ze znużeniem.

- Nie, chodzi o coś innego. Wiedzieliście, że osiemnaście miesięcy temu Trevor Byers stanął przed komisją dyscyplinarną BMA\*? Jeszcze nie udało mi się dowiedzieć za co. Pilnują się, skubańcy, żeby nic nie przedostało się do wiadomości publicznej. Tłumaczyłoby to jednak niepokój Browna. Jeżeli Austen dowiedziała się o tym w jakiś sposób...

- Sprawa jest zamknięta - przerwał ten potok słów Slider. - Oficjalne polecenie z samej góry. Znow jesteśmy krawężnikami.

-Zamknięta? - wykrzyknęli zgodnym chórem, niczym Gilbert i Sullivan.

- Polowanie na grubszą zwierzynę. Wszystko, co dotyczy Rodziny, należy do Wydziału Specjalnego. Ręce przy sobie, nie dotykać. Sprawa Anne-Marie stała się nagle marginalną.

W ciszy, która zapadła po jego słowach, Atherton zauważył, że Slider wspomniał tylko o Anne-Marie, ani słowem o Thompsonie, tak jakby pierwsza sprawa była niedopuszczalnym aktem przemocy, druga zaś zwykłym wymierzaniem sprawiedliwości. Powstrzymał się jednak od komentarza. Zamiast tego wyciągnął gazetę z rąk Beeversa i otworzył na stronie z listą rozrywek publicznych.

\* *British Medical Association, Brytyjskie Towarzystwo Medyczne.*

- Cóż, w takim razie to koniec - rzucił. - Przynajmniej znowu mamy wolne weekendy. Zastanawiam się, czy grają coś dobrego w kinie.

- A ty będziesz mógł sprawdzić, czy twoje dzieci jeszcze cię poznają - zwrócił się Beevers do Slidera. - Czy ktoś ma ochotę na herbatę?

Slider potrząsnął głową, chociaż słowa policjanta ledwo do niego dotarły, i odszedł.

- Co się z nim dzieje? - spytał Beevers, kiedy Slider zniknął z pokoju. - Jakieś załamanie nerwowe czy co? Słyszałem, że pojechał z Normą na cały dzień do Birmingham i ani razu nawet nie spróbował chwycić jej za kolano. Przecież to nie jest normalne.

- Zamknij się, Alec - odparł ze znużeniem Atherton, przewracając kolejną stronę gazety. Beevers wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Zawsze twierdziłem, że bycie detektywem to zawód dla młodych ludzi, i zdania nie zmienię.

- Zobaczymy, kiedy dobijesz czterdziestki.

- Staruszkowie nie potrafią znieść napięcia, sam rozumiesz. Pozwalają, żeby wszystko się na nich zważyło. Niedługo stary Bill zacznie ronić łzy nad samobójcami i pisać wiersze. Zawsze powiadam...

- Wsadź sobie gdzieś swoje komentarze! - Atherton wstał z krzesła, wrzucił gazetę do kosza i wyszedł.

- Ty też nie jesteś już pierwszej młodości, co, Jim? - ciągnął niewzruszony Beevers, podnosząc nieco głos. - Czasu coraz mniej, stary!

Kiedy został sam, wyciągnął gazetę z kosza na śmieci, wyglądził ją, otworzył na stronie z wiadomościami sportowymi i zaczął czytać. Pogwizdywał przy tym radośnie

i wymachiwał krótkimi nogami, które - gdy siedział na biurku - nie sięgały podłogi.

Jeżeli sytuacja cię przerasta, pomyśl, wycofaj się i pozwól działać innym.

RS



## Rozdział 15

### CO ZA CHUCHRO, TO NIEZDROWO

Slider wrócił do swojego gabinetu i pobieżnie uporządkował papiery. Wkrótce jednak jego krzątania zmieniła się w siedzenie przy biurku i wpatrywanie ponuro w fotografię Anne-Marie. Po zakończeniu każdej sprawy zazwyczaj czuł znużenie, niechęć do pracy. Chwilowe podniecenie wynikami szybko przechodziło, pozostawały jedynie wyczerpanie i robota papierkowa. Teraz było znacznie gorzej, ponieważ nie miał odpowiedzi na wiele pytań, które krążyły w jego głowie. Nie miał nic, co mogłoby osłabić poczucie niesprawiedliwości w stosunku do ofiar.

Zadzwonił telefon. Slider odebrał go z niechęcią. O'Flaherty. Nawet przez telefon jego głos był bardziej tubalny niż zazwyczaj.

- Mam! Przypomniałem sobie! - zarechotał. - Przypomniałem sobie, kim jest ta mała kanalia, która kręci się w pobliżu wydziału. Ronnie Brenner.

- Półcalowy Brenner? Gość, który sprzedawał lewe zegarki na Goldhawk Road?

- Nie, nie ten Brenner. Tamten wyemigrował... chyba ze dwa lata temu.

- Wyemigrował?

- Do Norfolk. Nawrócił się na dobrą drogę i podobno ma teraz połowę udziałów w kurzej farmie. Gra na puzonie w orkiestrze Sally Army w Norwich. Przysłał mi kartkę, wyobraź sobie. Nie, mówię o Ronniem Brennerze, tym chuchrze sprzedającym zakłady na wyścigi konne, byłym dżokeju, prognoście na wyścigach i takie tam. Imał się wszystkiego, co wiąże się z końmi. Zawsze kręci się w pobliżu torów, głównie Banbury i Kempton Park. Oni wszyscy mają swoje ulubione miejsca. Kilka razy próbowaliśmy go przyskrzynić za kręcenie się przy stajniach z lornetką i małym notatnikiem, ale nigdy nie udało nam się niczego mu udowodnić. Nie jest notowany, rozumiesz, dlatego tak trudno mi było go sobie skojarzyć. Pamiętasz, mieliśmy go kiedyś na oku w związku z tym przekreśleniem dopingowym na Wembley w osiemdziesiątym ósmym roku, ale nigdy nie znaleźliśmy żadnego dowodu.

-Wembley? Nie pamiętam. Chyba byłem wtedy na urlopie - odparł Slider z wysiłkiem. - Wiem, że po moim powrocie nie mówiliście o niczym innym. Jakaś rozrywka w nudnym sezonie. - Jego umysł starał się stanąć na wysokości zadania. - Na Wembley przecież nie ma koni, nie? Myślałem, że chodziło o piłkę nożną.

- Ty tłumoku, to był konkurs na Konia Roku. Śpisz jeszcze, synu? Chłopcy z dzielnicy zapuszkowali go za to samo w Banbury. Przysięgał wtedy z ręką na sercu, że nigdy w życiu nie zrobiłby czegoś takiego najlepszemu przyjacielowi człowieka. Bardzo wzruszające. Wszyscy byli umoczeni. W każdym razie to ten gość. Mieszka na Cat-

honor Road. Mówiłem już, że nigdy niczego nie zapomnę?

Zmęczony umysł Slidera miał fragmenty rozmowy, łącząc je dowolnie i zupełnie bez sensu. Słyszał Athertona mówiącego, że jedno gówno mniej uczyni świat lepszym, i zrobił wysiłek, aby zrozumieć przelatujące przez jego umysł słowa. „Nie jest notowany... ten przekręt dopingowy na Wembley... wszystko, co wiąże się z końmi... Banbury... Cathnor Road... nigdy niczego nie zapomnę... jedno gówno mniej...”.

- Billy, jesteś tam, na miłość boską? Odezwiesz się wreszcie czy nie? Wypełniając moje obowiązki recepcjonisty w komisariacie, często czuję się samotny i niedoceniany.

- Samotny i... - Slider chwycił się za głowę. - Przepraszam, Pat, jestem trochę zmęczony. Dzięki za informację, ale trochę się spóźniłeś. Sprawa Austen jest zamknięta. Oficjalne polecenie z samej góry. Zajął się tym teraz Wydział Specjalny, więc my nie możemy już nic więcej zrobić. Muszę zapomnieć o sprawie.

- Jeżeli tylko ona zapomni o tobie - ostrzegł O'Flaherty.  
- Nie bierz tego tak bardzo do serca, kochanie. Zobaczysz jeszcze w życiu gorsze niesprawiedliwości niż ta. - Slider milczał. - Brenner może nie ma z tym nic wspólnego, ale jeśli zobaczę go kręcącego się w okolicy posterunku, i tak go zapuszczuję na dwadzieścia cztery. Lepiej nie czekać, aż wszystko samo się wyklaruje.

- Dobra, w porządku, dzięki Pat - rzucił nieprzytomnie Slider.

- Posłuchaj, może zamiast gotować się tu powoli, powinieneś pojechać do domu. Zrób sobie dla odmiany wolny wieczór, póki jeszcze możesz.

- Chyba cię posłucham.

-Jeżeli zadzwoni twoja żona, powiem jej, że jesteś w terenie w związku ze śledztwem - dodał sucho O'Flaherty.

Nieobecnemu duchem Sliderowi zajęło chwilę zrozumienie ostatniego zdania.

- O... tak, ja... dzięki. Dzięki Pat - odparł wreszcie.

- Ach, przypomnij mi kiedyś, żebym ci opowiedział, jakim jesteś głupim skurwysynem - dodał łagodnie O'Flaherty.

Slider chwycił płaszcz i wyszedł z budynku wprost w szare styczniowe popołudnie.

Wysoki, nędzny dom na Cathnor Road wyglądał na długo zaniedbywany i chwilowo opuszczony. Slider jeździł po ulicach miasta bez specjalnego celu tak długo, że w końcu zrobiło się ciemno. Często przekonywał się, że prowadzenie samochodu pozwalało jego podświadomości *uwolnić* się od problemów, czego nie potrafiła zrobić zbyt zagraco-  
na świadomość. Tym razem doszedł jednak do wniosku, że nieważne czy sprawa została zamknięta, czy nie, musi się dowiedzieć, co kombinował Ronnie Brenner.

W budynku było kilka mieszkań. Slider spodziewał się, że o tej porze, po zmroku, zobaczy światło przynajmniej w niektórych oknach. Dom jednak nie dawał żadnego znaku życia. Slider przejechał obok niego i zaparkował nieco z tyłu. Podeszedł do schodów prowadzących do głównego wejścia, wszedł na górę i stanął przed drzwiami zaopatrzonymi w tablicę z wieloma dzwonekami, żadnym nieoznaczonym. Nacisnął kilka naraz, a potem obejrzał się za siebie.

Niemal naprzeciwko niego widniał zakręt prowadzący w uliczkę, na której mieściła się Korona i Berło. Ach tak, po-

myślał. To dlatego na myśl o Cathnor Road gdzieś mu dzwoniło. Skoro już mowa o dzwonieniu, nacisnął jeszcze kilka guzików domofonu i odsunął się, spoglądając na okna. Niemal natychmiast usłyszał, jak ktoś szepcze do niego gdzieś z okolicy jego stóp. Z ukrytych pod schodami drzwi prowadzących do sutereny wychylała się drobna, wystraszona twarz.

- Pan Slider? Proszę zejść na dół, szybko! No dalej, szefuńiu, raz dwa! - Głos mężczyzny był schrypnięty z niepokoju. Slider posłusznie zbiegł na ulicę i dalej w dół, po stromych, krętych schodach do sutereny. Ronnie Brenner stał, chowając się za drzwiami, uchylonymi tylko na tyle, żeby wpuścić detektywa do środka.

- Szybciej, szefuńciu, jak Boga kocham. Tu nie jest bezpiecznie - wyszeptał. Slider czujnie wsunął się do mieszkania. Brenner spojrział jeszcze strachliwie na zewnątrz, zamknął drzwi i pospiesznie, acz niezgrabnie zasunął łańcuch.

-Trochę tu jedzie stęchlizną - rzucił, przeciskając się obok Slidera w wąskim, załatującym nieprzyjemnie korytarzu i prowadząc go do wnętrza domu. - Nie mogą nas tutaj zobaczyć. Trzeba tego dopilnować.

Pokój zaskoczył Slidera. Był to salon połączony z kuchnią i jadalnią, kwadratowy, dobrze oświetlony za dnia dzięki dużemu oknu z żaluzjami. W jednym rogu mieściła się kuchnia, w pozostałej części stał stół na nogach przypominających twarde cukierki, zdewastowana, niemal bezkształtna sofa, dwa zapadnięte fotele pokryte zniszczoną, poranioną skórą i półki z książkami zamontowane na ścianach. Pomieszczenie, chociaż nie nowe, było bardzo czyste i w przeciwieństwie do korytarza pachniało nie stęchlizną i zmurszałym gipsem, lecz skórą i świeżą farbą.

Wszędzie widniały fotografie koni osadzone w ramach - na ścianach, przypięte do boków półek na książki, stojących na stole, przyklepione na szybie szafek kuchennych, wycięte z gazet i magazynów, przyklejone do drzwi lodówki i nad suszarką do naczyń. Na pierwszy rzut oka widać było, że książki widoczne na półkach dotyczą koni i wyścigów. Było tam wszystko; poważne pozycje i albumy ze słynnymi reproduktorami po cały rząd powieści Dicka Francisa, dość już zniszczonych wielokrotnym czytaniem. W pokoju nie było nic zaskakującego oprócz samej jego obecności w suterenie domu w slumsach Shephenfs Bush. Gdyby jego zawartość została przetransportowana do mieszkania nad stajniami jakiegoś szanowanego stajennego, Slider uznałby taki pokój za idealnie odzwierciedlający charakter i zawód jego właściciela.

Odwrócił się do swojego gospodarza i przypomniał go sobie jako nieszkodliwego człowieka. Był mały, niewyrośnięty, wyglądał chuchrowato, tylko ramiona miał żylaste i dłonie mocne. Bruzdy na jego twarzy opowiadały o życiu pełnym goryczy i przegranej walce z nadmierną wagą. Kiedyś Brenner może był nawet przystojnym mężczyzną, ale lata celowej głodówki, pracy w ciężkich warunkach pogodowych i dieta złożona z ginu i papierosów, zaprojektowana z myślą o poprawieniu jego figury, sprawiły, że zbrązowiał, pomarszczył się i zaczął przypominać starą małpiatkę. Pod patyną brązu skóry był teraz bardzo blady, a jego twarz ściągnięta strachem. Ronnie Brenner niewątpliwie czuł przerażenie.

- No dobrze, Ronnie, kto cię tak przestraszył? - spytał łagodnie Slider.

- Chryste, panie Slider, nie czeba nic mówić. Widziałem, co zrobili, co nie? Śledzili pana, szefuńciu?

- Nie sędzę. Długo krążyłem po ulicach, zanim tu przyjechałem. Aż tak źle?

- Chciałem panu wszystko powiedzieć, szefie, daję słowo - rzucił, nerwowo przestawiając przedmioty stojące na stole. - Kręciłem się trochę przy komendzie, myślałem, że pana wyczaję, ale potem doszczęgłem, że filuje na mnie ten wielki glina, no to się zmyłem. Z nim to czasem się spotykamy, jeśli wie pan, co chcę powiedzieć. Myślałem, żeby zadzwonić, ale jakoś nie dałem rady. Nigdy nie myślałem, że pan tu przyjedzie.

-Ale przyjechałem i oto jestem. Co chciałeś mi powiedzieć?

- Nic nie zrobiłem, przysięgam, szefie, niech mnie. Musi mi pan uwierzyć. Kiedyś zadzwonił do mnie ten koleś...

- Który koleś?

- Nie wiem. Nie powiedział, jak się nazywa. Mówi mi tak, znam cię, Ronnie i mam dla ciebie małą robótkę. Dobrze ci za nią zapłacę.

- Tak po prostu użył twojego imienia?

- Tajest, szefie. Od razu wyjechał z Ronniem.

- Rozpoznałeś jego głos?

- Niezbyt. Znaczy nie na tyle, żeby wiedzieć, kto dzwonił, ale kiedyś go już słyszałem. Taki był bardziej wytworny, znaczy. Bardziej niż pański. Nie taki, jak ludzie ze srebrnego kręgu, ale naprawdę elegancki.

- Stary czy młody?

- W średnim wieku, nie młody. Dzwonił do mnie z budki i chyba z innego miasta, bo ciągle słyszałem, jak wrzuca monety, co dwie cholerne sekundy. W każdym razie powiedział, że ma dla mnie robótkę. Powiedział, że mam mu znaleźć puste mieszkanie w White City, zrobić tak, żeby mógł

się tam dostać, posprzątać je i obserwować przez kilka dni, by zobaczyć, kto wchodzi i wychodzi z bloku, o której godzinie i takie tam rzeczy.

- Powiedział ci dlaczego?

- Powiedział, że chce się spotkać z kimś w tajemnicy i żeby on i jego koledzy mogli tam wejść i wyjść niezauważeni. Nie brzmiało to zbyt źle, więc zrobiłem, o co prosił. W końcu to chyba nie jest przeciwko prawu, co?

- Włamanie i wejście na cudzy teren jest przeciwko prawu.

- Ta, ale to było puste mieszkanie, dzieciaki włożą tam przez cały czas. Nie mógł przecież niczego ukraść, co nie? To miało być tylko spotkanie. Nie wiedziałem, w jakim temacie, nigdy mi nie zdradził, ale powiedziałem mu wyraźnie, że nie jestem notowany i wolę, żeby tak zostało. Nie chcę się mieszać w żadne brudne sprawy, a on na to, dlatego właśnie cię wybrałem, Ronnie. Nie chciałem mieć do czynienia z żadnym recydywistą.

- Tak powiedział?

- Tak jest, psze pana. Obiecał, że dobrze mi zapłaci, i zapłacił. Nie okantował mnie, dał dwieście pięćdziesiąt za dzień. Gotówką, w dziesiątkach i piątkach. Znajdowałem koperty, wie pan, takie wykładane folią, w skrzynce na listy.

- Pewnie nie masz tych kopert?

- Nie, wywaliłem je.

- Przyjrzałeś się znaczкови?

Twarz Brennera rozjaśniła się nadzieją.

- Przychodziły z Birmingham. Pewnikiem stamtąd dzwo- nił. Rozmowa zamiejscowa.

- W jaki sposób dostarczałeś mu informacji?



- Dzwonił do mnie codziennie o konkretnej godzinie, wtedy wszystko mu mówiłem, a on mi płacił. Tak przez pięć dni i mówię panu, cieszyłem się z tej forsy, bo ostatnio miałem dużego pecha i narobiłem sobie sporo długów.

- Wierzę ci. Mów dalej.

- No więc robiłem to przez pięć dni, a potem ten gość powiedział, że wystarczy, i nigdy już się nie odezwał. Tydzień później przeczytałem w gazecie o tym trupie, co go znaleźli w mieszkaniu, i mówię panu, omal się nie zesrałem w gacie. Nigdy nie miałem nic wspólnego z takimi sprawami! Przecie pan mnie zna, szefie, ja nie z tych, nie skrzywdziłbym muchy, czysta prawda. Nie wiedziałem, co robić, więc po prostu siedziałem w domu pod kluczem. A potem ten koleś znowu do mnie zadzwonił.

- Ten sam mężczyzna?

- Tak jest, pszešana. Tym razem nie brzmiał tak gładko. Zupełnie jakby był trochę wystraszony czy jak.

- Którego to było dnia?

- Tego samego. Napisali o trupie w popołudniówce i za kilka godzin zadzwonił. Powiedziałem od razu, że nie chcę mieć nic wspólnego z nim i jego cholernymi pieniędzami. Na to on, że takie gadanie mi nic nie pomoże, bo siedzę w sprawie po same uszy.

- Twierdził, że jesteś zamieszany w zabójstwo.

- Tak jest, szefuniu, zamieszany. Powiedział, że muszę zrobić wszystko, co każe, inaczej sprawa się źle dla mnie skończy. Powiedział, że mam nie panikować, bo muszę zrobić bardzo prostą rzecz.

- Co takiego mianowicie?

- Powiedział, że mam pójść do mieszkania i poszukać torebki tej dziewczyny. - Slider podskoczył z zaskoczenia.

Brenner pokiwał głową. - Tak jest. Powiedział, że powinna gdzieś tam leżeć w okolicach budynku, pośród rzeczy od budowy, bo może ona wyrzuciła ją z okna samochodu lub z balkonu i jeżeli ktokolwiek ją znajdzie, wszyscy będziemy umoczeni. Nie chciałem tam wracać, mówię panu, szefuniu, zwłaszcza że pełno tam było glin, bez urazy, co nie? Ale gość mówi do mnie, żebym pomyślał rozsądnie. Ja mogłem tam iść jak jakiś zwykły koleś, za to jego od razu by wyłapali, boby się wyróżniał. Tak czy siak, koniec końców, poszedłem tam wreszcie, ale niczego nie znalazłem. Powiedziałem mu to, kiedy znowu zadzwonił. Kazał mi wracać na miejsce i znowu szukać, ale miałem dosyć, więc się zmyłem.

- Gdzie?

- Na wyspę Wight. - Brenner spojrzał przeprasząco.

- Pomyślałem se, lepiej pojedę tam, gdzie nikt mnie nie znajdzie, i wydam forszę. Tylko jak przyszło co do czego, nie mogłem. Nigdy przedtem nie byłem w takiej sytuacji i mówię panu, szefie, napędziło mi to stracha. W poniedziałek wróciłem, żeby się z panem skontaktować. Czekałem przed komisariatem, żeby pana wyczaić, jak będzie pan wychodził...

- Dlaczego mnie, Ronnie? Pochlebia mi twoje zaufanie i w ogóle, ale...

- Cóż, wiedziałem, że pan Raisbrook był w szpitalu, a z tą resztą bym się nie dogadał, bo umią tylko mleć ozorem, a nic nie kumają. Nie wiedzą niczego, co nie jest napisane w podręczniku. Wiedziałem jednak, że pan jest w porządku

- rzucił z prostym i szczerym uznaniem. - W każdym razie wyczaiłem, że idzie pan do Korony, więc schowałem się w bocznej uliczce, ale pan wyszedł z pubu z jakimś gościem, więc się zmyłem.

- Był tam ktoś jeszcze - rzekł Slider. - Wiesz, że mężczyzna, z którym mnie widziałeś, został zamordowany następnego dnia?

- To był on? Rany gościa, panie Slider, co się tu dzieje? Jakież narkotyki czy jak?

- Gorzej.

- Coś dużego?

- Obawiam się, że bardzo.

- Po co ja brałem tę cholerną robotę - rzucił Ronnie z goryczą. - Tylko że wtedy wszystko wyglądało niegroźnie. Ten mój gość od telefonu, myśli pan, że będzie próbował mnie dorwać?

Slider zastanawiał się przez chwilę.

- Nie wiem. Zależy od tego, jak szybko rozchodzą się wieści. Dzisiaj oficjalnie zamknęliśmy dochodzenie. Kiedy się o tym dowiedzą, pewnie go powstrzymają. Oznacza to, że nigdy w życiu go nie dopadniemy, chyba że jest coś jeszcze, co możesz mi o nim powiedzieć.

Brenner zbladł jeszcze bardziej.

-Przysięgam, szefie, jakbym wiedział, tobym panu powiedział. Niczego nie ukrywam.

- Powiedziałaś, że wydawało się, jakby cię znał...?

-Wielu ludzi mnie zna, ludzi związanych z wyścigami. To jeszcze nic nie oznacza. Jego głos brzmiał trochę znajomo, ale wszyscy panicze na wyścigach gadają podobnie.

- W każdym razie jeżeli coś ci się przypomni, cokolwiek...

- Wiem. Nie musi mi pan mówić, szefie.

- Tak przy okazji, Ronnie, czy poza tym jednym razem przy Koronie śledziłeś mnie jeszcze kiedyś?

- Nie - odparł krótko, a potem otworzył szeroko usta z przerażenia. - O Boże przenajświętszy, śledzą pana, tak? Ten facio się dowie, że pan tu był!

- Nie sądzę - uspokoił go Slider na tyle, ile potrafił. - Byłem bardzo ostrożny. Jak już mówiłem, kiedy dowiedzą się o zamknięciu sprawy, nie będą więcej ryzykowali. Jeżeli przez najbliższe kilka godzin będziesz siedział cicho, nic ci nie powinno grozić. Jest stąd jakieś inne wyjście?

-Jak się pan wdrapie na okno, może się pan wydostać przez ogród, potem przez płot i następny ogród, i płot na ulicę. Czasami sam tak robię. Po tej stronie płotu stoi skrzynka, będzie panu łatwiej.

- W porządku, skorzystam z tej drogi, na wypadek gdyby ktoś obserwował wejście do twojego mieszkania. Nie sądzę jednak, żeby po tej nocy ktokolwiek cię niepokoił.

- Mam nadzieję - wyjęczał żałośnie Ronnie.

Mimo wszystko Slider postanowił zaparkować z dala od domu Joanny. Pozostałą drogę pokonał pieszo, mając oczy i uszy szeroko otwarte. Podczas spaceru wiele przemyślał. Niewiele nowych informacji miało jakikolwiek sens. Kim, do cholery, był morderca? Jeżeli znał Ronniego Brennera, należało prawdopodobnie założyć, że należał do fanów wyścigów konnych, ale w takim razie jakie było jego powiązanie z Anne-Marie? A może był po prostu płatnym mordercą? Były jednak w tej sprawie pewne aspekty, które niepokoiły Slidera. Miał również to denerwujące uczucie, że jest coś, czego jego umysł nie potrafi uchwycić, czego nie potrafi sobie przypomnieć, coś, co widział kątem oka, coś, co ktoś powiedział od niechcienia. Nie mógł sobie przypomnieć, co to było, ale czuł, że gdyby zdołał, wszystkie

elementy łamigłówek nagle wskoczyłyby na swoje miejsce, tworząc sieć wystarczająco gęstą, żeby wylapać nawet małe króliczki.

Joanna wpuściła go do środka.

- Nie mam zbyt wiele czasu. Muszę wyjść za godzinę.

Odpowiedział tylko chrząknięciem. Przyjrzała się uważnie jego twarzy, a potem bez dalszych komentarzy wprowadziła go do salonu, usadziła w fotelu i przyniosła drinka.

Usadowiła się u jego stóp, oparła ramiona na jego kolanach i cierpliwie czekała. W końcu Slider upił nieco drinka, pogłaskał nieobecny gestem jej włosy, a wreszcie spojrzał na nią.

- Co się stało? - spytała.

- Zamykają dochodzenie.

- Dlaczego?

- Najwyraźniej są przekonani, że mafia maczała w tym palce, to zaś oznacza, że sprawa jest dla nas za duża. Zajmie się tym Yard. Oficjalnie to Thompson zabił Anne-Marie, a potem popełnił samobójstwo.

- Żeby zamydlić oczy prawdziwym winowajcom?

- Częściowo po to, a częściowo dlatego, że nikomu tak naprawdę nie zależy na znalezieniu mordercy Anne-Marie. Była jedną z nich i kiedy zaczęła sprawiać kłopoty, uciszyli ją. Kogo to obchodzi?

- Athertona?

- Niezbyt. Od początku uważał, że podchodzę do tego śledztwa zbyt osobiście, i przypuszczam, że miał rację. Atherton jest chłodnym, trzeźwo myślącym, zrównoważonym facetem. Dla niego praca to po prostu praca. - Slider wiedział, że nie była to do końca prawda, ale to, co powiedział, musiało chwilowo wystarczyć jako rozsądne przybliżenie.

- Pomijając moje osobiste przekonania, nie znoszę zostawiać nieskończonej roboty. Jest tyle niewyjaśnionych wątków... - Znowu się zamyślił. Joanna siedziała w milczeniu, popijając drinka i obserwując go. Nawet pomimo zamyślenia czuł jej obecność, ciepło, uwagę. Po chwili wrócił do rzeczywistości. - Przepraszam, to dla ciebie niezbyt interesujące.

- Interesujące - powtórzyła zamyślona. - Spotkaliśmy się tylko dzięki temu, że Anne-Marie została zamordowana. Czasami nie mogę tego przyjąć do wiadomości, a kiedy mi się to udaje, czuję się potwornie winna, że jestem taka z tobą szczęśliwa. Kiedy o tym pomyśleć, Anne-Marie miała okropne życie, była tak bardzo samotna. Skończyć w ten sposób to prawdziwa tragedia. Na jej pogrzebie prawie nie było ludzi. To niemal...

Slider wyprostował się nagle, przerywając Joannie w połowie zdania. Na jego twarzy pojawił się tak silny grymas, że przez chwilę myślała, że się zadławił albo ma atak serca. Chwył jej dłoń i ścisnął tak mocno, że aż zabolalo. Nie zdawał sobie jednak z tego sprawy. Nagle wszystko zaczęło się układać w jego głowie tak szybko, że niemal nie mógł nadążyć za własnymi myślami.

- Pogrzeb! Pogrzeb! Wiedziałem, że ktoś powiedział wtedy coś ważnego, ale nie mogłem sobie przypomnieć, co to było. Cały czas się nad tym zastanawiałem. Powiedziałaś mi kiedyś, że Anne-Marie twierdziła, iż kiedy była mała, nie mogła mieć żadnego zwierzaka.

-Tak, to prawda. Jej ciotka zbyt pedantycznie dbała o porządek w domu, nie chciała żadnego bałaganu. Moim zdaniem jednak zabroniła Anne-Marie mieć zwierzątko ze zwykłej wzgardy i złościwości. Przecież sama, ma psy.

Jego oczy lśniły podnieceniem, ale nie patrzył na nią.

- Dwie rzeczy, teraz widzę to wyraźnie. Ktoś, chyba ty, powiedział, że ze Stourton jest bliżej do Birmingham niż do Londynu. Potem ten fałszywy weterynarz twierdził, że znał Anne-Marie całe życie i często zajmował się jej szczeniakiem i kucykiem.

- Tak powiedział, teraz sobie przypominam. Dlaczego to zrobił?

- Popęłnił błąd - odparł Slider zimnym głosem.

- Ale co...

Ścisnął jej dłoń jeszcze mocniej.

- Nic nie mów! - Za wszelką cenę musiał zrozumieć, do czego prowadzą jego własne myśli. Uspili ją jak starego psa. Ktoś, kto znał Ronniego Brennera. Piperonyl tlenku butylu i pyretryna. Wytworny akcent, jak jaśniepanowie z zagrody dla właścicieli koni. Wysoki mężczyzna o miłym głosie. Znał ją od dziecka. Taki sam kapelusz, jaki nosi lord Oaksey...

Joanna wyswobodziła dłoń z jego uścisku i wygięła ją kilka razy, krzywiąc się boleśnie.

- Co się dzieje? - spytała cicho.

- Popęłniliśmy błąd na samym początku. Freddie Cameron się pomylił. Powiedział, że tylko anestezjolog ze szpitala ma dostęp do pentotalu. Ale to on stwierdził, że uspili ją jak starego psa. Powiedział to w żartach i zupełnie o tym zapomniałem.

Joanna słuchała uważnie.

-Weterynarze zaopatrują się w anestetyki, rozumiesz? Nie zajmują się wyłącznie diagnozowaniem jak zwykli interniści. Robią również operacje. Pentotal i skalpel chirurgiczny. I piperonyl, który zabija pchły, wszy, pluskwy i stonogi.

- Proszek na pchły! - wykrzyknęła. - Jeżeli weterynarz obsypał się niechcący proszkiem, a potem wsiadł w brudnym ubraniu do samochodu Anne-Marie, zostawił ślady na siedzeniu pasażera...

- Znał ją od dzieciństwa. To akurat było prawdą. Musiał zdawać sobie sprawę, jak samotna i wyobcowana się czuje. Może nawet prowadził z nią długie rozmowy, żeby rozpracować jej sposób rozumowania, zrozumieć jej marzenia. To on ją zwerbował - nagle usłyszał w głowie głos Dicksona: „Albo to, albo Foreign Office” i potrząsnął głową, żeby uwolnić się od tej zbędnej myśli. - Potem zaczęła być niebezpieczna i musiał ją usunąć.

- Dlaczego?

- Myślę, że z powodu stradivariusa. Mam przeczucie, że użycie go na koncercie we Florencji nie było częścią planu. Myślę, że wykorzystwała twoją chorobę, aby zagrać na tych skrzypcach dla własnej przyjemności. Potem, kiedy to zrobiła, zrozumiała, że nie może się z nimi rozstać. Zatrzymała je więc dla siebie, zamiast przekazać jak zwykle odpowiedniej osobie. Oczywiście przez to wpadła w kłopoty. Musiała jakoś zdobyć pieniądze, poszła więc do prawnika, żeby dowiedzieć się, czy jest jakiś sposób na wykorzystanie funduszu powierniczego dziadka. Dowiedziała się wtedy, że jest warta fortunę, pod warunkiem że wyjdzie za mąż.

- To dlatego nagle zaczęła męczyć biednego Simona!

- Był jej jedyną nadzieją. Musiała działać szybko, nie miała czasu zaczynać od początku, a jedyny mężczyzna, którego dobrze знаła, był żonaty.

- Martin Cutts.

- Prawdopodobnie mimo wszystkich swoich wad był dla niej dobrym przyjacielem - odparł Slider niechętnie. - Kie-



dy przekonała się, że jej działania nie wywierają odpowiedniego efektu, zwróciła się do niego po pociechę. Zaczęła się już wtedy bardzo bać. Powiedziała mu: „Tak się boję”.

- Tak, wspominałeś o tym.

- Miała ku temu powód. Rozkaz został już wydany. Weterynarz, Hildyard, znał Ronniego Brennera. Ronnie kręci się na torze Banbury, niedaleko od Stourton. Założę się, że gdybyśmy sprawdzili, okazałoby się, że Hildyard jest tam częstym gościem. Może nawet występuje oficjalnie jako weterynarz stajni. Ronnie nie był notowany, a oni nigdy nie korzystali z usług ludzi znanych policji. Wyglądał jednak na wystarczająco podejrzanego, żeby zrobić małą lewą robótkę za gotówkę bez zadawania zbędnych pytań. Ronnie powiedział, że jego zleceniodawca miał elegancki akcent. Pani Gostyń również o tym wspominała.

- Kim jest Ronnie Brenner?

Tego jeszcze jej nie opowiedział, ale chwilowo zbył pytanie. Nie było czasu na wyjaśnienia.

- Hildyard musiał się spotkać z Anne-Marie przed Gwiazdką. Przypuszczam, że w Londynie. Wtedy właśnie ukradł jej kalendarzyk, żeby znać jej kolejne posunięcia. Wiedział, że w styczniu będzie miała wolne i nikt nie będzie za nią tęsknił. Ronnie znalazł dla niego puste mieszkanie i obserwował je, żeby upewnić się, iż nikt nie pojawia się w nim regularnie. Wtedy Hildyard aranżuje spotkanie z Anne-Marie w pubie. Nie wiem jak, ale wyobrażam sobie, że mieli jakiś znak rozpoznawczy. Coś wspólnego z jej samochodem. Może notka zostawiana pod wycieraczką lub coś podobnego. Anne-Marie pogodziła się z losem, ale potem znowu się przestraszyła. Pewnie domyśliła się, że coś się święci, i nagle zrozumiała, że nie chce jeszcze umierać.

- Tak - szepnęła Joanna. Była bardzo blada.

- Pobiegnęła z powrotem i usiłowała przekonać swoich przyjaciół, żeby poszli z nią. Myślała, że jeśli pojawi się w umówionym miejscu z grupą ludzi, morderca będzie musiał zrezygnować. Wyglądałoby to na przypadek, coś, na co nie miała wpływu. W końcu co mogła poradzić na to, że jej przyjaciele chcieli pójść z nią? Tyle że niestety, kiedy przyszło co do czego, okazało się, że nie ma żadnych przyjaciół. Musiała więc pojechać sama.

Joanna widziała, że Slider zapomniał, iż ona była jednym z owych rzekomych przyjaciół. Poczowała mdłości i zacisnęła usta. Slider wyglądał na wyczerpanego, ale kontynuował:

- Spotkał się z nią na parkingu przed pubem. Był opatulony, miał na sobie trilby, kapelusz, który nosi lord Oaksey w telewizji. Nie zauważyli Paula Ringhama czekającego w samochodzie ze zgaszonymi światłami na swoją żonę. Odjechali razem, Anne-Marie prowadziła. Być może miała nadzieję, że się pomyliła. Znała Hildyarda całe życie, może wytłumaczyła sobie, że naprawdę chciał tylko porozmawiać. - Slider skończył pić i pochylił się w fotelu, przecierając oczy. - Wszystko pasuje, ale nigdy nie będę umiał tego dowieść. Nie mam nic na niego. Poza tym dochodzenie zostało zamknięte. To oficjalny rozkaz.

-Jeżeli powiesz im to wszystko, co właśnie opowiedziałeś mnie, może otworzą sprawę ponownie?

- Nic z tego. Brak dowodów. Poza tym nie są zainteresowani Hildyardem. Chcą się dostać do samej śmietanki. Nie chcą, żeby cokolwiek przeszkadzało w ich misternych planach, dopóki nie będą gotowi. Próba posadzenia Hildyarda prawdopodobnie skończyłaby się tym, że Rodzina zwinęłaby interes i zaczęła gdzieś indziej. Anne-Marie po prostu

nie jest aż tak ważna. O Boże, świat jest taki podły, tak tragicznie podły!

Szorował dłońmi twarz, zupełnie jakby chciał z niej zetrzeć swoje myśli. Joanna wiedziała, że chodzi o coś więcej niż Anne-Marie. Była to kulminacja długiej historii pełnej rozczarowań, zawodów, frustracji i konfliktów osobistych. Chwyciła ostrożnie jego rękę, powstrzymując go. Bała się, że zrobi sobie krzywdę. Jego dłonie zacisnęły się na jej rękach niczym imadła, sprawiając, że zachłysnęła się z bólu i strachu.

- Bądź ze mną - rzucił, wpatrując się w nią intensywnie. Czowała, jak przez ich złączone dłonie przebiega prąd. - Nie zostawiaj mnie. Potrzebuję cię. O Boże!

-Jestem z tobą - odparła. W głębi duszy jednak się bała. Nigdy nie była tak blisko kogoś, kto stał na krawędzi załamania. Nie wiedziała, co robić. Slider w każdej chwili mógł się załamać.

Górze wziął instynkt. Slider zsunął się z fotela, nadal trzymając jej dłonie w uścisku. Popchnął ją na dywan, a potem zaczął się z nią kochać, nie czekając nawet na to, żeby się rozebrali. Po prostu rozpiął spodnie i rozsunał na tyle, żeby mieć dostęp do Joanny. Nie był brutalny, nawet dosyć miły, ale w ten bezosobowy sposób, który wynikał z jego charakteru - uprzejmość była wyryta w jego duszy i nie miała nic wspólnego z jego uczuciami do niej. Joanna przyjęła go jednak w siebie, bo zrozumiała jego potrzebę. Kochała go i wiedziała, że był to rodzaj uczucia, który sprawił, iż w tym właśnie momencie potraktował ją jako lekarstwo na swoją chorobę. Mimo to ów akt stał się zarodkiem smutku. Po wszystkim opadł na nią wyczerpany i zaczął płakać.

- Przepraszam. Przepraszam - powtarzał, a ona trzymała go w objęciach.

-Wszystko w porządku - powiedziała wreszcie. - Kocham cię. - Wiedziała jednak, że to nie ją przepraszał.

Kiedy wyszła do pracy, bardzo niechętnie zostawiając go samego, Slider wszedł do samochodu i powoli zaczął krążyć ulicami. Nie mógł się uspokoić. Pomysł powrotu do domu w Ruislip, rozmowy ze zwykłymi ludźmi, którzy nie mieli pojęcia, co się stało, przyprawiała go o mdłości. Nie zniósłby wyjaśniania czegokolwiek komukolwiek. Jego umysł pracował nad problemem morderstwa Anne-Marie. W jakiś sposób wplątała się w to również sprawa Irene i Joanny, tak że zaangażował się zarówno intelektualnie, jak i emocjonalnie i czuł, że nie może rozwiązać jednego bez drugiego.

Być może, jeśli Ronnie Brenner dałby radę bez wątpliwości zidentyfikować Hildyarda jako mężczyznę, który zapłacił mu za znalezienie mieszkania, pozwolą mu po cichu dobrać się do weterynarza i oskarżyć go o morderstwo bez wspomnienia o mafii. Łatwo będzie przedstawić motyw i nie wykazać jego powiązań z Rodziną. Gdyby tylko pozwolili mu to zrobić, może mógłby zamieszkać, żyć z Joanną i wszystko byłoby w porządku.

Musi natychmiast uzyskać zeznanie od Ronniego. Zabierze go na komisariat, a potem zastanowi się, jak zdobyć nagranie głosu Hildyarda. Pojechał na Cathnor Road i zaparkował samochód przed Koroną i Berłem, gdzie mógł go ukryć pomiędzy wozami klientów. Powędrował na piechotę do domu Brennera, w ciemnościach i ciszy. Ulice wydawały się opustoszałe. Szybko i cicho dotarł w pobliże schodów

i stanął w cieniu balustrady. Przez chwilę nasłuchiwał, ale wokół panował absolutny spokój.

I wtedy dostrzegł, że drzwi do mieszkania Brennera nie są zamknięte. Podeszedł bliżej i dostrzegł porysowane i rozłupane drewno framugi w miejscu, gdzie zamocowany był chwytak łańcucha, nieco powyżej zamka. Włosy stanęły mu dęba z przerażenia. Całe jego ciało przeniknął chłód, nogi stały się jak z ołowiu. Popchnął drzwi pięścią. Otworzyły się do wnętrza ciemnego korytarza. Uszkodzony zamek odpadł od nich ze szczękiem, na którego dźwięk podskoczył, jakby poraził go prąd. Wejście wyglądało jak czeluść. Slider trząśł się cały, wchodząc do środka. Miał tak zjeżone włosy, że niemal czuł chłodne powietrze owiewające skórę na jego czaszce. Nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął iść na palcach.

W połowie korytarza jego stopa natknęła się na jakąś przeszkodę - duży, ciężki i miękki przedmiot na podłodze. Slider wyciągnął małą latarkę, przykucnął i włączył ją. Z ciemności wyłoniła się nagle twarz Brennera, poobijana i opuchnięta, z wybałuszonymi oczami połyskującymi białą niczym dwa ugotowane na twardo jajka. Z zaciśniętych zębów wystawał koniuszek języka, ciemnogrnatowy, jak u chow-chow. W kąciку ust widniała smuga krwi, w miejscu, gdzie przygryzł wargę. Wokół szyi Brennera owinięty był drut w plastikowej izolacji, taki, jakiego używa się w ogrodzie do podtrzymywania pnączy. Był zaciśnięty tak mocno, że po bokach znikał w fałdach opuchniętego ciała.

Slider usłyszał własny skowyt. Wstał i poczuł, że nogi trzęsą mu się tak bardzo, iż musiał oprzeć się o ścianę, aby nie upaść. Po chwili odzyskał panowanie nad swoim ciałem. Przykucnął znowu i dotknął Brennera. Jego skóra

była chłodna. Morderca musiał wejść do środka zaraz po wyjściu Slidera. Obserwował ich. Czy to Hildyard, czy jakiś inny człowiek mafii? Teraz to i tak nie miało znaczenia ani dla niego, ani dla Brennera. Jedyna szansa na przyskrzynie- nie weterynarza przepadła. Slider wstał i poczuł, jak krew odpływa mu z głowy. Musiał się na chwilę pochylić, żeby nie zemdleć. Potem wyszedł szybko, wspiął się po schodach i pobiegł do swojego samochodu.

RS

## Rozdział 16

### POZNASZ OSZUSTA PO CZYNACH JEGO

Poza magicznymi granicami Londynu padał zimny deszcz. W wilgotnej ciemności nie było niczego, co odciągnęłoby uwagę od przeżywanego koszmaru. Zgubił się dwa razy, a potem musiał się zatrzymać przy budce telefonicznej, żeby znaleźć w książce adres. Pomiedzy tymi przystankami prowadził szybko. Jego pracujący logicznie umysł wyłączył się, jakby przepaliły się mu obwody, pozostawiając go wreszcie w spokoju. Zwykły akt prowadzenia samochodu dał mu fałszywe poczucie sukcesu, zupełnie jakby rzeczywiście w końcu dokądś zmierzał.

W wiosce jedyne zapalone lampy oświetlały wejście do pubu i na pocztę. Poza tym wszędzie panowały ciemności. Wiejskie adresy zawsze były co najmniej tajemnicze. Trzeba było się tam urodzić, żeby wiedzieć, która uliczka to Church Lane, Back Lane czy London Road. Slider zaczął objeżdżać wioskę, błędząc po ciemnych wąskich alejkach. W światłach reflektorów pojawiały się i znikwały gęste żywopłoty. Raz musiał się wycofać ze ślepego zaułka, aż wreszcie znalazł przez zupełny przypadek właściwe miejsce.

Neats Cottage. Schludny Dom. Czy to żart? Miał przed sobą dość zgrabny, długi, niski dom zbudowany z miejscowego szarego kamienia, z dachem porośniętym mchem - typowy Cotswold, tyle że potwornie zdeformowany za sprawą okien z szybkami oprawionymi w metalowe ramki i drzwi wejściowych z zielonym judaszem, wszystko wykute w starodawnym stylu. Poza tym jeden z końców chaty został zniekształcony przez odrażającą przybudówkę z czerwonej cegły, o płaskim dachu i oknach oprawionych aluminium. Slider domyślił się, że jest to przychodnia weterynaryjna.

Biała brama prowadząca do ogrodu błyszczała nadnaturalnie. Na niej czarnymi literami wypisano nazwę posiadłości, a pod nią: „B. HILDYARD, MRCVS\*<sup>1</sup>”. Bardzo skromnie jak na człowieka, który zdradził się przez przesadną skłonność do napuszonego gadania. Posiadłość wyglądała na opustoszałą, ale gdy Slider szedł ścieżką przez ogród, dostrzegł światło w jednym z okien na końcu domu, lekko prześwitujące przez ciężkie czerwone zasłony. Pan domu jeszcze nie spał i nic w tym dziwnego. W pubie siedzieli jeszcze ludzie, więc nie mogło być jeszcze zbyt późno.

Slider nie miał pojęcia, co robi. Przyjechał tutaj wiedziony silnym, podświadomym instynktem. Teraz, w obliczu przytłaczającej normalności tego miejsca, nie przychodziło mu do głowy nic innego, jak tylko podejść do drzwi i zapukać. Kołatka zdawała się robić niewiele hałasu, a teraz, gdy podszedł bliżej, słyszał wyraźnie przytłumione dźwięki muzyki, zbyt cichej, żeby ją zidentyfikować. Solidne drzwi i mury, pomyślał. Potem zapaliło się światło, za szybką judasza po-

<sup>1</sup> *\* Member of The Royal College of Veterinary Surgeons, członek królewskiego stowarzyszenia weterynarzy.*



jawił się cień, a potem drzwi otworzyły się gwałtownie na oścież. Przed Sliderem stanął fałszywy weterynarz - a przynajmniej nadal tak o nim myślał - górując nad nim niczym Król Demon z gwiazdkowego przedstawienia dla dzieci. Światło dochodzące zza jego pleców sprawiało, że Slider nie widział jego twarzy.

Nastąpił moment ciszy, podczas której miał okazję w pełni zrozumieć, jak głupio zrobił, przyjeżdżając tu, a także fakt, iż w ogóle się nie bał. Przeciwnie, miał ogromną, szaloną wręcz ochotę, powiedzieć coś niepoważnego.

- Lepiej niech pan wejdzie - powiedział w końcu Hildyard. Spojrzał w ciemność ponad ramieniem detektywa, a potem cofnął się do środka, przesuwając ku lewej stronie, tak że Slider nie miał wyboru, musiał minąć go po prawej. Zatakowało go światło i muzyka. Opanował nagle potrzebę odwrotu i wszedł do obszernego, wygodnie urządzonego pokoju całego w perkalu, brazy i z tradycyjnie wypolerowanym parkietem. Irene by się tu podobało. Mimo to salon był przytulny, przyjemnie oświetlony lampami z kloszem i ogniem z kominka. Muzyka dochodziła z głośników wieży stereo. Nie była głośna i zdecydowanie klasyczna, ale Slider nie mógł skojarzyć, co to za melodia.

- Brahms, *Pierwsza Symfonia* - rzucił Hildyard, podążając za spojrzeniem Slidera. - Lubi pan muzykę czy mam wyłączyć?

- Nie, proszę zostawić - odparł Slider. Mówił z wysiłkiem, jakby nie robił tego od lat.

- Może pan usiądzie? - W głosie i zachowaniu Hildyarda nie było niczego, co mogłoby wskazywać, iż traktuje tę niespodziewaną wizytę inaczej niż spotkanie towarzyskie. Slider usiadł w fotelu tuż przy kominku. Zapadnięte poduszki na

stojącym naprzeciwko podobnym fotelu świadczyły o tym, że weterynarz przed chwilą w nim siedział. Co robił? Slider rozejrzał się dookoła, ale nie dostrzegł żadnej gazety, książki, nawet szklanki z drinkiem. Hildyard po prostu trwał przy kominku, słuchając muzyki. Czekał. Na co?

Weterynarz przyglądał się twarzy swego gościa przez długą chwilę.

- Czego się pan napije? - spytał wreszcie, jakby doszedł do jakiegoś wniosku. - Whisky? Gin? Piwo? Właśnie miałem sobie coś nalać.

- Dziękuję - odparł nieobecny głosem Slider. Ciepło, wygodny fotel i muzyka działały kojąco na jego bolesne wyczerpanie. Nie zauważył nawet tego, że nie wybrał żadnego drinka. Jego wzrok podążył leniwie, niemal sennie za Hildyardem, który podszedł do stolika pod oknem i z wykwintnej karafki nalał do masywnych szklanek o grubym dnie spore porcje whisky. Coś w wyglądzie kompletu z rżniętego szkła niezwykle pasowało do perkalu i brązu. Irene uznałaby to za przejaw dobrego gustu przez duże G. Slidera uderzyło, że ów salon wyglądał tak samo nieprawdopodobnie, jak pokoje prezentowane w ilustrowanych dodatkach do magazynów. Idealnie wyposażone, gustowne, krzyczące bogactwem. Obraz bez treści, zgrabny, ładny, wykończony, zupełnie jak mieszkanie Anne-Marie w Birmingham. To właśnie mnie dręczy, pomyślał. Napiłem się Współczesnego Świata i pochorowałem od tego.

Wziął szklankę z whisky od Hildyarda niemal speszony, z poczuciem nierealności sięgającej szczytu. Nie miał pojęcia, co tu robił, co chciał osiągnąć ani nawet czego oczekiwał. Czuł, że jeśli poczeka wystarczająco długo, usłyszy własny głos, ale do tej pory nie będzie miał pojęcia,

co chce powiedzieć. Hildyard usiadł naprzeciwko niego ze swoją szklaneczką, przyglądając się mu beznamiętnie, prawdopodobnie słusznie oceniając stan umysłu swego gościa.

-To nie jest wizyta służbowa - powiedział wreszcie Slider.

- Tak przypuszczam. Zamknięto śledztwo. Uziemili pana, jak to mawialiśmy.

- Słucham? - spytał głupio Slider.

- Podczas wojny, w lotnictwie - wyjaśnił uprzejmie Hildyard. - Ależ to była zabawa! Ani chwili nudy. Większość z nas nigdy nie poradziła sobie z pokojem, rozumie pan. - Spojrzał na dłoń Slidera. - Niech pan pije - zachęcił. Slider spojrzał na szklanekę, nagle podejrzliwy. - To tylko whisky - dodał Hildyard, jakby czytając w jego myślach. - Nie muszę się pana obawiać. Wiedziałem, że pana uziemią, zanim sprawa została oficjalnie zamknięta. Wasz komisarz grywa w golfa, rozumie pan.

Rzeczywiście, pomyślał Slider.

- W brydża też - dodał bezsensownie. Upił nieco drinka. Pałący pszeniczny smak zalał jego usta, język i pociekł gorącym strumieniem w dół gardła, rozgrzewając żołądek. Poczuł lekkie zawroty głowy i przypomniał sobie, że nie jadł przez cały dzień.

-Tak czy inaczej właściwie się pana spodziewałem - podjął rozmowę Hildyard. - Między innymi przez pana obecność na pogrzebie. Zachowywał się pan dość dziwnie. Powiadają, że być może zostanie przeprowadzone dochodzenie na tę okoliczność. Załamanie, tak to chyba określicie, czyż nie? Zbyt wiele napięcia, za dużo pracy i za mało czasu wolnego. Poza tym problemy w domu. Niech mi

pan powie, dlaczego pan tu przyjechał. Wątpię, żeby tak naprawdę pan to wiedział.

Slider zebrał się w sobie, oderwał od usypiającej, nieważnej błogości kominkowego ciepła i muzyki.

- Chciałem z panem porozmawiać. Mam kilka pytań, na które chciałbym od pana uzyskać odpowiedzi, dla własnej satysfakcji.

- Dlaczego pan sądzi, iż na nie odpowiem? - Hildyard rozparł się wygodnie w fotelu i poruszył długim, kościstym palcem w takt muzyki. - Przepiękny fragment, nie sądzi pan? Czy wie pan, że to dzięki moim znajomościom Anne-Marie mogła rozwijać swoje talenty muzyczne? Jej ciotka chciała, żeby dziewczyna poświęciła się czemuś bardziej zdroworozsądkowemu, zwłaszcza po kłopotach, jakie spowodowało małżeństwo jej rodziców. Przekonałem ją jednak, żeby pozwoliła dziecku studiować muzykę, a kiedy skończyła college, dyskretnie pomogłem jej dostać się do orkiestry. Nigdy się o tym nie dowiedziała, ale rozumie pan, nawet prawdziwe talenty potrzebują czasem pomocnej dłoni. Nie sądzi pan, że to miło z mojej strony? Chcieliśmy jednak, żeby Anne-Marie pozostała blisko domu. To był prawdziwy cios, kiedy przeprowadziła się do Londynu. Osobiście uważam, że okazała w ten sposób niewdzięczność. - Jego uśmiech był nader nieprzyjemny.

- Wydaje mi się, że jej ciotka powinna być dość zadowolona z tego powodu - rzucił z wysiłkiem Slider.

- Cóż, być może. Nie lubiła Anne-Marie. Poza tym jest muzyczną kretynką. Przykro mi mówić tak niemiłe rzeczy o mojej narzeczonej, ale to prawda. Och, nie wiedział pan, że zamierzam poślubić panią Ringwood? To dojrzała kobieta, ale nadal atrakcyjna. Prawda, nie należy do przyjaciół muz,

ale za to jest bardzo, bardzo bogata, zwłaszcza po tym, jak pan i pana ludzie nakręciliście dochodzenie w sprawie śmierci jej siostrzenicy. Poza tym zawsze będę mógł słuchać muzyki w mojej klinice. Nie można mieć w życiu wszystkiego.

- Przypuszczam, że pani Ringwood będzie żyła tylko do chwili, gdy zmieni swój testament? - Slider usłyszał, jak słowa wypływają z jego ust. Był zgorzony, ale Hildyardowi najwyraźniej to nie przeszkadzało. Zachichotał nawet radośnie.

- Ach, czyżbym naprawdę był tak mało subtelny? Może być pan pewien, że kiedy pani Ringwood umrze, czy to wkrótce, czy też nie, jej śmierć nie będzie w najmniejszym stopniu podejrzana. Lekarze nie będą mieli wątpliwości przy wystawianiu świadectwa zgonu.

- Dlaczego zatem zabił pan Anne-Marie w ten sposób? Mógł pan to zaaranżować tak, że wyglądałoby na śmierć z przyczyn naturalnych lub przekonujące samobójstwo.

Twarz weterynarza pociemniała na moment.

-Trzeba panu oddać sprawiedliwość, że bardzo pan szczerzy - powiedział normalnym głosem. - W każdym momencie. Dlaczego pan sądzi, że zabiłem Anne-Marie?

Było to przekonująco naturalne pytanie. Slider przypomniał sobie nagość dziewczyny, błękitny język Ronniego Brennera i krew pod powiekami Thompsona. Poczul się bardzo zmęczony. Przez chwilę zastanawiał się, czy jego whisky jednak nie zawierała jakiegoś dodatku, ale odrzucił to podejrzenie. Może rzeczywiście przechodził załamanie? Skoro tak, nie miał nic do stracenia.

- Poudawajmy przez chwilę - rzucił ciężko. - Zabawmy się w grę towarzyską, tylko dla mojej satysfakcji. Myślę, że prawie wszystko zrozumiałem, ale jest jedna czy dwie sprawy...

- Czy jestem panu winien satysfakcję?
- Niezupełnie, ale gwoli dyskusji, czy pentotal pochodził z pańskiej kliniki? Zapewne prowadzi pan staranny rejestr leków, zwłaszcza tych ścisłego zarachowania, czyż nie?
- Naturalnie.
- Zaaranżował pan spotkanie z Anne-Marie w pubie, po sesji nagraniowej w centrum telewizyjnym. Ukradł pan jej terminarz, zatem wiedział pan, że przez kilka dni nikt się nią nie zainteresuje. Pojechaliście jej wozem. Przypuszczam, że zostawił pan swój w innym miejscu, żeby nie został rozpoznany?
- Hildyard skłonił się lekko.
- Pociągi z Oksfordu kursują dość często i można na nich polegać - odparł jakby nigdy nic. Slider kiwnął głową, przyjmując wyjaśnienie.
- Tak, Oksford. Kazał jej pan zawieźć się do mieszkania, które znalazł dla pana Ronnie Brenner. Zabrał ją tam pan i... - Przerwał i głośno przełknął ślinę. Nie potrafił zdobyć się na powiedzenie tego zdania. - Po wszystkim zdjął jej pan ubranie i pojechał jej samochodem do Oksfordu, tam prze-siadł się do własnego, wrócił do domu i pozbył ubrania. Zastanawiam się tylko jak? - Zamyślił się na chwilę. - Czy ma pan spalarnię lub coś w tym rodzaju? Co z ciałami zwierząt, które pan usypia? Nie sądzę, żeby wszyscy właściciele chcieli pochować swoje zwierzęta?
- Mam w klinice spalarnię - przyznał Hildyard z dziwnym błyskiem w oku. - Bardzo podobną do tych, których używają w krematoriach. Spala wszystko bardzo wydajnie. Slider kiwnął głową.
- Potem musiał pan wrócić i wyczyścić jej mieszkanie, zabrać wszystkie dokumenty, żeby usunąć wszelką możliwość, iż Anne-Marie pozostawiła po sobie cokolwiek obciążające-

go. Zapomniał pan jednak o skrzypcach, o stradivariusie. Dlatego wrócił pan drugi raz. Pewnie myślał pan, że przy takim obrocie spraw ma pan wiele czasu. Zapewne zaskoczył pana artykuł w gazecie i to, że tak szybko zidentyfikowano Anne-Marie. Spanikował pan i zabił staruszkę...

Hildyard nagle wydał się zagniewany.

- Mój drogi panie, czy ja wyglądam na kogoś, kto może wpaść w panikę? To nie ja zabiłem staruszkę, jak to pan określił. To była fuszerka, zupełnie niepotrzebna.

- Może był to wypadek - przyznał Slider. - Nawet my nie byliśmy co do tego przekonani. Ale to pan załatwił Thompsona, czyż nie? Zaczął stanowić zagrożenie, bo zbliżał się coraz bardziej do odkrycia prawdy. Poza tym był to sposób na związanie luźnych końców. Porzucił pan więc samochód Anne-Marie w pobliżu jego domu, w jakiś sposób porwał nieszczęśnika, zmusił do napisania listu samobójczego, a potem poderżnął mu gardło jednym ze swoich skalpeli. Bardzo sprytnie z pana strony, że zauważył pan jego lewo-ręczność i dokonał zbrodni również lewą ręką. Mój przyjaciel powiada, że chirurdzy potrafią posługiwać się obiema rękoma tak samo dobrze. Czy to prawda?

- O tak. Są takie chwile podczas operacji, że kąt nacięcia nie jest dostępny z prawej strony. Niektórzy najlepsi chirurdzy operują obiema rękoma jednocześnie, trzymając kilka instrumentów w każdej dłoni, aby przyspieszyć procedurę.

Slider milczał zamyślony.

- Zastanawiałem się, jakim cudem udało się wam zidentyfikować ciało Anne-Marie tak szybko - spytał Hildyard.

- Przeczytałem w gazecie, że była zupełnie naga, nie znaleziono też przy niej żadnych przedmiotów osobistych ani dokumentów. Nie była również przez nikogo poszukiwana.

- Ślad na szyi - odparł Slider. Był bardzo, bardzo zmęczony. Zamknął oczy. - Jeden z moich ludzi rozpoznał go jako ślad od skrzypiec, więc odwiedziliśmy różne orkiestry z jej fotografią.

- Ach, rozumiem - rzekł poważnie Hildyard. - Nie było jednak sposobu, aby zamaskować ów ślad, prawda?

Slider otworzył oczy.

-Nie. Skąd jednak nacięcia na stopie? Co oznaczały? *Traditore*, zdrajca? Dlaczego nie zaaranżował pan tego jak samobójstwa?

Zdało mu się, że Hildyarda opuściło zwykle opanowanie. Na twarzy pojawił się dziwny grymas, oczy zwęziły się z niesprecyzowanej emocji - może z gniewu? Zacisnął usta, jakby powstrzymując się od wypowiedzenia nieostrożnych słów, ale za chwilę i tak znalazły one swoją drogę.

- Kochałem Anne-Marie. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo. Była moim dzieckiem, neofitą, stworzyłem ją. Czuwałem nad nią, pielegnowałem to, co w niej było... - Przerwał nagle. W świetle płomieni z kominka jego oczy lśniły chłodno. Odwrócił głowę i dokończył obojętnie. - Rozkazy z góry zawsze muszą być wykonane, niezależnie od tego, co się o nich myśli. Żadnych pytań, żadnych wątpliwości, inaczej zapanowałby chaos. W biznesie i w armii.

- Biznesie? - powtórzył Slider, walcząc z usypiającym go ciepłem i usiłując wydobyć z siebie więcej gniewu i oburzenia. - Jak może pan to nazywać biznesem? Jeżeli rzeczywiście znał pan Anne-Marie przez całe życie, jak mógł pan tak po prostu zamordować ją z zimną krwią, nic nie czując, a potem nazywać to zwykłym interesem?

Hildyard wstał gwałtownie i pochylił się nad detektywem, ale Slider był zbyt senny, aby przestraszyć się zagrożenia. Weterynarz odebrał mu szklanekę.



- A niech to, nie powinienem panu dawać aż tyle! Przypuszczam, że strzelił pan sobie jednego, zanim pan tu przyjechał, co? Dalej, zbierz się do kupy, pijany idioto! Nie mogę sobie pozwolić, żebyś mi tutaj nagle zasnął. Cholera, nie powinienem cię tu w ogóle wpuszczać.

Nadal nie przyznał się do niczego, pomyślał Slider. Nie zaprzeczył, ale też się nie przyznał. Detektyw nie miał wątpliwości, że Hildyard był winny, ale nawet jeśli dochodzenie nie byłoby zamknięte, rzeczy, które powiedział w tej rozmowie, nie stanowiłyby żadnego dowodu. Nie było świadków. Nie? Silne dłonie weterynarza spoczęły na jego ramionach, chwytając go niczym dwa imadła. Slider usiłował się uwolnić z uścisku, ponieważ zaniepokojony. Brzydził się dotyku dłoni, które tak niedawno zaciskały się na szyi Ronniego Brennera.

- W ogóle się pan nie niepokoi, prawda? - rzucił w nagłym ataku wściekłości. - Nie jest pan człowiekiem, tylko potworem! Powiedział pan, że kochał Anne-Marie, ale zamordował ją pan tylko dlatego, że tak panu kazali. Ronniego Brennera również, a potem wrócił pan tutaj, rozpałił w kominku, jakby właśnie skończył się kolejny normalny dzień pracy.

Dłonie Hildyarda nagle się wycofały. Weterynarz wyprostował się i spojrzał na Slidera z nagłym niepokojem.

- Ronniego Brennera? O czym pan mówi?

- Pojechał pan za mną do jego domu dziś po południu, a kiedy stamtąd wyszedłem, włamał się pan tam i zabił go.

Weterynarz miał dziwny wyraz twarzy.

- Nie - powiedział. - Nigdzie się nie wybierałem. Spędziłem tutaj cały dzień.

Slider wzruszył ramionami.

- W takim razie...

- Ciiii! - Hildyard nagle się spał, zeszywniał, przechylił głowę, nasłuchując. - Słyszał pan to? - wyszeptał. Slider potrząsnął głową, wreszcie spoglądając prosto w oczy weterynarza. Zaobserwował niezwykle fenomen; z żółtawej twarzy Hildyarda całkowicie odpłynęła krew, nadając jej najpierw biały, a potem zielonkawy kolor. Oczy lekko wytrzeszczył, a wargi ściągnął, nieświadomie odsłaniając długie zęby. Slider nigdy nie widział takiego przerażenia na twarzy człowieka.

- Przyjechali tu za panem - wyszeptał Hildyard. - Jezu Chryste.

- Kto? Jak? - spytał Slider, ale weterynarz go uciszył.

- Proszę tu zaczekać. Niech pan będzie cicho - wyszeptał. Odstawił szklanekę z whisky i podszedł do drzwi. Uchylił je nieco i przez chwilę nasłuchiwał, a potem wyślizgnął się na zewnątrz, na palcach, cicho niczym kot.

Slider czekał. Polana trzaskały w kominku. Po chwili dźwignął się z fotela i podszedł do drzwi, które Hildyard zostawił uchylone. Powietrze w korytarzu było chłodniejsze niż w salonie. Przeciąg zagwizdał nieprzyjemnie w jego uszach, kiedy podszedł bliżej. Usłyszał powolne, ciężkie tykanie starego zegara z wahadłem w korytarzu, w miękkiej czarnej ciszy pustego domu.

A potem, gdzieś w oddali, stłumione tąpnięcie, zupełnie jakby gdzieś w pobliżu przewróciła się sarta ciężkich rzeczy. Slider otworzył drzwi szerzej i usłyszał dość wyraźnie od strony kliniki weterynaryjnej odgłos tłuczonego szkła.

Jego umysł natychmiast ocknął się z letargu i ciepłych oparów salonowych. Adrenalina popłynęła żyłami Slidera, kiedy sprintem przemierzył korytarz i otworzył gwałtownie drzwi, natychmiast pojmując, co oznaczało owo tąpnięcie. W głowie słyszał głos Dicksona: „Oni nie tolerują pomy-

łek", kiedy przebiegł przez jadalnię, uderzając piszczelem w stojące mu na drodze krzesło, i wybiegł przez kolejne drzwi do nowej części domu, nadal jeszcze pachnącej gipsem. Przemierzył korytarz i otworzył drzwi do poczekalni pachnącej środkiem dezynfekcyjnym. Kolejne drzwi zaprowadziły go do samego gabinetu.

Zaatakowały go smród benzyny, szalejące płomienie, potłuczone szkło, czarny gęsty dym. Na podłodze leżał Hildyard, twarzą do dołu, tył jego głowy został zmieniony za sprawą profesjonalnego uderzenia w różową miążgę, wymieszane ze sobą kości, mózg i włosy. Wszystko to Slider zauważył w ciągu ułamka sekundy, zanim temperatura i dym zamgliły jego wzrok. Z jego oczu płynęły strugi łez, słyszał, jak kaszle, i czuł ból w klatce piersiowej, kiedy opadł na kolana. Musiał się stamtąd wydostać.

Chwycił za kołnierz i ramię weterynarza i zaczął go ciągnąć w kierunku drzwi, ale mężczyzna okazał się niesamowicie ciężki, a drzwi zbyt daleko. Umysł Slidera odciął się od tego wszystkiego; od pożaru, strachu, agonii i spojrzął na wszystko z ogromnej wysokości, gdzieś z chłodnego, ciemnego, nieprzeniknionego dystansu. Slider był ledwie świadomy tego, że postępował bardzo nierozsądnie, ale nie pamiętał, dlaczego. Był zbyt zmęczony, a ciemność zbyt zachęcająca, żeby spróbował sobie przypomnieć.

## Rozdział 17

### BEZPAŃSKI PIES

- Halo?
- Witaj, Joanno.
- Bill! Nie sądziłam, że jeszcze się do mnie odezwiesz.
- Nie? - Był szczerze zdziwiony.
- Minęło dużo czasu.
- Dzwoniłem kilka razy, ale odpowiadała mi automatyczna sekretarka, a z nią nie chciałem rozmawiać.
- Szkoda. Wtedy przynajmniej bym wiedziała...
- Wiedziała co?
- Że... że wciąż jeszcze chodzisz po tym świecie.
- Chodzę, ale nie ma mnie w Londynie.
- Och. - Postanowiła nie zadawać żadnych pytań. Przez trzy tygodnie czekała z malejącą nadzieją i czuła, że to nie ona powinna zadawać pytania.
  - Nie jesteś chyba na mnie zła, co? - spytał po chwili milczenia.
  - Nie jestem zła. Dlaczego?
  - Zadzwoił do ciebie Atherton?

- Powiedział mi, że jesteś w szpitalu, ale to nic poważnego.  
- To wszystko? Nic więcej?  
- Nie. Co miał mi jeszcze powiedzieć?  
- Poprosiłem, żeby wyjaśnił ci, co się zdarzyło. Pewnie zapomniał. Miał na głowie mnóstwo spraw, zwłaszcza że mnie nie było w pracy, a okazało się, że Rainsbrook nie wraca do roboty.

Akurat zapomniał, pomyślała Joanna.

- Gdzie jesteś? - spytała.  
- U ojca, w Essex. Dali mi długi urlop.  
- Upper Hawksey - przypomniała sobie.  
- Stąd właśnie do ciebie dzwonię. Zastanawiałem się... zastanawiałem się, czy nie masz przypadkiem kilku wolnych dni w najbliższym czasie. Może chciałabyś przyjechać tutaj na trochę? To ładna, wiejska okolica.

- Co na to twój ojciec? - Tak naprawdę miała na myśli „co na to twoja żona?”. Slider zrozumiał i odpowiedział na wszystkie części pytania.

- Irene tu nie ma. Została w domu z dziećmi. Nie chciałem, żeby opuściły szkołę. Tak czy siak powinienem mieć ciszę i spokój. Powiedziałem tacie o tobie.

Serce Joanny podskoczyło.

- Doprawdy?  
- To porządny gość - wyjaśnił. - Cenię sobie jego rady. Powiedziałem, że chcę cię tu zaprosić, i zgodził się. Myślę, że chce cię poznać, chociaż nie powiedział tego na głos. Takie pokolenie, sama rozumiesz.

-Tak.

-Joanno, nie mówisz zbyt wiele.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Wszystko w porządku?

- Nie jestem pewna. Czuję się, jakbym przeżywała jakiś koszmar.

-Ja też. - Pomyślał, że to niedopowiedzenie stulecia.

- Przyjedziesz? Chciałbym z tobą porozmawiać, ale jeśli nie masz nastroju na te odwiedziny, zrozumieć.

Nie, nie zrozumiesz, ty niepewny siebie gnojku, pomyślała.

- Tak, przyjadę, jeśli chcesz. Jutro?

- Byłoby wspaniale.

- W takim razie oczekuję instrukcji.

Czekał na nią na końcu drogi. Pokazał, żeby zjechała na błotniste pobocze. Posłuchała. Wysiadła z samochodu i stanęła, spoglądając na niego ze ściśniętym gardłem. Miał spalone brwi, włosy zgolone na jeża, a skóra na jego czole wyglądała niczym zrobiona z lśniącego plastiku. Ręce nadal miał obandażowane, ale poza tym nie było żadnego śladu po tym, przez co przeszedł.

Wyglądał jednak mizernie. Jego twarz straciła jędrność, powiększając optycznie nos i uszy i sprawiając, że wyglądał dziwnie młodo. Miał na sobie powyciągany sweter, luźne spodnie i zbyt duże kalosze. Joanna stwierdziła, że taki strój pasuje mu znacznie bardziej niż ubrania, które nosił w mieście. Był wiejskim chłopcem z krwi i kości i wreszcie wyglądał na miejscu, stojąc tak na tle żywopłotów i rozległych, płaskich, brązowych, wilgotnych pól.

Brak brwi sprawiał, że wyglądał na stale zdziwionego. Jego uśmiech był niepewny, nieśmiały. Kochała go nieposkromioną miłością i nie wiedziała, co powiedzieć, jak do niego podejść, nawet gdyby mogła pokonać dzielącą ich odległość.

- Najlepiej będzie, jeśli zostawisz samochód tutaj - powiedział wreszcie. - Nic się mu nie stanie, a gdybyś zaparkowała obok naszych wozów, zrobiłby się ścisk. Taty nie ma. Zazwyczaj wychodzi na cały dzień, więc mamy cały dom dla siebie, aż do wieczora. Chcesz wyskoczyć na drinka i lunch? Nie wiedziałem, czy przyjedziesz głodna, czy nie.

Mówił zbyt dużo, zdawał sobie z tego sprawę, ale nie mógł się powstrzymać. Jej milczenie okropnie go denerwowało. Myślał o niej tak długo, że jego umysł wreszcie zmienił ją w coś nierealnego. Teraz, kiedy znowu ją zobaczył, nie wiedział, co tak naprawdę czuje, co zamierza zrobić i czy zaproszenie jej tutaj było objawem odwagi, głupoty, egoizmu czy po prostu dobrą decyzją. Przyglądali się sobie dziwnie, nadal stojąc dalej niż na wyciągnięcie ręki.

- Dobrze się czujesz? - spytała wreszcie, pokazując na jego bandaż. - Wygląda to trochę przerażająco.

Machnął ręką.

- Eee, nie jest tak źle, jak wygląda. Rany niemal się już zagoiły, ale nie chcę, żeby się zabrudziły, więc noszę bandaż. Wszystko, co tutaj robię, kończy się ubrudzeniem. To bardzo przyjemne. - Uśmiechnął się nieśmiało, ale Joanna przyglądała mu się uważnie, bez uśmiechu.

- Schudłeś czy to tylko twoja nowa fryzura?

-Jedno i drugie. Musiałem ostrzyć włosy, bo były nadpalone. Jak widzisz, moje stare brwi też zniknęły. Odrosną, oczywiście, zapewne gęstsze niż przedtem. Będę wyglądał jak Denis Healey. - Joanna nie uśmiechnęła się w odpowiedzi na jego próbę żartu. Slider spoważniał. - Atherton wyciągnął mnie w ostatniej chwili. Gdyby nie on... i ty, twoje zaniepokojenie... oboje ocaliliście mi życie.

Odwróciła głowę.

- Przestań - powiedziała. - Tylko bez wdzięczności, na miłość boską. Nie mogłabym tego znieść. Chyba nie po to mnie tu zaprosiłeś, co? - Spojrzała na niego, nagle zdenerwowana.

-Nie. Ja... nie. Chciałem cię zobaczyć. Porozmawiać z tobą. - Przygryzł wargę. - Chodź, nie ma sensu tutaj stać.

Podeszła do niego i razem ruszyli błotnistą ścieżką w kierunku domu. Zaprowadził ją do kuchni, gdzie ściągnęli ubrudzone buty. Posadził ją przy zniszczonym drewnianym stole - zupełnie jak w bajce, pomyślała - i podał gin z tonikiem.

- Musiałem się w to specjalnie zaopatrzyć - powiedział, podając jej szklanekę obandażowaną dłonią. - Tata pije tylko piwo i wino domowej roboty, a ja nie mogłem cię skazać na taką torturę.

- Nie musiałeś się tak kłopotać. Zadowolilibym się piwem - odparła.

- Chciałem, żebyś miała to, co lubisz. - Postawił szklanekę i spojrzał jej w oczy. Pragnął jej dotknąć, ale nie wiedział, jak pokonać dzielącą ich odległość. Nie wiedział, co myśli Joanna. Mogła tego nie chcieć. Ale przecież przyjechała tutaj, czyż nie? A może kierowała nią jedynie ciekawość?

Milczenie trwało już zbyt długo. Odwrócił się i przygotował sobie drinka.

- Tata lubi zjeść porządny posiłek, gdy wraca wieczorem - rzucił. - Pomyślałem, że przekąsimy teraz jakiś lekki lunch, jeżeli ci to odpowiada.

- Cokolwiek zechcesz. Nie ma sprawy.

- Zjesz grzyby na grzance? Nieźle mi wychodzą.

- Brzmi cudownie. Poradzisz sobie z tymi bandażami?



- O tak. Zupełnie mnie nie boli. Nic nie rób, posiedź sobie. Nie miałem jeszcze okazji dla ciebie gotować.

Jego słowa ucieszyły ją i zabolaly, bo były takie niewinne. Był taki słodki, nieporadny i pokochała go znowu. Bała się tylko, że ponownie będzie musiała zapłacić za swoje uczucia. Obserwowała go, gdy poruszał się pewnie po kuchni, w której wyrastał. Wyglądał tu znacznie młodziej i nie był to jedynie efekt strzyżenia. Miało to coś wspólnego z przebywaniem w domu rodzinnym. Zauważyła już wcześniej, że ludzie młodnieli, kiedy mogli poczuć się jak dziecko swoich rodziców.

Gin rozluźnił nieco napięcie i Slider zaczął mówić swobodniej o nic nieznaczących rzeczach. Joanna słuchała, obserwując go i odprężając się powoli. Dopiero gdy usiedli naprzeciwko siebie z jedzeniem, którym mogli zająć dłonie, przeszedł do właściwego tematu.

-To wręcz niesamowite, że od czasu morderstwa Ronniego Brennera nie zamieniłem z tobą ani słowa. Naprawdę nie wiem, jak wiele wiesz na temat całej sprawy. Dlaczego zadzwoniłaś na komisariat?

- Nie wiem - powiedziała, wpatrując się w niego. - Po prostu miałam złe przeczucie. Zachowywałeś się bardzo dziwnie, więc zatrzymałam się przy pierwszej napotkanej budce telefonicznej, poprosiłam do telefonu twojego przyjaciela, O'Flaherty'ego, i kiedy powiedział mi, że nie ma cię na miejscu, opowiedziałam mu o wszystkim. Oczywiście istniało prawdopodobieństwo, że wróciłeś do domu, ale nie mogłam przecież tego sprawdzić. Spodziewałam się, że mnie uspokoi, powie, że nie powinnam się martwić, ale dzięki Bogu potraktował to bardzo poważnie. Powiedział, że dowie się, gdzie jesteś, i od razu do mnie zadzwoni.

- Spojrzała na niego, sprawdzając, czy już o tym wie. Slider kiwnął głową.

- Mów dalej - poprosił.

- Podobno wysłał wóz patrolowy do domu tego Brennera czy jak mu tam było. Oczywiście po dotarciu na miejsce wszyscy zostali postawieni w stan gotowości. O'Flaherty i Atherton domyślili się, że najprawdopodobniej pojechałeś do fałszywego weterynarza. Atherton wsiadł więc do samochodu i pognął tam jak szalony. - Spojrzała na niego. - Naprawdę mu na tobie zależy, wiesz?

- Tak - odparł Slider, wpatrując się w talerz. - Czy O'Flaherty do ciebie zadzwonił? Musiałaś przeżywać piekło.

- Nie wtedy, później. Zadzwonił po dziesięciu minutach i wyjaśnił, co zamierzają zrobić, żeby cię odnaleźć. Później jednak musiałam iść do pracy. To był najdłuższy wieczór w moim życiu. Bóg wie, jak wtedy grałam. Dowiedziałam się o tym, co zaszło, dopiero po powrocie do domu. Atherton zadzwonił do mnie i powiedział, że jesteś w szpitalu, w szoku i poparzony.

To był początek długiego oczekiwania i powolnego umierania nadziei. Nie mogła go odwiedzić, bo Irene mogła być w szpitalu. Usiłowała dzwonić, ale nie chcieli udzielić jej żadnych informacji. Tylko rodzina i krewni mieli prawo kontaktować się z pacjentem. Potem z kolei doszła do wniosku, że jeśli nadal ją chciał, skontaktuje się z nią, a jeśli nie, to nie może utrudniać mu jego decyzji. Dlatego nic nie zrobiła. Milczenie przedłużało się, aż wreszcie uznała, że dostała swoją odpowiedź.

- Nie byli ze mnie zadowoleni, wiesz? - powiedział. - Musieli przeprowadzić dochodzenie w związku ze śmier-

cią Hildyarda i okazało się, że był nader niewygodnym klientem. Z urodzenia Niemiec, jego prawdziwe nazwisko brzmiało Hildebrand, studiował weterynarię w Norymberdze aż do wybuchu wojny. Potem wstąpił do Luftwaffe, do wywiadu wojskowego.

- To stąd ten „kapitan”?

- Przypuszczalnie. Kiedy armia niemiecka przystąpiła do okupacji Włoch, został tam tymczasowo oddelegowany. Miał być swego rodzaju tajnym agentem i wmieszać się w kręgi pronazistowskich Włochów. Celem było oczywiście rozbicie włoskiego podziemia. Najwyraźniej wtedy właśnie pokumał się z mafią i podobno nieźle się wówczas dorobił na nielegalnych transakcjach. Stał się bogaty, a kiedy alianci zaczęli zwyciężać, miał na tyle dużo pieniędzy, żeby zniknąć, mimo że był bardzo poszukiwanym człowiekiem.

- Tak, zapewne był. Wszyscy chcieliby jego śmierci.

-Jego jedynymi przyjaciółmi byli ludzie mafii. Wygląda na to, że pomogli mu wydostać się z Włoch do Anglii, gdzie mógł rozpocząć nowe życie. W każdym razie Hildyard zniknął na jakiś czas, a kiedy pojawił się ponownie, był już w Stourton-on-Fosse jako weterynarz i szanowany członek miejscowej społeczności.

- A co z całym tym czasem, kiedy był uśpionym szpiegiem? A może był jednak aktywny? Co z nim?

- Nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek się dowiedzieli. Nie mam pojęcia o tak wielu rzeczach. Na przykład, kto zabił Brennera czy panią Gostyń. Hildyard w zasadzie przyznał się do zabicia Thompsona, a przynajmniej nie zaprzeczył. Anne-Marie też. - Zamilkł na moment. - W każdym razie nie zamierzają drążyć tego dalej. Sklep na Tutman Street został zamknięty, a człowiek, z którym rozmawiałem, zniknął.

Najwyraźniej zaniepokoił się go do tego stopnia, że mafia zamknęła całą odnogę sieci. To z kolei oznacza, że nie jestem zbyt popularny w Yardzie. Od tej chwili będziemy obserwować Salomana, ale nie sądzę, aby Rodzina jeszcze kiedyś go wykorzystwała.

- Zastanawiałam się tylko nad tym, jak Anne-Marie przekazywała pieniądze swoim odbiorcom.

- Myślałem nad tym i uważam, że musiał to być jakiś idiotycznie prosty sposób. Myślę, że używała do tego puszek po oliwie, inaczej nie wiem, do czego miały służyć. Miała dwie puszeki w każdym ze swoich mieszkań i Atherton zauważył, że były bardzo czyste i suche w środku, jakby nigdy nieużywane. Myślę, że po prostu wpychała do środka zwitki banknotów i zanosila do sklepu, w zamian otrzymując kolejną pustą puszkę.

- Nie, to nie mogło być aż takie proste.

- Czasami najprostsze pomysły są najlepsze - odparł, po czym zapadła cisza.

- Cóż, przynajmniej morderca Anne-Marie dostał za swoje - rzekła w końcu Joanna, usiłując go pocieszyć.

- Mówisz zupełnie jak Dickson, ale nie chodzi tylko o to. To wyłącznie zemsta. - Spojrzał na nią uważnie. - Chcę, żebyś zrozumiała... chcę żebyś ty to zrozumiała - dodał.

- Mów, słucham cię.

Minęła dłuższa chwila, zanim zaczął.

- To nie wygląda tak jak w książkach, kiedy detektyw rozwiązuje sprawę i idzie do domu na kolację - powiedział wreszcie. - W prawdziwym życiu, kiedy wyjaśniasz zagadkę kryminalną, to dopiero początek. Trzeba zgromadzić wszystkie dowody, zrekonstruować wydarzenia, zdefiniować oskarżenie, skierować sprawę do sądu, a nawet wtedy prze-

stepca może nie zostać ukarany. Sąd może go uwolnić albo wydać wyrok w zawieszeniu i gagatek wraca na ulice. To czysty hazard. Przez cały czas, kiedy człowiek zajmuje się gromadzeniem dowodów w jednej sprawie, obok ktoś popełnia kolejną zbrodnię, a nie można być w dwóch miejscach naraz. Nigdy się nie wygrywa. Nie można wygrać. Nigdy niczego się nie kończy. To zupełnie jak zabawa w podchody, tylko wszyscy złoczyńcy są tuż za tobą, zawsze, nic się nie zmienia. Nawet jeśli odeślesz któregoś do tyłu, działają inni, nie można ich wszystkich naraz powstrzymać. Za kilka lat ten, którego odesłało się na sam koniec, znowu wysuwa się na prowadzenie. Nigdy do niczego nie dochodzisz i koniec końców doprowadza cię to do szaleństwa. Jeżeli na to pozwolisz. - Spojrzał na nią, sprawdzając, czy go zrozumiała. Joanna pokiwała głową. - Ludzie mają różne sposoby na radzenie sobie z frustracją. Oczywiście niektórzy mają tyle szczęścia lub są na tyle głupi, żeby w ogóle jej nie czuć. Na przykład Hunt. Beevers również, w pewnym sensie. Ather-ton radzi sobie, wyłączając się zupełnie w momencie, gdy wstaje od biurka. Koncentruje się na życiu towarzyskim, książkach i muzyce.

- Odgrywaniu dyletanta, tak?

- Tak. Do pewnego stopnia to rzeczywiście przedstawienie. Obserwuje samego siebie w akcji i szlifuje swoją grę. Norma też zachowuje się podobnie, chociaż ona akurat wciela się w twardzielkę. Są też tacy, którzy piją, biorą narkotyki, inni zaś po prostu się odczłowieczają.

- No i jeszcze jesteś ty - zasugerowała.

- Naprawdę nie wiem, jak sobie z tym wszystkim radziłem. Myślę, że wierząc, iż ma to jakiś sens, jest czegoś warte. Tym razem jednak, przy tej sprawie, mój sposób nie

zadziałał. Za bardzo mi zależało, nie wiem dlaczego, chyba to śledztwo po prostu przepełniło miarę. A potem poznałem ciebie.

Joanna znieruchomiała. Obserwowała jego twarz w milczeniu.

- Powiedziałaś kiedyś, że nie traktuję cię jak kogoś realnego, i w pewnym sensie miałaś rację.

Odebrała owe słowa z przeczuciem zbliżającej się katastrofy i rosnącą rozpaczą. Zaprosił ją tutaj, aby oznajmić, że między nimi wszystko skończone. Był zbyt dobrze wychowany, aby zrobić to inaczej niż osobiście.

- Byłaś moją ucieczką - ciągnął. - Teraz to widzę. Myślę, że wtedy tylko częściowo zdawałem sobie z tego sprawę. To bardzo niesprawiedliwe, że tak cię wykorzystałem. Mogę tylko powiedzieć w swojej obronie, że bardzo tego potrzebowałem. Stałem na skraju przepaści i tylko ty trzymałaś mnie na tym świecie.

Joanna pokiwała głową, niezdolna do wypowiedzenia ani słowa. Nie mogła uwierzyć, że chce ją zostawić, teraz, kiedy odnaleźli siebie wbrew wszelkim przeciwnościom losu. Wiedziała jednak, zawsze to wiedziała, że tak to się właśnie skończy.

- Miałem dużo czasu na przemyślenia podczas mojej tutaj rekonwalescencji. Ludzie nieczęsto miewają taki komfort, nie sądzisz? Czas tylko dla siebie, żeby przemyśleć wszystko porządnie. Może dlatego ludzie tak często źle pojmują najprostsze rzeczy. Od czasu małżeństwa nigdy nie byłem sam ze sobą.

Zaczyna się, pomyślała. Wykrzywiła usta w uśmiechu, ale potem pomyślała, że to niewłaściwe zachowanie. Slider spojrział na nią bardzo poważnie. Wyglądał przez to absurdalnie

młodo, niczym szóstoklasista, który właśnie zamierza ogłosić swoje wiekopomne przemyślenie, iż jego największym marzeniem jest pokój na świecie.

- Tutaj jednak miałem święty spokój. Tata nie należy do gadatliwych ludzi. Jest bardzo wyciszony. Myślałem długo

O wszystkim, a zwłaszcza o tobie. Uważam, że niezależnie od tego, jak toczyły się sprawy, jesteś jedyną realną rzeczą, która przytrafiła mi się w całym dorosłym życiu. - Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Chwycił jej dłoń, podniósł do ust i pocałował w czułym geście kochanka. Joanna pomyślała, że zapewne nie jest to odpowiedni moment, żeby cokolwiek powiedzieć. Wstała i obeszła stół. Objęli się i było to coś, czego oboje w tej chwili potrzebowali najbardziej na świecie.

Pan Slider wszedł do kuchni tuż po zapadnięciu zmroku, kiedy przyszedł czas na zasłonięcie okien i zapalenie światła w domu. Zastał tam Joannę spokojnie szykującą herbatę i gotującą jajka. Bill przygotowywał tosty. Stół był już zastawiony i kuchnia wyglądała ciepło i przytulnie.

- Cześć, tato. Dostałeś coś? - spytał Bill, spoglądając na niego przez ramię.

Pan Slider mruknął coś tylko, zajęty ściąganiem butów na wycieraczce. Joanna obejrzała się i napotkała jego poważne spojrzenie. Skinął jej głową, poważnie, ale uprzejmie.

- W końcu pojechałem do Hampton Wood - powiedział, podchodząc do stołu w samych skarpetkach i siadając na krześle. - Kupiłem kilka grzywaczy. Będzie co jeść w weekend.

Joanna postawiła na stole czajnik z herbatą.

- Nie miała pani kłopotu z dojazdem? - spytał kurtuazyjnie.

- Nie, dziękuję.
- Ach, to ty przypalasz tosty, Bill?
- Przepraszam, tato.

Ojciec i syn usiedli naprzeciwko siebie, Joanna pomiędzy nimi. Spojrzała na jednego i drugiego. Byli do siebie tak podobni, że aż zachciało się jej płakać. Siwe, krótko ostrzyżone włosy pana Slidera rosły dokładnie tak samo jak złotobrzowa czupryna Billa. Jego łagodnie postarzała twarz i wąskie usta kiedyś zapewne wyglądały dokładnie tak samo jak twarz i usta człowieka, którego kochała. W rysach starego człowieka, w sposobie, w jaki układały się jego usta, w liniach zmarszczek wokół oczu była wypisana prawda o człowieku, który kochał kogoś całkowicie i z wzajemnością. Była to słodycz i łagodność, której nie zdoła wymazać żaden smutek i ból. Joanna lubiła tego mężczyznę i czuła, że byłoby tak nawet, gdyby nie był ojcem Billa.

Bill i Joanna rozmawiali, a pan Slider szykował sobie posiłek szybkimi, ekonomicznymi ruchami człowieka, który zasłużył na kolację. Wreszcie, kiedy wszyscy skończyli, pan Slider odsunął krzesło od stołu.

- Bill, może rozpalilibyś w kominku, co? Ja tutaj z Joanną pozmywam.

Bill wykrzywił się komicznie, ale posłuchał. Joanna zaczęła zbierać naczynia ze stołu, nagle zrezygnowana. Znowu usłyszę ostrzeżenie, pomyślała, a tym razem przejmę się tym, co ma do powiedzenia ten uroczy człowiek.

-Ja będę zmywał, a ty wycierała, dobrze? - powiedział pan Slider. - Nie chcę, żebyś zniszczyła sobie dłonie.

Zmywał metodycznie, ale bardzo powoli. Po kilku pierwszych talerzach spojrzał na nią i widząc jej minę, uśmiechnął się do niej dziwnie.



- Nie musisz się martwić, dziewczyno. Ja jestem tylko jego ojcem. Nic mi do tego.

- Nie sędzę, żeby miał pan rację. Bill szanuje pana opinię.

- Tak ci powiedział, co? Ach, cóż, jesteśmy tacy sami, ja i Bill, tylko że ja jestem przystojniejszy. I powiem ci coś. Lubię cię.

-Ja też pana lubię.

- To dobry początek. - Wrócił do zmywania. Kiedy spojrział na nią znowu, był już poważny. - To nie jest dobra rzecz, to wszystko. Zła dla każdego zamieszanego. Kiedy mężczyzna jest rozdarty między dwiema kobietami, a jedną z nich jest żona, nie ma wygranych. Ja miałem szczęście. Kochałem matkę Billa, poślubiłem ją i nigdy nie chciałem żadnej innej. Ludzie często mówią o tym, dlaczego małżeństwa się rozpadają, ale zawsze jest tylko jeden powód - ludzie przestają się kochać albo pobierają się bez miłości. Kochasz Billa?

- Tak. Ale nigdy bym... - Przerwała zawstydzona.

- Nie, nie sędzę, żebyś miała zrobić coś takiego. - Zaczął metodycznie szorować łyżkę od jajka. - Okropnie przywierają te żółtka. Nie, ty nigdy nie próbowałaś wpłynąć na jego decyzję. Ja też nie. Nie sędzę, że ludzie powinni decydować za innych. Problem w tym, że Bill jest zbyt wrażliwy. - Uśmiechnął się nagle. Jego oczy wydawały się intensywnie niebieskie. - Wiem, że wszyscy rodzice mówią podobnie, ale ten chłopak zawsze się martwił o innych. Zbyt rozwinięte sumienie. Zawsze starał się być uczciwy w stosunku do innych, widzieć obie strony medalu i to mu właśnie przeszkadza, rozumiesz? Jego sumienie przejmuje kontrolę nad uczuciami i kompletnie miesza mu w głowie. No dobrze,

chyba już wyczyściłem. Nie mam okularów, więc musisz mnie kontrolować.

Joanna wzięła od niego łyżeczkę i wytarła ją bez spoglądania.

- Jak pan sądzi, co zrobi Bill? - Czuła się głupio, pytając o to, ale każdy człowiek od czasu do czasu potrzebuje pokrzepienia.

- Nie wiem. Chciałbym ci powiedzieć, bo szczerze powiedziawszy, lubię cię, a Irene nigdy nie lubiłem. Nie była dla niego odpowiednia. Zbyt ambitna, przemądrzała i zawsze patrzyła na ceny różnych rzeczy. Moja żona uznała, że Irene zmobilizuje nieco Billa, ale powiedziałem jej, że nasz chłopak jest już wystarczająco sprytny i zmobilizowany. Po prostu widzi więcej niż inni ludzie, to wszystko. Powiem ci tylko tyle: cokolwiek zdecyduje, nie będzie to dla niego łatwe. Zajmie mu to dużo czasu i bardzo go zrani. Ciebie też - dodał, spoglądając na nią uważnie. - Myślę jednak, że jakoś to zniesiesz. Poza tym nie chciałabyś go, gdyby był mężczyzną, który potrafi zbyt łatwo podejmować decyzje, prawda?

- Nie, przypuszczam, że nie. - Nie było to zbyt pocieszające.

Pracowali w milczeniu przez dłuższą chwilę.

- Proszę, ostatnia łyżeczka - rzucił wreszcie pan Slider.

- Dobra z ciebie gosposia. Powiem ci coś. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się. - Myślę, że Bill jest na właściwej drodze. Może zajmie mu to jeszcze trochę czasu, ale koniec końców dojdzie do celu. A teraz pójdę się wykapać. Będziesz tutaj, kiedy skończę?

- Nie wiem - odparła, niepewna, ile czasu miała zająć jej wizyta.

- O, daj spokój, chyba nie chcesz pędzić z powrotem do Londynu po pięciu minutach wizyty tutaj? Może zostaniesz na noc? Przekąsimy później jakąś lekką kolację i pogramy w karty. Lubisz cribbage?

- Tak, ale...

- W porządku. Jestem za stary na to, żeby cokolwiek mnie zaskoczyło. Zostań, dobrze?

- Dobrze - odparła.

Musiała wyjechać następnego ranka. W milczeniu wędrowali ze Sliderem ścieżką do jej samochodu.

- Co się z nami stanie? - spytała w końcu. - Mamy jakąś przyszłość?

- Mam nadzieję. Bardzo chcę, żeby tak było. Czy ty też chcesz?

- Myślałam, że już to wiesz.

Zmarszczył brwi.

- Chcę być z tobą szczerzy. To będzie dla mnie trudne. Byłem bardzo długo żonaty. Nie potrafię sobie wyobrazić życia bez małżeństwa. Poza tym są jeszcze dzieci, przede wszystkim one. Nie zasługują na bycie nieszczęśliwymi. Irene zresztą też nie. To przecież nie jej wina.

Joanna słuchała tych oklepanych, raniących słów. Przez jej umysł przebiegły wszystkie kontrargumenty, nie powiedziała ich jednak na głos. Jeżeli Bill ich nie znał, nie było najmniejszego sensu wyciągać ich na światło dzienne.

- Z drugiej strony nie sądzę, żebym potrafił żyć bez ciebie - ciągnął. - Jesteś dla mnie zbyt ważna. Jeżeli cię potrzebuję, to powinienem coś z tym zrobić, nieprawdaż?

Skinęła głową, wdzięczna za mężczyznę, który zawsze dostrzegał obie strony medalu.

-To, o co chcę cię poprosić, i wiem, że będzie to dla ciebie bardzo trudne, to czas. Trochę mi zajmie uporządkowanie spraw. Czy możesz być dla mnie cierpliwa? Nie mam prawa cię o to prosić, ale...

- Będę cierpliwa. Mam trzydzieści sześć lat i nigdy nie byłam w nikim zakochana. Postaraj się uporządkować swoje sprawy jak najszybciej - poprosiła.

Zatrzymał się, odwrócił twarzą do niej i wziął jej ręce między swoje obandażowane dłonie. Nie potrafił znaleźć słów.

- Powiedz mi jedno - zaczęła, spoglądając na ich złączone dłonie.

- Co tylko chcesz.

- Dlaczego próbowałeś uratować fałszywego weterynarza?

Zaczął się powoli uśmiechać.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. To czysto odruchowa reakcja.

- Ty cholerny idioto! Kocham cię.

-Ja też cię kocham - odparł. Ruszyli znowu w kierunku jej wozu. - Wiesz, że zamierzają mnie awansować? - spytał po chwili. - Teraz, kiedy wiadomo, że Raisbrook nie wróci do roboty, zamierzają mnie zrobić nadinspektorem.

Spojrzała na niego pytająco.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? Musisz być bardzo szczęśliwy z tego powodu. Myślałam, że nie są z ciebie zadowoleni?

- Nie promują mnie dlatego, że są ze mnie zadowoleni. To swego rodzaju nagroda pocieszenia za to, że zamknęli sprawę Austen. Nie, to nawet nie to, coś znacznie mniej ważnego. Byłem dla nich utrapieniem, więc dali mi miesiąc urlopu i awans, żebym siedział cicho.

Joanna nie wiedziała, co powiedzieć.

- Cóż, przynajmniej Irene będzie zadowolona - rzuciła wreszcie.

- Irene zawsze powtarzała, że w pracy mnie nie doceniają. Miała rację, przynajmniej w tym wypadku. Nawet kiedy dostałem awans, tak naprawdę jest on czymś w rodzaju niepowodzenia.

- Nie mów tak - zaczęła, ale Slider zatrzymał ją i ścisnął jej dłonie.

- Joanno, tak się boję, że cię zawiodę.

Spróbowała się uśmiechnąć.

-To nie twoja wina, tylko moja. Byłam bezpańskim psem tak długo, że trudno komukolwiek postrzegać mnie jako coś innego. Bezpańskim psem nie trzeba się zajmować, wiesz? Możesz się z nim pobawić, kiedy podejdzie do ciebie w parku, ale nie zabierzesz go ze sobą do domu.

Wyglądał na zranionego.

- Nie mów tak. Posłuchaj, wszystko będzie dobrze. Zajmie to trochę czasu, ale się ułoży. Po prostu bądź cierpliwa.

Odprowadził ją do samochodu, a potem obserwował, jak wsiada i zapina pas. Pocałował ją na pożegnanie przez okno, a potem patrzył, jak odjeżdża. Pomachała mu na pożegnanie, zanim zniknęła za rogiem; zawadiacka i przerażona, niczym bezpański pies.